

LU
NA

MAGDA
STACHULA

IDEALNA

Zawsze jest ktoś, kto cię obserwuje...

MAGDA
STACHULA

IDEALNA

LU
NA

Spis treści

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Anita

Adam

Anita

Eryk

Adam

Anita

Marta

Eryk

Anita

Marta

Adam

Anita

Adam

Anita

Marta

Adam

Eryk

Anita

Adam

Marta

Anita

Eryk

Anita

Adam

Anita

Marta

Anita

Adam

Anita

Eryk

Anita

Adam

Eryk

Anita

Adam

Eryk

Anita

Marta

Adam

Anita

Adam

Anita

Adam

Anita

Adam

Anita

Adam

Eryk

Adam

Anita

Marta

Anita

Adam

Anita

Adam

Marta

Adam

Marta

Adam

Marta

Adam

Marta

Adam

Anita

Adam

Anita

Eryk

Marta

Anita

Eryk

Anita

Adam

Marta

Anita

Adam

Anita

Marta

Eryk

Adam

Anita

Eryk

Marta

Adam

Anita

Marta

Adam

Anita

Marta

Adam

Anita

Adam

Anita

Adam

Marta

Eryk

Adam

Anita
Marta
Adam
Anita
Adam
Anita
Marta
Anita
Eryk
Marta
Eryk
Adam
Anita
Marta
Eryk
Anita
Eryk
Epilog

Podziękowania

Copyright © by Magdalena Stachula-Nieścioruk 2016, 2023

Copyright © by Wydawnictwo Luna, imprint Wydawnictwa Marginesy 2023

Wydawca: NATALIA GOWIN

Korekta: JUSTYNA TECHMAŃSKA, KAMILA RECLAW, JOANNA BŁAKITA

Projekt okładki i stron tytułowych: ANNA SŁOTORSZ

Zdjęcia na okładce: kobieta © Ildiko Neer / Trevillion Images, tło – AdobeStock

Skład i łamanie: MARZENA MADEJ / Perpetuum Design

Koordynatorka produkcji: PAULINA KUREK

Warszawa 2023

Wydanie drugie zmienione

ISBN 978-83-67790-76-5

Wydawnictwo Luna

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwoluna.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Mężczyznom mojego życia –
Mężowi i Synom*

PROLOG

Lekkie ukłucie niczym ugryzienie komara. Krzywi się, odwraca głowę w stronę okna. Wciskam zawartość fiolki do jej organizmu. Żałuję, że nie widzę, jak płyn miesza się z krwią, tworząc z nią jednolitą konsystencję, i powoli przystępuje do spełniania swojej funkcji. Wyjmuję igłę, przykładam gazik i przyklejam plaster. Stopą naciskam pedał, pokrywa kosza na śmieci unosi się, strzykawka ląduje na samym dnie kubła. Zerkam na swoje kolana, na leżące na nich puste pudełko po leku, przymykam oczy, kalkuluje szybko, wszystko się zgadza. Otwieram szufladę biurka i chowam opakowanie, przykrywając je kołnotatnikiem. Później zajmę się resztą. Podnoszę wzrok i uśmiecham się do niej. Mocniej ściska włosy gumką, jest zdenerwowana.

– Powodzenia – mówię.

Wstaje, kiwa głową, nie dziękuje. Domyślam się, że musi wierzyć w te wszystkie nedorzeczne drobnomieszkańskie zabobony.

– Do widzenia. – Kładzie rękę na klamce i zanim zdążę odpowiedzieć, wychodzi.

Ma zbyt wysokie oczekiwania wobec życia. To ją kiedyś zgubi.

Anita

Budzi mnie ciche szuranie. Zupełnie jakby jakiś gryzoń dobierał się zębami do dna łóżka albo ostrzył pazury na drewnianej ramie. Mam ochotę krzyknąć, ale tylko zakrywam usta ręką i unoszę głowę z poduszki. Zawsze panicznie bałam się myszy, te ich paciorkowate oczy i długie, cienkie ogony przyprawiają mnie o torsje. Gdzie jest Pozytywka? Szuranie przybiera na sile, spoglądam kontrolnie na Adama, śpi, zanurzony w swoich słodko-dziecinnych marzeniach. Nienawidzę go za tę bez troską twarz. Zerkam w dół, nie widać intruza. W zasięgu wzroku mam jedynie nowe, idealnie dobrane do koloru szlafroka puchate pantofle, które przez ułamek sekundy jawią mi się jako bliźniacze szczury dumbbo, by po chwili znów stać się zwykłymi, pozbawionymi uszu kapciami.

Jestem już dość rozbudzona, aby się zorientować, że źródłem dźwięku nie była mysz. To ten wkurzający sąsiad z dołu, domorosły rzeźbiarz, stuknięty artysta. Wozi windą kloce drewna, powyginane konary drzew i nigdy po sobie nie sprząta, zostawiając zieloną, omszałą korę na podłodze. A potem hebluje, piłuje i nie wiem, co jeszcze, zawsze robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Tak jak teraz. Szur, szur, szur, szur. Wstaję, owijam się szlafrokiem, idę do przedpokoju, biorę szczotkę i zaczynam stukać w podłogę trzonkiem. Mocno, coraz mocniej. Przybiega Pozytywka. Zaciekawiona moim porannym ożywieniem, ociera się o nogi, unosi pyszczek. Nie przestaję stukać, tak samo jak on nie przestaje szurać, zobaczymy, kto wygra. Adam siada na łóżku ze wściekłą miną.

– Odbiło ci?! – krzyczy. – Przestań!

– Niech on przestanie – odparowuję, ale na moment zastygam z miotłą w ręce, nasłuchując odgłosów z dołu.

– Czy wiesz, która godzina? – pyta, zerkając na komórkę.

– Wiem – odpowiadam. – Ale najwyraźniej on nie wie. – Puk-puk-puk, sąsiad przechodzi do drugiego etapu pracy, z użyciem młotka. Zaciskam ręce na szczotce i z całych sił uderzam kijem w podłogę.

– Boże! – Adam próbuje przebić się przez hałas. – Ale ci odpierdala.

Wstaje i idzie w stronę łazienki. Patrzą na jego muskularne ciało, zwichrzone włosy, i ściska mnie gdzieś w środku. Kiedyś było inaczej, kiedyś się kochaliśmy, każdego ranka, bez wyjątku, bez względu na dzień tygodnia i porę roku. Na początku naszego razem. O szóstej pięćdziesiąt moje dłonie spoczywały na jego ciepłej skórze, a nie na zimnym kiju od szczotki. Właśnie tak wyglądał pierwszy rok naszego małżeństwa. Byliśmy szczęśliwi, nieświadomi wiszącego nad nami widma katastrofy. Zachłannie oddawaliśmy się codzienności, pracy, podróżom, drobnym i większym przyjemnościom. Życie było proste, a my czerpaliśmy z niego wszystko, co najlepsze. I wiem, że ten stan mógłby trwać dłużej, gdybyśmy pewnego wieczoru nie zaczęli starać się o dziecko. Takiej decyzji nie podejmuje się między jedną filiżanką kawy a drugą, dorasta się do niej powoli. Z czasem dojrzewa w naszej głowie, aż osiągnie rozmiary głębokiej pewności. I wtedy, gdy wspólnie wypowiedzie się ją na głos, nie ma odwrotu. Rezygnacja nie oznacza zmiany stanowiska, to totalna katastrofa.

Tak, przechodzimy kryzys, nie da się ukryć, od jakiegoś czasu nam się nie układa. Nie nazywamy rzeczy po imieniu, tolerujemy się, ale z każdym dniem oddalamy się od siebie. Każdą najmniejszą komórką ciała czuję, że mój mąż przestaje mnie kochać. A może już mnie nie kocha? Kiedy ta myśl znów

pojawia się w mojej głowie, nieruchomieję z miotłą w objęciach. Patrzę na światło w przymglonych okienkach drzwi łazienkowych, na jego poruszającą się sylwetkę, i czuję, że będę wymiotować. Siadam na skraju łóżka i ukrywam twarz w dłoniach. Muszę się powstrzymać, nie chcę robić scen. Gdy między nami jest źle, a pojawiają się dobre wspomnienia, robi się niebezpiecznie.

Wstaję, pochylam się nad rzuconą niedbale szczotką, ale nim zdążę jej dotknąć, z dołu uderza kolejna fala dźwięków. Mam wrażenie, że ktoś papierem ściernym wygładza pofałdowane powierzchnie mojego mózgu. Wiem, że dłużej nie wytrzymam tej złości, frustracji i zmęczenia, gromadzących się we mnie od miesięcy. Podchodzę do łazienki i naciskam klamkę. Zamknął się od środka, wcześniej nigdy tego nie robił, sikał przy drzwiach otwartych na oścież. Opierał się lewą ręką o ścianę wysoko nad głową, aby zachować równowagę, drugą ręką kontrolował strumień moczu, a ja zapadałam się w niego. Popijałam kawę i studiowałam idealne proporcje jego ciała. Karmiłam się tym widokiem każdego ranka i czułam się szczęśliwa, będąc częścią jego świata.

– Otwórz! – Szarpię za klamkę.

Posłusznie otwiera. Wymijam go i pochylam się nad sedesem. Kilka prób, gardłowe odgłosy, nic poza tym. Podnoszę głowę i widzę, jak jego twarz nagle z pełnej złości zmienia się we współczującą.

– Czy to możliwe? – pyta.

– Co? – Podnoszę się z kolan.

– Że tym razem się udało.

W jego niebieskich oczach widać nadzieję. Czarne, ogromne źrenice zalewa fala radości.

– Nie, kurwa. Niemożliwe.

Wycieram usta papierem toaletowym. Wymijam go znowu i wychodzę z łazienki. Kiedyś nie przeklinałam, teraz klnę jak szewc. Tak, zmieniłam się, wiem, rozeszłam się w szwach, ale nie mam siły dłużej z tym walczyć. Z moją bezpłodnością, brakiem kontroli nad sobą, rzucaniem na każdym kroku mięsem, trudno, jestem teraz właśnie taka.

Wchodzę do kuchni, wyrzucam zwitek papieru do kosza na śmieci i włączam ekspres. Ogarnia mnie wściekłość. Jak może myśleć, że tym razem się udało? Nie umie liczyć czy jest tak głupi, że wierzy w jakieś cudowne, przedziwne, niekontrolowane szczęśliwe poczęcie? Ja już dawno przestałam wierzyć – w jakiegokolwiek poczęcie. To prawda, wciąż próbujemy, ale ja straciłam nadzieję. Naiwność też ma swoje granice. Myję dwie filiżanki, które wyłowiłam z tony brudnych naczyń zalegających w zlewie. Robię tak od kilku dni, może nawet tygodni, myję to, co jest potrzebne, reszta leży upaprana w oczekiwaniu na swoją kolej. To do mnie niepodobne, wszak jestem porządnisią, niepoprawną pedantką. To też się jednak z niewiadomych powodów zmieniło. Owszem, wpadam jeszcze czasem w szal sprzątanania, tak jak wczoraj, gdy chusteczką do drewna polerowałam podłogę w sypialni. Działam wtedy jak w transie, muszę czymś zająć myśli, jednak przymus ten znika tak raptownie i niespodziewanie, jak się pojawił. I niestety od kilku tygodni tego nagłego przyływu energii nie wystarcza na kuchnię. Tylko patrzeć, jak Adam przyczepi się do tego syfu i znów się pokłócimy, przynajmniej to nam ostatnio dobrze wychodzi.

Wycieram filiżanki w ręcznik papierowy, ustawiam je pod kolbą wypełnioną kawą importowaną z Papui-Nowej Gwinei i naciskam włącznik. Przyjemny warkot i kojący zapach. Wpatruję się w brązowy płyn ciekący po porcelanowych brzegach. Kątem oka widzę wchodzącego do kuchni Adama. Jest ubrany w granatową koszulę i o ton ciemniejsze spodnie. Staje

za mną, odwracam się w jego stronę, przez chwilę taksujemy się wzrokiem. Nie jest w tym dobry, zazwyczaj to ja wygrywam i ten pojedynek również należy do mnie. Na moment spuszcza głowę, a potem spogląda na mnie.

– Przepraszam.

Wyciąga rękę w moim kierunku, próbuje mnie dotknąć, ale się cofam. Kolba ekspresu wbija mi się w plecy, jednak nie ruszam się, patrzę, jak się odwraca i odchodzi.

Nie chcę, żeby tak było. Kocham go i pragnę tak mocno jak dawniej. Robię krok do przodu i wchodzę w pustkę, którą po sobie zostawił, wypełnioną jego zapachem, mieszanką cynamonu, goździków i piżma. Chciałabym, żeby mnie przytulił, żebyśmy zaczęli się kochać, nieważne, że nic oprócz przyjemności z tego nie wyniknie. Poprawka, teraz nie ma już nawet przyjemności. Odwracam się, otwieram lodówkę, wydaję mleczko, ubijam je w spieniaczu i wlewam do filiżanek.

– Kawa – mówię, stawiając tę dla niego na kuchennej ladzie.

– Nie trzeba – odpowiada. – Wypiję w pracy.

Bierze do ręki aktówkę, przerzuca marynarkę przez ramię i wychodzi, nie patrząc na mnie. Mam ochotę rzucić za nim filiżanką i tylko wizja sprzątanego bałaganu mnie powstrzymuje. Siadam na krześle, ukrywam twarz w dłoniach i próbuję się opanować. Pozytywka kręci się przy moich nogach, przypominając, że czeka na śniadanie. Powoli wypuszczam nagromadzone w płucach powietrze, oddycham głęboko. Za chwilę wszystko wróci do normy, wezmę prysznic, zjem śniadanie i zabiorę się do pracy. Wieczorem wróci Adam, porozmawiamy, przecież go potrzebuję, nie chcę się z nim kłócić. Gdy czuję, że już prawie się uspokoiłam, że jestem w stanie wziąć się w garść, umyć zęby i się ubrać, znów to słyszę. Szur, szur, szur, szur. Chwytam filiżankę i rzucam nią w ścianę. Pozy-

tywka ucieka z kuchni ze zjeżonym ogonem, porcelana spada z hukiem na podłogę, kawa powoli ścieka po ścianie. Wybiegam z mieszkania, zbiegam po schodach, przeskakując po dwa stopnie, dopadam do drzwi sąsiada i walę w nie pięściami.

Czuję ból, ale nie przestaję. Tego mi trzeba, rozładowuje mnie to i dziwnie odpręża.

Po drugiej stronie korytarza otwierają się drzwi. Wychodzi z nich obrzydliwie zadbana i uśmiechnięta kobieta, gaworząc coś miło do swojej małej córeczki. Na mój widok staje osłupiała. Co, nie podoba jej się mój szlafrok? Zastłania sobą dziewczynkę, gdy ponawiam serię uporczywego pukania. Pomalowane różową pomadką usta wykrzywiają się w niekontrolowanym grymasie. Obdarzona pełnym oburzenia spojrzeniem, mam już ochotę coś jej powiedzieć, gdy drzwi wreszcie ustępują pod moim naporem i staje w nich ten wkurzający artysta, przepasany jakimś paskudnym fartuchem.

– Co pani wyprawia?

Słyszę szpilki stukające głośno na schodach, cudowna lalunia zbiega po nich z dzieckiem na rękach.

– Ja wyprawiam? – Kipię ze złości. – Przestań hałasować!

– Słucham? – Wybałusza na mnie swoje rybie oczy. – To pani hałasuje.

– Szur, szur, szur, szur! – Przekrzywiam głowę to w jedną, to w drugą stronę. – Oszaleję, jeśli nie przestaniesz.

– To moja praca – tłumaczy.

– Masz przestać – cedzę przez zęby.

– Bo co mi zrobisz? – Za moim przykładem młodzieniaszek przechodzi na ty.

– Wezwę policję.

– Proszę bardzo – mówi. – Dochodzi ósma rano, nie zakłócam ciszy nocnej, mogę w swoim domu robić, co mi się podoba. Odwal się! – dodaje na koniec i zatrzaskuje mi drzwi przed nosem.

Mam ochotę ponowić atak, ale się powstrzymuję. Czuję, jak bolą mnie knykcie, oglądam je i zastanawiam się, czy będzie na nich widać siniaki. Czy ludzie mogliby pomyśleć, że to Adam mi je zrobił? Mój cudowny mąż mnie bije, to by dopiero była nowina. Kiedy naciskam guzik przywołujący windę, jej drzwi od razu się otwierają. Na podłodze znów widzę kawałki kory i trociny. Wściekłość przybiera na sile, następnym razem wysypię zawartość kuwety Pozytywki na jego wycieraczkę, obiecuję sobie w myślach.

Gdy wysiadam na swoim piętrze, zauważam, że zostawiłam otwarte mieszkanie. Wchodzę do środka, przekręcam klucz w zamku, opieram się plecami o drzwi i osuwam na podłogę. Przez moment przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze.

Wyglądam żałośnie. Włosy sterczą każdy w inną stronę, zupełnie jak w szczotce, która leży przede mną na środku przedpokoju. Muszę się wziąć w garść, przecież kiedyś potrafiłam być inna. Podnoszę się, wchodzę do łazienki, rozczesuję kołtuny i wiążę włosy w wysoki kucyk.

Wracam do kuchni. Plama na ścianie przybrała kolor kupy. Kucam i zbieram kawałki porcelany. Lubiłam tę filiżankę, kupiliśmy ją podczas jednego z naszych cudownych wyjazdów na początku związku. Wyprofilowana na kształt Krzywej Wieży w Pizie, cienka japońska porcelana, trochę mi jej szkoda, ale tylko trochę. Skoro nic nie zostało po naszej cudownej relacji, to i po cudownej filiżance nic nie może zostać. Ściereczką wycieram brązową plamę ze ściany. Podchodzę do lady. Kawa Adama jest prawie zimna, ale wypijam ją jednym haustem do dna, zupełnie jakby to był kieliszek wódki, a nie

droga, egzotyczna kawa domagająca się należytą sobie atencji. Otwieram lodówkę, wydaję karmę dla kota. Pochyliam się nad miską Pozytywki, szeleszczę aluminiowym opakowaniem, ale nie przybiega. Zawsze kręci się pod moimi nogami, a teraz się gdzieś schowała. Musiała się naprawdę przestraszyć. Nienawidzę siebie za te ataki złości, nie pierwszy raz coś takiego mi się zdarza. Często w momentach niezadowolenia robię dziwne rzeczy, walę pięścią w stół, klnę lub kopię w ścianę. Wcześniej nie podejrzewałam, że jest we mnie tyle agresji. To zupełnie niezależne ode mnie, po prostu dzieje się ot tak, mimo woli.

– Po! – krzyczę. – No chodź!

Cisza. Idę do pokoju, nie ma jej, zaglądam na półkę ze swetrami, na której często śpi.

– Pozi – powtarzam.

Nadal nic. Otwieram drzwi do łazienki, szafę w przedpokoju.

– To nie jest śmieszne, wyłaź.

Nie ma jej. Zaczynam biegać po domu, wołam ją, otwieram wszystkie szuflady w komodzie, pralkę, zaglądam nawet do kosza z brudną bielizną. Mieszkanie wygląda jak po przejściu tornada, jednak nigdzie nie ma kotki. Nagle uzmysławiam sobie, że musiała uciec przez drzwi, które zostawiłam otwarte, zbiegając do tego palanta na dole. Wypadam na klatkę. Biegnę na górę, potem na dół, krzyżąc:

– Po, Pozi, gdzie jesteś?!

Mężczyzna, którego mijam na schodach, obdarza mnie zde gustowaną miną. Nienawidzę ludzi za to ich ocenianie, ciągle szufladkowanie każdego, nawet nieznanego sąsiada. Jego spojrzenie jest tak wymowne, że stoję w połowie schodów. Nie obchodzi mnie, co o mnie myśli, ale jest młody, przystojny

i faceci nigdy w taki sposób na mnie nie patrzą. W ich oczach zawsze znajduję pożądanie, podziw, aprobatę.

– Uciekł mi kot – tłumaczę. – Czy nie widział pan rudego kota?

Jego twarz momentalnie się rozjaśnia. Ha, ha, ha, a już myślał, że ma do czynienia z psychopatką.

– Jest na górze. – Uśmiecha się. – Wygląda przez okno.

– Dziękuję – mówię, posyłając mu uwodzicielskie spojrzenie. Wymijam go i wbiegam po dwa stopnie. Pozytywka siedzi na ostatnim piętrze, na małym okienku wychodzącym na ulicę, i obserwuje gołębnie spacerujące po parapecie.

– Pozi – biorę ją na ręce – nie uciekaj więcej pańci. Kto będzie mnie bronił przed myszami? – szepczę jej do ucha, krocząc korytarzem w stronę mieszkania.

Adam

Moja żona jest cudowna. Powtarzam to sobie, schodząc po wypolerowanych marmurowych schodach. Moja żona jest najwspanialsza na świecie. Szczupła, wysoka blondynka, skandynawska piękność, obok której na ulicy nikt nie może przejść obojętnie, ani mężczyźni, ani kobiety. W jednych wzbudza pożądanie, w drugich zazdrość. Jest idealna. Z łatwością zdobyła trzy Z w moim prywatnym rankingu atrakcyjności kobiet: zgrabna, zadbana i zabawna. Wychodzę na ulicę, poranne słońce atakuje moją zaspaną twarz. Wsiadam do samochodu, na nos zsuwam okulary przeciwsłoneczne. Ruszam, aby po chwili się zatrzymać i przepuścić na pasach młodą kobietę idącą za rękę z dzieckiem. Kiwnięciem głowy dziękuję za życzliwy gest, wykonuję podobny ukłon w jej stronę, na co ona odpowiada uśmiechem. Moja żona też kiedyś taka była. Uśmiechnięta perfekcjonistka. Teraz zaś humorzysta frustratka. Kiedyś za nią szalałem, dziś męczy mnie jej towarzystwo. Nigdy nie sądziłem, że tak będzie, ale właśnie tak się stało.

Podjeżdżam pod McDonald, parking jest prawie pusty. Podchodzę do kasy, zamawiam kawę, sezonowe ciasteczko i sałatkę na potem. Po chwili uśmiechnięta studentka wręcza mi torbę wraz z paragonem. Jest ładna, bardzo młoda, odważnie umalowana i na pewno pod służbowym mundurkiem ma wyzywający dekolt. Gapię się na nią, a ona wciąż się uśmiecha. Kolejna radosna dziewczyna. Kiedy moja żona postanowiła wypisać się z ich drużyny? Płacę i siadam przy oknie. Obok, na krześle kładę aktówkę, przez oparcie przewieszam marynarkę. Biorę do ręki gazetę, którą ktoś zostawił na sąsiednim stole. Popijam kawę i przewracam kolejne strony. Robię tak

codziennie od kilku miesięcy. Okłamuję swoją żonę. Wycho-
dę z domu przed ósmą i idę posiedzieć gdzieś przy kawie.
Najczęściej w McDonalddie, ale kilka razy byłem w takiej ma-
łej, przytulnej kawiarni przy Miodowej, której nazwy nie pa-
miętam. Od awansu w listopadzie zeszłego roku chodzę do
pracy na dziesiątą, ale ona o tym nie wie. Nie wie o awansie
i nie wie o moich samotnych porankach. Mam dwie godziny
dla siebie, bez jej nadąsanej miny, pretensjonalnego tonu, cią-
głych narzekań i smutków.

Gdy wracam wieczorem, prawie nie rozmawiamy. Inaczej
jest w „te dni”, jak to o nich mówi, czyli dni, w które musimy
się kochać. Prowadzi te swoje wykresy, rysuje niezrozumiałe
linie, to w górę, to w dół, tu zielone kropki, tam czerwone
krzyżyki, i trzyma to na swojej szafce nocnej. Każdego wie-
czoru wertuje kartki, godzinami wpatruje się w tę niezrozu-
miałą mapę naszego życia seksualnego jak w jakiegoś Maneta
czy Renoira. Potem, gdy już coś z tego wyczyta, oznajmia na-
głe: „Jutro weź wolne”. A ja mam ochotę wstać, wyjść z domu,
trzasnąć za sobą drzwiami i nigdy już nie wracać. Nie uzgad-
nia tego ze mną, tylko mi rozkazuje. Od czasu awansu to nie
jest już taki problem, pracuję zdalnie z domu, ale wcześniej
w takich sytuacjach czułem się niekomfortowo. Kiedy tłumac-
zyłem, że nie mogę tak z dnia na dzień nie pójść do pracy, że
mam spotkania, terminy, wkurzała się, kłóciliśmy się, mówiła,
że już mi nie zależy na dziecku, na niej, i zawsze jej elokwen-
cja wygrywała z moim ścisłym umysłem.

A więc w te dni na jej rozkaz zostaję w domu. Jest tak bez-
nadziejnie, że aż trudno w to uwierzyć. Nienawidzę tego wy-
muszonego kopulowania, z termometrem w ręce. Na hasło,
nieprzerwanie przez kilka dni, a potem znów przez trzy tygo-
dnie w sypialni wieje chłodem. Za każdym razem liczę jednak,
że w tym miesiącu się uda. Będziemy mieli dziecko i tym sa-
mym nasze życie, po ostrym zakręcie, złapie długą prostą.

Tyle że od ponad dwóch lat wszelkie wysiłki kończą się fiaskiem. Mamy za sobą nieudane próby inseminacji i badanie spermy, które do dziś wywołuje we mnie ogromne współczucie dla samego siebie. Zamknięty w pokoju pełnym pornosów i równie wymownych gazet czułem się jak nastolatek nieśmiało wypróbujący możliwości swojego ciała, w stresie z powodu coraz głośniejszych nawoływań rodziców zza drzwi łazienki. Z przyjemnością nie miało to nic wspólnego. Nigdy więcej, powiedziałem sobie, drugi raz tego nie zrobię. Wielokrotnie namawiałem ją na adopcję, ale oświadczyła, że jeszcze za wcześnie, że musimy próbować. Tak więc wciąż, co miesiąc, próbujemy.

I gdy to robimy, naprawdę chcę, żeby było miło. Przecież czekam na to dwadzieścia ileś tam dni, tyle, ile zaśpiewa jej kalendarzyk. Uwielbiam jej ciało, gładkie i aksamitne, tak przyjemne w dotyku, że aż nierzeczywiste. To moja słabość, jedna z wielu, jeśli chodzi o moją piękną żonę. Choćbym nie wiem jak był na nią wkurzony, po dotknięciu jej skóry ulegam i poddaję się chwili. Daję z siebie wszystko, naprawdę się staram, ale gdy otwieram oczy i patrzę na jej obojętną, poruszającą się miarowo twarz, coś we mnie pęka. Jeszcze próbuję się uśmiechać, pochwycić jej spojrzenie, ale ona jest niewzruszona. Wodząc palcami po jej idealnej skórze, myślę wtedy o innej. Nie jakiejś konkretnej dziewczynie, tylko za każdym razem nowej. Daję upust moim fantazjom, nie potrafię już inaczej. Wiem, że muszę się spisać, muszę być wciąż podniecony, do końca, do czasu, aż pozwoli mi bezwładnie opaść na poduszkę. Nienawidzę siebie za to, co robię, i jej za to, co ze mnie zrobiła.

Za oknem jakiś dzieciak hamuje z piskiem opon. Z samochodu wyskakują dwie nastolatki i trzech chłopaków w podobnym do nich wieku. Śmieją się, zachowują zbyt głośno, zajmują stolik na zewnątrz, ten najbliżej mnie, tuż za szybą.

Obserwuję, jak nonszalancko zapalają papierosy, jeden z małolatów wchodzi do środka złożyć zamówienie. Zazdroszczę im tej swobody i bez troski, jeszcze nie wiedzą, jak bardzo życie ich rozczaruje. Na szybie zauważam tłuste plamy – niezbyt pracowita była wczorajsza wieczorna zmiana. Ślady małych dziecięcych rączek, upapranych w soli i tłustych frytkach. Cokolwiek bym robił, gdziekolwiek bym był, zawsze wraca temat dziecka. Przez moment zastanawiam się, czy Anita też tak ma. Nie wiem, kiedy staliśmy się sfrustrowanymi trzydziestolatkami. Nie tak wyobrażałem sobie moją dorosłość.

Życie z Anitą jest nieprzewidywalne jak hazard i równie silnie uzależniające. Odnoszę wrażenie, jakbym bez przerwy grał w ruletkę. Czarne, czerwone, jedno wygrywa, drugie przegrywa – i nigdy nie wiem, jak skończy się kolejna runda. Nie mam pojęcia, w jakim nastroju obudzi się następnego ranka, wszystko zależy od ślepego losu, nic ode mnie. Bach-bach, kulka odbija się od metalowych korytek, lawiruje między czerwonym a czarnym, między obłędem a radością, puk-puk, czarne wygrywa, przegrywasz, cwaniaczku. Fala neurotyzmu zalewa nasze mieszkanie, a najlepszym wyjściem z tej sytuacji jest ucieczka.

A więc uciekam. Każdego dnia. Wychodzę do pracy wcześniej, niż muszę, i wracam później, niż mógłbym. W weekendy też gdzieś bywam. Nie tak miało wyglądać moje życie. Nie po to zaciągnąłem duży kredyt na luksusowy apartament w centrum miasta, w jednej z tych wyremontowanych, ekskluzywnych kamienic, aby teraz w nim nie mieszkać. Pamiętam, jak się cieszyliśmy, gdy odbieraliśmy klucze od dewelopera, pełni marzeń i nadziei. Nie wiedzieliśmy tylko, jak niewiele z nich się spełni.

Anita nigdy nie pyta, jak ja się z tym wszystkim czuję, chociaż tak samo nie mogę zostać ojcem, jak ona matką. Codzien-

nie muszę stawiać czoła oczekiwaniom w pracy, wspinać się na wyżyny swoich możliwości, rywalizować i dodatkowo ukrywać problemy osobiste. Też czasem chciałbym jak ona zostać w domu, do południa chodzić w szlafroku. Jeśli jednak miałyby się to dziać w jej obecności, to dziękuję bardzo. Wszystko jest lepsze od jej kapryśnego towarzystwa.

Biorę aktówkę i marynarkę i odnoszę pustą tackę. Kobieta, obok której przechodzę, pośpiesznie odwraca głowę w stronę okna. Podążam za jej wzrokiem, parking jest pusty, nastolatki odjechali dobre dziesięć minut temu, nie wiem, co ją tak nagle zaciekawiło. Popycham szklane drzwi, powietrze jest rześkie, wyraźnie czuć wiosnę. Wskakuję do samochodu, odpalam silnik i ruszam. Włącza się płyta Zaz, ulubionej piosenkarki mojej żony. Znow widzę jej uśmiechniętą twarz, wiatr rozwiewa jej włosy, ocean w tle przybrał turkusową barwę.

– Odchyl głowę! – krzyczę i gdy to robi, pstrykam zdjęcie.

Zamykam oczy i wciąż widzę to ujęcie. O mały włos nie wjeżdżam w tył hamującego przede mną forda. Rzeczywistość jest silniejsza niż wspomnienia. Pora pogodzić się z faktem, że jej swobodny sposób bycia i ciągle żarty zostały wyparte przez zaciśnięte w złości pięści i podejrzliwe spojrzenia. Nie wiem już, które z tych wcieleń to prawdziwa ona. Oczywiście fizycznie nadal jest taka sama, piękna i wyzywająca. Nic się nie zmieniła przez tych kilka ostatnich lat, a nawet można powiedzieć, że się wyrobiła, jest jeszcze atrakcyjniejsza. Jej długie blond włosy zmysłowo zawijają się na końcach. Choć nie wiem, czy blond to odpowiednie określenie, bo nie jest to żaden miodowy czy jajeczny odcień, tylko prawie biały. Zimny i naturalnie lśniący jak lód, idealnie współgrający z jej mroźnym spojrzeniem.

Coraz częściej się zastanawiam, czy nie zaczynam mieć na nią uczulenia. Dosłownie drapie mnie w gardle i cierpie mi skóra, gdy idę schodami do góry. Przestałem używać windy, aby choć o kilka sekund przedłużyć powrót do naszego mieszkania. Jestem zmęczony tym ciągłym udawaniem, tym, że nie prowadzę normalnego, prawdziwego życia, nie jestem sobą. Brakuje mi swobody, banalności i... tak, niekontrolowanego seksu. Już zapomniałem, jak to jest naprawdę się z kimś kochać. Tak po prostu, dla przyjemności, nic poza tym.

Gdy rozbieram się w przedpokoju, zerka na mnie znad ekranu monitora. Nie wiem, co się dzieje w jej głowie, o czym myśli, czego pragnie. Znikam za drzwiami łazienki, biorę prysznic, wkładam szlafrok i cieszę się, że dochodzi dziewiętnasta i będę mógł pomilczeć w jej obecności, gapiąc się na prezentera programu informacyjnego. Ona zawzięcie stuka w klawiaturę, nie pyta, jak minął mi dzień, mnie także nie ciekawia jej sprawa. Nie jestem głodny, mam ochotę na piwo, ale nie wstaję, by znaleźć je w lodówce. Nie zniosę jej ganiącego spojrzenia, przecież zakaz picia alkoholu tyczy się nie tylko przyszłych matek, ale i niedoszłych ojców. Wpatruję się w ekran telewizora i czekam na „Pogodę”, po której będę mógł zniknąć za drzwiami sypialni. Już czuję ten przyjemny chłód prześcieradła i widzę ukrytą pod poduszką empetrójkę. Audio-teka Narodowa ukoji mnie do snu kolejnym skandynawskim kryminałem. Gdy na ekranie pojawiają się reklamy, z ulgą wstaję i wychodzę z pokoju. Na progu odwracam się, mam zamiar coś jednak powiedzieć, dziwnie tak iść spać, nie zamiernie ze sobą słowa. Przyglądam się jej, unosi głowę, spięte w wysoki kucyk włosy podskakują na boki radośnie, przypominając mi najcudowniejsze momenty w moim życiu. Przenoszę wzrok na jej twarz i nie chcę tu zostać ani chwili dłużej. Jej spojrzenie uświadamia mi, że po tamtych chwilach nic już nie

zostało. Odwracam się i wchodzę do sypialni. Czasem się jej boję.

Anita

Nadeszła wiosna. Łatwiej udawać, że żyje się normalnie, tak jak inni. Od świtu do zmierzchu. Godzina za godziną, praca, dom, obowiązki i nibyprzyjemności. Pieprzona ułuda. Kilka dni temu zaczęłam otwierać drzwi balkonowe, świeże powietrze niesie w sobie tyle nadziei.

Wczoraj wieczorem, gdy Adam zasnął, zrobiłam test ciąży. Nie oczekiwałam, że będzie pozytywny, i słusznie, bo nie był. Schowałam plastikowy patyczek do kosmetyczki z wizerunkiem Marilyn, biedna dziewczyna, miała jeszcze bardziej popaprane życie niż ja. Wsunęłam go za siateczkę, obok dwudziestu sześciu innych plastikowych patyczków z jedną różową kreską. Trzymam je wszystkie. Kiedyś pokażę je naszemu dziecku, żeby wiedziało, jak bardzo na nie czekaliśmy, jak się o nie każdego miesiąca staraliśmy.

Wychodzę na balkon i patrzę w niebo. Księżyc gapi się niemo, jakby ze mnie kpił. Czwartego kwietnia, w sobotę była pełnia, ucieszyłam się, że idealnie pokrywa się z moimi dniami płodnymi. Nie wierzę w te całe bzdury o wpływie faz Księżyca na płodność kobiety, ale ta pełnia w moją owulację napawała nadzieją. Wyszłam wtedy na balkon, zupełnie tak jak teraz, i prosiłam Księżyc, żeby zrobił, co w jego mocy, co mu zależy, ale nie zrobił i teraz ta jego wielka gęba śmieje się ze mnie drwiąco. Wbijam w niego srogie spojrzenie i wracam do mieszkania.

Zaglądam do sypialni. Adam śpi albo tylko udaje. Kilka razy złapałam go na tym, że okłamuje mnie w tej kwestii. Myślał, że się nie wyda, ale się mylił. Zawsze po stosunku zamyka oczy, odwraca się w stronę ściany i śpi. Ja leżę nieruchomo,

wpatrując się w sufit i zastanawiając, czy to był ten szczęśliwy traf, nasza szóstka w lotto. Tak naprawdę w to nie wierzę, ale czasem daję się ponieść fantazji. Wyobrażam sobie te wszystkie malutkie ubranka, które będą prać i prasować, wiklinową kołyskę, którą ostatnio widziałam w jakimś programie o urządzeniu domu. Nie myślę o płci dziecka, jest mi to zupełnie obojętne. Marzę tylko o tych malutkich rączkach, które będą gładzić mnie po twarzy, o nóżkach, które będą przebierać w powietrzu, i maleńkich piętach, które całowałabym bez końca. Potem zazwyczaj wstaję, biorę prysznic i idę do kuchni. Odpalam laptop i udaję, że pracuję, na wypadek gdyby Adam też wstał. A tak naprawdę oglądam wózki i łóżeczka na stronach sklepów internetowych. Kopiuję linki do specjalnego pliku o nazwie Urządzamy pokój. To mnie odpręża. Adam nigdy nie wstaje, ale wiem też już, że nie śpi. Od dawna to podejrzewałam, a teraz mam pewność.

Kiedy w sobotę wróciłam spod prysznica, leżał tak samo jak wtedy, gdy opuszczałam pokój. Zwrócony ku ścianie, zmienił jedynie ułożenie rąk i nóg. Obeszłam łóżko dookoła, wyjęłam z szuflady koszulę nocną i spojrzałam na niego. Na twarzy miał poduszkę, pewnie po to, żebym nie widziała, jak poruszają się jego gałki oczne, ukryte pod zamkniętymi powiekami.

Zrobiłam krok w jego stronę i bosą stopą przypadkowo stałam na tablet. Był gorący, ktoś przed chwilą z niego korzystał. Uśmiechnęłam się do siebie. Moje podejrzenia były słuszne, wiedziałam, że nie śpi. Pochyliłam się nad nim i przykryłam wystające spod kołdry gołe kolano. Niech wie, jaka ze mnie czuła żona.

Wyszłam do łazienki, przebrałam się, a potem odczekałam, aż naprawdę zaśnie. Wróciłam po tablet i sprawdziłam, co oglądał pod moją nieobecność. Szok. Historia przeglądanych

stron była naprawdę imponująca. Nie spodziewałam się tego po nim. Same gołe babki, powyginane w wyuzdanych pozach, obrzydliwe. Wkurzyłam się, co to, kurwa, ma być, nie wystarczy mu moje ciało? Po stosunku, albo może nawet i przed, musi doprawić się tymi nabrzmiętymi od silikonu cyckami? Wróciłam do łazienki i zaczęłam przyglądać się swojemu odbiciu w lustrze. Ostatnio schudłam, całkiem sporo, bo czytałam gdzieś, że otyłość może utrudniać zajście w ciążę, poza tym ściśle trzymam się diety, zero tłustych i smażonych potraw. Nie jest to żadne poświęcenie z mojej strony, nigdy nie byłam obżartuchem. Wystarczy trochę samodyscypliny, trzymania na wodzy pragnień i kontrolowania poczynąń, a z tym nigdy nie miałam problemu. Gołym okiem widać, że zmałał mi biust – z dość konkretnej miski C musiałam przerzucić się na B, która coraz bardziej prosi o solidniejsze wypełnienie – ale nie sądziłam, że to ma dla mojego męża jakieś znaczenie. Adam nigdy nie był typem wzrokowca, zawsze mówił, że liczy się dla niego moje wnętrze, pieprzony oszust. Włożyłam na siebie koronkową koszulkę z miskami push-up, idealnie okalającymi mój biust, i w ten sposób przekonałam samą siebie, że wciąż jestem piękna. To jemu nagle obniżyły się standardy.

Eryk

Dostałem zamówienie na dwie sztuki. Z pozoru ich wykonanie wydaje się proste, dobrze płacą, ale jak wiadomo, przeczorny zawsze ubezpieczony. Zażądałem pięćdziesięciu procent zaliczki, gdyby jednak chcieli mnie wykiwać. Zgodzili się bez oporu. Nie wiem, kto jest odbiorcą, mam kontakt tylko z ich pośrednikiem, miłą dziewczyną, która wydaje się konkretna i uczciwa. Pierwsze zamówienie to płótno Františka Kupki *Le Disque Blanc* z tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Dzieło przedstawia kilka idealnych pierścieni i przecinających się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni linii. To doskonały przykład europejskiej sztuki abstrakcyjnej. Wystarczy odpowiednio dobrać kolory, co nigdy nie stanowiło dla mnie większego problemu, i dokonać idealnych pomiarów. Obraz jest prosty w swej doskonałości i niezwykle ceniony przez miłośników sztuki. Na ostatniej aukcji w dwa tysiące jedenastym roku uzyskał ostateczną cenę sześciuset dziewięćdziesięciu tysięcy funtów. Bardzo żałuję, że to nie ja go pierwszy namalowałem, bo w porównaniu z tą sumą moje honorarium wygląda żałośnie. Wiem, że skopiowanie obrazu nie zajmie mi wiele czasu. Trochę trudniej będzie z drugim zamówieniem – pomniejszoną pięciokrotnie kopią *Leżącej figury* Henry’ego Moore’a, w drewnie. Szczęśliwie się złożyło, że mam odpowiednich rozmiarów kawałek lipy, być może lepsza byłaby topola, ale nie mam czasu jechać do tartaku po nowe materiały. Oba zamówienia mają być gotowe za miesiąc. Zaliczkę obiecali dać w przyszłym tygodniu, resztę – tydzień po dostarczeniu przesyłki do zamawiającego.

Wcześniej takie przypadkowe, dorywcze prace stanowiły główne źródło mojego dochodu. Brałem każde zlecenie, nie

było ich zresztą tak wiele, i schodziłem z ceny. Nie mogłem kręcić nosem, z czegoś przecież trzeba płacić rachunki. A teraz nagle, gdy załapałem się do grupy konserwującej obrazy kościelne i przez kilka miesięcy mogę być pewien stałych dochodów, nastąpił niezwykle ruch w interesie. To już trzecie zamówienie od początku roku, prawdziwy okres prosperity. Co prawda to w większości rzeźby, a szczerze mówiąc, nie czuję się w tym mocny, znacznie większą radość daje mi obcowanie z farbami niż z dłutem, ale dopóki moje nazwisko nie jest znane, dopóki nic nie znaczę w świecie sztuki współczesnej, muszę się dostosować do potrzeb rynku.

Dziś mam wolny dzień, więc cały spędzę w najmniejszym pokoju wynajmowanego przeze mnie mieszkania, które przekształciłem w pracownię. Chociaż zaostrzone dłuta, drewniany młotek, tarnik i pilnik ryflowy leżą obok okazałego konaru gotowe do pracy, zacznę od obrazu. Światło jest idealne, takie jak lubię, nie mogę nie wykorzystać tego daru nieba. Biorę do ręki cyrkiel i robię pierwsze przymiarki, kreśląc na płótnie kontury złotego dysku.

Adam

Promienie wpadają przez szczeliny odsłoniętej rolety, rysując na ścianie idealne paski. Jasno, ciemno, jasno, ciemno, skrzęca się światłem zebra, która zniknie za kilka minut, gdy słońce schowa się za biurowcem po przeciwnej stronie ulicy. Wpatruję się w nią, ilekroć pojawi się znieńcka w moim pokoju. Obcowanie z ulotnością chwili.

– Idziesz? – słyszę za sobą głos Wiktora.

Odwracam się, poluzowany krawat swobodnie układa się na jego piwnym brzuchu, w ręce trzyma sfatygowaną aktówkę.

– Jeszcze chwilę – mówię.

– Poczekam – proponuje.

Wyłączam komputer, jednym ruchem ręki zbieram cienkopisy ze stołu i wrzucam je do metalowego kubeczka. Segregator odstawiam na półkę i po raz ostatni spoglądam na zebra, która przesunęła się lekko w prawo.

– Jak negocjacje z FedExem? – pyta Wiktor, gdy zmierzamy w stronę windy.

– Wszystko utknęło w martwym punkcie. Oni nie chcą zejść z ceny, my nie chcemy zaakceptować ich propozycji – opowiadam, puszczając go przodem, gdy mijamy się w korytarzu z młodą kobietą. Nie potrafię się powstrzymać i oglądam się za nią. Długie nogi w czarnych rajstopach prezentują się nie najgorzej.

– Nowa od PR-u – wyjaśnia Wiktor, gdy powracam spojrzeniem do jego twarzy.

Kiwam z uśmiechem głową, ponownie zerkając w stronę dziewczyny, która znika w głębi korytarza.

– Są coraz młodsze – dodaje. – A my coraz mniej je interesujemy.

Zbywam to milczeniem, bo kto jak kto, ale ja nie mogę narzekać na brak zainteresowania, niezależnie od wieku mojego i kobiet. Wciąż mam w sobie to coś. Wiktor naciska guzik przywołujący windę. Mamy do przejechania tylko dwa piętra, dla jego zdrowia i wyglądu byłoby lepiej, aby przerzucił się na schody, ale zachowuję tę uwagę dla siebie.

– Jakies plany na długi weekend? – pyta, gdy drzwi zamykają się za nami.

– Nie wiem – odpowiadam wymijająco. – Chyba nie. Jeszcze nie myślałem.

Zapomniałem, że za kilka dni mamy długi majowy weekend. Rok temu pojechaliśmy do Sztokholmu, niby na spontaniczną wycieczkę. W każdym razie w taki sposób jej to przedstawiłem, a tak naprawdę wyjazd był o wiele wcześniej przeze mnie zaplanowany, zresztą jak każdy inny wypad „w ciemno”. Nie lubię zdawać się na łaskę losu, ale wiem, że ona za tym przepada, więc bawię się w tę głupią grę pod tytułem „jedźmy gdziekolwiek”. Tylko że to „gdziekolwiek” jest zawsze przeze mnie starannie wybrane. Wakacyjne wyjazdy zostawiam jej. Uwielbia dopinanie wszystkiego na ostatni guzik, a ja nie chcę odbierać jej tej przyjemności, poza tym naprawdę jest w tym świetna, znacznie lepsza ode mnie.

– Jedź ze mną w góry – ciągnie Wiktor, gdy ramię w ramię przemierzamy przestronny hol naszego biurowca. – Mój ojciec wyjeżdża na kilka dni do Łodzi, jego domek myśliwski będzie stał pusty. Moglibyśmy się zabawić w męskim gronie. Ty, ja, Szymon.

– Brzmi nieźle – mówię.

Rzeczywiście podoba mi się ten pomysł, jakaś alternatywa, ucieczka od niewypału, którym może się okazać tegoroczna

wycieczka z Anitą. Po raz pierwszy zapomniałem ją zaplanować, więc prawdopodobnie nie będzie tak cudownie, jak zawsze. Chcę jechać z Wiktorem, tego jestem pewien, nie wiem tylko, co na to powie moja żona. Ale czy naprawdę mam ochotę zawracać sobie tym teraz głowę? Najwyżej znów się pokłócimy.

– No to świetnie. – Wiktor popycha drzwi.

Wychodzimy z budynku. Obaj mrużymy oczy od popołudniowego słońca.

– Przyjadę po ciebie jutro wieczorem – proponuje, gdy rozstajemy się na parkingu.

Unoszę rękę w geście pożegnania i wsiadam do samochodu. Czuję, że jak jej o tym powiem, wścieknie się. Nie uwierzy w żaden męski wypad, będzie podejrzewać mnie o zdradę. Ostatnio dostała jakiegoś fisia, przegląda moje rzeczy, wiem o tym, bo zauważyłem w śmietniku całą zawartość kieszeni spodni od garnituru. Nie podoba mi się, że mnie kontroluje. Nic ważnego nie znalazła, same śmieci, chusteczki do nosa i wyjmowane z za wycieraczki samochodu reklamy klubów go-go. Wyobrażam sobie jej zde gustowaną minę i dalekie od życzliwości komentarze na widok zawieszonych na rurach dziewczyn. Gdy zapytałem ją, dlaczego grzebie w moich rzeczach, powiedziała, że wyrzuciła te bzdury, przygotowując rzeczy do prania. Nawet gdyby rozciągali ją na kole, nie przyznałaby się do tak haniebnych czynów jak przeszukiwanie kieszeni męża, to przecież nie w jej stylu. Widzi siebie taką, jaką chce się widzieć. Nie zdążyłem tylko zapytać, od kiedy pierze moje spodnie od garnituru, bo przecież zawsze noszę je do pralni. Nie kontynuowałem tego wątku, ale postanowiłem ją wkurzyć.

Po ostatnim kopulowaniu na zawołanie jej cudownego kalendarzyka wszedłem na kilka stron porno. Od jakiegoś czasu

sprawdza, czy śpię, i myśli, że tego nie widzę. Denerwuje mnie to. Wychodzi z pokoju, a potem zagląda przez szparę w drzwiach. Więc jak wtedy wyszła, wziąłem tablet i zacząłem wchodzić na te wszystkie sprośne portale. Nie potrzebowałem patrzeć na gołe tyłki i cycki, w tamtym momencie czułem obrzydzenie do wszystkiego, co się wiąże z seksem, ale chciałem zrobić jej na złość. I chyba się udało. Gdy myślała, że śpię, zabrała tablet, żeby w nim poszperać. To jej nowe hobby, przeszukiwanie moich rzeczy. Gdzie się podziała moja dawna żona? Doprawdy to, co robi, jest żałosne. Ciągłe bujanie się na huśtawce emocjonalnej, można się od tego tylko porzygać.

Od tamtego wieczoru prawie w ogóle się do mnie nie odzywa. Nie zrobiła mi awantury, nic z tych rzeczy, nadal myśli, że o niczym nie wiem. Rano tablet zastałem w tym samym miejscu, w którym go odłożyłem. Gdyby była bardziej skrupulatna w swoich śledztwach, zobaczyłaby, że na każdej ze stron spędziłem po kilka sekund, tylko tyle, aby załadowały się zdjęcia. Żaden facet w takim krótkim czasie nie byłby w stanie się podniecić, ale dla niej liczy się fakt, że potajemnie oglądam pornosy. Jest naprawdę wściekła. Myślę, że na wiadomość o wyjeździe z kolegami odegra prawdziwe przedstawienie.

Anita

Mój mąż okazał się większą świnia, niż sądziłam. Prawdziwy gnojek, egoista do kwadratu. Oznajmił mi, że wyjeżdża z kolegami. Akurat w te dni, kiedy jestem płodna, akurat wtedy. Powiedziałam mu o tym, a on jakby nigdy nic oświadczył, że spróbujemy za miesiąc. Co za idiota, a jeśli to jest ten miesiąc, kiedy ma się udać, jeśli teraz ma być ten szczęśliwy raz, a my go ominiemy? Dlaczego on tego nie rozumie? Po tym wszystkim, co przeszłam, po tych wszystkich nieudanych próbach, gdy zostaje nam jeszcze tylko *in vitro*, on nie chce próbować? Założyłam sobie, że jeśli nie uda się do końca roku, zdecyduję się na sztuczne zapłodnienie. Nie zostało mi zbyt wiele czasu. Kilka miesięcy temu skończyłam trzydzieści pięć lat, muszę się śpieszyć. A ten palant tego nie pojmuje. Spróbujemy za miesiąc, jakby chodziło o jakąś bzdurę, a nie o nasze dziecko. Oczywiście on nie chce słyszeć o żadnym *in vitro*. Powiedział, że więcej nie odda swojej spermy, po prostu tego nie robi i już. Za dużo go to kosztowało, za bardzo upokorzyło, ble-ble-ble. Rzeczywiście, wielka sprawa, oddanie nasienia, jakby było o co robić tyle hałasu. Nieczuły egocentryk, zawsze skupiony na sobie. Nawet się nie domyśla, jak ciężko jest mi każdego miesiąca zrobić zwykły test ciążowy. Jak bardzo ścisza mnie w brzuchu, gdy zdieram zewnętrzną folię, ze strachu nie mogę się wysikać, trzęsą mi się ręce, gdy czekam, aż pasek lakmusowy przybierze odpowiednią barwę. Jednak nigdy nie przybiera. Nienawidzę Adama za ten jego wieczny luz i uciekanie od problemów.

Pokłóciliśmy się, miał już wszystko gotowe, zarzucił torbę na ramię i pojechał na ten samczy wypad. Zostałam sama. Zupełnie sama. Nawet Pozytywka mnie unika. Godzinami leży

zwinięta w rogalik na jego swetrze, który jak zwykle rzucił niedbale na fotel. Próbowałam ją przytulić, pachniała nim, ale spojrzała tylko na mnie, wyprężyła się i odeszła. Teraz będzie się gniewać aż do dnia jego powrotu. Trudno, nie mam zamiaru się jej narzucać.

Na szczęście ten stuknięty artysta też wyjechał, widziałam, jak rano pakował jakąś dziunię do samochodu. Przynajmniej będzie cicho. Ostatnio podrzuciłam kilka kocich kup na jego wycieraczkę, może to da mu do myślenia. Nie tylko ludzie, ale i zwierzęta go nie trawią. A zwierzęta kierują się instynktem, wiedzą, kto jest dobry, a kto zły. Ja bym na jego miejscu zaczęła się martwić.

Kiedy Adam z hukiem trzasnął drzwiami, przez chwilę chciałam go śledzić. Może ten wyjazd z kolegami to zwykła ściema, a on ma kogoś na boku? Chociaż nie, to niemożliwe. Jest za cienki na ukrywanie przede mną czegokolwiek, a co dopiero zdrady. Wyjrzałam przez okno. Na dole czekał na niego ten obleśny grubas z pracy. Jestem pewna, że chłają teraz piwo i bekają popcornem. Klasa menedżerska, doprawdy, mężczyźni na wysokim poziomie i rozrywka w stylu *Kac Vegas*.

Marta

Obserwuję go od kilku tygodni. Dokładnie znam jego plan dnia. Czekam tylko na odpowiednią okazję. Jest przystojny i elegancki. Może to nie mój ideał, ale właściwie nigdy nie stworzyłam sobie takiego, naiwnie wierząc, że liczy się coś więcej niż waga, wzrost i poszczególne proporcje. Jak się zresztą okazało, zarówno uroda, jak i cudowny charakter bywają zgubne. Mój obiekt zainteresowania, choć atrakcyjny fizycznie, wydaje się raczej nudny. Wychodzi z domu około ósmej rano, nie jedzie jednak do pracy, tylko na kawę do McDonalda. Nie żywi się fastfoodowym jedzeniem, to jeden z tych, którzy dbają nie tylko o ubiór, ale też o figurę. Pije cappuccino i wertuje gazetę. Zawsze przed dziesiątą pojawia się w firmie, w jednym z tych szklanych biurowców przy Zakopiańskiej. Nie zdążyłam jeszcze ustalić, czym dokładnie się tam zajmuje. Zazwyczaj po osiemnastej wychodzi i jedzie do domu albo na zakupy do supermarketu. Czasem ma jakieś spotkanie w ciągu dnia. Śledziłam go i widziałam, że umawia się z innymi garniturami. Prowadzi strasznie monotonne życie, praca, dom, zero rozrywek, ani siłownia, ani basen, ani squash, zupełnie nic. Jeśli ma w planach zachowanie atrakcyjnego wyglądu na dłużej, będzie musiał zmienić coś w tej kwestii. Z wiekiem nie wystarczy tylko ściśle przestrzeganie diety, ważny jest też ruch, ale już ja o to zadbam. Jestem pewna, że pojawienie się mojej osoby w jego bezbarwnym życiu doda mu odpowiedniego kolorytu.

Zdażyłam już przygotować wszystko, co trzeba. Dom jest prawie wykończony. W środku właściwie została do urzędzenia tylko góra, dwie czy trzy wizyty w Ikei i będzie po sprawie. Prace remontowe wyszły na zewnątrz. W przyszłym tygodniu

od parteru aż do wysokości pierwszego piętra będą kłaść afze-
lię, ekskluzywną deskę z tropikalnej Afryki, a potem pokryją
ją lazurą, dla lepszej konserwacji i ochrony przed promie-
niami UV. Nie wiem, ile zajmie im to czasu, ale odkąd pracują
poza domem, nie ma to już dla mnie takiego znaczenia.

Część rzeczy już przeniosłam, nie mogę przecież w nieskoń-
czoność przechowywać swoich mebli i ubrań w drewnianej
ruderze po rodzicach. Urządzenie domu uspokaja mnie, zaj-
muje moje myśli, koi. Buduję więc mój nowy świat, w którym
chcę być szczęśliwa i spełniona. Być może kiedyś znów
wszystko wróci do normy, zapomnę o tamtym fatalnym dniu,
który zrujnował mi życie. Z jednej strony ten dom daje mi na-
dzieję, jest gwarancją lepszego jutra. Z drugiej, dostałam pro-
pozycję wyjazdu za granicę, na dwa lata, do Anglii. Finansowo
wygląda to rewelacyjnie, mogłabym też rozwijać się zawo-
dowo, ale nie wiem, czy jestem na to gotowa. Muszę to prze-
myśleć. Tak długo czekałam na własny dom. A poza tym na
pewno nie wyjadę, dopóki nie zobaczę tej spektakularnej ka-
tastrofy, którą planowałam przez kilka ostatnich miesięcy, po-
święcając jej każdą wolną chwilę.

I pływając się w wizjach słodkiej wendety.

Eryk

Wyrobiłem się przed czasem. Dwa dni temu spotkałem się z Mileną, tą dziewczyną od zleceniodawcy, i pokazałem jej zdjęcia gotowych zamówień. Wczoraj przyjechał samochód po odbiór towaru. Facet, który z nią przyszedł, nie powiedział ani słowa. Na barczyste ramiona załadował rzeźbę, wcisnął obraz pod pachę i już go nie było. Natomiast ona oznajmiła, że niebawem się odezwie, bo ma dla mnie coś nowego. Czekala z tą informacją do czasu, aż tragarz znalazł się na schodach. Żegnając się, wyciągnęła ku mnie dłoń, a kiedy ją uścisnąłem, poczułem, że coś mi zostawiła. Gdy wyszła, otworzyłem liścik. „Bądź jutro przed południem w domu, przyjdę”. Chciałem wybiec za nią i zapytać, o co chodzi, ale wyjrzawszy przez okno, zauważyłem, że wskakuje już na siedzenie pasażera w białym busie zaparkowanym skośnie przy chodniku, a facet w dresie odpala silnik. Mam nadzieję, że nie chcą wykiwać mnie z resztą zapłaty.

Milenę poznałem przez Marka, kolegę z roku, a właściwie to ona mnie znalazła. Zadzwoniła pewnego grudniowego popołudnia i powiedziała, że nasz wspólny znajomy dał jej mój numer telefonu wraz z informacją, że wykonuję prace pod zamówienia, a ona właśnie kogoś takiego potrzebuje. Pierwszy raz spotkaliśmy się w styczniu. Sucha wymiana informacji, cena i rodzaj zamówienia. Zawsze przyjeżdża z tym niemową, naprawdę nie słyszałem z jego ust ani jednego słowa. Wchodząc do pracowni, kiwa głową na dzień dobry, schyla się po rzeźbę i wychodzi. Jednak gdyby był głuchoniemy, umówiłaby się ze mną w jego obecności, a nie posuwała do takich tajniackich, pisemnych przekazów. Chyba że podejrzewa, że niemy umie czytać z ruchu warg. Mniejsza z tym.

W zeszły piątek przyszła do mnie z wypłatą za to przedostatnie zamówienie. Zawsze dostaję gotówkę, żadnych przelewów na konto. Interes nie jest do końca uczciwy, ale najważniejsze, że dobrze płacą. Wpadła bez uprzedzenia. Właśnie wychodziłem coś zjeść na miasto, gdy spotkałem ją na schodach. Zaproponowałem jej, żeby pojechała ze mną, a ona się zgodziła. Ma w sobie coś urzekającego, spodobała mi się.

Mój związek z fińską modelką Tanią, zakończony już ponad rok temu, zostawił we mnie pustkę, która coraz bardziej mi doskwiera. Tania zdradziła mnie ze swoim fotografem. Przez długi czas niczego nie podejrzewałem, mimo że spędzali ze sobą prawie każdy weekend. Tłumaczyła, że tak właśnie wygląda jej praca. A ja wierzyłem, uważając, że za jego nienaganym ubiorem i regularnymi zabiegami u kosmetyczki kryje się gejowska natura, a nie powszechnie standardy męskiej części świata mody. Nie nakryłem ich, nie przyłapałem na gorącym uczynku, nic z tych rzeczy, po prostu pewnego dnia powiedziała mi wprost, że to koniec, że ma kogoś i wyjeżdża z nim na kilka miesięcy do Brazylii. Wiadomość, że to Vincent, powaliła mnie na kolana.

– Przecież on jest gejem!

– Och, Eryku, jak ty mało wiesz o życiu. – Zaciągnęła się papierosem. – Ale chyba nadal możemy się przyjaźnić?

Myślałem, że to niemożliwe, wyrzuciłem ją za drzwi, ale gdy po dwóch miesiącach przysłała mi kartkę w postaci zdjęcia, na którym leży naga na wygiętym pniu palmy kokosowej, wystawiając skórę na promienie słońca, zapomniałem o wszystkim. Wpada do mnie za każdym razem, gdy jest w pobliżu, i za każdym razem zdarza nam się przyjacielski seks. Mimo wszystko raźniej jest kroczyć we dwoje przez las ściętych ideałów.

Jej związek z Vincentem nie trwał długo, ale jak się ostatnio wyraziła, coś klaruje się pomiędzy nią a menedżerem jednego z paryskich domów mody. Gdy na święta przysłała mi kartkę z błyszczącymi literami ułożonymi w słowa „Joyeux Noël” na awersie, wiedziałem, że ostatecznie to coś się wyklarowało. Naprawdę udało nam się zaprzyjaźnić. Chyba nigdy jej nie kochałem, w przeciwnym razie nie byłoby to przecież możliwe. Kręciły mnie jej długie nogi i szalona natura, jednak przejawiała zupełny brak zrozumienia dla sztuki. Nie chciała chodzić na wystawy, popołudnia w muzeum uważała za rozrywkę dla zgredzików. Milena wydaje się w tej kwestii inna.

Zatrzymaliśmy się w barze sałatkowym przy wylotówce z miasta, bo na popołudnie byłem umówiony z ludźmi z tartaku po odbiór drewna. Nawet chciałem ją ze sobą zabrać, ale powiedziała, że musi wracać do domu. Poprosiła, żebym wysadził ją przy najbliższej pętli tramwajowej.

A teraz czekam na nią, zgodnie z jej życzeniem w liście. Gdy zegar wskazuje jedenastą trzydzieści i słyszę ciche pukanie, wiem, że to ona. Mam nadzieję, że nie ma dla mnie złych wieści.

- Cześć – mówi, gdy otwieram drzwi.
- Cześć. Wejź – zapraszam ją do środka.
- Na początek to. – Wręcza mi kopertę, gdy zdejmuję rękę z metalowej zasuwki. – Przelicz.

Nie chcę udawać, że jej ufam, zaglądam do środka i sprawdzam, czy się zgadza. Wszystko według umowy.

- Napijesz się czegoś? – pytam, chowając zapłatę do tylnej kieszeni spodni.
- Masz coś mocniejszego?

Dochodzi południe, a ona chce się napić. Specjalnie mnie to nie dziwi, sam często piję, gdy tworzę.

– Jasne.

Pośpiesznie zbieram rozrzucone gazety, brudne pędzle i resztki jedzenia ze stołu kuchennego. Wyjmuję z szafki dwa kieliszki.

– Byli zadowoleni zarówno z obrazu, jak i rzeźby – oznajmia, wskakując na przestronny parapet. Podkula nogi i plecami opiera się o szybę.

– To świetnie. – Kucam, z szafki wyjmuję wiśniówkę.

– Nie – protestuje. – Nalewek nie lubię. Masz whisky?

– Z colą?

– Niech będzie. – Nie odrywa ode mnie wzroku.

Twarz ma lekko zarumienioną, jakby cały ranek wystawiała policzki ku słońcu. W miejsce kieliszków stawiam szklaneczki.

– Teraz mają nową propozycję. – Przyłapuję ją na tym, że lekko zagryza dolną wargę.

A może to nie słońce, tylko jest zawstydzona?

– Tak? – Przyglądam się licznym piegom, którymi usiany jest jej nos.

– Jeśli się nie zgodzisz, to zapominasz o całej sprawie, jasne? – upewnia się.

– Jasne – odpowiadam, wręczając jej whisky.

Upija łyk, znów zagryza usta i spogląda mi w oczy. Jej są zielone, cętkowane na brzegach.

– Chodzi o Rubensa.

– Akty?

– Nie. *Męczeństwo Świętego Tomasza* i *Święty Augustyn*. Wierne kopie, idealnie wierne kopie. – Jednym haustem opróżnia szklaneczkę do dna.

Anita

Wczoraj flirtowałam z tym chłopakiem z góry, który wtedy pomógł mi znaleźć Pozytywkę. Przed południem zeszałam do sklepu kupić lody. Dziś było naprawdę gorąco, poza tym nie miałam ochoty już dłużej klikać w klawiaturę. Zawsze uważałam, że mam wygodną, wymarzoną pracę, ale teraz zaczynam w to wątpić.

Od pięciu lat zajmuję się pozycjonowaniem stron kilku małych i średnich firm. Słowa kluczowe, stawka, okres wyświetlania i inne nudne parametry, klik, klik i gotowe. Następna. Nie zajmuje mi to zbyt wiele czasu, mam łatwość w doborze tych wszystkich wytycznych i jak do tej pory nikt ze mnie nie zrezygnował. Co prawda nie przybywa mi też nowych klientów, ale nie dbam o to, dawno straciłam do tego zapał. Zupełnie zrezygnowałam z marketingu, który kiedyś miałam opracowany do perfekcji i dzięki któremu skutecznie zastawiłam sidła na tych kilka firemek bezwładnie dryfujących po morzu internetu, wiernych mi do dziś. Pomogłam im zdobyć wysoką pozycję w wirtualnym świecie konkurencji i dzięki mnie nadal dobrze prosperują.

Wiem, że mogłabym robić więcej i dla nich, i dla siebie i zapewne robiłabym, gdyby tak często nie siadał mi nastrój. Może gdybym miała taką pracę jak Adam, mogłabym rano wystroić się przed lustrem i wyjść z domu, byłoby inaczej. Czasem zazdroszczę mu tego, że może zostawić cały ten syf i pójść do eleganckich przestrzeni biurowca, w których wypolerowana podłoga bije blaskiem po oczach, sprawiając wrażenie, że bez wahania można z niej jeść. Talerze w naszym domu nie są tak starannie umyte jak posadzka w jego firmie. Nie robię jednak nic, aby cokolwiek zmienić w moim życiu.

Nie szukam innej pracy, nie szukam nowych klientów, nie mam na to siły.

Najczęściej siedzę do południa w szlafroku, klik, klik, łyk kawy, garść rodzynek, i dorzucam do zlewu kolejne brudne talerze i szklanki. Nie piję alkoholu, nigdy, na wszelki wypadek, gdybym jednak była w ciąży. Nie mogę pozwolić sobie na taką głupotę, to nie w moim stylu. Koło południa łykam tabletki, kwas foliowy i witaminy dla kobiet w ciąży, może kiedyś oszukam tym mój organizm? Biorę też tabletki na uspokojenie, które przepisała mi moja ginekolog. Twierdzi, że wszystko siedzi w mojej głowie i jeśli chcę przyspieszyć spełnienie moich marzeń, to muszę popracować nad samopoczuciem. Potem idę pod prysznic, ważę się i balsamuję tymi wszystkimi preparatami, które mają mi na długo zapewnić młody i ładny wygląd.

Ostatnio bez opamiętania oddaję się mojej nowej pasji. Właściwie nie jest taka nowa, bo delektuję się nią od kilku miesięcy. Mianowicie podglądam ludzi. Oczywiście nie tak prymitywnie, jak mogłoby to zabrzmieć, przez lornetkę czy lunetę wycelowaną w okna mieszkania z naprzeciwka. To byłoby zbyt banalne. Ja mam większą fantazję, robię to przez kamery internetowe. Klik, klik i jestem w Tokio, na ruchliwej ulicy piesi poruszają się w jedną i drugą stronę, trochę jak nakręcone roboty. Klik, klik, Times Square, Piąta Aleja, te ich niezwykle żółte taksówki, cztery pasy i gigantyczne reklamy. Klik, klik, Moskwa, klik, klik, Amsterdam, klik, klik, Sydney. Gdzie to ja już nie byłam... Najbardziej jednak lubię przejażdżki tramwajem po Pradze.

To zadziwiające, jak już dobrze znam to miasto, choć nigdy go nie odwiedziłam. Tramwaj, którym jeżdżę, to jakiś specjalny egzemplarz, podobno jedyny na świecie. Ma za zadanie nakładać na tory specjalny smar i w ten sposób chronić szyny

i koła przed eksploatacją, a także minimalizować dźwięk wydawany przez wagoniki. Zabytkowy model Tatra T3 o numerze 5572, codziennie jestem jego pasażerką. Na końcu wagonu zamontowana jest kamera HD, idealny obraz i streaming. Wpadłam w nałóg. Jeżdżę nim każdego dnia, czasami kilka razy dziennie. Dokładnie wiem, gdzie otworzyli nowy sklep czy kawiarnię, jak posuwają się roboty drogowe, zmiana koloru elewacji budynku przy skręcie w ulicę Francuską, i co aktualnie słychać u moich znajomych. Mam kilku ulubieńców. Zazwyczaj jeżdżą o tych samych porach, a poznałam ich, gdy czekali na swoje tramwaje. Mój wagonik nie zatrzymuje się na żadnym przystanku, ale staje na światłach, wtedy im się przyglądam.

Jest taka jedna ruda dziewczyna, zawsze świetnie ubrana, naprawdę wyrafinowany gust. Zgrabna i w jakimś sensie podobna do mnie. Ostatnio zmieniła chłopaka. Od tygodnia widuję ją z wysokim blondynem, typ artysty, rozwiane włosy, niedbale zawiązany szal i przewieszona przez ramię torba na portfolio. Wygląda na prawdziwego twórcę, nie to co ten kretyń z dołu. Wcześniej spotykała się z dziwnym typkiem, wyżywionym atletą, który zawieszał się na niej i ciągle jej dotykał. Miałam go dość, denerwował mnie, dobrze, że się go pozbyła. Ten nowy jest naprawdę interesujący, taki dziwnie nieobecny, zamyślony, pasowałby do mnie.

To naprawdę podniecające uczucie móc ich tak obserwować – oni nie wiedzą o moim istnieniu, a ja tak świetnie ich znam. Jedna dziewczyna, którą codziennie widuję w okolicy Pankrącu, ostatnio obcięła i przefarbowała włosy. Może myślała, że jej nie poznam, ale kurtka ją zdradziła i te jej szerokie biodra. Poznałabym ją wszędzie. Nawet gdyby nagle weszła do sklepu na rogu mojej ulicy ogolona na łyso, wiedziałabym, że to ona. Przede mną nie da się ukryć, wiem o nich więcej, niż mogliby przypuszczać.

Tak więc każdego ranka zaglądam do Pragi. Codzienna dawka działki online. Nic ciekawego się nie dzieje, tramwaj jeździ po mieście. Czasem mam ochotę, żeby coś się wydarzyło, żeby stała się świadkiem czegoś niezwykłego, ekscytującego, może nawet przerażającego, czegoś, co wprowadziłoby do mojego życia trochę emocji, wzbudziło potrzebę natychmiastowej reakcji. Zawiadomiłabym policję czy pogotowie, niewidziana przez nikogo, a jednak naoczny świadek.

Wczoraj od rana nie mogłam się doczekać momentu, kiedy Zo, tak nazwałam nowego chłopaka Rudej, pokaże się w świetle kamery. Widuję ich zawsze w okolicach południa na przystanku Malostranská. Z tego, co zdążyłam się zorientować, czekają na tramwaj numer dwadzieścia dwa jadący w kierunku Nádražích Strašnic.

Zerknęłam na zegarek, była jedenasta piętnaście, miałam więc jeszcze czterdzieści minut do spotkania, do momentu, kiedy mój wagonik wtoczy się na pełen ludzi przystanek przy ulicy Klárov. Postanowiłam zejść po lody. Wracając, natknęłam się na tego gościa z góry.

– I jak, znalazła pani kota? – zaczepił mnie, przytrzymując drzwi wejściowe.

– Tak. – Uśmiechnęłam się. – Dziękuję.

– Które piętro? – zapytał, gdy drzwi windy zamknęły się za nami.

– Drugie – odpowiedziałam.

– Często tak pani ucieka?

– Ja? – Popatrzyłam na niego zdziwiona.

– No, nie pani. – Zaśmiał się. – Kot.

– A, tak. – Spuściłam wzrok. – To znaczy nie. – Znów spojrzałam na niego. – To był pierwszy raz. – Odrzuciłam głowę do tyłu.

Potem wypytywał o mnie, ale i tak nic mu nie powiedziałam. Opierał się o drzwi windy, gdy z niej wysiadłam, nie pozwalając jej jechać w górę, a mi zniknąć w mieszkaniu. Podrywał mnie, nie jakoś tak natrętnie lub dyskretnie, tylko wprost. Zapytał, czy nie wpadłabym do niego, tak po prostu pogadać i zacieśnić znajomość. Użył właśnie tych słów. Chyba nie wie, że mam męża, a ja go o tym nie poinformowałam. Grzecznie podziękowałam, odmówiłabym, nawet gdybym była singielką. Nigdy nie godziłam się tak od razu pójść z facetem na kawę, nawet jeśli był przystojny tak jak ten gość. Mam swoje zasady, a poza tym wiem, że oni tego nie lubią. Muszą się postarać, tak, mężczyźni uwielbiają polowania, zarówno na zwierzynę, jak i na kobiety, po prostu mają naturę zdobywców. Nie mam zamiaru zmieniać tych odwiecznych prawidłości rządzących światem.

– Nie przedstawiłem się – powiedział, gdy już trzymałam rękę na klamce do mieszkania. – Robert.

– Anita.

Podszedł do mnie i podaliśmy sobie dłonie. Uwolniona od jego obecności winda oddaliła się ku górze, zostawiając uroczego młodzieniaszka u progu moich drzwi. Czułam, że chce się do mnie wprosić. Nie miałam zamiaru na to pozwolić. Był naprawdę miły. Kiedy się uśmiechał, w jego policzkach pokazywały się dołeczki, doprawdy czarujące, takie chłopięce. Jednak nie jestem nastolatką, aby ulegać nawet tak ujmującym widokom. Zerkał na mnie wymownie, przeczesując ręką włosy i nie pozostawiając wątpliwości, że wpadłam mu w oko. Bawiła mnie ta cała sytuacja. Lubię widzieć fascynację w męskich oczach. O wiele bardziej podobało mi się to spojrzenie niż zniesmaczenie, które wyczytałam w jego wzroku podczas naszego pierwszego spotkania. Dawno jednak z nikim nie flirtowałam i zapomniałam, jak to się robi, a poza tym nie mia-

łam na to ochoty. Naprawdę nie czułam potrzeby wdzięczenia się przed nim. Zrobił krok w moim kierunku, znów zaczesując włosy do tyłu, to chyba jakiś jego tik nerwowy czy coś w tym rodzaju. I wtedy zauważyłam, że zegarek na jego nadgarstku wskazuje jedenastą pięćdziesiąt pięć. Zo, pomyślałam. Spławiłam uroczego przystojniaczka, zamykając mu drzwi przed nosem. Komputer stał odpalony na szklanym stole. Dopadłam do monitora, szlag, tramwaj właśnie skręcił w prawo, w ulicę Letenską, Zo został za rogiem. Nie zdążyłam. Nie zareagowałam na ciche pukanie dobiegające z drugiej strony drzwi. Lepiej, żeby natarczywy sąsiad nie znalazł się teraz w moim towarzystwie.

Marta

Otwieram czarne pudełko. Wykładam znajdujące się w nim papiery na biurko. Przeglądam kartka po kartce, studiuje każdą datę, najmniejszą uwagę zapisaną ołówkiem na marginesie. Muszę być na bieżąco, nie mogę się pomylić ani o niczym zapomnieć. Cieszę się, że nie dopatrzyłam się żadnego błędu, jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Składam kartki razem, dla wyrównania postukuję plikiem o blat biurka, i chowam je do środka. Zamykam wieko pudełka i odstawiam je na swoje miejsce.

Zdejmuję drugie, niebieskie w białą kratkę, ręce mi drżą, wiem, że niepotrzebnie to robię, ale nie potrafię się powstrzymać. To moje pudełeczko wspomnień, pozostałości po tamtej mnie i moim nabierającym rozpędu życiu. Wyjmuję pierwsze zdjęcie, przyglądam mu się, miałam wtedy dłuższe włosy i byłam szczuplejsza. Potem kolejne i jeszcze jedno. Na dnie leży koperta, wiem, co w niej jest, gładzę ją dłonią, ale nie otwieram. Jeśli znów zobaczę jej zawartość, oszaleję z rozpacz. Muszę się powstrzymać, zając czymś myśli, trzymać się planu. Chowam twarz w dłoniach i liczę do dziesięciu. Nic się nie zmieniło, ale mam dość siły, aby wstać i odłożyć pudełko na półkę. Jeszcze się chwilę waham, zamykam wieko, żeby po kilku sekundach znów je otworzyć. Chwytam kopertę, przykładam ją do serca, ale idąc za głosem rozsądku, rezygnuję z otwarcia i ostrożnie odkładam ją na miejsce. Potem schodzę na dół, cicho stawiając kroki na drewnianych stopniach schodów, jakbym się bała, że kogoś obudzę. A przecież nikogo oprócz mnie tutaj nie ma i drzemiące we mnie demony już dawno nie śpią. Rozpalam w kominku, kładę się na sofie

i wpatruję w ogień. Jestem pewna, że gdy zrealizuję swój plan, poczuję ulgę.

Adam

Przebaczyła mi ten wyjazd. Wiedziałem, że tak będzie, takie mam już szczęście, że kobiety nie potrafią się na mnie gniewać. Poza tym ona musi się ze mną pogodzić do czasu, gdy nadejdą „te dni”, wtedy nie możemy być przecież pokłóceni. Zważywszy, że ostatnio nie kopulowaliśmy, myślę, że teraz jej tajemniczy kalendarzyk podniesie prawdziwe larum.

Łowiąc ryby na pochyłym, dziurawym pomoście, miałem czas pomyśleć o naszym małżeństwie. Tak jak przypuszczałem, pokłóciliśmy się. Wściekła się na wiadomość o wyjeździe, że akurat w dni płodne, jakby to mogło mieć jakieś znaczenie dla bezpłodnej dziewczyny. Coraz częściej zastanawiam się, czy to ma sens, to nasze bycie razem. Zaczynam się wahać, czy w ogóle chcę mieć z nią dziecko. Wiele razy proponowałem, żeby odpuściła. Przecież nie wszyscy muszą być rodzicami, na litość boską, dlaczego ona tego nie rozumie. Moglibyśmy wieść udane życie, podróżować, uprawiać sporty ekstremalne, robić to wszystko, na co nie mogą sobie pozwolić ludzie, którzy są za kogoś odpowiedzialni. Jednak ona już za nas zdecydowała, woli się katować, uważać nad sobą, niż żyć. Moja żona zniszczyła naszą miłość. Miłość, która miała być wieczna. Taka, jaka zdarza się raz na milion przypadków, ta prawdziwa, wyśniona, wymarzona, po prostu idealna. Taką przynajmniej zawsze mi się wydawała. Dobrze powiedziane, wydawała.

Poznaliśmy się na lotnisku w Paryżu. Czekałem właśnie w kawiarni na swoją kawę i bezmyślnie gapiłem się na ludzi, kiedy ją zobaczyłem. Wyszła z jednego ze sklepów wolnoctwowych, obciążona papierowymi torebkami. Momentalnie pomyślałem o seksie z nią. Wyobraziłem sobie jej nagie ciało,

zmysłowe pozy, tak, chciałem, aby była moja. Jej blond kucyk podskakiwał wesoło na boki, gdy szła, kołysząc biodrami. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Usiadła nieopodal, zamówiła kawę i ciastko, wyjęła telefon i zaczęła klikać. Nagle obok niej pojawił się jakiś gość, widocznie nie tylko na mnie zrobiła piorunujące wrażenie. Zaczął coś zagadywać, uśmiechać się. Obserwowałem jej twarz, nie była zadowolona, więc postanowiłem wybawić ją z kłopotu. Wstałem i szedłem w stronę jej stolika, gdy usłyszałem jego głos:

– Niech pani uważa na swoje rzeczy. – Wskazał ręką na rozrzucone wokół krzesła torby zakupowe. – Bo ktoś pani coś ukradnie albo nawet samą panią. – Zaśmiał się, jakby powiedział naprawdę świetny dowcip.

– To niemożliwe – odezwałem się. – Ta pani jest ze mną, a ja nie spuszczam jej z oczu.

Podniosła głowę znad telefonu i zerknęła na mnie. Spodobałem się jej, widziałem to w jej spojrzeniu. Usiadłem na sąsiednim krześle, stawiając swoją filiżankę tuż obok jej talerzyka z ciastkiem, i popatrzyłem sugestywnie na podrywacza. Chyba zrozumiał przekaz, bo odwrócił się i odszedł, a my zaczęliśmy rozmawiać. Los okazał się dla nas łaskawy, czekaliśmy na ten sam lot do Krakowa. Oboje byliśmy w podróżach służbowych, ja wracałem z Rotterdamu, z konferencji poświęconej nowym drogom transportu między Europą a Dalekim Wschodem, ona – z targów w Paryżu.

Nie była jedną z tych niedojrzałych kobiet, które nigdy nie wiedzą, czego chcą, doskonale zdawała sobie sprawę ze swoich potrzeb i oczekiwań. Życie z nią okazało się pełne wyzwań i pozytywnych zaskoczeń. Nigdy się nie nudziłem, czasem tylko miałem wrażenie, że nie nadążam za tokiem jej myślenia. Teraz wiem, że chyba nigdy jej nie dogonię, zawsze w swoich planach i pragnieniach będzie przede mną. To dla-

tego przestaliśmy się dogadywać w momencie, kiedy nie mogłem już dotrzymać jej kroku.

To, co wcześniej mnie w niej zachwycało, z czasem zaczęło denerwować. U niej nic nie mogło być proste. Nieprzerwanie dążyła do osiągnięcia wytyczonego celu. A jeśli, jak w przypadku dziecka, było to niemożliwe, życie z nią stawało się koszmarem. Czasem tęsknię za tymi wszystkimi dziewczynami, którym wystarczało wyjście do kina, obiad na mieście i poświęcenie minimum uwagi. To, co innym sprawiało tyle radości, na Anicie nie robiło żadnego wrażenia.

Tak więc oddalamy się od siebie, z każdym dniem coraz bardziej i bardziej. Wiem, że to ona jest wszystkiemu winna, temu, jak sama się czuje, jak ja się czuję i jak teraz wygląda nasze małżeństwo. Zbyt dużo czasu spędza we własnej głowie, a to się nigdy dobrze nie kończy.

Anita

Niepotrzebnie tam poszłam. Co mnie podkusiło? Tak dawno już jednak nigdzie nie wychodziłam, od tego ciągłego siedzenia w domu można zwariować. Myślałam, że Adam pójdzie ze mną, już mu wybaczyłam tę wyjazdową niesubordynację. Jest tylko mężczyzną, to nie jego wina, że tak daleko mu do doskonałości. Zbyt często o tym zapominam. Zaproponowałam, abyśmy poszli na spacer, choć wiedziałam, że skończymy w galerii. Gdybym od razu powiedziała o zakupach, nigdy by się nie zgodził, musiałam go podejść, ale i tak na nic się to nie zdało. Powiedział, że ma pracę. W niedzielę przed południem?, zapytałam. Odparł, że to pilne. Naprawdę mu współczuję. Poszłam więc sama, no i stało się. Znowu mnie to dopadło.

Szłam właśnie z Sephory do Empiku, gdy zobaczyłam samotnie stojący dziecięcy wózek. Serce waliło mi jak oszalałe. Korytarz był pusty. Podeszłam do wózka i zajrzałam do środka, spało w nim niemowlę, malutkie, nie znam się na tym, ale wydawało mi się, że kilkudniowe. W białym kaftaniku i czapeczce na główce, było śliczne. Patrzyłam i nie mogłam oderwać oczu, nawet nie zauważyłam, kiedy nagle zjawiła się w pobliżu jego matka. Młoda dziewczyna, przeciętna, można nawet powiedzieć, że dość zaniedbana, tłuste włosy, pomięta bluzka.

– Płakało? – zapytała zmartwiona.

– Nie, nie – zaprzeczyłam. – Śpi spokojnie.

– To dobrze – ucieszyła się, ale mimo wszystko kilka razy zakłósała wózkiem. – Musiałam wyjść z nią do sklepu, potrzebowałam laktatora – zaczęła się tłumaczyć. – Nie miałam jej

z kim zostawić, bo jej ojciec... – Spojrzała na mnie wymownie. – Nieważne, po prostu musiałam ją tu zabrać ze sobą.

– Rozumiem – odparłam. – Jeśli chce pani jeszcze coś kupić, mogę tu zostać i jej popilnować – zaproponowałam. – Zrobiłam już zakupy i nie śpieszy mi się. – Te długie wyjaśnienia były do mnie zupełnie niepodobne.

– Naprawdę? – Dziewczyna nie kryła wdzięczności. – To ja tak szybko skoczę do spożywczego i za chwilę będę.

– Proszę się nie śpieszyć.

Rzuciła mi uśmiech przez ramię i już jej nie było. Usiadłam na ławce i nie odrywałam wzroku od rumianej buzi dziecka. Chciałam, żeby było moje. Kupiłabym mu nowy kocyk, bo ten o kolorze zgniłej sałaty był obrzydliwy, i nowy wózek, bo obecny już dawno miał za sobą okres swojej świetności. Bobas zacisnął oczy i poruszał noskiem. Niemowlęcy, niekontrolowany grymas, słodki, najśłodszy na świecie. Pochyliłam się nad gondolką i dotknęłam malutkich, różowych rączek. Skóra była niezwykle ciepła i delikatna. A potem oczy się otworzyły. Przestraszyłam się, że zacznie płakać. Naśladowując zachowanie matki, zaczęłam kołysać wózkiem. Dziecko patrzyło na mnie swoimi granatowymi, wielkimi ślepiami. Serce biło mi jak oszalałe. Któryś z przechodniów zerknął na nas i się uśmiechnął. Myślał, że to moje dziecko, jestem pewna. Odpowiedziałam mu miłym uśmiechem, a potem nachyliłam się i wzięłam zawiniątko na ręce. Nie płakało, tylko wpatrywało się we mnie swoim hipnotyzującym wzrokiem. Najdelikatniej, jak tylko potrafiłam, pogłaskałam je po buzi. Dlaczego nie jest moje? Chcę mieć takie samo, chcę je mieć! Coś krzyczało w mojej głowie głośniej niż kiedykolwiek. Chcę je przytulać, karmić, ubierać, kochać, przecież poradziłabym sobie z tym świetnie, znacznie lepiej niż ta młoda, zaniedbana dziewczyna. To niesprawiedliwe, dlaczego nie mogę mieć tego, co ona dostała

bez żadnego wysiłku? Kołysałam delikatnie ramionami w prawo i lewo, oczy dziecka znów się zamknęły.

I wtedy pomyślałam, że byłabym je w stanie ukraść. Mentalnie zrozumiałam wszystkie te smutne historie kobiet, złodziejek dzieci, znienawidzonych przez media i resztę świata, a tak naprawdę chcących tylko przelać na kogoś niezależną od nich matczyną miłość. Może skoro nie mogę sama urodzić dziecka, to powinnam jakoś inaczej je zdobyć? Może jestem za mało kreatywna, aby spełnić swoje marzenia, stać mnie przecież na więcej. Poczułam dziwne podniecenie, przekładaniec strachu i ekscytacji, zupełnie jak przed zrobieniem w życiu czegoś po raz pierwszy. Rozejrzałam się dookoła, matka jeszcze nie wracała. Pomyślałam, że wyjdę z zawiniątkiem na rękach do garażu, położę je na tylnym siedzeniu samochodu i spokojnie stąd wyjadę. Ucieknę gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie. Pracę mogę wykonywać z każdego miejsca na ziemi, to nie problem. Ukryję się daleko, załatwię dla dziecka dokument tożsamości, to jest możliwe, wszystko jest możliwe, to zawsze tylko kwestia ceny. Mam pieniądze, dość sporo. Ostatnio prawie nie wychodzę z domu, mimo woli oszczędzam. Co miesiąc dostaję przelewy od moich kontrahentów i wydaję z tego jedynie dziesięć procent na drobne zakupy w sklepie spożywczym na dole. Wszystkie pozostałe rachunki płaci Adam, tak było od początku i tak zostało do dziś. Nie podpisywaliśmy intercyzy, więc jak coś kiedyś by się stało, to i tak wszystko będzie dzielone na pół. Może to niezbyt sprawiedliwe rozwiązanie, ale na pewno nie mam zamiaru tego zmieniać, skoro on nie protestuje. Kiedyś, gdy byliśmy owładnięci szaloną miłością, oczywiście wydawało się, że co twoje, to i moje, ale odkąd się tylko tolerujemy, kilka razy zastanawiałam się, czy nie zechce czegoś zmienić w tym nierównym podziale finansowych obowiązków. Jednak jak do tej pory nie

próbuję, a mnie zachowanie status quo jak najbardziej odpowiada.

Myśl, że mogłabym być czyjąś mamą, napełniła mnie uspokajającym uczuciem spełnienia. Jakby ten jeden fakt posiadania tego, czego nie można mieć, był w stanie naprawić wszystko inne. Przytuliłam zawiniątko mocniej do siebie i znów rozejrzałam się badawczo dookoła. Od drzwi wyjściowych na ulicę dzieliło mnie jakieś dwadzieścia metrów, trochę mniej od zjazdu ruchomymi schodami do garażu. Ludzi było niewiele, ale to i tak nie miało znaczenia. W rogu korytarza dostrzegłam kamerę. Znajdą mnie, tego jestem pewna. Takich ważnych spraw nie załatwia się na poczekaniu, przypadkowo, do takich akcji trzeba się solidnie przygotować. Perfekcjonizm, staranność i wytrwałość, tak, to na pewno moje mocne strony, muszę w końcu zrobić z nich użytek.

– Tak, maleństwo – zaczęłam gaworzyć słodko do dzieciątka. – Jeszcze się spotkamy, nie z tobą, to z innym słodkim bobaskiem. – Kręciłam głową, strojąc zabawne miny.

– Dziękuję, bardzo dziękuję! – Za plecami usłyszałam zaspapany głos matki dziecka.

W jednej ręce trzymała siatkę z zakupami, w drugiej paczkę pieluch.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Uśmiechnęłam się. – Mogę jeszcze jakoś pani pomóc? – zaoferowałam się.

– Nie, dziękuję. I tak zrobiła pani więcej niż inni. – Jej mina nie kryła osobistych problemów.

Ale nie wszystko, na co było mnie stać, dodałam w myślach, uśmiechnęłam się do niej i odeszłam.

Początkowo chciałam wrócić do domu, wsiadłam nawet do samochodu, ale nie mogłam tak po prostu odjechać. Wciąż czułam ciepło i ten słodki ciężar w moich ramionach. Ponownie ułożyłam ręce tak jak kilka minut wcześniej, brakowało

w nich tylko dziecka. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie tę maleńką twarzyczkę. Kiedy znów je otworzyłam, nie mogłam uwierzyć, że już jej nie ma. Wsiadłam z samochodu i wróciłam do galerii. Matki z dzieckiem nigdzie nie było. Usiadłam na ławce w tym samym miejscu co wcześniej i poczułam się tak, jakby ktoś mnie okradł. Z godności, z poczucia własnej wartości i z marzeń. Ogarnął mnie nagły niekontrolowany przyływ złości na Adama. Dlaczego nie może dać mi dziecka? Dlaczego miliony innych facetów pozwalają swoim żonom poczuć się spełnionymi kobietami, ciężarnymi, pokonującymi barierę bólu porodowego i w końcu karmiącymi matkami? Co, do diabła, jest z nim nie tak?

Nie oszukam samej siebie. Wiem, że z nim jest wszystko w porządku. Lekarze nie mieli do niego zastrzeżeń, mój mąż jest młodym mężczyzną w pełni sił witalnych i zdolności seksualnych, to we mnie coś szwankuje. Niby wszystko jest dobrze, ale z jakichś nieznanych powodów, mimo stałego leczenia, nie mogę zajść w ciążę. To ja jestem winna, ja, nie on.

Moja ginekolożka, która z czasem stała się powierniczką moich największych tajemnic, przekonuje mnie, że młodość jest po mojej stronie, że mam jeszcze czas na bycie matką. Z każdym dniem zostaje mi go jednak coraz mniej, a ja nie jestem idiotką, zdaję sobie sprawę, że lat mi nie ubywa. Z każdym kolejnym miesiącem maleją moje szanse na macierzyństwo. Poddaję się tym wszystkim badaniom, zabiegom i Bóg jeden wie na co jeszcze bym się zdecydowała, gdyby ktoś mi zagwarantował, że przybliży to moment spotkania z moim dzieckiem. Resztkami sił powstrzymywałam się, aby nie zacząć walić pięścią w ławkę. Patrzyłam pustym wzrokiem w wystawę sklepu, tego, w którym zniknęła matka dziecka, zostawiając przed wejściem wózek. Kolorowe ubranka na maleńkich manekinach przedstawiały postacie z kreskówek Disneya. Postanowiłam tam wejść. Wiedziałam, że nie znajdę

tam mojego maleństwa, ale chciałam przekroczyć próg tego niezwykłego świata dziecięcych potrzeb.

Początkowo czułam się nieswojo, przechadzając się między regałami z butelkami, smoczkami, nocnikami, wanienkami i jakimiś innymi dziwnymi akcesoriami, których nigdy wcześniej nie widziałam i nie miałam pojęcia, do czego służą. Potem stopniowo stawałam się coraz odważniejsza, przeglądałam wiszące na wieszakach ubranka, brałam do ręki miniaturowe skarpetki i czapeczki.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – zapytała młoda ekspedientka, która do mnie podeszła.

– Właściwie... – Chciałam ją splawić, gdy nagle pomyślałam, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebym przez chwilę poczuła się jedną z nich, spełnioną, szczęśliwą matką. – Właściwie tak, szukam ubranka – oświadczyłam.

– Dla chłopczyka czy dziewczynki? – zapytała entuzjastycznie, znikając w gąszczu wieszaków kręcących się jak karuzele w wesołym miasteczku.

– Obu! – krzyknęłam, krocząc za nią.

– Bliźniaki? – Odwróciła się uradowana. – Jak wspaniale!

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się dumnie.

– Jaki wiek? – dociekała ekspedientka, stając przed jednym z regałów, obładowanym cudownością barw i fasonów.

– Trzy miesiące – strzeliłam.

– Naprawdę? – Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Już myślałam, że może powiedziałam coś niestosownego, że mnie przejrzała i za chwilę wybuchnie gromkim śmiechem. Ona jednak powiedziała:

– Wygląda pani wspaniale. Naprawdę, nie do wiary. – Nie kryła zdumienia. – Po dwójce dzieci taka figura i nawet pani

piersi... – Spojrzała na mój dekolt. – Są, są... – zaczęła się jąkać – ...takie normalne.

Wiem, że chciała powiedzieć „małe”. Zdenerwowała mnie tą uwagą. Wystarczy, że Adam patrzy na nie podejrziwym wzrokiem, nie potrzebuję kąśliwych uwag nietaktownej ekspedientki.

– Kiedy ja karmiłam – musiała zauważyć, że jej komentarz był nie na miejscu – zrobiły się takie nienaturalnie ogromne, obwisłe. Cała byłam opuchnięta, po prostu gruba. – Zatoczyła ręką wokół swojego brzucha. – Pani wygląda świetnie. – Objęła mnie spojrzeniem od stóp do głów, idiotycznie się przy tym uśmiechając.

W tym momencie pożałowałam tej całej zabawy. Czułam, że mi nie wierzy. Myśli, że jednym głupim zdaniem: „Pani wygląda świetnie” zatuszuje cały wcześniejszy brak profesjonalizmu. Odwróciłam się i zaczęłam zmierzać ku wyjściu.

– Proszę poczekać! – Biegła za mną. – Przepraszam, jeśli panią uraziłam, naprawdę nie miałam...

Nie słuchałam jej. Opuściłam sklep, nie oglądając się za siebie. Byłam wściekła, nie mogłam w tym stanie wrócić do domu. Jednak nie chciałam zostawać dłużej w tym parszywym miejscu. Czułam się bardzo źle, gorzej niż ostatnio. Nerwowo zaczęłam pocierać obolałe czoło, miałam wrażenie, że moja głowa za chwilę eksploduje, pokrywając maziowatą konsystencją mózgu piękne, błyszczące, kolorowe ściany. Brakowało mi tego maleństwa, które tak niedawno trzymałam w ramionach. Czułam się rozdrażniona i zła.

Wyszłam na zewnątrz. Słońce świeciło, a ja maszerowałam przed siebie. Po chwili zatrzymałam się i rozejrzałam na boki. Gdybym była matką, poszłabym na pewno do parku. W taką piękną pogodę, gdy świeci słońce i ptaszki wesoło śpiewają, dzieci lubią pobawić się w cieniu drzew.

Nie znałam tej okolicy. Nawet wtedy, gdy częściej wychodziłam z domu, rzadko tu zaglądałam. Zazwyczaj weekendy spędzaliśmy poza miastem. W piątek wieczorem pakowaliśmy się do samochodu i jechaliśmy w nieznane. To było naprawdę ekscytujące, nigdy nie kłóciliśmy się o kierunek ani czas podróży. Wszystkim rządził słodki przypadek, bo przede wszystkim chodziło o to, aby pobyć razem, nieważne gdzie. A gdy już zostawaliśmy w Krakowie, to rzadko opuszczaliśmy dom. Snuiliśmy się w piżamach do południa, zamawialiśmy jedzenie z dostawą pod drzwi i tylko czasami wybieraliśmy się ze znajomymi na drinka na Kazimierz lub Rynek. Nasze własne towarzystwo w zupełności nam wystarczało.

Wspomnienie tamtych chwil beztroski, kiedy każdy dzień był rajem, bez presji, bez liczenia na cokolwiek i oczekiwania na kogokolwiek, sprawiło, że miałam ochotę zwymiotować. Oparłam się o słup ulicznej latarni i liczyłam każdy wdech i wydech. Spojrzałam na zegarek, dochodziła jedenasta. Wyprostowałam się i poszłam dalej bez celu, przed siebie. Ulice były prawie puste, minęło mnie kilka samochodów, po czerwonej części chodnika przejechało dwóch rowerzystów. Niedzielny poranek należy do rodzin zamkniętych w czterech ścianach prywatności, do której nikt oprócz nich nie ma wstępu. Wylegiwanie się do południa, kruszenie do łóżka, wspólne oglądanie bajki, coś, o czym ja mogę tylko pomarzyć. Żadna matka nie chodzi o tej porze samotnie po ulicach. Żadna szczęśliwa matka nie snuje się bez sensu po mieście, jej miejsce jest przy dziecku, teraz właśnie wyciera mu upapraną po śniadaniu buzię lub patrzy z podziwem, jak jej maluch pokonuje codzienne trudności, wiąże sznurowadła albo skacze na jednej nodze. Na kilometr widać, że nie jestem matką. Ta myśl jeszcze bardziej mnie rozjuszyła, zaczęłam biec, chciałam uciec przed sobą i tym wszystkim, czym byłam.

Po chwili między drzewami zauważyłam kolorowy plac zabaw. Brakło mi tchu, więc się zatrzymałam, zerkając w tamtą stronę. W piaskownicy w kolorowych czapeczkach na głowach bawiły się dzieci, obok na ławce siedziały ich matki, pochłonięte rozmową. Plac zabaw nie był duży, dwie huśtawki, karuzela, zjeżdżalnia i piaskownica. Podeszłam bliżej. Nigdzie nie było mojego maleństwa. Stałam za siatką i przyglądałam się, jak maluchy radośnie krzyczą, przesypując piach z foremki do foremki. Przypomniałam sobie paczkę pieluch w ręce zaniedbanej dziewczyny, pewnie poszła z dzieckiem do domu na poranną toaletę, nie znajdę ich na mieście. Zacisnęłam dłonie na drucianym ogrodzeniu, opierając spocone czoło o siatkę.

Nagle zajęte sobą kobiety zauważyły mnie, zamilkły i zaczęły mi się przyglądać ze skupionymi minami. Ich nieprzychylnie spojrzenia przywołały mnie do rzeczywistości. Co sobie o mnie myślą? Co one w ogóle mogą o mnie wiedzieć? Nigdy nie musiały robić tyle co ja, żeby zasłużyć na miano matki. Nie mają prawa mi się tak złowrogo przyglądać, nie mają prawa. Miałam ochotę je zwymyślać, powiedzieć coś obraźliwego, zbluzgać na odchodne. Jednak zadziwiając samą siebie, uśmiechnęłam się do nich przyjaźnie i krzyknęłam:

– Niedługo będę miała takie swoje! – Ułożyłam rękę na dole brzucha.

Momentalnie ich zmarszczone podejrzliwie brwi rozluźniły się niczym zmęczone długim unoszeniem ręce baletnicy. Wyglądało to tak, jakby ktoś nagle nacisnął dalsze odtwarzanie filmu i aktorki powróciły do gry.

– Gratulujemy! – krzyknęła jedna z nich. Druga pomachała przyjaźnie ręką.

– Dziękuję. – Posłałam im jeden z moich wyuczonych serdecznych uśmiechów, odwróciłam się i oddaliłam w kierunku

galerii.

Do końca dnia nie mogłam dojść do siebie. Znowu dopadły mnie te najczarniejsze myśli, z trudem łapałam oddech. Z przerażeniem patrzyłam na odbicie swojej twarzy w wystawach sklepów, ziemistą cerę i wyblakłe spojrzenie. To wszystko wina Adama, gdyby nie był takim egoistą i poszedł ze mną na zakupy, na pewno nie zatrzymałabym się przy tym wózku, nie wzięłabym dziecka na ręce i nie wyłabym w środku bezgłośnie jak zarzynany zwierz.

Siedzimy teraz na kanapie i oglądamy film. Kiedy wróciłam, czekał na mnie obiad. Wprawdzie podgrzał gotowe, kupne jedzenie, ale liczy się gest. Potem nalał nam po kieliszku wina, jak zwykle odmówił. zaproponował, abyśmy obejrżeli wspólnie film. Nie wiem, jaki ma tytuł i o czym jest, chociaż siedzimy przed ekranem już od dobrej godziny. Adam położył mi właśnie rękę na ramieniu, czuję na skroni jego ciepły oddech, spokojny, zrelaksowany. Co chwilę wybucha śmiechem, więc to chyba komedia, ja również się uśmiecham, udaję rozbawioną, może nie tak jak on, ale się staram. A potem nagle nachyla się i chce mnie pocałować. Tak po prostu muska wargami mój policzek, spogląda mi w oczy, a ja czuję, jak nagle do gardła podchodzi mi cały dzisiejszy jad. Chcę krzyczeć, ale jego rozchylone usta połykają każde moje słowo. Ulegam jego naporowi, mocniej rozchyłam wargi i pragnę, aby ta cała agresja wyszła ze mnie i wlała się w niego. Zamykam oczy, nie mogę dłużej na niego patrzeć, czuję, jak po policzkach spływają mi łzy.

Adam

Podobno od miłości do nienawiści wiedzie krótka droga. Chyba zaczynam to rozumieć, bo raz ją kocham, a raz jej nienawidzę. I te uczucia są tak silne, tak prawdziwe i dotyczą jednej osoby, a mieszczą się w drugiej. Wczoraj ją oszukałem. Powiedziałem, że muszę pracować, a tak naprawdę nie chciałem spędzać z nią przedpołudnia. Uwierzyła mi, a ja się ucieszyłem, gdy wyszła z domu. Obejrzałem powtórkę z Ligi Mistrzów i zrobiłem wszystko, na co nie mam czasu w tygodniu. A potem nagle zacząłem się zastanawiać, gdzie ona się podziewa. Jest taka nieobliczalna, równie dobrze mogła być w kościele, co na zjeździe sekty satanistycznej. Zdałem sobie sprawę, że tak słabo ją teraz znam i naprawdę nic o niej nie wiem.

Co robi całym dniami, siedząc w domu? Mówi, że pracuje, ale ja wiem, że to nieprawda. Jeszcze przed ślubem, opowiadając o swojej pracy, codziennych sukcesach czy porażkach, zawsze podkreślała, że jest szczęściarą, mogąc pracować na pół etatu, a zarabiając jak za półtora. A więc co teraz robi w czasie tej wolnej połówki dnia?

Jest bystra i inteligentna. To zawsze pomagało jej zjednywać sobie ludzi i ich do siebie przekonywać, zarówno klientów, jak i mnie. Czasem, gdy patrzyłem na nią, jak opowiada o czymś, zawzięcie gestykując, wyobrażałem sobie przepływ stu miliardów impulsów między neuronami w jej mózgu i ogarniało mnie przerażenie. Wiedziałem, że nigdy do końca jej nie poznam, nigdy do końca jej nie zrozumieję, zawsze będę brać udział w wyścigu, w pogoni za możliwościami jej nieograniczonego umysłu. Czułem jednocześnie strach i fascynację. Ostatecznie jednak wygrała chęć uczestniczenia w czymś nie-

samowitym i niepowtarzalnym. Pewnego dnia stwierdziłem, że jestem kompletnie od niej uzależniony. Gdybym żył kilka wieków wcześniej, nie miałbym wątpliwości, że to czarownica, która rzuciła na mnie klątwę, uwiodła mnie swoim urokiem. I co gorsza, wciąż nie wiem, jak się z niego otrząsnąć.

Kiedyś kochałem w niej wszystko. Entuzjazm, pomysłowość, zdecydowanie. Dzięki jej niezwykłym umiejętnościom mieliśmy cudowny ślub i jeszcze lepszą podróż poślubną. Dosłownie na koniec świata, do Nowej Zelandii. Zawsze umiała wszystko zorganizować, wszystko załatwić, o wszystko zadbać. Tylko w tej jednej kwestii jej nie wychodziło, z tym jednym nie umiała sobie poradzić. Nie mogła zająć w ciążę. Na początku z tego żartowała, mówiła, że to idealna sytuacja, możliwość uprawiania seksu bez zabezpieczeń, skoro nam tyle schodzi, musimy czerpać z tego przyjemność. I czerpaliśmy, do czasu, aż zaczęło się to niepokojąco przedłużać. Wtedy skończyły się żarty, zaczęły się wizyty w prywatnej klinice, powstał ten jej niezwykły kalendarzyk, a z czasem zaczęliśmy unikać życia towarzyskiego. Nie mogła pogodzić się tym, że ktoś z naszych znajomych oczekiwał narodzin dziecka. Jedna para, potem kolejna, jednak wciąż nie my, to ją załamywało. Chciałbym, aby wróciła dawna ona, ta sprzed naszych problemów, dziewczyna, z którą się ożeniłem, radosna i entuzjastyczna, inteligentna i piękna, po prostu idealna. Zdawać by się mogło, że to niemożliwe, ale właśnie taka była, tak ją postrzegałem. Zachwycaly mnie jej piękny umysł, niezawodna pamięć, niebywała koncentracja, a do tego ta jej śliczna twarz. Cudowny uśmiech, którego wcześniej mi nie żałowała, i ciało, które miałem zawsze w zasięgu ręki, na każde zawołanie. Podobałem się kobietom i wykorzystywałem to, ale odkąd Anita została moją dziewczyną, a potem żoną, wszystko się zmieniło. Była odbiciem moich marzeń. Kiedy ją poznałem, od razu wiedziałem, że to ona, koniec miłosnych przygód, znalazłem

ją, tę jedyną. Teraz nie został we mnie nawet cień tamtej naiwnej pewności.

Gdy długo nie wracała, postanowiłem mimo wszystko coś dla niej zrobić. Kupiłem gotowy sos do spaghetti, przyrządziłem według wskazówek na opakowaniu i uraczyłem ją nim, gdy w końcu stanęła w progu. Wydawała się zadowolona, może nie tryskała radością, ale czułem, że doceniła moje starania. Potem włączyłem film. Chciałem stworzyć nastrój, nie jakąś cudowną atmosferę, wręcz przeciwnie, zależało mi, żeby było po prostu normalnie. Chciałem, aby zrozumiała, że to jest właśnie wspaniałe, że po kilku latach wspólnego życia nikt nie ma ochoty wciąż stawać na głowie, planować, kombinować, by zaskoczyć tę drugą połowę. Jesteśmy razem, możemy odetchnąć z ulgą, spuścić z tonu, wrzucić na luz i cieszyć się zwyczajnym życiem. Objąłem ją ramieniem, cudownie pachniała. Nie czułem tego zapachu na niej wcześniej, ale idealnie współgrał z jej skórą. Wyobraziłem sobie, że dopiero zaczynamy, że całe zło, które wydarzyło się między nami, tak naprawdę nigdy nie istniało, że dotyczy innych, nieznanym nam osób. Pochyliłem się nad nią i ją pocałowałem. Uległa mi, pozwoliła, abym to zrobił.

Otworzyłem na moment oczy i zobaczyłem, że płacze, była wzruszona. Znów ją uwielbiałem, znów chciałem tylko jej. Kochaliśmy się, po raz pierwszy od długiego czasu tak po prostu, bez względu na dzień cyklu, bo chcieliśmy tego my, a nie jej pieprzony kalendarzyk. Potem zasnęła wtulona we mnie, nie wstała, żeby się wykąpać i przebrać, jak to zwykle robiła, nie węszyła, nie sprawdzała mnie, po prostu słodko spała obok, jak dawniej. Pomyślałem, że jednak jeszcze możemy być szczęśliwi.

Anita

Wczoraj zostałam zgwałcona. Wzięta siłą przez własnego męża. Co prawda nie protestowałam, ale nie zmienia to faktu, że tego nie chciałam. Powinien wyczytać to z mojej twarzy, widziałam, że patrzy na mnie, jak płaczę, i nic nie zrobił, wręcz przeciwnie, zerwał ze mnie ubranie i mnie zgwałcił. Nie miałam siły z nim walczyć, wczorajsze przedpołudnie za bardzo mnie wykończyło. Jednak kiedy to już się działo i kiedy on nie rozumiał, że tego nie chcę, wyobraziłam sobie, że jestem z Zo. Zamknęłam oczy i zmyśliłam jego twarz, której nie pozwala mi poznać zbyt daleko umieszczona kamera. Widziałam kołyszące się nade mną jasne włosy, twórcze ręce dotykające moich nagich piersi, a potem, po wszystkim, pomyślałam, że to jednak niemożliwe, on byłby w tym lepszy. Adam objął mnie od tyłu i czułam, że zasypia. Nie chciałam, żeby mnie dotykał, ale go nie odtrąciłam. Myślałam o Zo, zastanawiałam się, czy jest z tą Rudą, czy może właśnie kocha się z nią w tej chwili. Walczyłam z pokusą udania się do kuchni i włączenia kamery na Pragę. Przecież gdzieś tam, w tym odległym mieście był Zo. Nie zrobiłam tego, nie miałam siły się ruszyć.

Dobrze, że już poniedziałek, dziś znów go zobaczę. Przez cały weekend stęskniłam się za nim. Została niecała godzina do jedenastej pięćdziesiąt pięć, nie mogę się doczekać. Rano, gdy Adam ubierał się do pracy, udawałam, że śpię. Nie chciałam z nim rozmawiać.

Patrzę, jak stojąca przede mną filiżanka z kawą paruje, i zastanawiam się, kim jest Zo. Co robi w życiu? Dlaczego nagle zaczął towarzyszyć tej rudej dziewczynie? Najprawdopodobniej jest studentem malarstwa, inaczej nie nosiłby teczki na

portfolio. Sprawdziłam, że praska Akademia Sztuk Pięknych mieści się przy ulicy U Akademii 4, gdzie dojeżdżają tramwaje, które zatrzymują się na przystanku Malostranská. Być może się tam przesiadają, wracając z porannych zajęć? Albo Zo pracuje w Galerii Narodowej położonej tuż przy przystanku? Ta nieznamość szczegółów z jego życia denerwuje mnie, nie pozwala ułożyć układanki do końca, a chciałabym wiedzieć o nim wszystko.

Wcześniej, gdy Ruda była z osiłkiem, jeździła w każdy dzień roboczy, czasem sama, czasem z nim, ale przez cały tydzień. Od kiedy jest z Zo, widzę ich tylko w poniedziałki, wtorki i piątki. Być może w środy i czwartki jeżdżą później lub wcześniej albo w te dni w ogóle nie jeżdżą, nie jestem w stanie tego sprawdzić, bo mój tramwaj na to nie pozwala. Mogę obserwować tylko to, co aktualnie widzi kamera. Nie mogę niczego cofnąć, zatrzymać ani przyspieszyć, jestem więźniem pieprzonej teraźniejszości.

Próbowałam namierzyć jakąś inną kamerę, umieszczoną na hotelu lub budynku po przeciwległej stronie ulicy, tak abym mogła zobaczyć, skąd przychodzą na przystanek i co dzieje się z nimi w pozostałe dni. Żadnej jednak nie znalazłam. Zapewne gdzieś w pobliżu jest jeszcze jakiś monitoring, ale nie z publicznym podglądem. Gdybym trafiła na kamerę podobną do tej, którą mają na placu Wacława, nakierowaną na astronomiczny zegar na południowej ścianie Ratusza Staromiejskiego, mogłabym robić przybliżenia i dowiedziałabym się, jak wygląda jego twarz. Podejrzewam, że jest niezwykła, tak jak cały on.

Zastanawia mnie, dlaczego nie poruszają się metrem. Sprawdziłam informacje o remontach, przystanek metra Malostranská działa bez zastrzeżeń. Może mają do przejechania krótki odcinek albo nie lubią, jak powietrze tłoczone przez

wagoniki wciska im oczy w środek głowy. Potrafię to zrozumieć, bo też tego nie znoszę.

Loguję się do komputera i otwieram okienko z kamerą. Jest jedenasta czterdzieści pięć, zostało dziesięć minut. Pada deszcz, silny, uderzający z ukosa, obiektyw jest cały w kropkach. Martwi mnie to, wiem, że kontakt z Zo będzie utrudniony. Gdy w końcu tramwaj podjeżdża na przystanek, ludzie ukryci są pod parasolami. Próbuję dojrzeć w tłumie Zo, ale dziś czerwone światło trwa krótko, wagonik rusza, a ja czuję wypełniający mnie smutek. Jednak w ostatnim momencie dostrzegam przytuloną do siebie parę. Nie widzę dokładnie ich sylwetek, ale wiem, że to Zo i Ruda, o nogi mężczyzny oparta jest czarna torba na portfolio.

Marta

Już prawie go dopadłam. Rano wybrałam się do McDonalda, tego, w którym jada śniadania. Gdy tam przyjechał, siedziałam koło okna, przy stoliku, który zwykle zajmuje. Obserwowałam, jak idealnie parkuje, zamyka samochód i bujając gdzieś w obłokach, popycha szklane drzwi. Potem z uśmiechem zamówił kawę, niezobowiązująco flirtując z kasjerką, która śliniła się na jego widok. Naprawdę wierzyła, że mogłaby być z kimś takim jak on? Naiwność kobiet nie zna granic i nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Początkowo nie zauważyłam, że zajęłam jego miejsce, instynktownie zmierzał w moją stronę, gdy w ostatnim momencie podniósł wzrok znad tacy, na której stały duże cappuccino i czekoladowa muffinka. Zorientowawszy się, że jego stolik jest zajęty, usiadł przy najbliższym wolnym. Tyłem do mnie. Trochę szkoda, bo miałam ochotę bliżej mu się przyjrzeć, ale może to i lepiej, jeszcze mógłby mnie rozpoznać. Choć uważam to za mało prawdopodobne. Widzieliśmy się tylko raz, rozmawialiśmy przez jakieś pięć minut, ale nie patrzył wtedy na mnie, był zajęty kimś innym. Wpatrywał się w nią jak we freski w Kaplicy Sykstyńskiej – z podziwem i należyty szacunkiem. Jeszcze wtedy nie podejrzewałam, że kiedyś zechcę się ponownie z nim spotkać, sam na sam, w najbardziej intymnych okolicznościach. Teraz jestem tego pewna, mój plan opracowany jest w każdym calu i wiem, że nie zaznam spokoju, dopóki go nie zrealizuję.

Przez moment chciałam do niego podejść, pożyczyć cukier ze stolika czy cokolwiek innego, ale szybko zrezygnowałam z tego pomysłu. Potrzebuję więcej czasu, a on teraz go nie ma, przed dziesiątą musi się pojawić w biurze. Trzeba wybrać bardziej odpowiednią chwilę. Poczekalam, aż zjadł i odjechał.

Dokończyłam swoją kanapkę i ruszyłam do centrum, dziś czekał mnie pracowity dzień. Usiadłszy za biurkiem, otworzyłam notes. Było tam jej nazwisko. Mimo wszystko ucieszyłam się, że znów ją zobaczę.

Adam

Gdy człowiek czuje się świetnie, wszystko inne zaczyna się układać. W poniedziałek Anita jeszcze spała, gdy wychodziłem. Odpoczywała po naszym udanym seksie. Pierwszym od długiego czasu, po którym czułem się znów jak mężczyzna. Szedłem do pracy w innym nastroju niż zwykle i wiedziałem, że dziś sfinalizuję kontrakt.

Od kilku miesięcy prowadzimy rozmowy z ekspedytorem, negocjuję najlepsze ceny na dowóz towaru z Dalekiego Wschodu do naszej firmy. Niby konkurencja jest duża, ale wcale niełatwo uzyskać dobre warunki dostawy. Wielokrotnie byłem już bliski rezygnacji z tego projektu. Szczerze mówiąc, nie szło mi. Myślałem, żeby przerzucić to na kogoś innego, kto pchnąłby sprawę do przodu. Po prostu czasem ma się taki dzień, w którym wiadomo, że nic się dobrze nie załatwi, nawet psychoterapeuci mówią, że to normalne, spadek formy, trzeba odpuścić, przełożyć na pojutrze, na wtedy, gdy poczujemy, że już damy radę. Ja ten słabszy dzień miałem od kilku miesięcy. Wiedziałem, że to nie może trwać tak długo, ale zupełnie nie miałem na to wpływu. Już z rana byłem pozbawiony sił potrzebnych na resztę dnia, ale dziś, wychodząc z domu, powiedziałem sobie, że to załatwię, zamknę temat i będzie po sprawie. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Umówiłem się z ich handlowcem, pojechałem do nich na dwunastą, czułem, że znów mam to w sobie, siłę, determinację i moc. Jak dawniej, gdy codziennie byłem w dobrej formie. Oni też zmęczeni się już negocjacjami, a w tym czasie odpadło im kilku większych klientów, wiedziałem to od znajomych z konkurencji. Odpowiednio poprowadziłem rozmowy i zeszli z ceny. Może nie do tego poziomu, o którym myślałem, ale do

zadowolającego, najlepszej oferty, jaką kiedykolwiek dostaliśmy. Teraz stawki mamy rewelacyjne, najlepsze na dowóz z Hamburga i Amsterdamu. Rozważam nawet przyjęcie w przyszłości propozycji frachtu na warunkach FOB Barcelona, który w ich wydaniu cenowym prezentuje się magicznie nierealnie. Wracałem jak prawdziwy wygrany, wciąż to mam, jestem w tym najlepszy. Mój szef nie krył uznania. Mężczyzna musi czuć się doceniany. Mimo wszystko nie sądziłem, że zwykły seks z żoną może dawać taką moc.

Wracając do domu, kupiłem dobre wino, chciałem to z nią uczcić. Zapewnić, że przejdziemy przez kryzys, że jeszcze będzie nam razem dobrze. Ten ostatni raz dał mi nową nadzieję. Jeszcze nie byłem gotowy na rozmowy o in vitro, ale przez moment pomyślałem, że może jednak mógłbym to dla niej zrobić. Jeśli tylko odmieniłoby to nasze życie, byłbym w stanie się zdecydować. Nie miałem zamiaru jej o tym jeszcze mówić, ale ucieszyłem się, że coś, co było niezmiennie od dawna, teraz jawiło mi się w innym świetle. Znów chciałem mieć z nią dziecko. Po połowie nasze, wspólne, równie moje, co jej. Często się zastanawiałem, jak by wyglądało i jaki miałoby charakter. Czy odziedziczyłoby po niej urodę wraz z uporem i perfekcjonizmem, czy raczej lenistwo, skrywane, ale jednak po mnie? A może byłoby zupełnie inne, najczystszy random naszych genów, niepowtarzalny, jedyny na świecie egzemplarz długo oczekiwanego, nowego człowieka?

Gdy wszedłem do mieszkania, nie było jej. Od progu powitała mnie Pozytywka.

– Anita! – zawołałem.

Odpowiedziała mi cisza. Zajrzałem do sypialni, łóżko było starannie zasłane, łazienka też świeciła pustką.

– No, gdzie się podziewa twoja pani? – zapytałem Pozytywkę, nakładając karmę do miski.

Okręciła ogon wokół mojej kostki i zajęła się łososiem. Postawiłem na blacie butelkę i sięgnąłem po korkociąg. Wyjąłem z szafki dwa kieliszki, napełniłem jeden do połowy, a gdy otwierałem lodówkę, by schować do niej wino, zauważyłem przypiętą do drzwiczek kartkę. „Na dziewiętnastą mam ginekologa, wrócę późno”. Odsapnąłem głośno. Po wizycie w gabinecie nigdy nie czuła się dobrze. Wręcz przeciwnie, przychodziła załamana, przytłoczona widokiem kobiet z brzuchami. Wiedziałem, że czeka mnie trudny wieczór. Wróciła cała niechęć do niej. Trzema haustami wypilem rieslinga i zniknąłem za drzwiami sypialni. Nie miałem zamiaru na nią czekać i przechodzić przez kolejny koniec świata.

Eryk

Przespałem się z nią. W moim małym, przesyconym wonią farb, lakierów i drewna mieszkaniu. Na materacu wciśniętym między kawałki konarów drzew a sztalugi, w pokoju w dzień służącym za pracownię, a nocą za sypialnię. Jesteśmy parą, jak to się oficjalnie mówi. Dobrze mi z nią. Przychodzi wieczorami i zostaje do rana. Czasami znika na kilka dni, mówi, że ma zlecenia do odbioru. Pewnie jeździ wtedy z tym łysym niemową po mieście, nie pytam jej o to. Po przygodzie z Tanią nauczyłem się szacunku dla siebie. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Korzystam z tej prawdy codziennie. Jestem artystą, nie mam czasu na miłosne rozterki. Potrzebuję dużo przestrzeni i sam potrafię dać ją innym. Wyciągnąłem wnioski, uczę się na błędach.

Gdy zostaje u mnie na noc, jemy wspólne śniadanie, a potem odprowadza mnie do pracy. Nadal mam w tygodniu dwa dni wolne, które całkowicie przeznaczam na zlecenia. Do Rubensa, na którego się zdecydowałem, doszło szybkie zamówienie na miniaturę Habakuka według Maxa Ernsta. Gdy tylko ją skończę, zabieram się do Petera Paula. Szczerze mówiąc, już nie mogę się doczekać.

To zadziwiające, jak nagle wszystko zaczęło się układać. Stała praca, niekończące się zlecenia, nowa dziewczyna. Mam teraz swoje pięć minut, muszę je należycie wykorzystać.

Anita

Po gwałcie unikałam Adama. Przez cały zeszły tydzień miałam do niego uraz. Nawet obiecywałam sobie, że gdy następnym razem spróbuje mnie tknąć, uduszę go własnymi rękami lub wbiję mu nóż w plecy. Może warto byłoby się zaopatrzyć w szpikulec do lodu, tak na wszelki wypadek?

Na domiar złego on od tamtego dnia chodzi dziwnie zadowolony. Nie pytałam dlaczego, ale domyślałam się, że triumfuje nade mną. Przy moim fatalnym samopoczuciu jest w tej swojej radości okrutny.

Nie wracaliśmy do sprawy gwałtu. Chciałam z nim o tym porozmawiać, żeby zrozumiał, jak bardzo mnie zranił, ale ostatecznie się nie zdecydowałam, nie miałam sił na nowo tego przeżywać. Ślepy zaulek świadomości.

Jednak w weekend przełamalam moją niechęć do niego. Musiałam to zrobić. Nie mogłam sobie pozwolić na utratę kolejnej szansy. Trudno, może nie jest wymarzonym ojcem dla mojego przyszłego dziecka, ale innego kandydata nie mam. Poza tym kiedyś to właśnie jego uważałam za pierwszego i jedynego faceta, z którym chciałabym mieć coś dużo bardziej wspólnego niż do spótki zakupione mieszkanie, pralkę czy lodówkę.

Pewnie znów się nie uda, ale musiałam spróbować. Jak zwykle było beznadziejnie, ale nie nastawiam się już na nic lepszego. Wczoraj nie wracał długo z pracy, a wieczorem zapomniał wyłączyć laptop. Chciałam go zamknąć, gdy jednak przesuwalam palcem po touchpadzie, pokazało się okienko „wpisz hasło”. Nie wiem, co mnie podkusiło, ale wstukałam datę naszego ślubu, która od zawsze była hasłem tego kompu-

tera. Tym razem nie zadziałała. Nie wchodziło też nic innego, żadne daty urodzin, rocznic, imiona nasze czy jego rodziców. Parszywy gnojek, nie chciał, abym tam zaglądała. Zastanawiam się, co ma przede mną do ukrycia.

Adam

Zdradziłem moją żonę. Wiem, że gdyby się o tym dowiedziała, już bym nie żył. Naprawdę tego nie chciałem, nie planowałem, stało się to ot tak, po prostu, w przypiływie bezmyślności i zapomnienia. I dało mi jednocześnie poczucie niełojalności i triumfu.

Kilka dni po podpisaniu umowy z FedExem mój szef zaproponował wyjście do knajpy. Chciał uczcić nasz sukces negocjacyjny. Przemilczałem to niefortunne sformułowanie. Sukces osiągnęliśmy wyłącznie dzięki mnie, reszta nie miała w tym żadnego udziału, ale mniejsza z tym. Umówiliśmy się na Kazimierzu, w jednej z tych lannerskich knajpek wokół placu Nowego. Siedzieliśmy przy barze, ja, Wiktor i Szymon.

Nigdy nie zaprzyjaźniłem się z żadnym z nich. Mimo że kilka razy wyszliśmy na miasto, mieliśmy na koncie wspólne wyjazdy integracyjne, zawsze pozostali dla mnie znajomymi z pracy, dobrymi, ale mimo wszystko tylko kolegami. Właściwie nie mam przyjaciela, nikogo, komu zwierzałbym się ze swojego życia. Jediną osobą, przed którą kiedykolwiek tak naprawdę do końca się otworzyłem, była Anita. Jedinym facetem, któremu mówię o sobie coś więcej, jest mój brat. Jednak tylko przed moją żoną nie mam tajemnic. A przynajmniej kiedyś nie miałem.

Rozmawialiśmy o firmie, zmianach w zarządzie, trochę o wakacjach, nie poruszali tematu dzieci, choć każdy z nich ma po dwoje. Nie wiem, czy przez przypadek, czy celowo chcieli mnie oszczędzić. Dochodziła północ, mieliśmy już wychodzić, gdy idąc do kibla, wpadłem na nią.

Uśmiechnięta szatynka o obfitych kształtach. Wyrosła przede mną jak spod ziemi. Nie wiem, jak mogłem jej nie zauważyć. Zawartość kufła, który trzymała w ręce, wylała się na jej bluzkę. Przepraszałem, nie mogąc oderwać oczu od mokrej plamy na jej wielkich cyckach, a ona śmiała się, mówiąc, że nic się nie stało. Wyobraziłem sobie Anitę w podobnej sytuacji i już czułem jej wściekłe spojrzenie połączone z bluzgami, którymi w przypiływie niekontrolowanej złości zaczęłyby we mnie rzucać. Powiedziałem dziewczynie, że odkupię jej piwo, ale nie chciała się zgodzić, a kierując się w stronę wyjścia, rzuciła:

- Ale chętnie jutro wypiłabym dobrą kawę.
- O której i gdzie? - Przytrzymałem jej spojrzenie.
- Tutaj - spojrzała na zegarek - za dwanaście godzin.

Odwróciła się i odeszła. Chciałem jej powiedzieć, że będę wtedy w pracy, jednak już jej nie było. Mogłem o wszystkim zapomnieć, taki niezobowiązujący flirt, nikt nie wymaga brania go na serio. Jednak nie potrafiłem przestać o niej myśleć. Co mi szkodzi, zwykła kawa w porze lunchu z cycatą nieznaną.

W knajpie byłem kilka minut po dwunastej. Jak zwykle o tej porze w środku panowały pustki. Pod oknem siedziały dwie młode, pochłonięte rozmową dziewczyny, przy barze facet w średnim wieku przeglądał gazetę. Nie było jej. Pomyślałem, że mnie wystawiła, rzuciła coś na odczepnego, a ja się dałem nabrać. Zamówiłem kawę i usiadłem przy stoliku na wprost drzwi, tak aby mnie zauważyła, gdyby jednak przyszła.

Po kilku minutach się zjawiała. W przewiewnej, kwiecistej letniej sukience na ramiączkach. Miałem okazję przyjrzeć się jej z bliska, na trzeźwo, w dziennym świetle. Nie była jakoś szczególnie piękna i właściwie nie w moim typie, wręcz zupełnie przeciwieństwo Anity. Uśmiechała się i wdzięczyła do

mnie, to też kontrast w porównaniu z moją powściągliwą w okazywaniu uczuć żoną. Zamówiłem dla niej kawę, nadal nie mogąc oprzeć się pokusie gapienia w jej biust, odważnie eksponowany przez głęboki dekolt. Rozmawiało nam się zaskakująco dobrze jak na zupełnie obcych sobie ludzi. Przez moment miałem wrażenie, że gdzieś już ją widziałem, nawet zapytałem, czy to możliwe, abyśmy kiedyś się poznali. Stawowczo zaprzeczyła, argumentując, że takiego przystojniaka jak ja zapamiętałaby na pewno. Flirtowała ze mną na siłę, całe to jej zachowanie było niedojrzałe, ale przecież nie zamierzałem brać z nią ślubu.

Ma na imię Marta, jest w moim wieku, dwa lata starsza od Anity. Nie chwaliła się, czym zajmuje się w życiu, ja też dość enigmatycznie potraktowałem wątek mojej pracy. Gdy po godzinie musiałem wracać do biura, bez pytania dała mi swój numer telefonu. Zapisała go na bibułkowej serwetce i podsuwając ją w moim kierunku, powiedziała, że jeśli miałbym kiedyś ochotę to powtórzyć, to będzie jej miło. Nie mówiłem jej, że mam żonę, obrączki nie noszę, więc pewnie pomyślała, że jestem wolny. Nie miałem zamiaru więcej do niej dzwonić, jednak zmieniłem zdanie kilka dni później. Po kolejnej awanturze z Anitą.

Coraz bardziej jej nie rozumiem, odwała jej jak nigdy dotąd. Znów od niej uciekam. Po tamtym jednym cudownym razie, gdy kochaliśmy się bez powodu, jest z nią jeszcze gorzej. Chyba odebrała to jako nienależącą się jej przyjemność lub coś równie idiotycznego. Ma tendencje do katowania się za drobne przyjemności, nie pije alkoholu, bo szkodziłoby to dziecku, pewnie seks poza wyznaczonym terminem też należy do rzeczy karygodnych.

Goliłem się rano, nucąc nawet pod nosem Sound of Silence, gdy zaczęła szarpać za kłamekę. Otworzyłem, myśląc, że dopa-

dło ją rozwolnienie lub coś równie pilnego. Wpadła i zaczęła okładać mnie pięściami po plecach. Złapałem ją za nadgarstki.

– Uspokój się! – krzyknąłem.

– Przestań walić! – darła się. – Stuk, stuk, stuk, stuk! – Wyrywała mi z ręki maszynkę i zaczęła uderzać nią w umywalkę, krzycząc, naśladowała moje ruchy pozbywania się piany i owłosienia.

– Chyba mam prawo rano się ogolić? – Nadal nie rozumiałem, co ją tak wkurzyło.

– Ale może mógłbyś to robić ciszej?

– Nie da się ciszej. – Zaśmiałem się. – Złóż zażalenie do producentów maszynek do golenia i porcelanowych umywalek, niech się dogadają w tej kwestii i coś z tym zrobią.

Myślałem, że ją rozbawię, ale popatrzyła na mnie tym swoim lekceważącym spojrzeniem i wyszła, trzaskając drzwiami. Miałem jej serdecznie dość.

A potem, wieczorem, gdy zaparkowałem na chodniku, zauważyłem, jak w drzwiach rozmawia z jakimś facetem. Nie wysiadałem, z ukrycia obserwując ich pogawędkę. Śmiała się, jeszcze potrafiła to robić. Kojarzyłem tego gościa, mieszkał w naszej klatce, ale nie sądziłem, że Anita tak dobrze go zna. Opierał się o drzwi wejściowe, a ona stała, kręcąc w rozbawieniu głową. Jej wysoko upięty kucyk podskakiwał radośnie jak rozbujana huśtawka, zupełnie tak jak w chwili, gdy pierwszy raz ją ujrzałem. Widziałem, jak facet na nią patrzy, podobała mu się, chciał ją mieć tak jak ja wtedy. Gdy zniknęła za drzwiami, a on przemierzył na ukos ulicę i wszedł do stalowego bmw, miałem ochotę wysiąść, podejść do jego samochodu i strzelić mu w mordę. Nie zrobiłem tego jednak, pomyślałem za to, że zadzwonię do Marty. Nie sądziłem, że przeżyje się to w romans. Szczerze mówiąc, nawet nie liczyłem,

że odbierze. Po prostu chciałem się odegrać na Anicie, pomyślałem, że byłoby świetnie, gdyby mnie z nią zobaczyła. Może zazdrość zmieniałaby coś w naszym umierającym związku.

Nie myliłem się, nie odebrała. Schowałem telefon do kieszeni i wróciłem do mieszkania. Nie pytałem Anity, kim był ten palant, z którym tak rozkosznie gaworzyła kilka minut wcześniej. Poszedłem pod prysznic i położyłem się spać, zostawiając ją z otwartym laptopem na kolanach na sofie w salonie. Nawet nie widziała, jak przeszedłem z łazienki do sypialni, śledziła coś z uwagą na ekranie komputera. Może w ogóle nie zauważyła, że wróciłem do domu?

Pewnie zapomniałbym o Marcie, bo następnego dnia nie czułem już potrzeby ponownego wybrania jej numeru, ale odzwoniła, kilka minut po dziesiątej.

– Ktoś dzwonił do mnie z tego numeru. – Miała zaspany głos.

– Tak, cześć, nie wiem, czy mnie pamiętasz, Adam.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedziała.

Zapadła głupia cisza. Żałowałem, że odebrałem to połączenie, nie miałem ochoty się z nią spotykać, już nie.

– No powiedz to w końcu. Co tym razem, obiad, kino, spacer? – zapytała zupełnie swobodnie, jakby rozmawiała z kimś, kogo świetnie zna.

– Właściwie... – zacząłem niemrawo. – Myślałem...

– Nic nie myśl – przerwała. – Przyjeźdź do mnie, nie mam zamiaru wstawać dzisiaj z łóżka. Czekam na ciebie.

Rozłączyła się i esemesem wysłała mi swój adres. Wiedziałem, jak to się może skończyć, jasno dała mi do zrozumienia, jaki będzie cel i przebieg mojej wizyty w jej domu. Mogłem się wycofać, ale nie zrobiłem tego. Pojechałem do niej w porze

lunchu. Chyba z czystej ciekawości, a może raczej ze strachu, że weźmie mnie za tchórza, gdy się u niej nie pojawię.

Mieszka w pięknym domu, w dość nieciekawym miejscu, na uboczu, niedaleko Lasku Łęgowskiego. Okolica nie ma nic wspólnego z luksusowymi osiedlami na przedmieściach, to raczej bagniste łąki z chaotycznie rozmieszczonymi betonowymi kubaturami wśród wysokich traw. Jej dom jest w trakcie prac wykończeniowych, z fabrycznymi nalepkami na oknach i błotem po kostki. Świeży, ale w bardziej zaawansowanym stanie niż sąsiednie budynki. Od parteru do wysokości pierwszego piętra położone są drewniane deski, powyżej świeży tynk, wokół posesji brakuje chodnika i siatki. Zaparkowałem na trawie zrytej przez koła aut. Wychodząc z samochodu, pobrudziłem buty. Dosłownie zalała je mazista glina. Przez moment zastanawiałem się, czy uda się je jeszcze doprowadzić do stanu użyteczności. Jednak kiedy wszedłem do domu Marty, zaraz się nimi zajęła. Śmiała się, maszerując z butami w rękach w stronę łazienki. Patrzyłem, jak jedwabny szlafrok ledwo zakrywa jej pośladki. Zniknęła za drzwiami i zaczęła czyścić buty nad sedesem. Odgłosy były podobne do tych, które poprzedniego dnia wydawałem maszynką w naszej łazience. Przypomniało mi to o Anicie, na przemian widziałem jej rozzłoszczoną minę i uśmiechniętą twarz Marty, która szła w moją stronę.

– Umyłam pod bieżącą wodą, są jak nowe.

Postawiła je na drewnianej półce, tuż obok swoich szpilek.

– Dzięki – odpowiedziałem, wciąż stojąc w przedpokoju.

– Kawy? – rzuciła przez ramię, wchodząc do salonu.

– Chętnie – odparłem, krocząc za nią.

Podobał mi się jej dom. Przestronny i słoneczny. Nie miałem wątpliwości, że za nietypowym wystrojem stoi wzięty designer. Wielkie betonowe kafle przytwierdzone metalowymi

nitami dodawały wnętrzu nowoczesności. Mnóstwo wyrzeźbionych w ścianie półek o futurystycznych kształtach sprawiało, że czułem się jak w jakiejś galerii modernistycznej. Była bogata, ciekawiło mnie, skąd ma tyle pieniędzy, ale głupio byłoby ją o to teraz pytać. Podeszła do ekspresu, a ja przez wielkie tarasowe drzwi patrzyłem na mojego stojącego przy drodze SUV-a, utaplanego w błocie zupełnie jak buty.

– Nie ma jeszcze asfaltowej drogi – powiedziała, zauważysz, że skupiam uwagę na samochodzie. – Ale za kilka miesięcy ma się to zmienić.

– Piękny masz dom – stwierdziłem, odwracając się w jej stronę.

– Dziękuję. Też go lubię.

– Jak długo tu mieszkasz?

– Od kilku miesięcy. – Wręczyła mi kawę.

Usiedliśmy przy kuchennym blacie. Postawiła między nami pudełko pierniczków.

– Sama piekłam – dodała.

Poczułem się jakoś tak dziwnie dobrze. Pachniało kawą i piernikami, co przywodziło mi na myśl dzieciństwo, święta, moją mamę. Mimo że od jej śmierci minęło dziesięć lat, wszystko, co mi ją przypomina, wywołuje we mnie dziwne uczucie pustki i osamotnienia. Umarła, nie zdążywszy poznać mojej żony. Przez dwa lata opiekowała się chorym tatą, a potem, po trzech miesiącach do niego dołączyła. Zbyt szybko. Chyba nigdy się z tym nie pogodzę.

– Nie lubisz?

Musiała wyczytać smutek z mojej twarzy. Oparła łokcie na blacie i pochyliła się w moją stronę. Wpatrywałem się w jej apetyczny biust i złotą koniczynkę wiszącą na łańcuszku między piersiami.

– Lubię – zaprzeczyłem, sięgając do pudełka.

– To dobrze, bo ja lubię piec. – Obdarzyła mnie uśmiechem. To też zupełnie inaczej niż moja żona. Anita nigdy nie piekła, czasem coś ugotowała, ale zawsze musiała być ku temu specjalna okazja, urodziny, imieniny, awans, zwykle niedzielne obiady to dla niej przeżytek minionej epoki. A tu codzienność pachnąca dzieciństwem. Uśmiechnięta twarz kobiety i rysujący się na niej spokój.

Za oknem przejechał samochód, równocześnie spojrzeliśmy w jego kierunku. A potem wstała i podeszła do mnie. Siedziałem na krześle barowym. Położyła mi ręce na udach i rozchyliła moje nogi, przybliżyła do mnie twarz, którą w tej pozycji miała na równi z moją. Przez moment patrzyliśmy sobie w oczy. Pomyślałem, że powinienem powiedzieć jej teraz o Anicie, jednak nie pozwoliła mi na to, kładąc swoje wargi na moich ustach. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Przenieśliśmy się do jej sypialni, gdzie obdarowała mnie potężną dawką rozkoszy. Seksem, którego dawno nie miałem. Starła się, była aktywna i zaangażowana, idealna kochanka, spełniająca pragnienia jeszcze przed ich wypowiedzeniem. Wróżka czytająca w myślach. Jej ciało nie było tak aksamitne i delikatne w dotyku jak skóra Anity, ale ogromny, wymykający się prawu grawitacji biust rekompensował różnice. Oddałem się jej, pozwoliłem, aby przejęła inicjatywę, chciałem się zapomnieć i tak też się stało.

Kiedy po wszystkim leżeliśmy obok siebie, wiedziałem, że już nic nie będzie takie samo. Gdy przekracza się pewne granice, łamie normy, które dotychczas wskazywały nam drogę, otwiera się nowy rozdział w życiu, zeszyt z czystymi kartkami, który będzie zapisywany nowymi historiami, ręką innego już człowieka. Spokojnie oddychała wtulona we mnie. Jeszcze tydzień temu nie wiedziałem o jej istnieniu, a teraz proszę,

mamy wspólną tajemnicę. Popatrzyłem na wielki zegar wiszący na ścianie, wyglądem imitujący starożytne zegary słoneczne, i zdałem sobie sprawę, że nie ma mnie w pracy dłużej niż godzinę. Przeprosiłem ją i wyszedłem do kuchni, żeby zadzwonić do Szymona. A potem zostałem u niej do wieczora, oddając się w jej władanie jeszcze kilka razy. Ta nieznajoma dziewczyna jednym popołudniem znokautowała całą moją uczciwość małżeńską.

W drodze powrotnej zahaczyłem o myjnię samochodową, bo SUV też zasłużył na chwilę rozkoszy. Poza tym nie miałem zamiaru tłumaczyć Anicie, skąd wzięło się błoto na zderzakach. Od tamtego czasu minęły prawie dwa tygodnie. Moja żona nie domyśla się, że ją zdradzam, i mam nadzieję, że nigdy się o tym nie dowie. Wpadam do Marty prawie codziennie. Czasem w porze lunchu, częściej jednak rano, przed pracą. Te dwie samotne dotychczas godziny wypełnia cudowny seks. Kupiłem telefon na kartę do kontaktów z nią. Wolę w tej kwestii być ostrożny. Trzymam go w schowku w samochodzie, poza zasięgiem wzroku Anity. Nie piszemy mejli, zbyt często się widzimy, by było to konieczne, jednak na wszelki wypadek zmieniłem hasło w laptopie. Nie boję się też, że nagle moja kochanka zapuka do drzwi mojego mieszkania, i nie chodzi tu o fakt, że nie wie, gdzie mieszkam. Po prostu takie zachowanie nie jest w jej stylu. Podejrzewam, że gdybym nawet powiedział jej o istnieniu żony – choć pewnie wcale nie muszę jej tego mówić, bo już się domyśliła – nadal chciałaby, abym do niej przyjeżdżał.

To zadziwiające, jak bardzo jej na mnie zależy. Jest atrakcyjną kobietą, bez trudu mogłaby znaleźć kogoś na stałe. Z niewiadomych względów wybrała jednak mnie, zdecydowała się na nasz luźny związek. Nie pytałem jej o to, a skoro sama nie mówi, najwidoczniej uważa, że nie jest to istotne. Dla mnie tym bardziej stan cywilny mojej tymczasowej ko-

chanki nie stanowi zagadki, którą chciałbym rozwikłać. Nic jej nie obiecuję, a ona niczego nie oczekuje. Myślałem, że takie kobiety nie istnieją. Dopóki jej to odpowiada, dopóki moja żona o niczym nie wie, nie mam zamiaru niczego w tej kwestii zmieniać. Sądzę, że mało który facet miałby odmienne zdanie. Nie czuję wyrzutów sumienia, wręcz przeciwnie, uważam, że Anita zasłużyła sobie na to. Gdyby nie była taką egoistką, nigdy nie szukałbym rozkoszy w ramionach innej.

Marta

Udało się. Uwiodłam go. Od razu wiedziałam, że nie będzie większych problemów, znam ten typ facetów na wylot. Przewidywalni i mało skomplikowani, zupełnie jak dzieci. Zaczęłam się na dole, w biurowcu jego firmy, tuż przed bramkami, przez które pracownicy przeciągają zawieszony u pasa smycze z kartami. Zawsze kojarzyło mi się to z liczeniem owiec przed wejściem na pastwisko i z powrotem. Robiłam tak już kilka razy – stając tyłem, wczytywałam się w tablicę informacyjną i miałam nadzieję, że w końcu nadarzy się odpowiednia okazja, żeby nawiązać z nim kontakt. Niestety zazwyczaj zbyt szybko przemierzał hol i wychodził na zewnątrz. Jednak wtedy szło ich kilku, jeden skręcił w stronę toalet i krzyknął do pozostałych:

– To do zobaczenia o dwudziestej w Scandalach!

Mogło chodzić o te na placu Nowym lub te przy Rynku, bardziej pasowali mi do pierwszej opcji. Nie myliłam się. Kilka minut po dwudziestej rozsiedli się przy barze, a ja zajęłam stolik z idealnym widokiem na nich. Musiałam wybrać odpowiedni moment, po drodze spławić kilku natrętnych podrywaczy, ale udało się, nie zawiodłam się na moich umiejętnościach.

Adam jest przystojny i dobry w łóżku. Na moje szczęście spędzanie z nim czasu nie będzie męczarnią. Nie mówię mu wiele o sobie, on też mi się nie zwierza. Na tym etapie naszej znajomości liczy się co innego niż konwersacja i wyjawianie sekretów. Układam sobie pracę tak, aby móc spotykać się z nim codziennie. Zazwyczaj wpada rano, czasem w południe, na szybki numererek. Właściwie oprócz seksu nic nas nie łączy.

Zupełnie mi to jednak wystarcza, bo trafiłam na prawdziwego ogiera. Czasem odnoszę wrażenie, że nie robił tego od wieków. Nie spotykamy się wieczorami i w weekendy, nie wychodzimy na miasto, choć mam nadzieję, że to się z czasem zmieni. Powiedział, że pracuje w dziale logistyki jakiejś firmy handlującej z zagranicą. Chyba ma dość wysokie stanowisko, skoro może z taką częstotliwością wpadać do mnie, kiedy tylko mu się zamarzy. Codziennie czymś go zaskakuję, żeby mu się nie znudziło. Znam się na gościach jego pokroju, trzeba trzymać rękę na pulsie i nie pozwolić, aby cokolwiek wymknęło się spod kontroli. Teraz, gdy mam go każdego dnia w łóżku, zbyt duża byłaby to strata przed osiągnięciem ostatecznego celu. Rzucamy się na siebie od progu. Każdy wykonuje swoje zadanie. W odgrywaniu przypisanych nam ról jesteśmy naprawdę świetni. Ja jestem stroną dominującą, a on mi się czule poddaje. Trwa to zbyt krótko, by coś więcej o nim powiedzieć, ale jest lepiej, niż się spodziewałam. Nie czuję do niego wstrętu, nie muszę udawać, a tego najbardziej się bałam, po prostu traktuję to jako czystą przyjemność. Zdaję sobie jednak sprawę, że każdy romans, choćby nie wiem jaki był cudowny na początku, ostatecznie zawsze prowadzi do katastrofy. W naszym wydaniu będzie to prawdziwy melodramat, a nawet więcej, przerażający thriller z trupem w tle.

Anita

Nikt nie wie, ile kosztuje mnie przekroczenie progu gabinetu ginekologicznego. Na samą myśl, że będę musiała znów pojawić się w amarantowej, głośniejszej poczekalni, robi mi się niedobrze. Kiedyś tak nie było. Na początku nawet nie zwracałam uwagi na takie drobiazgi jak kolor ścian czy ustawienie kwiatów na parapetach. Potem, gdy zaczęłam być tam stałym gościem, dostrzegałam każdy szczegół, łącznie z pękniętymi płytkami na podłodze i nowościami w kąciku czytelnicy. Siedziałam i czekałam na dobre wieści. Kilka razy byłam tam, sądząc, że zaszłam w ciążę. Nie robiłam testu, tylko jakieś dziesięć dni po owulacji biegłam do gabinetu, aby móc zobaczyć na ekranie tę małą kropeczkę, która jest moim dzieckiem. Jak dotąd nie doczekałam się tego obrazu. Zdążyłam jednak poznać wszystkie sekrety wnętrza poczekalni, godzinami wgapiając się w podłogę, ścianę bądź sufit. Dodatkowo recepcjonistki świetnie znają moje nazwisko i nigdy nie pytają mnie o tożsamość, jak robią to w przypadku innych przychodzących tu kobiet. Wizja kolejnej wizyty w tym mającym nieść radość soczystym, amarantowym wnętrzu przyprawia mnie o nagły bunt. Najlepiej, żeby wybuchła tam bomba, zmiotła z ziemi wszystko, co tak dobrze znam, abym mogła w nowym miejscu zacząć od początku, jakby przeszłość nigdy nie istniała. Nic takiego się jednak nie dzieje. Wciąż tam bywam, nieprzerwanie od miesiący jestem stałym gościem prywatnej kliniki ginekologicznej. To nic, że tym razem chodzi o rutynowe badanie, które codziennie wykonują tysiące kobiet na całym świecie i które nie ma nic wspólnego z niepłodnością, jest obowiązkowe dla wszystkich – ciężarnych, matek karmiących i pań po menopauzie. Nie zmienia to jednak mojego sa-

mopoczucia i faktu, że znów będę siedzieć w poczekalni i wpatrywać się w zbitą płytkę na podłodze przy wejściu do toalety. Muszę przekonać samą siebie, że nie mam na twarzy wypisanej informacji: od miesiący bezskutecznie staram się o dziecko.

Wczoraj byłam tam na cytologii. Wykonuję ją co roku, zawsze na początku wakacji, samodyscyplina to podstawa w wielu obszarach życia.

– Jak się pani czuje? – zapytała lekarka, wyrzucając gumowe rękawice do kosza na śmieci.

– Źle – odpowiedziałam.

Chodzę do niej od kilku lat. Ufam jej, zna mnie na wylot. Na początku związku z Adamem biegałam do niej po pigułki antykoncepcyjne, potem, jak zaczęliśmy się starać o dziecko, zajęła się moją płodnością. Jestem osobą niecierpliwą i w kwestii potomstwa także oczekiwałam szybkich rezultatów. Zapytałam ją, czy są jakieś metody przyspieszające poczęcie. Uśmiechnęła się i wygłosiła kazanie o tym, jakie to kobiety są zmienne. W jednym miesiącu chcą silnych środków antykoncepcyjnych, a w drugim proszą o coś przyspieszającego zajście w ciążę. Dodała, że nie dziwi się, iż mężczyźni nie potrafią czasem nadażyć za tokiem myślenia swoich partnerek, ona sama czasem gubi się w pragnieniach i potrzebach pacjentek. Obiecała jednak, że coś wymyślimy. Na początek zaproponowała monitoring cyklu.

Kilka dni później leżałam na kozetce, z sondą pomiędzy nogami, i wpatrywałam się z zaciekawieniem w obraz moich jajników na monitorze jakiegoś nieznanego mi urządzenia. Lekarka coś klikała, obrazy przeskakiwały i drukowały się małe zdjęcia. Zupełnie jak te fotki z USG, którymi chwalą się dziewczyny, prezentując mały punkcik jako swoje przyszłe dziecko. Niemal czułam, że niebawem to stanie się także moim udziałem.

łem. Powiedziała, że proponuje zastrzyki z Pregnylu na pęknięcie pęcherzyków i że to powinno przyspieszyć poczęcie. Zgodziłam się. Próbowaliśmy już prawie wszystkiego, zmienialiśmy leki, robiliśmy szczegółowe badania, ale jak do tej pory oczekiwany rezultat jest nadal poza moim zasięgiem.

– A nawet bardzo źle – dodałam.

Spojrzała na mnie, ale się nie odezwała. Pobrany materiał schowała do specjalnego pudełeczka, opisała je i wrzuciła do korytka z podobnymi próbkami innych pacjentek.

– Trzeba być dobrej myśli – powiedziała. – Niech się teraz pani przeniesie na kozetkę. – Podała mi rękę, aby było mi łatwiej zeskoczyć z fotela ginekologicznego.

Posłusznie przeniosłam się na leżankę, bez słowa zrobiła mi zastrzyk z Pregnylu i krzepiąco poklepała po ramieniu. Potem wstała, zostawiając mnie samą za turkusowym przepierzeniem. Piszcząc kółkami, podsunęła się na krzesło do biurka. Zakryłam uszy, chcąc uciec od tego przeraźliwego dźwięku. Po chwili ubrałam się i siadłam naprzeciwko niej.

– Staram się, ale to bardzo trudne. – Chciałam wrócić do przerwanej rozmowy.

Chętnie powiedziałabym jej całą prawdę, że to mnie wykańcza, że mam serdecznie dość wszystkiego, nienawidzę siebie, swojej bezsilności i bezpłodności. Potrafiłam jednak tylko patrzeć, jak spod jej ręki wychodzą kolejne linijki tekstu, który zapisuje w mojej kartotece.

– Znam pary, które starały się dłużej od państwa i się udało. Trochę cierpliwości. – Spojrzała na mnie. – A jak znosi to pani mąż?

– Pff – wypuściłam powietrze. – Mam wrażenie, że coraz mniej mu już na tym zależy. Więcej nas dzieli, niż łączy.

Popatrzyła na mnie znad modnych okularów.

– Wszystko się z czasem zmieni – zapewniła, siląc się na uśmiech.

Jest młoda, na oko w moim wieku. Wielokrotnie zastanawiałam się, czy ma dzieci, jednak nigdy nie odważyłam zadać jej tego pytania.

– Wyniki cytologii powinny być w przyszłym tygodniu – odezwała się, chowając kartę do białej koperty opatrzonej moim nazwiskiem. – Jeśli wszystko będzie bez zastrzeżeń, nie zadzwonimy, jeśli potrzebne będzie leczenie, ktoś z recepcji się do pani odezwie.

– Dziękuję – powiedziałam.

Wstała i podała mi rękę. Często tak robi, wyciąga do mnie rękę, pewnie wykonuje ten gest wobec wszystkich pacjentek, ale za każdym razem jakoś to mnie ujmuje. Opiekuńcza, cierpliwa i oddana swoim pacjentkom, nie mogłam lepiej trafić.

– Do widzenia. – Nacisnęła klawiskę.

– Do widzenia – odparłam.

– Pani Anna! – krzyknęła, wychylając się za drzwi.

Młoda dziewczyna potrąciła mnie ramieniem i nie przeprosiwszy, zniknęła za drzwiami jej gabinetu. Zapłaciłam i już kierowałam się do wyjścia, gdy usłyszałam moje imię.

– Anita!

Odwróciłam się i zobaczyłam dziewczynę, którą znałam z poczekalni. Nie pamiętałam, jak się nazywa, ale wielokrotnie rozmawialiśmy, czekając w kolejce. Tak jak ja od wielu miesięcy starała się o dziecko. Dawno się nie widziałyśmy i teraz nie dało się ukryć, że się doczekała. Stała przede mną z wielkim brzuchem.

W pierwszym momencie poczułam ukłucie zazdrości. Znów kolejna znalazła się po szczęśliwej stronie życia, ale to ponownie nie ja. Podeszła do mnie i objęła za szyję.

– Zapomniała pani zabrać wydruk KTG! – krzyknęła recepcjonistka.

– Nic nie mów, poczekaj na mnie chwilę – wyszeptała do mojego ucha przyszła mama, dotykając mnie przez moment ciężarnym brzuchem.

Nie miałam ochoty z nią rozmawiać, tym bardziej że było już późno, ale ostatecznie pozwoliłam się jej wygadać. Odwróciła się, poczłapała krokiem kwoki do recepcjonistki, odebrała od niej długi wydruk, zwinęła go w rulon i za chwilę znów przy mnie stała.

– Chodźmy na kawę – zaproponowała. – Wiem, co czujesz – powiedziała, gdy wyszliśmy na ulicę. – Miałam to samo za każdym razem, gdy spotykałam którąś z nas z brzuchem.

Nie odzywałam się, czekałam, aż wyrzuci z siebie wszystko, co skrywała od miesięcy przed całym światem. Mówiła dokładnie to, co ja czułam teraz, rozumiałyśmy się idealnie. Nie musiałam się wysilać na werbalizację własnych myśli, ona zrobiła to za mnie. Usiadłyśmy w pobliskiej kawiarni. Zaczęłam płakać. Pozwoliłam sobie przy niej na chwilę słabości, przy obcej dziewczynie byłam sobą, łzy ciekły mi po policzkach, a ona trzymała mnie za rękę. Kompletna żenada.

– Wam też się uda. Zobaczysz. Popatrz na mnie. To się stało zupełnie niespodziewanie, już dawno straciłam nadzieję i nagle, gdy tylko zajęłam się przeprowadzką do nowego domu i po czterech latach zapomniałam patrzeć w kalendarzyk i mierzyć temperaturę, okazało się, że jestem w ciąży. Nie do wiary, ale to naprawdę działa! Z poczęciem, miłością i szczęściem jest zupełnie tak jak z kotami: przychodzą do ciebie, gdy nie zwracasz na nie uwagi. Poza tym – ugryzła przyozdobiony kolorową posypką rogalik – czekanie na dziecko to o wiele lepsza sytuacja, niż jego utrata.

I opowiedziała mi historię jednej z dziewczyn z poczekalni, która nie donosiła ciąży. Mimo prób podtrzymywania i tygodni spędzonych w szpitalu nie udało się.

– Widziałam się z nią kilka dni po dobrej nowinie – mówiła. – Wciąż zachwycała się bijącym serduszkiem, miała nagrany film na komórce, a potem tak fatalnie się to dla niej skończyło. Słyszałam, że leczy się psychiatrycznie. – Popatrzyła na mnie ze współczuciem w oczach. Miała rację. Utrata dziecka jest znacznie gorszym doświadczeniem. Nie potrafiłam nawet wyobrazić sobie bólu, który musi zalewać wewnątrz zranionej matki, utrudniając każdy oddech, ruch ciała, przepływ myśli. Wtedy uzmysłowiłam sobie, że nigdy nie ukradłabym dziecka, i to nie dlatego, że to nielegalne i groziłoby mi za to więzienie, i nie dlatego, że bałabym się zemsty losu, nie wierzę w prawo ósemki, ale dlatego, że nie mogłabym zrobić tego innej kobiecie. Od tej fatalnej niedzieli, gdy trzymałam w rękach to maleństwo, myśl o porwaniu nigdy nie powtórzyła się w mojej głowie, była pomyłką, błędnym zapisem pod wpływem nagłego, silnego impulsu. Od zawsze wiedziałam, że nie muszę kraść dziecka, mogę zdobyć je przez adopcję, legalnie, nie potrzebuję wchodzić w konflikt z prawem, by spełnić marzenia. Jednak w tym momencie ta informacja zdawała mi się już zupełnie niepotrzebna. Miałam nową silną nadzieję na poczęcie, potwierdzoną przykładem ciężarnej dziewczyny, która właśnie z sympatią się we mnie wpatrywała.

Eryk

Mam pewne obawy co do tego Rubensa. W kościele Świętego Tomasza, w którym prowadzę prace restauratorskie, znajdują się kopie obu obrazów. Oryginały przechowywane są w Galerii Narodowej. Nie pytam o to Mileny, ale jestem pewien, że nie dostałem roboty w kościele przypadkiem. Jej zleceniodawca chciał, abym zaczął tam pracować, ponieważ miał już plany wobec tych obrazów, a ja okazałem się potrzebnym do ich realizacji narzędziem. Nie wiem, jak to załatwił, ale pewnego dnia dostałem telefon od kierownika grupy konserwującej sztukę sakralną z prośbą o moje portfolio. Co prawda ogłaszałem się na kilku portalach dla konserwatorów zabytków, ale od miesiący nie było odzewu i jestem pewien, że nadal by nie było, gdyby nie to specjalne zamówienie. Być może powinienem się temu przyjrzeć, przepytac Milenę, ale potrzebuję zarówno pieniędzy, jak i doświadczenia. Konserwacja zabytków w trzynastowiecznym kościele to marzenie wielu artystów, grzech się z tego wycofać. Nie ma ryzyka, nie ma szampana. W dni, w które pracuję, zostaję w kościele do późna, do czasu, aż wszyscy wyjdą. Oba obrazy znajdują się w ołtarzu głównym, jeden nad drugim. Od trzech tygodni w świetle księżyca i lamp punktowych skrupulatnie tworzę ich wierne kopie.

Anita

– Słucham? – Przeczywałam, z czym dzwonią, widząc na wyświetlaczu numer przychodni ginekologicznej.

– Dzień dobry, pani Rozwada?

– Tak. – A kogo się spodziewali?, dodałam w myślach.

– Przyszły wyniki cytologii, drugi stopień według Papanicolaou, zbyt liczne histiocyty, trzeba podejść po receptę, pani doktor sugeruje, że jak najszybciej, najlepiej jeszcze dziś.

– Oczywiście. Będę – odpowiedziałam.

– Recepta będzie czekała na panią w recepcji.

Dwie godziny później otyła sekretarka wręczyła mi świstek bez słowa, nawet na moment nie przerywając rozmowy przez telefon. Nie rozglądałam się po poczekalni, wyszłam szybko, unikając przypadkowej, niechcianej konfrontacji z przewrotnym losem. Brzuchate kobiety były ostatnie na liście widoków, które miałam ochotę oglądać.

Po wyjściu na ulicę przeczytałam uważnie kartkę z wynikami badań i ucieszyłam się, że to nic poważnego. Wiele razy miałam drugi stopień. Kilkudniowa terapia i po problemie. Wracając do domu, zrealizowałam receptę i kupiłam sushi na Karmelickiej, podwójny zestaw, na wynos. A u ulicznej handlarki pod Bagatelą pięć złotych wymieniłam na bukiet polnych kwiatów.

Dochodzę do wniosku, że nie potrafię długo się na niego gniewać. Wiem, że gdyby chociaż jedno z nas było bardziej zawzięte, już dawno byśmy się rozwiedli. A tak, mimo upadków, wciąż coś nas do siebie ciągnie. Jego postawa w stylu „nie dbam o to” raz przyprawia mnie o wściekłość, a znów innym razem przywodzi na myśl zawadiackiego chłopaka, w którym

się zakochałam. Sama nie wiem, co tak naprawdę do niego czuję.

Dzisiaj wspominałam naszą podróż poślubną. Cudowne plaże, spanie do południa, koktajle ze świeżych owoców, seks w oceanie. Stać nas, aby to powtórzyć, pojechać znów w te same miejsca, szlakiem wspomnień, na koniec świata. Mogłabym mu to zaproponować, spróbować choć na chwilę zapomnieć o dziecku. Miałam nawet plan, że tak właśnie zrobię. Otworzymy swoje boksy z sushi i zapytam, co o tym myśli. Jednak, gdy wróciłam po osiemnastej, nie było go w domu. Czekałam do dwudziestej, po czym otworzyłam swoje pudełko, zjadłam jego zawartość i położyłam się do łóżka. Jeżdżąc po nocnej Pradze, czułam się zupełnie pusta w środku, ulotniły się cały zapach i chęć zmian. Znów nie byłam w stanie się ruszać, zebrać myśli i złożyć ich w słowa. Gdy wrócił po dwudziestej pierwszej, udałam, że śpię.

Adam

>Dziś po raz pierwszy miałem wyrzuty sumienia. Zasiedziałem się u Marty, a gdy wróciłem, Anita już spała. Na stole w kuchni leżał zestaw sushi, drugie, puste pudełko znalazłem w koszu. Zrobiła to dla mnie, wyszła z domu, pojechała aż do centrum, do lokalu, w którym kiedyś zwykliśmy jadać sushi, aby kupić je dla nas na kolację. Rozejrzałem się po kuchni, już dawno nie panował tu taki porządek. Brudne naczynia zniknęły ze zlewu, blat błyszczał jak dawniej, w końcu posprzątała. Zajrzałem do pokoju, spała, nie chciałem jej budzić. Wykąpałem się i usiadłem przy stole. Nie byłem głodny, przed wyjściem od Marty zjadłem lazanię. Sama ją przygotowała, zero półproduktów, wszystko świeże, kupione w sklepie włoskim na Starym Kleparzu. Obserwowałem, jak krząta się po kuchni. Jej króciutki szlafrok nie zakrywał prawie niczego, rozchyłał się w okolicach dekoltu i podnosił przy każdym kucnięciu. Miałem wrażenie, że robi to specjalnie, aby mnie sprovokować, podniecić. Udawałem, że mnie to nie rusza, oparłem się o blat jej kuchennej wyspy i przerzucałem strony w telefonie. Widziałem, że kontrolnie zerka w moją stronę, wkurzało ją, że mnie nie bierze. A ja się świetnie przy tym bawiłem. Naprawdę dziewczyna się stara, czasem aż mnie to dziwi. Czy naprawdę jestem tak atrakcyjny, czy może jednak to wszystko ma jakieś drugie dno? Widząc, że na nią nie reaguję, podeszła do mnie i objęła mnie w pasie.

– Mam pół godziny dla ciebie – powiedziała. – Piekarnik sam się wyłączy.

Odłożyłem telefon i popatrzyłem jej w oczy. Złapała moją dłoń i wsunęła ją pod szlafrok. Uśmiechnąłem się.

– Przecież przed chwilą skończyliśmy.

– No to co? Nie mów, że nie masz ochoty na więcej.

Miałem. Czas spędzony u niej wykorzystuję nadzwyczaj efektywnie. Jestem pewien, że gdybym ją wtedy poprosił, zatańczyłaby dla mnie na rurze, wykorzystując do tego kręcone schody na górę. Zamiast tego zadowolilem się jej niezwykłą kreatywnością. I kiedy ona starała się wprowadzić w życie swoją kolejną fantazję seksualną, a rozgrzany piekarnik odliczał czas naszej zabawy, Anita siedziała przy stole, czekając na mnie. Parszywy ze mnie gnojek.

Ukryłem twarz w dłoniach. Kiedyś to się zawali, przecież taki stan nie będzie mógł trwać wiecznie. Nie dam rady prowadzić podwójnego życia, albo mi się znudzi, albo któraś z nich dowie się o drugiej, w najgorszym przypadku wszystko zdarzy się naraz.

Nie kocham Marty i nie sądzę, abym kiedykolwiek był w stanie ją pokochać. Obiektywnie rzecz biorąc, ma wszystko, jest hojnie obdarzona przez naturę, uśmiechnięta, bogata, bezproblemowa, ale... właśnie, to ale. Potrzebuję czegoś więcej, czegoś, co może dać mi wyłącznie moja żona. Trudno to nazwać, ale tylko ona naprawdę potrafi mnie uszczęśliwić. Z żadną inną nie było mi tak dobrze i nie chodzi o seks, tylko o całokształt.

Trudno to precyzyjnie wytłumaczyć, po prostu tylko ją kochałem i chyba mimo wszystko nadal kocham. Wciąż jestem od niej uzależniony jak od narkotyków, jak od wódki – chociaż wiesz, że ci szkodzą, coś cię do nich ciągnie i nie umiesz się temu przeciwstawić. Nie potrafię już być z nią blisko, nie wiem już, jak z nią rozmawiać, ale na niej jednej mi nadal zależy. Nasze relacje są totalnie popieprzone.

Wstałem, poszedłem do sypialni i kucnąłem przy łóżku. Przyglądałem się jej twarzy, regularnym rysom, długim, czar-

nym rzęsom i okalającym ją niczym aureola jasnym włosom. Naprawdę mam piękną żonę. Pogłaskałem ją po głowie, przez jej twarz przebiegł delikatny grymas, ale się nie obudziła. Nagle zapragnąłem się z nią kochać, kiedyś często zaskakiwałem ją moją pilną potrzebą w środku nocy i zawsze jej się to podobało. Nachyliłem się i pocałowałem ją w usta, drgnęła. Zacząłem zsuwać z niej kołdrę, otworzyła oczy.

– Pragnę cię – odważyłem się na szczerość.

– Adam – wyszeptała. Wskoczyłem na nią.

– Przestań – obruszyła się.

– Spokojnie. – Byłem już bardzo podniecony.

– Nie mogę, nie teraz. – Odpierała mój dotyk.

– Nie myśl o niczym, nieważne, który dziś mamy dzień, nie dbam o to.

– Nie.

Odpychając mnie, usiadła na łóżku.

– Nie dziś, musiałam zaaplikować czopek.

– Jaki czopek? – Popatrzyłem na nią.

– Odebrałam wyniki cytologii, nic poważnego, ale muszę przez tydzień przyjmować leki dopochwowo.

Czar przysł. Nie wiem, czy mówiła prawdę, w tej chwili nie miało to już żadnego znaczenia. Wstałem i wyszedłem z sypialni. I wtedy to zobaczyłem. Świeże kwiaty w wazonie. A więc to tak. Dostała je od niego, tego dupka z góry, być może tu był, to dlatego posprzątała mieszkanie. Nie przewidziała tylko jednego – że biedaczek jest uczulony na sushi. Stąd drugi boks stał nietknięty. Mogła wymyślić jakąś lepszą wymówkę niż ta obrzydliwa historia z czopkiem. Zawsze miała taką bujną wyobraźnię, ale widać już nawet na to nie zasługuje.

Anita

Od kilku dni okropnie boli mnie głowa. Dziś jednak dolegliwość osiągnęła apogeum. Chodzę od rana po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Dlaczego to wszystko jest takie trudne? Dlaczego nie mogę pójść do pracy, zapomnieć o moim życiu, a potem wrócić do domu i zapomnieć o pracy? Tak jak robią to miliony ludzi na świecie.

Wczoraj ze współpracy ze mną zrezygnował jeden z długoletnich klientów. Byłam w szoku, czytając jego mejla. Nie jestem w stanie przyjąć teraz kolejnej porażki, nie w momencie, gdy moje życie osobiste legło w gruzach. Wzięłam się w garść, odszukałam jego telefon i zadzwoniłam. Nie poznawałam siebie, prosiłam, żeby został, zaproponowałam mu niższe stawki, o wiele niższe. Zgodził się, nie wiem na jak długo, ale na razie nadal należy do mnie. Mam nadzieję, że nie opowie o tej rozmowie innym moim klientom, którzy nagle zechcą pójść za jego przykładem. To raczej niemożliwe, nie wiedzą przecież o swoim istnieniu. Mimo wszystko czułam się jednak przegrana.

W przypiływie desperacji wybrałam się do Pragi. Jeździłam ponad godzinę bez celu po mieście w oczekiwaniu na Zo.

Znów padał deszcz, martwiłam się, że go nie zobaczę. Jednak na szczęście stał z Rudą pod daszkiem, całowali się na moich oczach. Jego dłonie obejmowały jej twarz, byłam zazdrosna. A potem zrobiłam z siebie pośmiewisko. Wyszłam z domu w tej biało-czarnej pelerynie i kaloszach. Na skąpane w słońcu ulice. Dzieci grające w klasy na dole wybuchły śmiechem, przyciągając spojrzenia przechodniów. Wyglądałam jak komik szykujący się do ulicznego przedstawienia, jestem

pewna, że gdybym miała w ręce kapelusz, ktoś wrzuciłby do niego kilka monet. Wycofałam się z powrotem do kamienicy i wróciłam do mieszkania. Po przedpołudniu spędzonym w Pradze byłam pewna, że u nas też pada. Czasem nie wiem, w którym świecie żyję.

Poza tym ostatnio dzieje się coś dziwnego. Nie chodzi tylko o te agresywne zachowania czy bluzganie na każdym kroku, ale również o to, że znajduję w swoich rzeczach przedmioty, które nie są moje. Na przykład nie wiem, skąd w mojej kosmetyczce wziął się nowy zestaw cieni do powiek. Po prostu nie pamiętam, kiedy go kupiłam, jestem też pewna, że od nikogo go nie dostałam. Nie należy do mnie. To samo z ubraniami – ostatnio natknęłam się na kolorowe legginsy, nie gustuję w pstrokatych motywach, nigdy bym ich nie wybrała, nie są w moim stylu. Nie mówię o tym Adamowi, nie chcę wyjść przed nim na świruskę. Prawie w ogóle nie wychodzę z domu, tylko na chwilę do sklepu na dole. Dłużej nie było mnie tylko w ostatnią środę, gdy poszłam po receptę na czopki, ale trwało to tylko dwie godziny i po drodze nigdzie się nie zatrzymywałam. Po ostatniej akcji w galerii nie chodzę po sklepach, nie robię też zakupów przez internet, więc skąd te przedmioty wzięły się w moich rzeczach?

Nie mam pewności, ale podejrzewam, że to Adam mnie wkręca. Chce zrobić ze mnie psychopatkę i specjalnie podrzuca mi te rzeczy, żebym myślała, że zwariowałam. Chyba chce się mnie pozbyć ze swojego życia. Sama nie wiem. A może to wszystko tylko mi się wydaje?

Marta

Przez kilka dni zastanawiałam się, czy nie wrobić go w dziecko. Gdy się kochamy, zawsze używamy prezerwatyw, ale to tylko w celu zabezpieczenia się przed chorobami. Oprócz tego stosuję antykoncepcję hormonalną. Jednak nie chciałabym przez przypadek znaleźć się w niewygodnym położeniu. Przede wszystkim, nie wiem, jak w takiej sytuacji miałabym mu wmówić, że jestem w ciąży, a poza tym sama nie jestem gotowa na podjęcie takiego ryzyka. Nie mam zamiaru zarazić się czymś nieuleczalnym, skąd mam wiedzieć, z kim do tej pory sypiał. Ale problem techniczny nie jest tu najtrudniejszy. Być może mogłabym zaryzykować, okłamać go, że właśnie ku mojemu zaskoczeniu opakowanie z gumkami okazało się puste. Gdyby był bardzo podniecony, to kto wie. Tak naprawdę jednak chodzi o to, że nie byłabym w stanie mu tego powiedzieć. Nawet gdybym się złamała, raz poświęciła bezpieczeństwo dla udanego fortelu, nie potrafiłabym wydusić z siebie tych słów. Zdanie: „Jestem w ciąży” już kiedyś padło z moich ust, wciąż mam to w pamięci, i jest zbyt mocne, by je przywoływać, by na nowo wypowiadać je na głos. Chociaż wiem, że byłaby to wiadomość, która ścięłaby go z nóg, rozwaliała całe jego dotychczasowe życie. Do końca nie jestem w stanie przewidzieć, jak zareagowałby na tę informację, ale wiem, że mogłabym go potem łatwo nią szantażować. Manipulować nim w dowolny sposób. I chociaż takie rozwiązanie jest kuszące, mimo wszystko się na to nie zdecyduję.

Ostatnio kiepsko sypiam. Chyba zbyt mocno się angażuję. Snucie planów, szczegółowe wizje przyszłych wydarzeń, to wszystko wypełnia mi czas przed snem, który potem długo nie chce nadejść. Muszę zażyć proszek, żeby w końcu zasnąć. Na-

stępnego dnia w pracy jestem zmęczona, rozkojarzona, a nie mogę sobie na to pozwolić, nie w moim zawodzie. Ten romans powoli mnie nuży, muszę jednak jeszcze trochę wytrzymać. Terminy są bardzo ważne, a ten, który zapoczątkuje koniec wszystkiego, nie zależy ode mnie, ściśle wiąże się za to z moją przeszłością.

Anita

Wkurzyłam się, naprawdę byłam wściekła. W piątek, chwilę przed dwunastą rozłożyłam się na łóżku z laptopem. W rękach koktajl truskawkowy, w miseczce kandyzowany imbir, a w środku cudowne podniecenie, że za chwilę go zobaczę. Tylko ta myśl pozwoliła mi przeżyć środę i czwartek. Odliczać dwadzieścia cztery, czterdzieści osiem i w końcu siedemdziesiąt dwie godziny dzielące mnie od niego. Cudowne oczekiwanie, napięcie rośnie, emocje sięgają zenitu. Wchodzę na stronę i co widzę? Informację, że tramwaj stoi w zajezdni. Początkowo nie wiedziałam, o co chodzi, zdjęcia torów i jakieś niezrozumiałe czeskie wyrazy: *Mazací tramvaj je v depu*. Kiedy przetłumaczyłam to w Google'u, myślałam, że wyrzucę laptop przez okno. Co oni sobie wyobrażają? Nie miał kiedy zjeżdżać do zajezdni? Nie wiedzą, że jest piątek i przez cały weekend będę musiała czekać na Zo? Wczoraj i przedwczoraj jeździł bez sensu po mieście, a kiedy naprawdę go potrzebuję, robi sobie przerwę. Kipiałam ze złości. Nerwowo zaciskałam pięści, patrząc, jak minutnik przesuwają się coraz bliżej jedenastej pięćdziesiąt pięć. Do ostatniej chwili liczyłam, że wypuszczą tramwaj i zdążę zobaczyć się z Zo, ale zakpili sobie ze mnie. Do trzynastej nie ruszył się z miejsca. A potem jeździł po zadupiu, po odległych blokowiskach, na które, jestem pewna, Zo nigdy nie zagląda.

Do wieczora byłam rozbita. Adam jak zwykle nie wracał. Ostatnio coraz częściej przychodzi po dwudziestej, a nawet bliżej dwudziestej pierwszej. Nie tłumaczy się, ja też nie pytam. Wygląda na bardzo zmęczonego, na jego miejscu już dawno podpaliłabym biurowiec.

Przed dziewiętnastą zeszłam na dół do sklepu. Naszła mnie ochota na ogórki kiszone. Nigdy wcześniej nie miałam takich zachcianek smakowych, przez moment pomyślałam nawet, że może jednak. Na forach dla ciężarnych dziewczyny wymieniają się informacjami, co, z czym i o której jadły w przypiływie nagłych kaprysów. Śledzie z dżemem, musztarda z cukrem i jeszcze inne przyprawiające o mdłości kompozycje. Ja miałam ochotę na ogórki kiszone, bez niczego, po prostu. Na dole minęłam się w drzwiach z tym popaprańcem spod szóstki. Ostatnio przestał hałasować. Może z rzeźby przerzucił się na rysunek, bo rzeczywiście nie brudzi już w windzie, albo wziął sobie do serca sugestie niezadowolonych sąsiadów, łącznie z czworonożnymi mieszkańcami naszej kamienicy. Wracając, pomyślałam, że posiedzę trochę na ławce w pasie zieleni na Dietla. Tak rzadko wychodzę z domu, czasem mi tego brakuje. Okazało się to jednak dla mnie za trudne i na pewno nie przypominało relaksu. Męczył mnie hałas ulicy, klaksony samochodów, nie zdążyłam nawet przejść na drugą stronę, gdy zdecydowałam się wrócić do mieszkania. Leżałam w łóżku, czekając na powrót Adama. Potrzebowałam go. Chociaż na zewnątrz miałam grubą i nieprzepuszczalną warstwę skóry, to w środku umierałam z tęsknoty za nim. Już dawno wybaczyłam mu gwałt, nie dochodziłam, dlaczego zmienił hasło w laptopie, po prostu chciałam, żeby mnie przytulił.

Wrócił chwilę przed dwudziestą. Słyszałam, jak otwiera drzwi, a potem zdejmuje spodnie w łazience. Zachowywał się bardzo cicho, pewnie myślał, że śpię. Jednak mimo usilnych starań sprzączką od paska uderzył o płytki. Westchnęłam głośno, poruszając się na łóżku i sygnalizując, że mnie obudził. Ale nie przyszedł do sypialni. Obserwując przedpokój przez uchylone drzwi, zobaczyłam, jak w samych bokserkach przechodzi z łazienki do kuchni. Wciąż jest przystojny i seksowny.

Poczułam jeszcze większą pustkę, uświadomiwszy sobie, że teraz to on podnieca mnie bardziej niż ja jego.

Adam

Zawsze wydawało mi się, że zakazane przyjemności muszą nas drogo kosztować. Nic bardziej mylnego. Nie mogłem lepiej trafić. Ona zapewnia nam wszystko. Mieszkanie, luksusową pościel, dobrą kuchnię i niezapomnianą zabawę. Jednak w moim przypadku to nie wizja niekontrolowanego odpływu gotówki stała wcześniej na przeszkodzie spróbowania, czym pachnie niewierność. Po prostu nigdy nie miałem okazji. Nie, ujmę to inaczej, okazje miałem, ale mnie nie interesowały, zbyt szczęśliwy czułem się w swoim małżeństwie, by zapragnąć wyjść poza jego ścisły krąg.

Otaczały mnie też złe przykłady, niezachęcające do niewierności. Nielojalność kończąca się porażką. Marek, kolega z działu, który wplątał się w głupi romans ze stażystką, po pół roku był totalnie splukany. Bilans kompletnie niekorzystny: rozwodnik z wysokimi alimentami, bez żony i bez kochanki, która ulotniła się wraz ze spadkiem wydolności finansowej sponsora. Bolesnie przejechał się na swojej niewierności. Choć z perspektywy czasu uważam, że w dużej mierze sam był sobie winien. Nie zachował należytej ostrożności. Co kilka dni zabierał dziewczynę do hotelu, często jedli razem na mieście, kupował jej drogą biżuterię i bieliznę, zupełnie stracił dla niej głowę. I za każdym razem bezmyślnie zostawiał po sobie ślad, za wszystko płacąc kartą. Nie przewidział, że do historii transakcji miała dostęp jego żona. Nie potrafił się wytłumaczyć z nadprogramowych wydatków. U mnie ten problem nie istnieje. Za nic nie płacę kartą, w ogóle nie wydaję na Martę pieniędzy. We wszystkim można być perfekcjonistą – ja mam licencję na zdradzanie.

Kilka dni temu wpadłem do niej po południu. Zrezygnowałem z przerwy na lunch i wyszedłem z pracy o godzinę wcześniej. Gdy podjechałem przed dom, jeszcze jej nie było. Prosiła, żebym poczekał. Po chwili na drogę wjechało czerwone porsche cayenne. Zaparkowała przed nowo postawioną bramą, wysiadła, ostrożnie stawiając kroki pomiędzy błotnistymi śladami opon. Obserwowałem ją, wciąż siedząc w aucie, a ona machnęła do mnie, szukając w torbie kluczy. Wysiadłem. Idąc w jej stronę, wyobrażałem sobie, że jesteście rodziną. Mężem i żoną w pachnącym nowością wspólnym gniazdku. Od progu zaczęła mnie rozbierać. Pośpiesznie, gwałtownie, jakbyśmy mieli mało czasu, choć uprzedziłem, że zostanę do wieczora. Podoba mi się jej zapał i podnieca ta aura utrzymywania wszystkiego w tajemnicy.

Kochaliśmy się w przedpokoju, opierając o gustowną komodę, a potem usiedliśmy na wygodnej kanapie w salonie. Powiedziała, że napiłaby się czegoś. Podeszedłem do kuchennej biblioteczki i przez moment studiowałem tytuły na grzbietach, szukając poradnika dla barmanów. Stała tam cała masa książek kucharskich, od zup po wytworne desery. Przez myśl przemknęło mi przypuszczenie, że może zajmuje się tym zawodowo. Podeszła do mnie i objęła od tyłu. Mimowolnie się wyprężyłem, gdy jej ciepłe dłonie gładziły moje mięśnie brzucha. Otworzyłem barek i zapytałem, na co ma ochotę, a ona oświadczyła, że zadowolony się wszystkim, co wyjdzie spod mojej ręki. Po raz kolejny polechtała moje ego. Cokolwiek zrobię, ona jest wniebowzięta. Anity nic już nie zadowalało, ani seks, ani drinki, ani nic innego. A tutaj zupełny luz. Zrozumiałem, że świadomość zadowalania swojej kobiety w jakiegokolwiek kwestii jest dla mężczyzny bardzo ważna.

Przygotowałem zubrówkę z sokiem jabłkowym i wrzuciłem po dwie kostki lodu do każdej ze szklanek. Mogłem sobie pozwolić na lekkiego drinka, miałem zamiar posiedzieć u niej

jeszcze dobrych kilka godzin. Sączyła trunek, opierając głowę o moje ramię. Patrzyliśmy razem w przestrzeń za oknem. Powoli zaczęło się ściemniać. Pokój spowiła aura tajemniczości, przyroda sama zrobiła nam nastrój. Odstawiła szklaneczkę na blat stolika, siadła na mnie okrakiem i zaczęła rozpinąć guziki koszuli. Po chwili jej dłonie wędrowały wzdłuż mojego tułowia.

– No chodź. – Szarpnęła mnie za rękę w stronę sypialni.

Znów się kochaliśmy. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że nie wrócę na noc do domu. Drzewa za oknem rzucały ruchome cienie na suficie, a ona unosiła się nade mną równo i energicznie. Było mi dobrze. Cierpki smak alkoholu w ustach i jej piersi pełniejsze niż kiedykolwiek. Zamknąłem oczy, głośno wpadając w krainę rozkoszy.

Mimo wszystko nie zdecydowałem się zostać u niej do rana. Nie miałem ochoty na pytania Anity, konfrontację z jej podejrzliwością i inteligencją. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałem, była awantura.

Anita

Od trzech dni nie mogę wstać z łóżka. To, czego się dowiedziałam, pozbawiło mnie sił witalnych. Wypaliło gigantyczną dziurę w głowie, tworząc pustą przestrzeń dla najczarniejszych myśli i skrajnej rozpacz.

Z trudem odpalam laptop, robię to tylko po to, aby popatrzeć na Zo. Nie umiem zabrać się do pracy. Wzięłam sobie urlop, w końcu kiedyś musi mi się należeć, a wiem, że w tym roku i tak z Adamem nigdzie nie pojedziemy.

Patrzę na zmieniający się krajobraz za szybą praskiej kamery. Ludzie chodzą ulicami, czekają na światłach, przyglądają się wystawom sklepowym, nieświadomi tego, co dzieje się w mojej głowie. Chciałabym być którymś z tych przechodniów, daleko od moich osobistych problemów. Najlepiej tą dziewczyną z wózkiem, czekającą właśnie na zielone światło.

Czuję, jak każde włókno mojego ciała kurczy się i zanika. Powoli przestaję istnieć, rozpadając się na poszczególne atomy. Kontrolowanie własnego życia jeszcze nigdy nie sprawiało mi takiej trudności. Zawsze byłam precyzyjna i dokładna, wszystko potrafiłam, niczego się nie bałam, teraz zaś każdy nowy świt staje się wyzwaniem. Rozczarowuję samą siebie.

Przed trzema dniami zadzwoniła Ewelina, przyjaźnima się od czasów studiów. Dawno się nie widziałyśmy, ostatnio zmieniła pracę, przez dwa miesiące była na jakimś szkoleniu w Poznaniu. Poza tym unikam spotkań z ludźmi, chyba oprócz niej nie została mi żadna koleżanka. Umówiłyśmy się na kawę. Zaparkowałam na Podgórskiej i szłam wzdłuż Wisły. Było ciepło, ubranie kleiło się do ciała, zewsząd dobiegały radosne okrzyki

dzieci, a ja czułam się dziwnie. Niewygodnie, jak w za małych butach lub za ciasnej czapce. Tak dawno nigdzie nie wychodziłam. Kraków wydawał mi się zupełnie obcym miastem, o wiele lepiej czułam się w Pradze. Zateśniłam za moim fotelem, laptopem i czeską stolicą. Usiadliśmy na jednej z barek. Ewelina była dziwnie podekscytowana. Powiedziała, że ma dla mnie dwa newsy.

– Po pierwsze – uśmiechnęła się – poznałam na szkoleniu supergościa, z Poznania, wolny strzelec, do wzięcia. Nie mogłam lepiej trafić. – Zaczęła gorączkowo szukać czegoś w torbie.

Odniosłam wrażenie, że musi zapalić, papieros w ręce to jej nieodzowny atrybut. Jednak wyjęła paczuszkę gum, poczęstowała mnie i dodała coś, przez co mój świat rozsypał się w pył.

– I druga wiadomość. – Nie spuszczała ze mnie wzroku. – Dobrze, że siedzisz. Jestem z nim w ciąży.

Wytrzeszczyłam na nią oczy, nie wiedząc, co mam powiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że od dawna staramy się z Adamem o dziecko, nigdy tego przed nią nie ukrywałam. Właściwie to tylko jej mogłam o wszystkim powiedzieć, nie była w stałym związku, nie zagrażała mi w tej kwestii.

– Przepraszam, ale i tak nie mogłabym tego ukrywać.

– W porządku – odpowiedziałam.

Choć nic nie było w porządku.

– Paweł był w szoku, przyznaję, ale zdecydowaliśmy, że przeprowadzę się do niego i zostaniemy rodzicami. Może nie tak wyobrażaliśmy sobie to wszystko, ale cóż, życie pisze swój scenariusz. – Popiła łyk musującej jeszcze wody.

Do dziś nie potrafię dojść do siebie. Po prostu przypadkowo zaszła w ciążę, nawet nie wie kiedy, jakby złapała wirusa grypy, niespodziewanie, niechcący. To okrutne, że niektórym

wychodzi to ot tak, spontanicznie, a inni robią wszystko, żeby to osiągnąć, i nic, wciąż brak oczekiwanego rezultatu. Nie ma sprawiedliwości. Leżę, wpatrując się w ekran laptopa. Popadłam w dziwne odrętwienie. Nie mam już nikogo, komu mogłabym zaufać. Nie mogę się więcej żalić Ewelinie. Nie zniosłabym jej triumfu, ukrytego pod maską współczucia i pocieszeń. Nie chcę dzwonić do rodziców, skarżyć się, jak to mi ciężko i źle. Odkąd wyprowadziłam się z domu i od kiedy wciąż ponoszę klęski w kwestii niedoszętego macierzyństwa, oddaliłam się od nich. Po tym, jak znajoma z poczekalni swoją historią wlała we mnie nadzieję, zrobiony kilka dni później test ciążowy znów mi ją odebrał. A teraz radosne oczekiwanie Eweliny. Więcej porażek nie zniosę.

Adam nie zauważył, że coś się stało. Za bardzo zajęty jest swoim życiem. Wspominał coś o cudownym okresie prosperity w pracy. Chodzi nakręcony i dumny jak paw. Jeszcze mocniej go za to nienawidzę.

Pozytywka czuje, że między nami dzieje się coś niedobrego. Ciągle kursuje od jednego do drugiego, jakby chciała nas połączyć. Często kładzie mu się na klacie, gdy ogląda wieczorne wydanie serwisu informacyjnego. A gdy przed snem przytulam ją do siebie, wciąż mocno nim pachnie.

To on wymyślił dla niej imię. Gdy przez kilka dni błąkała się na dole, wygrzebując jedzenie z worków w śmietniku, wzięłam ją do domu. Adam nie był może szczęśliwy, ale też nie kazał mi się jej pozbyć. Popatrzył tylko na mnie i pokiwał głową.

– Wiem, że już zdecydowałaś – powiedział.

Na początku mówiliśmy na nią Kiciusia. Pewnego razu Adam głaskał ją pod brodą, a ona głośno mruczała, i wtedy stwierdził:

– Nakręca się ją zupełnie jak pozytywkę.

Roześmiałam się i od tej pory zaczęliśmy ją tak nazywać.

– Pozi! – krzyczę.

Siedzi na oknie i wpatruje się w gołębice chodzące po balkonie. Wiem, że nie przyjdzie. Mimo wszystko ponawiam prośbę.

– No, chodź do mnie.

Nawet nie drgnęła. Przyzwyczaiałam się, że już nikt nie słyszy mojego wołania.

Eryk

Jej rude włosy rozrzucone na poduszce iskrzą w promieniach słońca. Śpi nago, zawsze nago. W pokoju jest duszno, więc na noc zostawiamy otwarte okno. Mimo nieznośnych hałasów dochodzących z ulicy nie rezygnujemy z dodatkowej dawki świeżego tlenu. Przykrywamy się prześcieradłem, które teraz leży zawinięte wokół jej tułowia, odsłaniając nagie piersi i prawą nogę. Od jakiegoś czasu potajemnie maluję jej akt. Nie mówię jej tego, nie wiem, czy by się na to zgodziła. Gdy jednak kiedyś zniknie z mojego życia, będę mieć po niej piękną pamiątkę. A wiem, że nastąpi to szybciej, niż początkowo mogło się wydawać.

Ukrywa coś przede mną. Ma swoje tajemnice, którymi nie chce się ze mną podzielić. Czasem wstaje w środku nocy i idzie do łazienki, żeby zadzwonić. Myśli, że o tym nie wiem, ale od zawsze miałem płytki sen. O nic nie pytam, ale to jasne, że ma kogoś na boku. Tak zaczynają się zdrady, niepewnie, niewinnie, zniecka i nagle zaczynasz dzielić łóżko z kimś innym. Nasze godziny są policzone, jestem tego pewien.

Anita

Dałam się w końcu zaprosić na kawę temu Robertowi z góry. Kilka razy wpadliśmy na siebie na klatce i wreszcie się zgodziłam. Musiałam z kimś porozmawiać, rozerwać się, zapomnieć o moim życiu.

Z tego, co wywnioskowałam, jest ode mnie młodszy o jakieś pięć lat. Słodki dzieciak, oszałamiający dżentelmen. To jeden z tych typów, których faceci nie znoszą. Nad wyraz zadbany, uszczypliwy i pewny siebie. Ma gustownie urządzone mieszkanie, półki uginające się pod ciężarem książek, ale zupełnie brakuje mu kontroli nad koszem z brudną bielizną. Skarpetki i podkoszulki uciekają każde w swoim kierunku. Typowe dla młodocianych singli. Już nie pod skrzydłami mamy, ale jeszcze nie w ramionach jej następczyni. Przejściowy, trudny do ogarnięcia okres w życiu facetów zbyt długo noszących miano synków mamusi. Szuka dziewczyny, nie dało się tego nie zauważyć. Skakał koło mnie, jakby naprawdę wierzył, że między nami może do czegoś dojść. Prawdopodobnie mój wiek i stan cywilny wprawiłyby go w paraliżujące zdziwienie. Miło nam się rozmawiało, zapomniałam, jakie to przyjemne uczucie, kiedy komuś naprawdę zależy. Może z czasem stanie się moim przyjacielem, powiernikiem i głosem rozsądku. O ile nie zniknie z mojego życia, dowiedziawszy się, kim naprawdę jestem.

Przez Polskę przechodzi fala prawdziwych upałów. Temperatury dochodzą do czterdziestu stopni. Przeważnie siedzę w domu, przed południem na balkonie, potem do końca dnia w środku. Kilka razy przeszłam się nad Wisłę, ale nie był to dobry pomysł. Liczba matek z wózkami jest zatrważająca. Widzę je dosłownie wszędzie, tak samo jak brzuchy ciężarnych

kobiet. Wolę siedzieć w zaciszu swojego mieszkania, z dala od tego, co wyciska łązy.

Zastanawiam się, czy nie poszukać pomocy u specjalisty, chyba wpadam w jakiś psychiczny paraliż, paranoję, depresję lub inną dysfunkcję. Ostatnio w torebce znalazłam krwisto-czerwoną szminkę. Nie należy do mnie, nie jest mi do twarzy w tym kolorze, nigdy bym jej nie kupiła. Nie wiem, skąd się wzięła w moich rzeczach. Nowa, bez śladów używania, chyba mi ją ktoś podrzucił. Tylko kiedy i gdzie? Torebkę zawsze mam przy sobie, nie spuszczam jej z oczu, siedząc w kawiarni, poza tym nie chodzę teraz po knajpach. To naprawdę bardzo dziwne. Czy rzeczywiście mógłby stać za tym Adam? Przeraza mnie ten brak kontroli nad własnym życiem.

Od miesięcy obiecuję sobie, że się ogarnę i coś z tym zrobię. Zapiszę się na jakąś psychoterapię lub dołączę do grupy wsparcia. Amerykanie zawsze do czegoś należą, do klubów książki, miłośników szydełkowania, pojawiają się wszędzie, gdzie czują, że dzielą z kimś pasję, wspólne plany, coś, co pozwala im cieszyć się życiem i daje siłę, by wstać rano z łóżka. Dlaczego nie pójść za ich przykładem? Jednak ilekroć próbuję wykonać krok w tym kierunku, brak mi konsekwencji. Poza tym gdzie miałabym szukać ludzi podobnego pokroju, z takimi samymi problemami – w gabinetach ginekologicznych, na forach? Zaczęłam przeglądać kilka pierwszych stron, które wyświetliły się na wpisane przeze mnie hasło w wyszukiwarce. Przeczytałam żalosalne wyznania kobiet w sytuacji podobnej do mojej, wiecznie czekających, aby stać się matkami, prowadzących wyścig z czasem, gardzących sobą i całym światem. Nie poczułam się lepiej, wręcz przeciwnie, chciało mi się płakać. Nie potrzebuję kółka wzajemnego uzalania się nad sobą, mam już przesyt w tej kwestii.

Sprawdziłam opinie o kilku psychoterapeutach, którzy mają gabinety w najbliższej okolicy, ale ostatecznie nie podjęłam żadnej decyzji. Mimo że powinnam, nie mam ochoty od nowa opowiadać komuś o moich problemach.

Ostatni raz z Adamem był dziwny. Nie zgwałcił mnie jak wtedy, ale po prostu użył do zaspokojenia swoich potrzeb. Przy lustrze w przedpokoju. Pocieszające jest to, że nie musiałam mu przypominać, że to dzisiaj. Po raz pierwszy sam to wiedział, pamiętał o moich dniach płodnych, być może zaczął prowadzić swój kalendarzyk. Taki pośpieszny stosunek przed wyjściem do pracy już dawno nam się nie zdarzył i mimo bijącego od Adama chłodu było to miłe zaskoczenie.

Adam

Urlop miałem zaplanowany od połowy lipca, ale go anulowałem. Przez moment się zastanawiałem, czy nie wykorzystać go, przenosząc się na te dwa tygodnie do mieszkania Marty, jednak uznałem, że to niemożliwe. Musiałbym coś powiedzieć Anicie, a przecież nie uwierzy w dwutygodniową czy nawet tygodniową delegację w sezonie urlopowym. Zacznie węszyć, a nie potrzebuję, żeby w tym momencie uruchamiała swoją intuicję.

Moje podejrzenia wobec niej i tego gościa z góry okazały się niesłuszne. Następnego dnia rano spakowała mi sushi do pracy i z wyczuwalnym smutkiem w głosie powiedziała, że liczyła, że zjemy je razem. Nie zapytałem o sąsiada, nie chciałem pokazać po sobie, że w ogóle widziałem ich wtedy razem. Skomentowałem tylko bukiet na stole, a ona odpowiedziała z ironią:

– Skoro faceci przestali mnie nimi obdarowywać, zaczęłam kupować je sobie sama.

Smutna prawda żon z długoletnim stażem. Zdaję sobie sprawę, że miał to być przytyk do mnie, ale zbagatelizowałem tę uwagę i wyszedłem z domu. Wiedziałem jednak, że była ze mną w tej kwestii szczerą.

W pracy mam prawdziwy nawał obowiązków. W naszej branży wakacje nie zaczynają się wraz z początkiem lipca, gdy większość szkół na świecie zawiesza swoją działalność na najbliższe dwa miesiące. U nas przestój w interesie, prawdziwa nuda, nadchodzi na przełomie stycznia i lutego, gdy Chińczycy przygotowują się do obchodów Nowego Roku, a potem przez tydzień hucznie go świętują. W logistyce, tak jak w księ-

gowości, początek stycznia to istne urwanie głowy. Wszyscy chcą zdążyć z dowozem towaru przed zamknięciem chińskich fabryk. Dobrze, że nie dzieje się to teraz, nie miałbym czasu na spotkania z Martą. Wakacyjne zamówienia to pikuś w porównaniu z zamieszaniem na początku roku.

Nie wiem, kiedy wykorzystam tegoroczny urlop, nie myślę o tym. W tym momencie cieszę się ze stałego dostępu do słońca i afrykańskich upałów w Polsce. Nie muszę nigdzie wyjeżdżać, by poczuć zapach lata na skórze.

Współżycie z Martą wysublimowało moje smaki i doznania erotyczne. Nadal wszystko, co dzieje się między nami, jest szybkie, zamyka się w kilku godzinach dziennie, ale nie traci na jakości, wręcz przeciwnie, pozytywnie się rozwija. Za każdym razem, gdy do niej przychodzę, zaskakuje mnie nowym smakiem – kuchnia indyjska, malezyjska, hawajska, afrykańska. Lubi gotować i dobrze jej to wychodzi. Może też z tego względu tak bardzo nie zależy mi na urlopie. Będąc z nią, odnoszę wrażenie, jakbym stale gdzieś jeździł. Na dodatek seks jest za każdym razem inny. Ostatnio robiliśmy to na tarasie, chwilę po nastaniu zmierzchu, jednak było jeszcze dostatecznie widno, aby mógł nas ktoś zobaczyć. Wylegiwaliśmy się na szeszlonych, gdy naszała nas nagła ochota. Co prawda jeszcze nikt w pobliżu nie mieszka, ale czasem pełną drogą przejeżdżają samochody. Jednak, zamiast krępować, dziwnie mnie to podniecało. Przejmuję od niej jakieś wcześniej mi nieznane zwierzęce instynkty.

Ostatnio w taki pierwotny, wyzuty z uczuć sposób dobrałem się nawet do Anity. Szykowałem się do wyjścia, gdy wstała. Wyglądała ładnie, wypoczęta i świeża. Myła zęby, nachylając się nad zlewem, i wtedy jej zapragnąłem, taki nagły kaprys. Wyszła z łazienki, patrząc na mnie. W jej oczach nie było niczego złowrogiego, pytała, czy zrobić mi kawę lub coś w tym

stylu. Złapałem ją w pasie. Zesztywniała, ale po chwili napięcie ustąpiło. Mocnym ruchem odwróciłem ją do siebie tyłem i zrobiłem to, co zazwyczaj robię z Martą, szybko i konkretnie. Chyba się jej podobało, nie protestowała, po prostu mi uległa. Może mogłaby nawet podziękować mojej kochance za to, że nasze życie erotyczne weszło w nowy, ostry zakręt. Cóż za nieprzyzwoita przewrotność losu. A potem bez słowa, bez najmniejszego gestu czułości wyszedłem, trzaskając drzwiami. Zupełnie jak po wizycie u prostytutki, tyle że bez zobowiązań finansowych. Trochę to podłe, ale wiem, że one to lubią.

Eryk

Wczoraj spotkałem się z Tanią. Zadzwoiła do mnie rano z prośbą, abym zabrał ją z lotniska. Milena nie spała u mnie, miała się pojawić dopiero w poniedziałek. Tłumaczyła, że ma weekend wypełniony odbiorami zamówień. Nie wierzę w to, ale udałem, że przyjmuję jej wyjaśnienia.

Pojechałem po Tanię i zabrałem ją do swojego mieszkania. Kochaliśmy się jak zwykle, po raz pierwszy od czasu, kiedy jestem z Mileną. Być może gdybym nie podejrzewał jej o zdradę, potrafiłbym odmówić Tani, jednak w tej sytuacji było to zbyt łatwe. Zauważyła, że mam dziewczynę. Wszędzie walały się jej rzeczy, bielizna, kosmetyki.

– Jaka ona jest? – zapytała, gdy leżeliśmy wtuleni w siebie.

– Fajna – odpowiedziałem najbardziej szczeniacko, jak to było możliwe.

Wyciągnęła rękę za głowę i zaczęła po omacku szukać papierosów. Nachyliłem się nad nią i podałem jej pudełko. Zapaliła.

– Lepsza ode mnie? – Pstryknęła zapałką w powietrze.

– Nie – skłamałem.

Głupie pytanie nie zasługuje na szczerą odpowiedź. Poza tym nie chciałem jej wkurzyć, nie było mi to w tej chwili potrzebne. Powiedziałem to, co chciała usłyszeć.

– Czasem żałuję – odezwała się.

– Charles cię zostawił? – zapytałem.

– Kutas. – Wypuściła kłęby dymu w moją twarz. – Nie zasługiwał na mnie.

– Nie zasługiwał – potwierdziłem, chwytając w palce jej brodawkę.

Zawsze to lubiła, tym razem też przymrużyła oczy i rzuciła mi krótki uśmiech.

– Wracam do Finlandii – oświadczyła po chwili.

– Na jak długo?

– Kto wie. – Wzruszyła ramionami.

– Masz nowy kontrakt?

– Przez pewien czas będę do usług macierzystej agencji. – Zgasiła papierosa o konar topoli. – Jedź ze mną.

Zaskoczyła mnie tą propozycją.

– Nie mogę – odparłem zbyt szybko, a po jej twarzy przebiegł grymas wyrzutu. Bez wątpienia poczuła się urażona.

Nie to, że nie chciałem z nią jechać lub że bardziej podo-
bała mi się Milena.

– Mam robotę – wyjaśniłem. – Wziąłem zaliczkę, muszę do-
prowadzić to do końca.

I chociaż była to prawda, po jej minie widziałem, że mi nie
wierzy.

– A jak skończysz? – Mimo wszystko chciała kontynuować
ten temat.

– To wtedy zadzwonię, obiecuję. – Pochyliłem się nad nią
i dotykając wargami jej ust, przerwałem tę nużącą rozmowę.

W odpowiedzi oplotła mnie nogami, przywierając do mnie
i przypominając mi o najcudowniejszych chwilach w naszym
nagle przerwanyim związku.

Anita

Siadam na łóżku, zakrywając uszy dłońmi. Pokój wiruje, nie wiem, w którym świecie jestem. Zamykam oczy, żeby po paru sekundach zdać sobie sprawę, że to był tylko straszny sen.

Śniło mi się, że słyszę bicie serc wszystkich zwierząt w odległości najbliższego kilometra. Każde uderzenie serca wieiórki, szczura, myszy, kota, psa i gołębia mieszkających w obrębie naszej ulicy. Tych wszystkich stworzeń, o których istnieniu nawet nie miałam pojęcia. Prawdziwy tętent końskich kopyt, bum, bum, bum. Rozglądam się po pokoju, który wypełnia cisza, słyszę jedynie łomot we własnej klatce piersiowej. Jednak już po chwili do moich uszu znów docierają rytmiczne uderzenia. Puk, puk, puk. To znów ten popapraniec coś rzeźbi. Zerkam na zegarek, pięć po szóstej, nic nie mogę zrobić, cisza nocna właśnie się skończyła. Ponownie zakrywam uszy dłońmi i ręką wyszarpuję słuchawki spod poduszki Adama. Wszystko jest lepsze od tego, każdy najkrwawszy kryminał stanowi cudowne wybawienie. Mizofonia nigdy nie objawiała się u mnie tak silnie jak teraz.

Staram się skupić na audiobooku, jednak przeszkadzają mi agresywne myśli. Jest sobota, ale w ogóle się nie cieszę, że Adam spędzi dziś cały dzień w domu. Co będziemy robić? Znów wymknie się gdzieś na miasto, siądzie przed komputerem czy jakby nigdy nic zacznie się krzątać w kuchni i tym zmusi mnie do opuszczenia mieszkania? Dlaczego nie ma go w łóżku? Już wstał czy może w ogóle nie spał obok mnie w nocy? Wszystko jest jedną wielką zagadką, mam wrażenie, że wciąż poruszam się w labiryncie.

Zatrzymuję nagranie i nasłuchuję. Odgłosy z dołu ucichły, mam nadzieję, że ten kretyn zaciął się dłutem, nawet widzę jego zalane krwią ręce i cieszy mnie ten widok. Z łazienki dobiega szum wody, Adam bierze prysznic. Niepokoi mnie, że mimo wolnego dnia wstał tak wcześnie. Okręcam się szlafrokiem i gdy wychodzę z sypialni, on właśnie staje w drzwiach łazienki przepasany ręcznikiem. Mijam go, chce mi się siku. Odwraca się i obdarowuje mnie pytającym spojrzeniem, więc nieruchomieję na chwilę. Nie wiem, czy mam ściągnąć majtki i usiąść na sedesie, czy stać ze ściśniętymi nogami i wysłuchać, co ma mi do powiedzenia. Po jego mostku spływa kilka kropel wody, nabiera powietrza, klatka piersiowa się unosi:

– Chcesz pojechać gdzieś za miasto?

Raczy sobie żartować? Co go tak nagle wzięło? Przez pół roku mijamy się jak obcy ludzie i nagle, ni stąd, ni zowąd, składa mi tę nedorzeczną propozycję. Nie chcę nigdzie z nim jechać, ale on nie musi o tym wiedzieć.

– Pewnie.

Widzę cień uśmiechu na jego twarzy, a może tylko mi się wydaje. Odwraca się, zamykając za sobą drzwi.

Gdy wychodzę, siedzi na łóżku w sypialni i zapina na nadgarstku zegarek. Otwieram szafę, żeby wybrać coś na wyjazd. I wtedy znów zauważam, że coś tu nie gra. To nie dzieje się naprawdę, przesuwam wieszaki i wiem, że ktoś mnie wrabia. Dwie kolorowe sukienki, nigdy wcześniej ich tu nie widziałam. Czuję, że za chwilę wybuchnę, wyleje się ze mnie całe morze przekleństw.

– Co to, kurwa, jest?! – Ściągam z wieszaka sukienkę, liliową w kwiaty. – Nienawidzę łączki, po co mi to kupiłeś? – Podsuwam mu ją pod nos.

– Co? – Patrzy, marszcząc czoło. – Ja? Sama ją kupiłaś. – Naciąga na siebie džinsy, jego nagie stopy toną w puszystości dy-

wanu.

– Nie kupiłam jej! – Rzucam sukienką w jego kierunku. – Tak samo tej brązowej w żółte koła. To nie są kolory dla blondynek. Dlaczego mi to robisz? – Zastygam z pustym wieszakiem w ręce.

– O co ci chodzi? – Robi krok w moim kierunku, patrzy na mnie z góry.

– Chcesz ze mnie zrobić wariatkę, tak? Dlatego mi je podkładasz. Ubrania i kosmetyki, tak?

Biegnę do łazienki, chcę rzucić w niego kosmetykami, które nie są moje, ale zanim zdążę wrócić, on wychodzi z domu, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Adam

Kiedy wsiadam do samochodu, zegarek na wyświetlaczu radia wskazuje szóstą czterdzieści pięć, włosy na karku mam jeszcze mokre. To naprawdę nie jest moja żona, tylko totalnie popieprzona szajbuska! Siada jej psychika, odwała jej na całej linii. I niech mi ktoś potem powie, że się nie starałem. Spontaniczny wypad w góry, pod takim hasłem mieliśmy spędzić dzisiejszy dzień. Nie jestem wyzutym ze wszystkich uczuć gnojkiem, ja też czasem miewam wyrzuty sumienia i muszę je czymś zagłuszyć. A „nieplanowane” wyjazdy zawsze się sprawdzały. Cóż, nie tym razem.

Beskid Żywiecki, jeszcze nigdy tam nie byliśmy. Kolejką na górę Żar, wylegiwanie się w słońcu, które od rana obdarza południową Polskę swoim ciepłem, a potem randka w stylu „powrót do przeszłości”. Tak, ona to lubi, magię symboli, czar wspomnień, imprezy z elementami z minionych lat. I ja miałem zamiar dziś jej to zagwarantować. Koszula i kolczyki czekały na odegranie głównej roli w tym kretyńskim przedstawieniu.

Przydrożny zajazd, nasz zajazd, jak zwykła mówić. Dwadzieścia kilometrów na zachód od Krakowa, gdzie kiedyś schroniliśmy się przed nagłą ulewą. Stawiając rowery pod rozłożystym drzewem, biegliśmy w stronę wejścia, trzymając się za ręce. Pierwsza dopadła do baru, zostawiając za sobą mokre plamy na drewnianej podłodze. Opadłem na najbliższe wolne krzesło.

– Mają tylko steki. – Po chwili opierała się o stolik, jeszcze lekko dysząc. – Lubisz steki, prawda?

Ta jej zarumieniona, zziajana twarz nasunęła mi na myśl najbardziej zmysłowe sceny łożkowe, przypuszczałem, że wygląda po nich bardzo podobnie. Nie musiałem długo czekać, żeby się o tym przekonać, tego wieczoru mieliśmy swój pierwszy raz.

Koszula, w której jej się oświadczyłem – oczywiście nie zapamiętałbym takiego szczegółu, ale ilekroć rozwieszała ją na suszarce, mówiła:

– Pamiętasz nasze cudowne zaręczyny? – Wygladzała błękitny kołnierzyk. – Tu były ślady szminki.

Brała materiał pomiędzy długie palce i przeciągała go wzdłuż zewnętrznej krawędzi, rozprostowując zagniecenia i niedoskonałości. We wszystkim była taka dokładna, zwykle wywieszanie prania urastało do rangi nadwornej ceremonii. Ta jej skrupulatność w pewien sposób mnie przerażała. Mieć wszystko pod kontrolą, a gdzie miejsce na przypadkowość i zaskoczenie? Kiedyś jej o tym powiedziałem. Zaprzeczyła, krzywiąc się:

– Nieprawda, a nasze spontaniczne wyjazdy? Nigdy nie są planowane.

Nawet nie wiedziała, jak bardzo się myli.

Kolczyki, które podarowałem jej z okazji pierwszej rocznicy ślubu. Wianuszek cyrkonii splecionych w kształt greckiej litery omega. Nie chodziła w nich od dawna, bez problemu odnalazłem pudełko w rogu jej szuflady. I to był jedyny raz, gdy szperałem w jej rzeczach, nie mam nic wspólnego z sukienkami, którymi we mnie dziś rzuciła. Zachowywała się jak wariatka, targana agresją na prawo i lewo, ciskająca na oślep wieszakami. W życiu nie kupowałem jej żadnych ubrań. Perfumy, biżuterię, bieliznę, owszem, ale nie mam żadnego udziału w komponowaniu jej garderoby.

Wali mnie to, olewam jej popieprzoną psychikę, mam jej dość. Nie będzie żadnego powrotu do przeszłości, nie mam ochoty poświęcać czasu temu, co już nie istnieje. Odpalam samochód, przez moment waham się, czy nie pojechać do Marty i nie zabrać jej w te wszystkie miejsca. Barbarzyńsko potraktować wspomnienia, które należą tylko do mnie i Anity. Porzucam tę myśl, zanim zdążę dojechać do najbliższych światła. To będzie moja sobota, moja i tylko moja.

Eryk

Nadal udaję, że wszystko gra. Jak skończę Rubensa i dostanę zapłatę, zastanowię się, co dalej, w tej chwili nie mam zamiaru komplikować sobie życia. Skoro Milena postanowiła grać nieczysto, mnie też przestały obowiązywać jakiegokolwiek reguły.

Po południu spotkaliśmy się z Markiem i jego dziewczyną na wspólnej kolacji. Początkowo Milena nie chciała pójść, powiedziała, że nie trawi Karoliny. Osobiście uważam, że zazdrości jej udanego życia zawodowego. Karolina pracuje w Galerii Narodowej, przygotowuje wystawy, organizuje spotkania artystów, zna najbardziej wpływowych ludzi w kraju. Milena także pracuje w galerii sztuki, ale nie tak prestiżowej jak Galeria Narodowa.

Zamówiliśmy owoce morza i czerwone wino. Atmosfera przy stole była napięta niczym struny w rakiecie tenisowej. Czuję, że jeśli jej nie rozładuję, za chwilę dojdzie do prawdziwej awantury, miażdżącej wymiany zdań, niszycielskiej w skutkach jak zderzenie tirów.

– Przyszły weekend wyprawa za miasto, co wy na to? – zaproponowałem, opierając się o miękkie skórzane oparcie krzesła.

– Niestety pracuję – odpowiedziała Karolina, odgarniając włosy do tyłu. – Nie wiem, czy wam mówiłam, ale dochrapałam się mojej pierwszej wystawy zagranicznej.

Milena z hukiem skrzyżowała sztucce na talerzu. Przekonywałem sam siebie, że tylko mi się wydawało.

– Sztuka baroku w malarstwie europejskim – ciągnęła Karolina, nawet na moment nie przestając się uśmiechać. – Wy-

stawa odbędzie się w grudniu w Antwerpii. Dość duże przedsięwzięcie, biorą w niej udział muzea i galerie z całego świata. Ja wysyłam od nas Dürera, Rembrandta i Rubensa.

– Naprawdę? – wtrąciła Milena, pochylając się nad stołem. Jej piersi niemal zanurzały się w małżach. – Może pojedę z nimi? Fajni są? – Zatrzepotała rzesami. – Nie byłabyś taka samolubna i zapoznałabyś mnie w końcu z którymś z nich.

Wybuchliśmy śmiechem. Wszyscy oprócz Karoliny. Nie spodobał jej się ten żart, jednak Milenie na chwilę poprawił się humor. Wymieniły surowe spojrzenia, przez moment widziałem konsternację na twarzy Marka, jakby nie wiedział, po której stronie stanąć. Nie czekając ani chwili dłużej, uniosłem rękę, żeby wezwać kelnera. Był to ostatni moment, aby zażegnać mającą właśnie nastąpić katastrofę. W międzyczasie posłałem ostrzegawcze spojrzenie Markowi, zrozumiał mnie bez słów.

– Przepraszam, zupełnie zapomniałem... – Zaczął szukać portfela w wewnętrznej kieszeni kurtki zawieszanej na oparciu krzesła. – Musimy się już zbierać. – Zwrócił się w stronę swojej dziewczyny, ściskając w dłoni kartę kredytową. – Na dwudziestą zarezerwowałem bilety do kina.

Karolina posłała mu pełne zdziwienia spojrzenie.

– Zapłacę kartą – powiedział do kelnera. – Rozliczymy się później – rzucił przez ramię w moją stronę, krocząc za młodym chłopakiem do baru.

Po pięciu minutach już ich nie było. Rozbawienie zniknęło z twarzy Mileny w chwili przekroczenia przez nich progu restauracji.

Wciąż jest rozgniewana i zła. Siedzi w kuchni i udaje, że czyta, ale wiem, że nie jest w stanie się na niczym skupić. Za zdrości Karolinie, cholernie chciałaby być na jej miejscu, czuję, że ta sprawa osobiście ją dotknęła. Nie zamierzam

wchodzić na niebezpieczny teren i wystawiać się na ostrzał artyleryjski, więc zamknąłem się w sypialni i ostrzę dłuta.

Anita

W Krakowie spadł pierwszy śnieg, w Pradze nadal nie widać zimy. Wpatruję się w przestrzeń za oknem, drobne płatki opadają powoli ku ziemi. Chodniki wyglądają, jakby rozsypała się na nich gigantyczna dostawa kaszy manny. Dochodzi jedenaśta, cieszę się, że zaledwie minuty dzieli mnie od ujrzenia Zo. Może on będzie w stanie poprawić mi humor?

Wczoraj dostałam okres, ale po raz pierwszy nie byłam zaskoczona. Dałam sobie spokój ze staraniami o dziecko w ostatnim cyklu. Nie miałam ochoty znów czuć w sobie Adama, a jeszcze bardziej bałam się kolejnej porażki w postaci negatywnego wyniku testu. Po prostu nie potrafiłam się do tego zabrać. Nie zaglądałam w swój kalendarzyk, a Adamowi, jak widać, to odpowiada. Jest tak beznadziejny, że nawet nie wie, że straciliśmy jedną z szans. Wprawdzie po naszej ostatniej awanturze, gdy podrzucił mi ubrania, zdążyliśmy wrócić do relacji akceptujących się współlokatorów, ale to za mało, by pójść ze sobą do łóżka.

Mimo wszystko widok krwi znów strącił mnie w przepaść odrętwienia. Czuję się źle, jest mi smutno, choć chciałabym posłać to wszystko w cholerę. Chciałabym móc zobojętnieć, przestać marzyć, ale nie potrafię. Jeszcze dwa cykle i powitam nadejście nowego roku. A wtedy zgodnie z obietnicą nadejdzie czas na in vitro. Nie mam siły o tym myśleć, a co dopiero podjąć jakieś kroki w tym kierunku. Ta ciągła bezradność jest do mnie niepodobna, czasem tak bardzo wkurzam samą siebie...

Tatra T3 mknie po szynach, wiatr strzepuje z drzew ostatnie czerwone liście. Równoległe ulicą jedzie żółta taksówka. Bar-

dzo podobna do tych, które widuję w Nowym Jorku. Szyba od strony kierowcy odsunięta jest do połowy, wąsaty facet wydmuchuje kłęby dymu. Zastanawiam się, kto nią podróżuje, gdzie, do kogo, po co. Oba moje światy są bardzo rzeczywiste, czasem nie wiem, który bardziej. Czy ten krakowski, za oknem, czy praski, stale się zmieniający. Czuję się bardziej związana z tamtym życiem niż z tym, które prowadzę na co dzień. Tam nic złego mnie nie spotkało, tam nikt niczego ode mnie nie oczekuje, tam nie muszę nikomu niczego udowodniać, tam po prostu jestem sobą.

Tramwaj dojeżdża do przystanku Malostranská, z daleka widzę torbę Zo. Dziś ma przy sobie także laptop. Ruda opiera się o rozkład jazdy, śmieje się. Mój wzrok przykuwa pewien element, coś, co wywołuje nagły ucisk w żołądku. Jej brzuch jest większy niż ostatnio, widzę to wyraźnie, nabrzmiały jak balon. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć? Serce bije mi szybko, za szybko, bym mogła za nim nadażyć. Ona jest w ciąży. Zo będzie miał z nią dziecko. To podłe, okrutne, niesprawiedliwe. Tramwaj rusza, jakaś kobieta stojąca tuż przy białej linii bezpieczeństwa przytrzymuje swój beret, stopklatka, nowe ujęcie, nowa perspektywa, nowa nadzieja. Jeszcze udaje mi się rzucić ostatnie spojrzenie na Zo i jego dziewczynę, uspokajam się, moje serce stopniowo przestaje tłoczyć krew w przyspieszonym tempie. To wiatr. Tylko wiatr. Wdarł się pod jej białą koszulę, wyrzuszając ją nienaturalnie, a gdy zelżał, jej brzuch zniknął. Poczułam niesamowitą ulgę.

Marta

Ostatnie dni były zupełnie bezowocne. Właśnie dziś mija tydzień, odkąd ostatni raz się z nim widziałam. Chciałabym pchnąć sprawę do przodu, bo jestem pewna, że niedługo oszałeję, jeśli nie wprowadzę w życie chociaż jednego punktu z mojej czarnej listy życzeń. Nie brakuje mi seksu z nim, bynajmniej, po prostu nie powinien ode mnie odwyknąć. Dzwoniłam na jego telefon komórkowy, ale nie odbiera. W ogóle się ze mną nie kontaktuje, jakbym nie istniała. Tak naprawdę to straszny z niego gnojek, potrafi tylko brać, nigdy nic nie daje.

Przysłali mi z Anglii kontrakt do podpisania. Jeśli tylko ze chęcą, mogłabym od nowego roku zostać mieszkanką jednej z tych stylowych kamienic na przedmieściach Londynu. Notting Hill, Portobello Road i inne szpanerskie miejsca mogłabym mieć na wyciągnięcie ręki, na jeden krok za próg mieszkania. Brzmi kusząco. Czasem oglądam reklamy angielskich agencji nieruchomości, rozważam, nie powiem, że nie. Zamieszkać w Królestwie – to byłoby coś.

A podobno nic miało ze mnie nie być. Nawet teraz, choć nie żyją już od dwudziestu lat, widzę ich zniesmaczone spojrzenia i słyszę: „Ubierz się przyzwoicie”, „Jak ty wyglądasz?”, „W kogo ty się wdałaś?”, „Nie mogę uwierzyć, że jesteś moim dzieckiem”. Jej sztywna trwała i jego przylizane na bok włosy, fryzury niepotrzebnie dodające kilku lat. Zbyt szerokie sukienki i spodnie z przykrótkimi nogawkami, wyglądali razem jak para aktorów z filmów niemych. Wyrazista mimika twarzy, rozbiegane oczy i nadmierna gestykulacja. Boże, jak okropnie się ich wstydziłam. Ekspedientka w miejscowym GS-ie i rzeźnik. To oni nie pasowali do mnie, nie ja do nich. Matka urodziła mnie w przeddzień swoich czterdziestych urodzin. Do-

kładnie w dniu, kiedy rzekome UFO lądowało w Emilcinie, ona wiała się w bólach na miejscowej porodówce. Wielokrotnie wspominała, że to najgorsze doświadczenie w jej życiu, gdyby tylko wiedziała, jaka czeka ją męka, i tu zawsze przerywał jej ojciec. Nie dowiedziałam się, co by wtedy zrobiła, ale nie trudno było się domyślić. Nigdy nie byli ze mnie dumni, nigdy we mnie nie wierzyli, a tu proszę, zaszłam tak daleko, dużo dalej niż każde z nich osobno czy razem wzięci. Na ich pogrzebie nie płakałam. Choć łez było wiele – przyszło mnóstwo miejscowych płaczek, które zachowywały się tak, jakbym im za to zapłaciła. Lamentom i troskom o mnie nie było końca. „Jak sobie teraz poradzi?”, „Biedna dziewczyna, sama na świecie”. Nie musieli się o mnie martwić, ale składki miejscowych dobroczyńców, mimo że nie z potrzeby serca, tylko według woli autorytarnego proboszcza, pomogły mi w karierze. Do stałam się na wymarzone studia i powoli zapominałam, skąd jestem.

Może nie zasłużyli sobie na taką śmierć, ale dzięki temu moje życie wkroczyło w nowy etap. Bez oskarżycielskiego tonu, komentarzy nie na miejscu, a z pomocą szczodrych mieszkańców wsi mogłam w końcu spełnić swoje marzenia.

Rzeczywiście się w nich nie wdałam. Czasem żałuję, że nie mogę im pokazać mojego domu i tej całej doskonałości, którą się otaczam. Wszystkiego, do czego doszłam sama. A teraz perspektywa pracy w Londynie. Jestem pewna, że zzieleniliby z zazdrości.

Adam

W poniedziałek zaskoczyła mnie pogoda, spadł śnieg. Podczas lunchu zamiast do Marty pojechałem do wulkanizatora. Wy-skoczyłem z biura w samej marynarce, nie sądziłem, że zajmie mi to więcej niż pół godziny. Kolejki były gigantyczne, jednak nie miałem wyjścia, musiałem czekać, na letnich nie dało się jeździć. Zadzwoiłem do niej, że dziś nie dam rady. Nie mogła rozmawiać, przypuszczam, że była w pracy, powiedziała, że w porządku, i szybko się rozłączyła. Rano we wtorek zbudziłem się z gorączką. Cały tydzień przeleżałem w łóżku. Gdyby nie ten wkurzający katar, nawet byłoby to przyjemne. Obejrzałem wszystkie zaległe mecze, przesłuchałem nową książkę Mari Jungstedt, zawsze fascynowały mnie inteligentne i elokwentne kobiety.

Nie mogłem jednak w żaden sposób skontaktować się z Martą. Nie znam jej mejla, telefon na prepaid zostawiłem w samochodzie. Nie mogłem prosić Anity, żeby mi go przyniosła, nie wiedziała o jego istnieniu i lepiej, żeby nigdy się nie dowiedziała. Kilka razy, gdy gorączka spadała i czułem się trochę lepiej, chciałem zejść po niego sam. Wysłałem Anitę do kiosku po gazety, ale wróciła szybciej, niż zdążyłem wyłączyć laptop i wstać z łóżka. Najpierw myślałem, że zapomniała portmonetki, ale weszła do pokoju z naręczem porannej prasy. Potem kazałem jej iść do apteki znajdującej się jakieś trzysta metrów w stronę Dietla, może niezbyt daleko, ale były duże szanse, że zdążę szybko zejść do samochodu i wrócić z telefonem ukrytym w kieszeni. Do tego przedsięwzięcia przygotowałem się lepiej. Gdy tylko wyszła z domu, zerwałem się z łóżka, zdjąłem piżamę, wciągnąłem na siebie dżinsy, sweter i kurtkę. Chwilę zajęło mi znalezienie kluczyków od sa-

mochodu. Przeszukałem kieszenie spodni i marynarki, ostatecznie znalazłem je na dnie aktówki. Wsunąłem na nogi buty i wyszedłem na korytarz, gdy nagle z dołu dobiegł mnie jej głos, z kimś rozmawiała. Miałem szczęście, że jakiś sąsiad się nawinął, w przeciwnym razie wpadłbym na nią na schodach lub minął się z nią, gdyby wybrała jazdę windą. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, jaka rozpętałaby się wtedy awantura. Pośpiesznie wróciłem do mieszkania, ledwo zdążyłem wyskoczyć ze spodni, gdy już słyszałem przekręcanie klucza w zamku.

Nie miałem więc okazji powiadomić Marty, skąd ta nagła przerwa w naszych spotkaniach. Dobrze, że nie wie, gdzie mieszkam, jeszcze mogłaby przyjść tutaj w akcie desperacji. Zadzwonię do niej jutro i jakoś się wytłumaczę, jest naiwna i zakochana, uwierzy w każdą moją wymówkę. Wystarczy, że rzucę na koniec kilka pikantnych słówek, i znów będzie gotowa zrobić dla mnie wszystko. A na przyszłość zmienię skrytkę dla mojego telefonu, ze schowka w samochodzie przetrucę go do wewnętrznej kieszeni mojej aktówki.

Anita

Ubiegły tydzień był naprawdę paskudny. I nie chodzi o pogodę, śnieg stopniał jeszcze szybciej, niż się pojawił. Adam od wtorku był w domu. Przeziębił się. Rano zbudził się z gorączką, a choroba w jego wydaniu to prawdziwy koszmar. Wadził mi na każdym kroku. Jego obecność denerwowała mnie, wybiła z rytmu. Jak zwykle w czasie okresu mam nagły spadek formy i nie chcę, żeby ktokolwiek widział mnie w tym stanie. A tu trzeba było codziennie rano zmusić się do wstania, wykąpania się i doprowadzenia do ładu. Zazwyczaj mam to gdzieś i leżę z laptopem w łóżku do piętnastej, a nawet dłużej. Ogarzam się tuż przed jego powrotem, żeby się nie dowiedział, w jaki sposób spędziłam cały dzień. Niestety w tym tygodniu nie było mi to dane. Dodatkowo musiałam spełniać jego zachcianki. Wprawdzie sama pytałam, czy czegoś mu trzeba, ale on niestety zawsze czegoś chciał. Herbata z miodem i cytryną, wycieczka do kiosku po świeżą prasę, potem do pobliskiej apteki po leki, jakby nie mógł powiedzieć tego od razu. Poza tym nie mogłam znieść jego ciągłego pociągania nosem, obrzydliwego odchrząkiwania flegmy i głośnego smarkania. Większość czasu spędziłam w słuchawkach na uszach, prawie cały czas jeździłam po Pradze, bo nie mogłam na niczym innym skupić uwagi. Okłamywałam go, że mam mnóstwo zleceń. Na szczęście spaliśmy oddzielnie, on w sypialni, ja na sofie w salonie, tak na wszelki wypadek, żeby się nie zarazić. Mam nadzieję, że w poniedziałek pójdzie do pracy, dłużej nie zniosę jego obecności. Wiem, że to dziwne. Przecież jest moim mężem i zważywszy, że prawie w ogóle ostatnio nie rozmawialiśmy, powinnam się cieszyć, że mam go w domu, chcieć nadrobić zaległości, obgadać kwestię in vitro czy czegokolwiek in-

nego, jednak zamieniliśmy ze sobą tylko kilka zdań. Zamawiane przez telefon jedzenie dostarczałam mu do łóżka, po czym momentalnie się ulatniałam. Chyba jeszcze nigdy z takim utęsknieniem nie czekałam na koniec weekendu.

Zbliża się Wszystkich Świętych, będę musiała wybrać się z wizytą w rodzinne strony. Adam ze mną nie pojedzie, jestem tego pewna, nie zamierzam go o to prosić. Nawet w najcudowniejszym okresie naszego życia odmawiał udziału w rodzinnych spotkaniach. Zastanawiam się, czy w ogóle nie zrezygnować w tym roku z roli dobrej córki. Moi rodzice nie mają prawa jazdy, a cmentarze rozrzucone są po całej okolicy, więc jestem im potrzebna głównie jako kierowca. Nie wiem, czy po raz kolejny będę w stanie udźwignąć zaniepokojenie całej mojej rodziny na wieść, że nadal nie jestem w ciąży. Wszyscy oczywiście w dobrej wierze będą mi dawać złote rady i numery do najlepszych specjalistów. Nie potrzebuję tego, jestem pacjentką najlepszej kliniki ginekologicznej w mieście, która od miesięcy pomaga mi walczyć z niepłodnością. Z drugiej strony, jeśli nie pojedę zagrać w rodzinnym teatrze sztuki pod tytułem „udane życie wielkomiejskie”, ściągnę na siebie podejrzliwość rodziców. Zaczną wydzwaniać, martwić się, może nawet nawiedzać mnie od czasu do czasu. Chyba wolę teatr jednego aktora przez dwa dni niż późniejsze ciągłe udawanie, że nie ma mnie w domu.

Kiedyś nie jeździłam, rokrocznie rezygnowałam z odgrywania roli dobrej i pomocnej córki. Miałam odwagę to robić. Mimo że niczego nie ukrywałam, byłam wolna od jakichkolwiek starań, to nie mogłam przebywać między nimi, nie, dopóki żył on. Wujaszek Janek. Bezmyślny, stary dureń. Kiedy cztery lata temu umarł na zawał serca i znalazł się w gronie tych, którzy leżą, a nie stoją w czasie długich zadusznych nabożeństw, zaczęłam odwiedzać groby bliskich wraz z resztą rodziny. Wcześniej tego nie robiłam, bo nie potrafiłam się

z nim spotkać. Nie po tym, co mi zrobił. Celowo zrobił. Podobno chciał mi w ten sposób uświadomić, że moje lęki są tylko wymysłem chorej wyobraźni i tak naprawdę nie ma się czego bać.

Miałam wtedy jedenaście lat. Było parno, duszny sierpniowy wieczór. Jakiś tydzień przed rozpoczęciem szkoły. Następnego dnia mieliśmy już wracać do siebie, szkoda, że nie dzień wcześniej. Ciotka Halina zawołała nas na kolację. Rodzice posłusznie skierowali się w stronę domu, a on powiedział, żebym została chwilę i pomogła mu zgrabić trawnik. Nabrzmiałe, ogromne czerwone mirabelki tworzyły na nim pstrokaty dywan.

– Idź i weź dla siebie drugie grabie z komórki! – krzyknął, gdy rodzice zniknęli za drzwiami piętrowego domu, zostawiając nas samych niecałe sto metrów dalej.

Posłuszna, nieświadoma tego, co mnie czeka, pomaszero wałam w stronę murowanej komórki, przylegającej boczną ścianą do garażu. Nie było jeszcze całkiem ciemno, choć dawno minęły już jasne czerwcowe wieczory. Nie wiedziałam, gdzie leżą grabie i gdzie się włącza światło, a gdy tylko przekroczyłam próg tego parszywego miejsca, usłyszałam trzask zamykanych za moimi plecami drzwi. Ogarnęła mnie chwilowa ciemność. Od początku nie powinnam się była na to zgodzić, przecież wiedziałam, co trzymają w tym pomieszczeniu. Zaczęłam krzyczeć, głośno i przeraźliwie. Piszczalam, choć byłam pewna, że rodzice mnie nie usłyszą. Przez okno wpadały blade promienie ukrytego już za horyzontem słońca, oświetlając tylko to, czego nie chciałam widzieć. Przestronną klatkę pełną utaplanych w błocie nutrii. Zawsze częściowo mokrych, półmetrowych, obrzydliwych gryzoni. Z ogromnymi, odrastającymi przez całe życie, pomarańczowymi siekaczami, przywodzącymi na myśl dwa długie, pomalowane pa-

znokcie. Z łuskowatym, dłuższym od ich ciała ogonem i ruchliwymi wibryssami, przyprawiającymi mnie o torsje. Dopadłam do drzwi i zaczęłam w nie walić, prosząc go o wolność, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko unoszący się nieśpiesznym echem drwiący śmiech.

Obecność nutrii w tym mrocznym miejscu była dominująca, były wszakże u siebie. Plaskająca woda pod zrosniętymi błoną tylnymi łapami i długie zęby wgrzyzające się w ogrodzenie kojca, który był ich domem. Strunowe brzmienie drgań metalu na zawsze pozostało w mojej pamięci. Wiedziałam, że droga ucieczki jest tylko jedna. Przez uchylone okno, znajdujące się tuż nad ich klatką. Ceną wolności było stąpanie po wbitych w siatkę siekaczach. Tak bardzo żałowałam, że rano założyłam sandały. Waliłam w drzwi, ale on nie miał zamiaru mnie wypuścić. Nie wiem, ile czasu tam spędziłam, ale ostatecznie zrobiłam to. Przeszłam nad stadem niecierpliwie wiercących się pode mną nutrii, wskoczyłam na mały murowany parapet, otworzyłam okno i odzyskałam wolność. Nikomu nie powiedziałam, co się stało. Uciekłam do domu, odmówiłam kolacji i skulona w rogu gościnnego pokoju płakałam, słysząc odgłosy zabawy dochodzące z dołu. Od tamtego wydarzenia nie potrafiłam mu spojrzeć w oczy. Tamten dzień, wbrew jego oczekiwaniom, nie dodał mi odwagi, nie unicestwił moich fobii, ale niestety w pewien sposób zmienił mnie na zawsze.

Adam

Anita wyjechała na kilka dni do rodziców. Nawet nie nalegała, żebym jej towarzyszył, chyba od początku wiedziała, że odpowiedź będzie odmowna. Nigdy nie lubiłem przebywać w jej domu rodzinnym. Nie czułem się tam komfortowo, za każdym razem uświadamiając sobie, że po moim dzieciństwie zostały tylko wspomnienia. W salonie ustawiono poświęcony jej ołtarzyk. Zdjęcia z czasów, gdy myliła jeszcze noc z dniem, miała dwa zęby i policzki chomika. Laurki, którymi obdarowywała ich w każde imieniny, urodziny, Dzień Matki i Ojca. Poskręcane na brzegach i wyblakłe kłuły mnie w oczy, ilekroć na nie spojrzałem. Nie miałem ochoty znów tego przeżywać. Mój dom rodzinny nie istniał, nie było nikogo, kto z takim namaszczaniem pielęgnowałby pamiątki z czasów, gdy byłem chłopcem.

Marta wyznała kiedyś w niekontrolowanym przypiływie szczerości, który zdarza jej się wyjątkowo rzadko, że jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Dawno, gdy miała siedemnaście lat. To nas jeszcze bardziej do siebie zbliżyło. Może ludzie w podobny sposób pokrzywdzeni przez los odbierają na tych samych falach? Dwoje dorosłych sierot, coś w tym rodzaju. Nie mówiliśmy już o tym więcej, ale ten niewidzialny łańcuch przykrych doświadczeń jest wciąż obecny między nami.

Anita nigdy do końca nie potrafiła mnie zrozumieć. Nie miała pojęcia, jak czuje się ktoś, kto jest naprawdę sam na świecie. Pozbawiony bezwarunkowej miłości, którą potrafią dać tylko rodzice. Próbowwała wciągnąć mnie do swojej rodziny, uczynić ze mnie syna, którego jej ojciec i matka nigdy nie mieli. A oni przyklaskiwali temu, usilnie próbując wkupić

się w moje łaski. Zadbany ogródek, komplet wypoczynkowy na tarasie, pies witający głośno od progu, istna przypowieść o tym, co w moim życiu już nigdy nie wróci. Gdyby tak łatwo dało się wszystkich zastąpić, nie byłoby tylu ludzkich tragedii. Miałem kiedyś kochającą rodzinę, nie potrzebowałem tych wciąż żywych wspomnień zastępować nowymi.

Kiedy pojechała, przeprowadziłem się do Marty. Ucieszyła się i ugościła mnie lepiej niż w pięciogwiazdkowym Sheratonie. Wprawdzie w tym roku Wszystkich Świętych wypadło w niedzielę, a więc mój czas rozkoszy ograniczył się do zwykłego weekendu, ale i tak tych dwóch dni nie zamieniłbym na nic na świecie. Lodówka była wypełniona po brzegi, dochrapałem się nawet własnych pantofli i szlafroka. Przed południem w sobotę musiała na chwilę wyjść, ale niecałe dwie godziny później wróciła. Widocznie cmentarz ma niedaleko, chyba że była gdzie indziej, nie pytałem.

W piątek po pracy odwiedziłem grób rodziców, a potem pojechałem do niej. Zastanawiałem się, czy nie zabrać jej na jakąś halloweenową kolację na mieście. Jednak chociaż moja żona wyjechała z samego rana, uznałem, że to zbyt niebezpieczne. Zawsze mógłby zobaczyć nas ktoś z naszych znajomych lub któraś z koleżanek Anity. Poza tym naprawdę nigdzie nie byłoby nam tak cudownie jak w jej domu.

Zaliczyliśmy chyba wszystkie z możliwych, a na pewno ze znanych mi form romantycznego spędzania czasu, od kąpieli w świetle świeczek po wspólne gotowanie. Nie należę do miłośników scenariuszy w stylu love story, ale ten rodzaj rozrywki w weekend ogólnonarodowej nostalgii i melancholii był trafnym wyborem.

W poniedziałek bezpośrednio od niej pojechałem do pracy. W tym samym ubraniu, w którym byłem w piątek w firmie,

a to do mnie niepodobne. Nikt jednak nie zauważył, że nie spałem w domu.

Anita

Jestem załamana. Od dwóch dni płaczę. Ten cios był najdotkliwszy ze wszystkich, jakich doświadczyłam, ból nie do zniesienia. Kiedy spotyka nas coś złego, zawsze wydaje się, że gorzej być już nie może. A jednak.

W poniedziałek rano wróciłam od rodziców. W końcu zdecydowałam się pojechać, żeby przedłużyć kłamstwo o moim „udanym wielkomiejskim życiu”. Połknęli haczyk i, o dziwo, w tym roku byli łaskawi. Mieli ciekawszy temat do przedyskutowania. Zajęli się sprawą mojej kuzynki, która spotyka się z jakimś muzułmaninem. Na tle obecnej hysterii związanej z uchodźcami rozmowom i dobrym radom ciotek nie było końca.

Gdy wróciłam do domu, od progu wiedziałam, że coś jest nie tak. Czułam to intuicyjnie. Zamek był przekreślony dwukrotnie, a nie jak zawsze cztery razy. Nigdy nie zamykaliśmy drzwi inaczej niż właśnie w ten sposób, dosłownie na cztery spusty. Rozejrzałam się kontrolnie po mieszkaniu, ale nic nie zginęło, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Poza tym nie miało kiedy, bo wróciłam kilka minut po wyjściu Adama. Dokładnie między ósmą piętnaście a ósmą dwadzieścia siedem, bo po włączeniu radia w Trójce leciał „Salon polityczny”.

Rozpakowałam się, zrobiłam śniadanie i niecierpliwie czekałam na południe i spotkanie z Zo. Gdzieś około dziesiątej trzydzięci przypominałam sobie o Pozytywce. Uzmysłowiłam sobie, że nie wybiegła mi na spotkanie, być może zasnęła w jednej ze swoich skrytek. Jednak nie mogłam jej znaleźć. Zaczęłam gorączkowo biegać po mieszkaniu i wtedy to odkryłam. Gumowa miednica, w której piorę ręcznie biustonosze,

leżała dnem do góry w wannie wypełnionej wodą mniej więcej do wysokości kostek. Nie podobał mi się ten widok, od razu wiedziałam, że stało się coś złego. Nie mogłam oderwać miednicy od dna, przyssała się, szarpałam, aż w końcu puściła. Pod spodem leżała martwa Pozytywka. Z krzykiem wybiegłam z łazienki. Miałam wrażenie, że słyszy mnie całe piętro. Zadzwoiłam do Adama. Przyjechał po niespełna półgodzinie, ale i tak ciągnęło się to w nieskończoność.

– Co się stało? – Wpadł do łazienki, nie zamknawszy za sobą drzwi wejściowych. – O Boże! – wrzasnął.

Przekręciłam klucz w zamku i stanęłam za jego plecami. Bałam się jeszcze raz spojrzeć na wannę, choć po prawdzie nie musiałam patrzeć, bo cały czas miałam ten widok przed oczami.

– Jak to się stało? – Pochylił się i wziął Pozytywkę na rękę. Położył ją na jednym z ręczników, owinał i spojrział na mnie.

Niczego nie wyczytałam w jego wzroku.

– To ty mi powiedz, jak to się stało! Zabiłeś ją?

– Oszalałaś?! – krzyknął.

– Kiedy ją ostatnio widziałeś? – zapytałam. Nie odzywał się, pochylając nad kotką.

– No kiedy? – ponowiłam pytanie.

– Jak dawałem jej jeść – odpowiedział wymijająco.

Czułam, że coś przede mną ukrywa. Był niespokojny, na jego czole zauważyłam kilka kropel potu.

– Kiedy? Rano, przed wyjściem? O której konkretnie? Kapałeś się wcześniej? Zostawiłeś w wannie wodę?

Miałam zamiar przyłapać go na kłamstwie.

– Nie. – Wyminął mnie i wszedł do kuchni.

Nalał wody do szklanki. W ostatniej chwili zauważył zacieki po zewnętrznej stronie szkła, bez słów rzucił ją do zlewu.

Z szafki wyjął czysty kieliszek do szampana. To on nie umył naczyń, mnie nie było przez cały weekend, może mieć pretensje tylko do siebie. Chodziłam nerwowo po kuchni jak dziki zwierz w klatce. Wciąż nie docierało do mnie to, co się stało.

– Adam, kiedy ją ostatnio widziałeś?

Stał odwrócony tyłem do mnie i głęboko oddychał.

– W niedzielę rano. – Odwrócił się w moją stronę.

– W niedzielę? – Wpatrywałam się w jego twarz. – Nie spałeś dzisiaj w domu? Gdzie byłeś?

– U Piotra. W niedzielę rano spotkaliśmy się na cmentarzu, a potem pojechaliśmy do niego. Oglądaliśmy filmy, zostałem tam na noc. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Naprawdę.

Opuścił bezradnie ręce. Przyglądałam się jego twarzy, drgała mu dolna warga, wierzyłam, że tego nie zrobił.

– Wydaje mi się, że mogłem zapomnieć nalać jej wody. – Teraz on zaczął nerwowo chodzić po kuchni. – Na pewno wsypałem karmę do miski, to pamiętam. Może Pozytywka chciała się napić, wskoczyła do wanny i jakoś nieszczęśliwie wpadła pod miskę, która przyssała się do dna. Nie wiem.

Oparł czoło o ścianę.

– Ile razy przekręciłeś klucz w drzwiach, jak wychodziłeś? – zapytałam, podchodząc do niego.

– Co? – Oderwał głowę od płytek i spojrzał na mnie.

– Ile razy przekręciłeś klucz w drzwiach? – powtórzyłam.

– Nie pamiętam – oburzył się. – Jakie to ma znaczenie? – Popatrzył na mnie jak na idiotkę.

– Ma – odparłam. – Zawsze przekręcamy do końca, robimy to automatycznie, ty i ja, od lat, a dziś zamek był przekręcony tylko dwukrotnie. Ktoś tu był – zasugerowałam.

Zmarszczył brwi i wymijając mnie, pobiegł do sypialni. Szukał czegoś w swojej szufladzie. Nie trzymamy pieniędzy

w domu, jednak akt własności i teczki z pinami i hasłami do banku – owszem.

– Wszystko jest na miejscu – powiedział, wychodząc z sypialni. – Nic nie zginęło.

I wtedy mnie olśniło. Ktoś zrobił to specjalnie. Ktoś celowo utopił Pozytywkę.

– To on to zrobił – stwierdziłam.

– Kto?

– Ten parszywy gnojek z dołu. – Patrzył na mnie z pytającą miną. – Zamordował Pozytywkę w odwecie za kocie kupy na wycieraczce.

– O czym ty mówisz?

Wtedy powiedziałam mu o wszystkim. Był oburzony i zniechęcony moim zachowaniem.

– Należało mu się – broniłam się. – Za ten ciągły hałas i paskudzenie w windzie. I wiesz, że to poskutkowało, zaczął po sobie sprzątać i przestał szurać.

Spojrzał na mnie, jakbym była niespełna rozumu, ale wiem, że zasiałam w nim niepewność, widziałam to w jego oczach.

Pochowaliśmy ją niedaleko zoo, w Lesie Wolskim, zaznaczając jej grób omszałym głazem. Płakałam jak bóbr, po raz pierwszy od długiego czasu pozwoliłam sobie znów być przy nim sobą. Miałam powód do hysterii, wiedziałam, że tym razem nie będzie patrzył na mnie jak na walniętą kretynkę. Pocięczał mnie i objął ramieniem, gdy powolnym krokiem szliśmy do auta. A potem nie wrócił już do pracy, zadzwonił i został ze mną. Siedzieliśmy w ciszy i jakoś dziwnie nie czułam do niego niechęci, nie przeszkadzała mi jego obecność, która jeszcze kilkanaście dni temu doprowadzała mnie do szału. Teraz była uspokajająca, jak kiedyś, gdy byliśmy w sobie zakochani. Poszłam do kuchni zrobić herbatę i niechcący potrąci-

łam nogą miskę. Kiedy sucha karma rozsypała się na płytki, myślałam, że pęknie mi serce.

Powiedział, żebym nikomu nie mówiła o naszych podejrzeniach, szczególnie temu sąsiadowi z dołu, że to mimo wszystko brzmi niedorzecznie. Nie posłuchałam go. Gdy tylko we wtorek wyszedł do pracy, poszłam na dół. Walałam długo w drzwi, ale facet nie otwierał. Pewnie się mnie bał, nie dziwię się, w tamtej chwili też bym się siebie bała. W piwnicy znalazłam sprej, którym kiedyś malowałam na srebrno szyszki na choinkę, i napisałam na jego drzwiach: „Morderca”.

Adam

Ten tydzień nie zaczął się dobrze. Po cudownym, upojnym weekendzie kubel zimnej wody na głowę. Anita znalazła w łazience martwą Pozytywkę. Gdy do mnie zadzwoniła, nie chciałem jej wierzyć, sądziłem, że znowu jej odbija, że może wróciła wcześniej od rodziców i nie zastając mnie w domu, zaczęła wymyślać niestworzone historie. Jednak gdy przyjechałem, jej słowa niestety okazały się prawdą. Biedny kot leżał martwy w wannie. Pytała, jak to możliwe, że przecież rano musiałem ją widzieć, a ona wróciła kilka minut po ósmej. Okłamałem ją, mówiąc, że byłem u brata. Kiedyś zdarzył mu się przelotny romans, tylko raz i szybko się z niego wycofał. Moje rzekome towarzystwo podczas wyjazdu nad morze, o którym dowiedziała się jego żona, uratowało jego małżeństwo. Był moim dłużnikiem.

Powiedziałem, że widziałem Pozytywkę rano w niedzielę, ale tak naprawdę było to w piątek przed wyjściem do pracy. Anita wyjechała o świcie, nie musiałem udawać, że wychodzę na ósmą. Z Martą umówiony byłem na weekend, więc zostałem w łóżku do dziewiątej, a potem poszedłem do pracy. Pamiętam, że z myślą o dwóch dniach nieobecności zostawiłem miseczki z suchą i mokrą karmą wypełnione po brzegi. Pogłaskałem Pozytywkę na pożegnanie i nie wiedząc, że widzę ją ostatni raz żywą, zamknąłem drzwi. Nie pamiętam, ile razy obróciłem klucz w zamku, a Anita twierdzi, że zasuwa była przekręcona tylko dwa razy. Nie wiem, co o tym sądzić, rzeczywiście zazwyczaj przekręcam klucz do końca, czyli cztery razy, ale być może wtedy się śpieszyłem. Pamiętam, że wychodziłem kilka minut przed dziesiątą, bałem się, że się spóźnię

przez korki. Być może z pośpiechu nie przekręciłem zamka do oporu jak zawsze, nie pamiętam.

Podaję nawet, że sama mogła to zrobić. Ostatnio usilnie próbuje zwrócić na siebie moją uwagę. Kiedy wracam, leży w łóżku, udaje, że śpi, ale wiem, że czeka, aż do niej przyjdę. Nie mam ochoty rozmawiać o dziecku, przeżywać na nowo jej tragedii. A poza tym boję się, że pachnę Martą, nie potrzebuję teraz kolejnych problemów. Anita jest nieobliczalna, naprawdę myślę, że w przypiływie desperacji mogła to zrobić. Poświęcić kota dla wyższych celów, ratowania swojego małżeństwa. I rzeczywiście po powrocie z Lasu Wolskiego, gdzie ją pochowaliśmy, przykleiła się do mnie, pozwoliłem jej na to. Było mi smutno, nie ukrywam, przywiązałem się do tej kotki. Musiałem odwołać spotkanie z Martą, nie wróciłem już do pracy, spędziłem z Anitą na kanapie całe popołudnie i wieczór. Na szczęście następnego dnia mogłem przyjść do domu o wiele później, tłumacząc się odrabianiem wcześniejszej nieobecności. Marta wynagrodziła mi ten fatalny poniedziałek. Zostałem u niej we wtorek do dwudziestej.

Nie powiedziałem jej, co się stało. Nie za bardzo wiedziałem, jak mógłbym to zrobić, nie wymieniając w całej tej historii mojej żony. Poza tym z boku pewnie wyglądałoby to idiotycznie, być może wyszedłbym w jej oczach na wierutnego kłamcę, idiotę tłumaczącego się z nieobecności na randce śmiercią kota. Nie chciałem ryzykować, więc powiedziałem jej, że musiałem zostać dłużej w pracy.

A tam okres prosperity pełną parą. Prowadzę dwie duże sprawy z Schenkerem i Panalpiną. Jeśli negocjacje zakończą się sukcesem, mogę planować drogie egzotyczne wakacje. Może to byłaby dla nas szansa? Znów pobyć razem, jak mąż i żona, na rajskich plażach, wygrzewać się w słońcu tropików, kochać w oceanie, tak jak kiedyś, gdy byliśmy szczęśliwi.

Mam wrażenie, że działamy na siebie jak dwa magnesy, w zależności od ustawienia biegunów albo się przyciągamy, albo silnie odpychamy. Nie wiem tylko, od czego uzależnione jest rozmieszczenie plusów i minusów naszych wzajemnych relacji.

Wczoraj zabrałem Martę po raz pierwszy do knajpy. Przy tej głównej ulicy, z której skręca się na jej polną drogę, znajduje się włoska pizzeria. Wiedziałem, że nie zajrzy tam nikt z naszych znajomych. Domyślałem się, że włoska jest tylko z nazwy, ale miałem ochotę na pizzę i pomyślałem, że ją tam zaproszę. Być może nie jest to wymarzone miejsce na wieczorne wyjście z kochankiem, ale chciałem sprawdzić, czy się zgodzi. Jeśli ukrywa się tak jak ja, jeśli ktoś z miejscowych zna jej rodzinne sekrety, będzie się opierała. Ale tak się nie stało. Natychmiast przystała na propozycję i niemal od razu po moich słowach była gotowa do wyjścia.

– Jedźmy moim autem – zaproponowała.

Zgodziłem się. W środku pachniało wanilią, nie powiedziałem jej, że nie znoszę tego zapachu. Odsunąłem fotel i rzuciłem aktówkę na tylne siedzenie. Leżał na nim biały fartuch. Stomatolog. Od razu powinienem się domyślić. Piękne zęby i luksusowe mieszkanie, chyba jednak nie osiągnęłyby tego, będąc zawodowym cukiernikiem. Wyobraziłem sobie gigantyczne kolejki klientów, ich zadowolone miny na samą myśl o dodatkowych korzyściach płynących z wizyty u hojnie obdarzonej przez naturę pani doktor. Szpakowaci, łysiejący emeryci, potrzebujący więcej niż tylko nowej plomby – jej kobiecej autentyczności. Byłem w stanie to zrozumieć. Postanowiłem ją w końcu o to zapytać.

Knajpa, tak jak przypuszczałem, nie należała do wykwintnych, ale też daleko jej było do przydrożnych spelunek. Zamó-

wiliśmy capricciosoę i usiedliśmy w oknie wychodzącym na ruchliwą drogę.

– Byłaś tu kiedyś? – zapytałem, rozglądając się po wnętrzu.

– Nigdy – odpowiedziała.

– Masz blisko – zauważyłem.

– Mieszkam tu od niedawna.

– A od dawna gdzie?

– O co ci chodzi? – Wymierzyła mi srogie spojrzenie.

Czyżby zanosiło się na pierwszą kłótnię?

– Chciałbym wiedzieć, kim jest prawdziwa Marta. Powiesz mi w końcu, gdzie pracujesz, czym się zajmujesz? – Nie spuszczałem z niej wzroku.

Wielokrotnie szukałem w Google’u informacji na temat Marty Fijałowskiej, ale nic nie znalazłem. To dziwne, w dzisiejszych czasach można w internecie znaleźć wszystko, zwłaszcza na temat tak dobrze sytuowanych osób jak ona. Nie każę jej być na Facebooku, ale przecież musi gdzieś pracować lub mieć swoją firmę, skądś bierze pieniądze. Nie znalazłem jednak niczego, zero wyników wyszukiwania, jakby w ogóle nie istniała.

Czasem zastanawiam się, czy ona czegoś przede mną nie ukrywa. Może ten dom to wynajmowany rozkoszny kącik seksoholiczki. W gazetach roi się od niedorzecznych ogłoszeń w stylu „mąż na godziny”, więc mieszkanie na godziny tym bardziej nie powinno nikogo dziwić. Chyba właśnie z takich ofert korzystają twórcy seriali, szukając plenerów do swoich zawyżonych historii. Kusi mnie, aby to sprawdzić. Pojechać tam kiedyś bez zapowiedzi lub śledzić ją po moim wyjściu. Gdzie jedzie, z kim się spotyka, czy wraca tam na noc?

Kilka razy, gdy pod moją obecność wychodziła z domu, zajrzałem na piętro. Luksusowa łazienka, przestronna garderoba

i coś na kształt pokoju gościnnego. Drzwi do jednego z pomieszczeń były zamknięte na klucz. Może tam znalazłbym odpowiedź na wszystkie moje pytania?

– Myślałam, że nie zależy ci na odkrywaniu prawdy o sobie – zauważyła. – Chyba to ty powinieneś mi powiedzieć, kim naprawdę jesteś, gdzie i z kim sypiasz? Naprawdę chcesz teraz o tym rozmawiać?

Kelner podał talerzyki.

– Nie chcę.

Po jej minie widziałem, że ta rozmowa do niczego nie doprowadzi.

– No widzisz. – Uśmiechnęła się z triumfem. – Lepiej jedzmy, nie znoszę zimnej pizzy.

Nie wracaliśmy więcej do tematu naszego prawdziwego życia. Podjechaliśmy przed jej dom, nie odmówiłem, gdy zaprosiła mnie do środka. Gdzieś w mojej głowie coś mi mówi, że nasz romans wkroczył w ostatnią fazę swojego istnienia i powoli zmierza ku końcowi.

Anita

To, co się stało kilka dni temu w Paryżu, wstrząsnęło całym światem. Miałam już zamiar iść do łóżka, gdy zupełnie przypadkowo włączyłam kanał CNN. Adam już spał, ale zostawił włączony telewizor. Nie przeszkadzało mi to, bo w słuchawkach jeździłam po Pradze. Przed północą wyłączyłam komputer i sięgnęłam po rzucony na sofę pilot. Leciał jakiś mecz na Polsacie Sport. Nigdy tego nie robię, ale wtedy zaczęłam skakać po kanałach i kilka stacji dalej natrafiłam na CNN, które informowało o serii zamachów terrorystycznych w stolicy Francji. Opadłam na kanapę. Niepokój i strach widoczne na twarzach uciekających w popłochu ludzi przypomniały mi zamachy z jedenastego września w Nowym Jorku. Przeskoczyłam na kilka innych stacji. Wszędzie przewijały się te same tragiczne informacje. Ponownie odpaliłam laptop i weszłam na kilka kamer internetowych w Paryżu, monitorujących najbardziej znane miejsca: wieżę Eiffla, katedrę Notre Dame, Panteon. Niestety nie udało mi się znaleźć żadnej z widokiem na miejsce zamachu. Trzy eksplozje i sześć strzelanin, kilku zabitych w restauracji Le Petit Cambodge, w barze przy Stade de France, rzeź w czasie koncertu w teatrze Bataclan, który właśnie był odbijany z rąk terrorystów, informacje na żółtym pasku mroziły krew w żyłach. Chciałam pójść i zbudzić Adama, powiedzieć mu, co dzieje się teraz w Paryżu. W mieście, które tak bardzo kochaliśmy, w którym się poznaliśmy, z którym wiąże się tak wiele naszych cudownych wspomnień. Jednak nie potrafiłam ruszyć się z miejsca. Niebieskie światło bijące od zmieniających się obrazów na ekranie telewizora wypełniało przerażeniem przestrzeń wokół mnie, bałam się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Kiedy zbudziłam się nad ranem, telewizor był nadal włączony i wciąż mówiono o wieczornych wydarzeniach w stolicy Francji. Miałam ścierpnięty kark i było mi zimno. Zasnęłam skulona w rogu sofy, bez przykrycia i poduszki. Wstałam, nastawiłam wodę na herbatę i ponownie usiadłam na kanapie przed telewizorem. Wiedziałam, że teraz już nikt nigdzie nie jest bezpieczny, fala strachu zalała miliony ludzkich serc, zabierając im odwagę, zmieniając dzisiejsze plany. Kiedy i gdzie następnym razem zaatakują terroryści? Kto będzie następną ofiarą? Cały dzień śledziliśmy relacje na żywo z Francji i z każdą kolejną godziną mój niepokój był coraz większy. A tymczasem Adam wieczorem zaproponował, żebyśmy wyszli do kina. Popatrzyłam na niego z wyrzutem. Czy naprawdę ma ochotę spędzić wieczór w Cinema City? Odmówiłam, tłumacząc, że nie jest to odpowiedni moment na rozrywkę, poza tym nie jestem w stanie opuścić domu, za bardzo się boję. Nie chcę zostać porwana, uwięziona, maltretowana czy zabita. Śmiał się, naprawdę go to rozbawiło. Dodatkowo film traktował o imigrantach ze Sri Lanki, którzy osiedli we Francji, więc w tym momencie była to ostatnia historia, jaką chciałabym zobaczyć. Od rana już dość naoglądałam się ludzkich tragedii, strachu i terroru. Podziękowałam. Wzruszył ramionami i wyszedł z domu. Nieczuły egoista.

Co roku w listopadzie robię USG piersi. Nigdy nie lekceważę profilaktyki, tyle się przecież o niej mówi, nie bez przyczyny. Mimo że trudno mi się zebrać po śmierci Pozytywki, a teraz dodatkowo po zamachach boję się wychodzić z domu, to jednak nie przełożyłam o wiele wcześniej umówionego terminu. Wiedziałam, że badanie trzeba wykonać między czwartym a dwunastym dniem cyklu, nie chciałam czekać kolejny miesiąc. Lipiec – cytologia, listopad – USG piersi, było tak od lat, będzie i teraz.

Specjalnie umówiłam się na środę, osiemnasty listopada. W środy i czwartki w południe mam wolne, zupełnie tak jak Zo, więc spokojnie mogłam wyrwać się z domu.

– Niestety nie będzie dziś doktor Wirwickiej. Badanie robi doktor Kechler.

Tymi słowami powitała mnie recepcjonistka, gdy wieszłam płaszcz w rogu poczekalni.

– Ale byłyśmy umówione – zauważyłam, podchodząc do lady.

– Tak, wiem. Jednak pani doktor niespodziewanie coś wypadło, bardzo przeprasza. Zapewniam, że pan doktor jest również świetnym specjalistą.

– W porządku – odpowiedziałam, siadając na krześle.

W zasadzie było mi wszystko jedno, kto przeprowadzi to badanie, choć informacja, że będzie to mężczyzna, wywołała we mnie lekki niepokój. Wolałabym jednak, aby moje piersi w tak kiepskiej kondycji nie były oglądane przez jakiegoś obcego faceta.

Po chwili zostałam poproszona do dwójki. Kiedy weszłam do pokoju, stanęłam jak wryta. Doktor Kechler siedział za biurkiem, przekładając poszczególne karty wyjęte z koperty opatrzonej moim nazwiskiem. Był młodszy ode mnie, świeżo po specjalizacji, nic dziwnego, że wcześniej go tu nie widziałam. Biały fartuch rozpięty do wysokości klatki piersiowej i bladozielona koszula zdradzały mocne owłosienie na piersiach. Podniósł wzrok znad karty.

– Anita? – Również nie krył zdziwienia.

– Robert! Co ty tu robisz? – W końcu przemówiłam.

Wstał, zamknął za mną drzwi. Nie wiedziałam, że mój sympatyczny sąsiad z góry jest ginekologiem.

– Ale numer. – Pokręcił głową. – Usiądź. – Wskazał mi krzesło przed sobą.

Wrócił na swoje miejsce.

– Poinformowali mnie rano, że dziś w zastępstwie doktor Wirwickiej przeprowadzę wszystkie badania USG – tłumaczył. – Nie miałem pojęcia, że jesteś jej pacjentką.

– No to teraz już wiesz. I nie tylko to – odpowiedziałam, kładąc torebkę na kolanach.

Byłam pewna, że w karcie wyczytał mój wiek, stan cywilny i to, że bez skutku staram się o dziecko. Nie patrzył na mnie, wertował rozłożone przed sobą kartki z mojej teczki. Z charakterystyczną dla siebie swobodą, zupełnie jak kilkanaście dni wcześniej swoje zdjęcia, które pokazywał mi, kiedy wpadłam do niego na kawę.

– Może nie będzie to dla ciebie komfortowa sytuacja – spojrział na mnie, jakby zupełnie nie słyszał wypowiedzianych przeze mnie przed chwilą słów – ale miejmy to już za sobą. – Uśmiechnął się.

– Żartujesz sobie – stwierdziłam. – Przełożę badanie na inny dzień.

– Zupełnie niepotrzebnie. Dziś masz jedenasty dzień cyklu, będziesz musiała czekać miesiąc.

– Trudno. – Wstałam i skierowałam się w stronę wyjścia.

– Daj spokój. – Ruszył za mną, chwycił mnie za rękę. – Naprawdę jestem w tym dobry.

– Nie wątpię – odpowiedziałam. – Przecież wiesz, że nie o to chodzi. – Popatrzyłam mu w oczy. – Nie rozbioreę się przy tobie.

– Ej... – Zatrzymał moje spojrzenie. – Nie bądźmy dziećmi – rzucił. – Ja jestem lekarzem, ty żoną pacjentką, po sprawie. – Uniósł oczy ku górze.

Mówiąc to, potwierdził moje przypuszczenia, że mu się podobałam i że dość gruntownie przestudiował mój życiorys.

– Mimo wszystko uważam, że lepiej będzie poczekać z tym na doktor Wirwicką.

– Pruderyjność dawno wyszła z mody. – Nadal stał w odległości kilku centymetrów. – I co powiem w recepcji, że się mnie wstydziłaś? Przecież codziennie oglądam dziesiątki kobiecych piersi – zauważył. – I nie tylko piersi – dodał, mrużąc lekko oczy.

Uśmiechnęłam się.

– Udajmy, że się nie znamy. I po sprawie – zaproponował, zaczesując włosy do tyłu. Znów ten nieznośny tik. – Prosiłbym, żeby pani usiadła tutaj – polecił mi powściągliwym tonem i wskazał miejsce na kozetce.

Zaśmiałam się w głos.

– Nie rozumiem, co tak panią bawi. – Nadal profesjonalnie odgrywał swoją rolę.

Posłusznie usiadłam na wskazanym przez niego miejscu, a on sam opadł na obrotowy stółek tuż przede mną.

– Proszę się rozebrać i spleść dłonie na karku.

Bez słowa zdjęłam bluzkę i rozpięłam koronkowy biustonosz. Ucieszyłam się, że nigdy nie zrezygnowałam z nawyku wkładania świeżo zakupionej bielizny na wizytę u ginekologa. Uniosłam ręce za głowę i wystawiłam mój skromny biust na jego widok. Twarz Roberta nie zdradzała żadnych emocji. W przeciwieństwie do mojej – czułam, że płonę. Zaczął dotykać moich piersi, przesuwając palcami po każdym milimetrze skóry, potem poprosił, żebym opuściła dłonie wzdłuż tułowia, i powtórzył badanie w takiej pozycji. Jego dotyk był delikatny. Przymknęłam oczy, chcąc uniknąć przypadkowego spotkania naszych spojrzeń. Ładnie pachniał, a jego twarz dzieliło od

mojej zaledwie dziesięć centymetrów. Było to na swój sposób podniecające.

– Okej – odezwał się, wyrzucając lateksowe rękawiczki do kubła na śmieci. – Teraz proszę się tu położyć. – Wskazał na kozetkę.

Wycisnął z tubki przezroczysty żel na moje piersi, uprzedzając wcześniej, że substancja jest zimna i nieprzyjemna w dotyku. Przystawił sondę centralnie na prawym sutku i zaczął powtarzać kuliste ruchy wokół brodawki. Po chwili przerzucił się na lewą pierś. Nie patrzył na mnie, nie spuszczał wzroku z monitora, ręka sama wiedziała, co ma robić, oko śledziło obraz na ekranie. Czarno-białe linie przelewały się niczym piasek uwięziony między dwiema szybkami na obrazkach sprzedawanych przy plaży w Ustce.

– Wszystko w porządku, niczego niepokojącego nie widzę – stwierdził po chwili. – Pięknie. – Spojrzał na mnie, uśmiechając się. – Proszę się wytrzeć i ubrać. – Wręczył mi podwójną warstwę ręcznika papierowego.

Robiłam to, co kazał, patrząc, jak wstaje i z powrotem siada przy biurku. Po chwili ponownie usiadłam naprzeciwko niego. Zapisywał coś w karcie, w końcu zerknął na mnie.

– Jesteś wolna, widzisz, daliśmy radę. – Uśmiechnął się. Siedziałam jak osłupiała.

– Powtórz badanie za rok.

Musiałam mieć dziwną minę, bo nagle zapytał:

– Co jest? O coś chciałabyś zapytać?

– Nie. – Pokręciłam przecząco głową.

Jednak nie wstałam, popatrzyłam na tęczową roletę ściśle zakrywającą okno i znów na niego.

– To skoro wszystko zawsze jest w porządku, dlaczego nie mogę zająć w ciążę? – zapytałam, wyjawiając mu prawdę,

która, jak sądziłam, nie była już dla niego tajemnicą.

Teraz on w zdziwieniu uniósł brwi. A jednak nie wyczytał tego istotnego faktu z mojej dokumentacji.

– Starasz się o dziecko?

– Tak, bez skutku, od lat.

– Ilu?

– Dwóch.

– To jeszcze nie tak długo. – Jego głos był spokojny, wiedziałam, że mówi prawdę.

Spuścił wzrok na biurko i ponownie zaczął wertować zawartość mojej karty.

– Dzisiaj masz jedenasty dzień cyklu? – upewnił się.

– Tak – odpowiedziałam.

– Cykle są regularne?

– Tak, zazwyczaj trwają dwadzieścia osiem dni.

– Świetnie, a więc sprawdźmy, co się u ciebie dzieje.

– Nie rozumiem. – Popatrzyłam na niego pytająco.

– Rozbierz się od pasa w dół, przeprowadzimy monitoring cyklu.

– Żartujesz – zaprotestowałam.

Byłam pewna, że choćby nie wiem co to majtek przed nim nie zdejmę. Jednak on wyglądał nad wyraz poważnie. Ponownie usiadł na obrotowym stołku przy kozetce. Patrzyłam, jak otwiera prezerwatywę, naciąga ją na długą, przypominającą kształtem penis we wzwodzie pałkę sondy i wyciska na główkę urządzenia przezroczysty żel. Wiedziałam, na czym polega to badanie, miałam je wiele razy. Rozchyli mi nogi, włoży sondę i będzie obserwował moje jajniki. W życiu się na to nie zgodzę.

– Anita – popatrzył na mnie – jestem lekarzem, chcę ci pomóc.

– Wiem. – Pokiwałam głową. – Ale nie dam rady, naprawdę, to dla mnie zbyt krępujące. Przepraszam.

Patrzył wciąż na mnie, nie odzywając się. Jego wzrok mówił: nie udawaj świętoszki.

– Okej, zgodzę się – ustąpiłam. – Ale od razu, proszę, podaj mi namiary na jakąś firmę, która zajmuje się przeprowadzkami, bo nie potrafiłabym już spojrzeć ci w oczy, gdy znów przypadkiem wpadniemy na siebie w windzie.

Tym razem on głośno się zaśmiał i odpuścił. Wyrzucił prezerwatywę do śmietnika, sondę odwiesił na plastikowy wieszak przymocowany do monitora. Usiadł ponownie za biurkiem.

– Jak chcesz, mogę się zapoznać z twoją dokumentacją – zaoferował.

– Co to zmieni? – Wzruszyłam ramionami. – Doktor Wirwicka jest dobrą specjalistką – zauważyłam.

– To prawda – przyznał mi rację. – Ale gdybyś czegoś potrzebowała, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Dzięki – powiedziałam, wstając.

– Anita! – krzyknął, gdy dłonią dotykałam już klamki. Odwróciłam się.

– Wpadnij do mnie dziś wieczorem – zaproponował. – Pamiętaj, mieliśmy posłuchać Milesa Davisa. Możesz przyjść z mężem.

– Dzięki, ale innym razem. – Otworzyłam drzwi. Wszystkie oczy w poczekalni zwróciły się w moją stronę.

Nie dało się nie zauważyć, że nasze głośne śmiechy było tu słychać.

– Do widzenia – rzuciłam przez ramię i nie rozglądając się na boki, podeszłam do recepcjonistki uregulować rachunek.

Wracałam do domu rozbawiona. Spotkanie z Robertem wyrwało mnie z marazmu. Śmiałam się głośno, jednak nadal potrafię to robić, wciąż gdzieś głęboko żyje dawna wesoła ja. W sklepie rybnym na Kleparzu kupiłam dwie świeże flądry. Znajoma sprzedawczyni poznała mnie.

– Dawno pani u nas nie było – zauważyła, wręczając mi papierową torbę z rybami.

– Tak, wyjeżdżałam – skłamałam.

Zawsze wpadałam do tego sklepu, gdy byłam z wizytą u ginekologa. Potem, gdy zaczęły się moje problemy, byłam zbyt zdołowana, wychodząc z gabinetu, by myśleć o jedzeniu, o jakichkolwiek przyjemnościach, o czymkolwiek. Miałam zamiar upiec flądry z ziołami. Adam lubił je właśnie w takiej formie. Zawsze jednak to on je przyrządzał, nigdy ja, więc chciałam go zaskoczyć.

W bramie minęłam się z tym kretynem z dołu. O dziwo powiedział „dzień dobry” i przytrzymał windę. Od czasu, gdy nie hałasuje, już mi tak nie przeszkadza. Niekiedy miewam nawet wyrzuty sumienia, że potraktowałam jego drzwi sprejem, powoli zaczynam się zgadzać z Adamem, że z Pozytywką to był nieszczęśliwy wypadek.

Wyjęłam klucz z torebki i tak samo jak ostatnio momentalnie zorientowałam się, że coś się nie zgadza. Zamek znów był przekręcony dwukrotnie. Gdy wychodziłam z domu trzy godziny wcześniej, przekręcałam go cztery razy, na sto procent, nawet liczyłam w myślach każdy obrót klucza. Jeśli nie wpadł tu w międzyczasie Adam, a nie wpadł, nigdy nie wpada, ktoś znów był w naszym mieszkaniu. Pchnęłam drzwi i zaczęłam krzyczeć. Głośno i przeraźliwie. Papierowa torba wypadła mi z rąk na podłogę, ryby wyslizgnęły się na zewnątrz. Na środku

przedpokoju siedziały dwa ogromne szczury pochłonięte obgryzaniem ogórka.

Zostawiłam otwarte drzwi i zbiegłam na dół. Chciałam dopaść tego idiotę, zrozumiałam, skąd ta nagła życzliwość w jego zachowaniu. Kpił sobie ze mnie, wiedział, co za chwilę mi się przydarzy. Gdy wybiegłam na ulicę, jego auto zniknęło za rogiem. Wyjęłam z kieszeni telefon i zadzwoniłam do Adama. Zjawił się po dwudziestu minutach, jeszcze szybciej niż w przypadku Pozytywki.

– Zobacz, co on znów zrobił! – Podbiegłam do niego, gdy wysiadł z samochodu.

– Kto?

– Ten kretyn z dołu, co zabił Pozytywkę!

Popatrzył na mnie, przewracając oczami, wyminął i przeskakując po dwa stopnie, wbiegł po schodach na górę.

– O Jezu! – krzyknął. – Skąd one się tu wzięły?

Stałam piętro niżej, nie potrafiłam podejść do mieszkania. I tak widok, który ujrzałam po otworzeniu drzwi, zostanie w mojej pamięci do końca życia. Już nigdy więcej nie przekroczę spokojnie progu tego domu, o ile kiedykolwiek tam wrócę. Adam uderzał miotłą w podłogę, być może je przeganiał lub zabijał, było mi to obojętne. Wybiegłam na zewnątrz, uświadamiając sobie, że jeśli zaczną uciekać, znów znajdą się blisko mnie. Dlaczego on mi to zrobił? To o wiele gorsze niż ośmioliterowy wyraz na drzwiach. Nie zasłużyłam na tak straszną zemstę. Po chwili z bramy wyskoczył Adam.

– Nic ci się nie stało? – zapytał, obejmując mnie ramieniem.

Wiedział, jak panicznie boję się gryzoni. Zakryłam twarz dłońmi i nie odpowiadałam.

– Dobra – powiedział. – Wskakuj do auta. Jedziemy.

– Na policję? – upewniłam się.

– Na jaką policję? – Znów przewrócił oczami.

– Trzeba zgłosić włamanie i dręczenie, to nie może mu ująć na sucho – odparłam, posłusznie krocząc za nim w stronę samochodu.

– Będziemy dzisiaj spać u Piotrka – oznajmił, odpalając samochód. – Wezwę jakąś ekipę od deratyzacji, niech się tym zajmą.

– A policja?

– Co chcesz zgłosić na policji? – Popatrzył na mnie z ukosa, włączając się w ruch uliczny. – Że masz szczury w domu?

– Tak, że klucz przekręcony był dwukrotnie, że to się już wcześniej zdarzyło. Nie możemy tego tak zostawić, on może być niebezpieczny. Następnym razem odkręci nam kurki z gazem albo podetnie hamulce w samochodzie.

– Jaki on? – Znów zerknął na mnie ze zdegustowaną miną.

– Ten facet z dołu.

– Boże, a ty w kółko swoje. Dlaczego to miałby być on?

– Zamek znów był przekręcony tylko dwukrotnie. On się na mnie wziął.

– Daj spokój, przecież on nawet nie ma pojęcia o twojej rodentofobii – powiedział, wybierając w komórce numer Piotrka.

Nie słyszałam już nic więcej. W mojej głowie wciąż wybrzmiewały słowa: „Przecież on nawet nie ma pojęcia o twojej rodentofobii”. To prawda, on nie ma o tym pojęcia, za to ty o tym wiesz od dawna. Byłam pewna, że to wszystko sprawka Adama. Nie mogłam już dłużej ufać mojemu mężowi, nie mogłam już ufać nikomu.

Adam

To jakaś paranoja. Najpierw śmierć kota, teraz ta historia ze szczurami. Nie wiem, o co chodzi, ale coś mi tu śmierdzi. O ile mogłem podejrzewać Anitę, że byłaby w stanie zabić Pozytywkę w celu ratowania naszego związku, o tyle jestem pewien, że nie ma nic wspólnego z dwoma grubymi, oswojonymi szczurami, które nie wiadomo jak znalazły się w naszym domu. Ona, nawet mijając sklep zoologiczny, przechodzi na drugą stronę ulicy. Cierpi na ciężki przypadek rodentofobii, co w połączeniu z jej mizofonią daje nieciekawny efekt. Jestem pewien, że to nie ona.

A jeśli nie ona, to kto? Śmierć kota mogła być przypadkiem, ale gryzonie grasujące po naszym mieszkaniu to czyjeś celowe działanie. Ktoś musiał kupić te szczury i celowo podrzucić je w naszym domu. Nie sądzę, żeby to był ten facet z dołu, niby dlaczego miałby to robić. Za to, że kilka razy stuknęła szczotką w jego sufit i wyrzuciła zawartość kuwety na wycieraczkę? Naprawdę przegięła, ale czy ktokolwiek normalny dałby się tak sprowokować? Angażować się w kupowanie szczurów i umieszczanie ich w naszym mieszkaniu? To raczej wątpliwe. Pewne jest jedno – ktoś tam był. Sprawdziłem, nic nie zginęło, nie był to napad rabunkowy, tylko rzeczywiście celowe działanie mające wystraszyć Anitę. Kto może jej tak nienawidzić? I dlaczego? Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, była wymiana zamka. Ślusarz potwierdził brak śladów włamania. Ktoś otworzył drzwi kluczem, co do tego nie miał wątpliwości. Ekipa dezynfekowała mieszkanie, nie znalazła więcej gryzoni. Mimo wszystko Anita boi się tam wracać.

Anita

Od dwóch dni śpimy w łóżku Piotra i jego żony. Lubię ich syna Kamila, bystrego siedmiolatka, ale za jego rodzicami nie przepadam. On pewny siebie i pyszałkowaty, ona kwaśna jak cytryna. Niby miło nas przyjęli, ale czułam, że tylko czekają, aż wrócimy do siebie. Wyjechali na weekend do teściów, mimo wszystko cieszę się, że jesteśmy sami. Jutro wracają i my także wracamy na Starowiślną. Adam zapewnia, że po incydencie nie pozostał nawet najmniejszy ślad, nie używa słowa „szczury”, bo wie, jak negatywne emocje to we mnie wywołuje. Nie mam pojęcia, kto za tym stoi, ale jestem przekonana, że ktoś, kto mnie szczerze nienawidzi. Wiem, że to nie przypadek, nie ma opcji, aby dwa hodowlane gryzonie załęgły się w naszym domu w ciągu trzech godzin. Adam utwierdza mnie w przekonaniu, że facet z dołu nie ma z tym nic wspólnego. To prawda, on nie wiedział o mojej fobii, wie o tym tylko kilka najbliższych osób i niestety jest wśród nich mój mąż. Nikt też oprócz niego nie ma kluczy do naszego mieszkania, a ślusarz potwierdził brak śladów włamania. Nie chce mi się jednak wierzyć, że to mógł być on. Fakt, że klucz znów był przekrecony dwukrotnie, nie uniewinnia Adama, ale odsuwa od niego podejrzenie. Poza tym był wkurzony, że musi to posprzątać, wzywać ekipę od gryzoni, zmieniać zamki. Słyszałam, jak wieczorem pierwszego dnia, gdy tu przyjechaliśmy, rozmawiał z bratem. Powiedział, że zgadza się ze mną, że ktoś obcy był w naszym domu, i o ile w przypadku kota mi nie wierzył, to teraz nie ma już co do tego wątpliwości. Czuję, że między nami nastąpiła jakaś pozytywna zmiana.

Podczas całego pobytu u Piotra wracał po siedemnastej. Co prawda jego brat mieszka jakieś dziesięć minut od biura, ale

to i tak poświęcenie z jego strony. Po raz pierwszy nie zostawał dłużej w pracy, wiedział, że teraz bardziej go potrzebuję. Boi się o mnie, wiem o tym, sam mi powiedział.

Wczoraj zabrał mnie na kolację na Rynek. Początkowo nie chciałam dać się namówić. Po zamachach w Paryżu odczuwam dziwny strach, jakąś wewnętrzną niechęć do opuszczania domu, ale u Piotra nie czułam się jak u siebie, poza tym panowało zamieszanie, pakowali się do wyjazdu. W końcu zgodziłam się wyjść. Do kolacji zamówił wino, a na deser mój ulubiony crème brûlée. Jak zwykle odmówiłam alkoholu, ale on sobie nie żałował. Gdy trochę wypił, rozluźnił się i wtedy mi to powiedział.

– Martwię się o ciebie.

Upuściłam trzymaną w ręce łyżeczkę do herbaty, z hukiem uderzyła o porcelanowy talerzyk. Naprawdę rozmawialiśmy. Od kilku miesięcy nie zamieniliśmy ze sobą tylu słów co podczas tego wieczoru. Podniosłam łyżeczkę i przebiłam się przez twardą, skryształizowaną karmelową pokrywę deseru.

– Może powinnaś gdzieś wychodzić, na jakieś dodatkowe zajęcia, może zacząć uprawiać jakiś sport?

Milczałam, a on kontynuował:

– Po prostu za dużo czasu spędzasz sama ze sobą, być może to pomogłoby ci...

– W czym? – przerwałam mu. – Na pewno nie w zajęciu w ciążę.

– Nie o tym myślałem.

– Boję się wychodzić z domu, dobrze wiesz.

– Ale czy nie tak właśnie przełamuje się lęki? Wychodząc im naprzeciw? Strach ma wielkie oczy, może powinnaś się w końcu o tym przekonać.

Obok przy stole ktoś głośno bawił się zakrętką od maggi, otwierał ją i zamykał, przewróciłam z dezaprobatą oczami. Adam popatrzył na mnie. Wciąż miał to samo spojrzenie. To, którym obdarzył mnie po raz pierwszy na lotnisku. Ogromne źrenice wyrażające pewność siebie, determinację i władzę. To wszystko, co sprawia, że mężczyzna wydaje się o wiele ciekawszy, niż jest w rzeczywistości. Mimo wszystko wciąż tego potrzebuję, jego siły i odwagi, bo od jakiegoś czasu cierpię na niedobór własnych.

– Nie wiem, co się ze mną stało – powiedziałam, układając dłonie na stole.

– Co się z nami stało. – Popatrzył w przestrzeń za oknem. Grodzką przejechała dorożka. Czerwone pompony podskakiwały na głowie białego konia. Adam wyciągnął rękę i przykrył nią moją dłoń. Po raz pierwszy od dawna poczułam, że wciąż mu na mnie zależy, to było miłe.

Przebywanie w domu pod nieobecność właścicieli miało w sobie jakąś ukrytą moc przełamywania rutyny. Tutaj wciąż mnie coś jeszcze zaskakiwało. Gdy wieczorem wróciliśmy do mieszkania, przez chwilę w przedpokoju szukaliśmy włącznika światła, który był ukryty pod ramą kryształowego lustra.

Adam zaczął się śmiać, odchylił głowę do tyłu i powiedział, że u Piotra zawsze sztywne ramy przysłaniały światło czy coś w tym rodzaju. Gdy zniknął za drzwiami łazienki, zajrzałam do pokoju Kamila.

Sufit usiany był naklejkami fluorescencyjnymi w kształcie gwiazdek, miało to pewien urok. Po miękkim dywanie w barwach klubowych FC Barcelona podeszłam do biurka. Usiadłam na obrotowym krześle. Do tablicy korkowej przyczepiony był plan lekcji i kilka zdjęć. Jedno w objęciach ze szczerbatym kolegą, drugie z akademii w szkole, wszystkie dzieci stały ubrane na galowo, a trzecie z rodzicami. Zaświeciłam

lampkę i odpięłam ostatnie zdjęcie. Kamil był podobny do swojej mamy, wierna kopia, jedynie kolor włosów i kształt oczu odziedziczył po ojcu. Patrząc na fotografię, zastanawiałam się, jak wyglądałoby nasze dziecko, do kogo byłoby podobne. Czy miałoby moje blond włosy, czy czekoladowe loki Adama? Moje czoło, jego nos, moje oczy, jego uśmiech czy zupełnie na odwrót? Czy kiedyś się o tym przekonam?

Odwiesiłam zdjęcie na miejsce i zgasiłam lampkę. Gdy wstałam, by wyjść, zauważyłam, że w drzwiach stoi Adam. Nie wiem, od jak dawna mi się przyglądał, ale jego twarz była smutna. Po raz pierwszy pomyślałam, że może jemu też nie jest łatwo nie być ojcem. Wciąż tylko słuchać, jak jego brat i koledzy z pracy chwalą się wyczynami i osiągnięciami swoich pociech. Pierwszy raz dziecka na nartach, nowy rowerek dwukołowy, wyczyny na ścianie wspinaczkowej, na Facebooku aż roi się od tego typu przechwałek. A Adam wie, że jest pozbawiony tych przyjemności nie ze swojego powodu, tylko z winy wadliwej żony. Skąd mógł wiedzieć, że trafi mu się zepsuty egzemplarz? Gdy zaczepił mnie na lotnisku, nie miałam wypisane na czole: uwaga, nie urodzę ci dzieci.

Podeszłam do niego i położyłam dłoń na jego twardym bicepsie ukrytym pod białym podkoszulkiem. Włosy miał mokre, po krawędzi szyi spływało kilka kropel wody. Wytarłam je palcem, a on chwycił moją dłoń i przycisnął do siebie. Był wszystkim, co mam. Mój mąż, pomyślałam, to wciąż ten sam człowiek, mimo tylu złych wspomnień, to ciągle ta sama osoba. Patrzyliśmy sobie w oczy. Jego źrenice były duże, zawsze takie miał, od urodzenia. Czułe spojrzenie heroinisty. Przesunął moją dłoń wzdłuż swojej klatki piersiowej i zatrzymał ją w okolicy brzucha. Nagle chciałam się z nim kochać, nie wiem, czy pod wpływem chwili, czy dlatego, że dzisiaj były te dni. Nie musiałam zaglądać do kalendarzyka, od rana czułam ból w prawym jajniku. Już dawno nie miałam ta-

kich przypadłości. Kiedyś owszem, często wiedziałam, kiedy mam owulację, mój organizm mnie o tym informował, przesuając się z jednego jajnika na drugi. Jednak odkąd zaczęłam leczyć się hormonalnie, ta zdolność zanikła. Nie odczuwałam już klucia w podbrzuszu, bólu piersi tuż przed okresem, zmian w wyglądzie i konsystencji śluzu, jakbym naprawdę była pozbawiona kobiecych narządów rozrodczych.

Objęłam go drugą ręką w pasie, a on podniósł mnie i po kilku krokach rzucił na łóżko w sypialni brata. Kochaliśmy się na jedwabnej, śliskiej pościeli. Adam był delikatny i czuł jak dawniej. A potem nie zasnął jak zwykle i ja też nie zasnęłam. Leżeliśmy w swoich objęciach, nadzy, i w milczeniu patrzyliśmy w sufit. Zastawiałam się, o czym myśli, ale nie odważyłam się go o to zapytać.

Adam

Muszę zakończyć ten romans. Męczy mnie to ciągle bycie własnym szpiegiem. Kontrolowanie zachowania, słów, mam dość. A poza tym z Anitą coś drgnęło. Czuję, że może to początek jakiegoś przełomu. Gdzieś kiedyś czytałem, że ludzie po doświadczeniu bardzo stresującej sytuacji, a takie na pewno było jej spotkanie ze szczurami, często przechodzą metamorfozę. To jak nagły impuls wywołujący stałe zmiany i chyba w jej przypadku są to zmiany na lepsze. Niczego sobie po tym nie obiecuję, ale cieszę się, że znów coś się między nami dzieje. Na razie niezbyt wyraźnie, powoli, ale lody topnieją. Nie chcę, żeby przypadkowe wyjście na jaw całej historii z Martą coś popsuło. Jeszcze nie wiem, jak jej to powiem. Szczerze mówiąc, nawet nie mam na to czasu, bo w pracy zbyt wiele się dzieje, ale jestem pewien, że zrobię to niebawem, gdy tylko pojawi się ku temu odpowiednia okazja.

Eryk

Skończyłem obrazy jak zwykle przed czasem. Zostały mi dwa tygodnie na ostatnie szlify, poprawki, wyrównania. Milena coraz częściej znika wieczorami. Wychodzi, potem wraca, czasem dzwoni, że dziś będzie nocować u siebie. Nie przejmuję się tym, bo wiem, że nie ma dla nas przyszłości. To zawsze się czuje. Przelotny związek, krótki romans, nic poza tym. Jeśli nie poszlibyśmy na całość tak wcześnie, jeśli postanowilibyśmy się najpierw poznać, to kto wie może mogłoby być inaczej. Jednak rzadko się zdarza, że dziewczyna, z którą idzie się na drugiej randce do łóżka, zostaje potem naszą żoną. Tak samo było z Tanią, tak samo będzie z Mileną.

Adam

Umierałem z ciekawości. Rozłożyłem przed nimi papiery. Wystające spod rękawów marynarek mankiety białych koszul muskały kartki, wprowadzając je w delikatne drzenie. Nie denerwowali się, bynajmniej, to nie w ich stylu. Miny mieli zamysłone, w skupieniu studiowali wyliczenia, udając mądrzejszych, niż są w rzeczywistości. Musieli się zgodzić. Moja propozycja balansowała na granicy bezczelności i negocjacyjnej przyzwoitości. Po pięciu minutach i kilku zbyt długich odpowiedziach na ich nużące pytania miałem podpisany kontrakt. Wiedziałem, że jestem w tym świetny.

Zjadłem z nimi obiad, oddając się nudnej konwersacji. Przeżuwane zbyt długo mięso po chwili zmieniło się w papkę przypominającą zmieloną zupkę dla niemowląt. Gdyby nie byli tacy sztywni, zażartowałbym jakoś na ten temat lub bezwstydnie wypluł wszystko w ozdobną serwetkę. Jednak nie zrobiłem tego, przełknąłem miazgę, siląc się na uśmiech do tego z zakolami, który mamrotał coś o zmianach w Incoterms. W końcu uwolniłem się od ich męczącego towarzystwa i wyszedłem na świeże powietrze, które dawno straciło na jakości, mieszając się z wszechobecnym smogiem. Szedłem w kierunku taksówek. W myślach skreśliłem jeden z punktów na liście rzeczy do zrobienia. Teraz nadszedł czas, żeby załatwić sprawę z Martą. Już wcześniej miałem to skończyć, ale nie chciałem rozpraszać swojej energii. Najpierw odhaczamy jedną kwestię, a potem przystępujemy do drugiej – zawsze najważniejsza jest odpowiednia strategia.

Gdzieś pomiędzy wizjami ostrej awantury i pożegnalnego seksu wpadłem na nią na mieście. Dosłownie na środku skrzyżowania, pośród mijających się tramwajów. Rzuciła mi się na

szuję, chwyciła moją rękę i poprowadziła do pobliskiej restauracji z kuchnią ukraińską. Nie byłem głodny, ale zaskoczony nie protestowałem. Ona zaś zachowywała się z niezwykłą swobodą, chyba naprawdę nie ma nic do ukrycia. Zamówiła dla siebie zupę, a dla mnie kawę.

– Nie mówiłaś, że będziesz dzisiaj na Rynku – powiedziałem, gdy minął pierwszy szok po nieplanowanym spotkaniu.

– Ty też nie.

– Jak to nie? – Spojrzałem na nią. – Od dawna miałem umówione to dzisiejsze spotkanie, na pewno ci o tym wspominałem.

– Nie mnie. – Uśmiechnęła się znacząco.

Być może miała rację, zapewne mówiłem o tym Anicie. Upiłem łyk kawy.

– I jak ci poszło?

– Świetnie. Wynegocjowałem rewelacyjne ceny, konkurencja będzie musiała się nagimnastykować, żeby im dorównać.

– A więc jest co opijać – stwierdziła, podnosząc rękę. Poprosiła o butelkę Pirosmeni.

– A ty? – zapytałem. – Co tu robiłaś?

– Także sprawy zawodowe – odpowiedziała wymijająco.

– No to powiesz mi w końcu, czym się zajmujesz? – drażyłem, ponownie kierując rozmowę na tory zmierzające ku stacji końcowej. Dlaczego nie zerwać z nią teraz?

– No dobra. – Uśmiechnęła się. – Jestem właścicielką restauracji.

– O, ho, ho! – Zagwizdałem. – Tej?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyła.

– Dlaczego więc tutaj jemy?

– Nie czułabym się tam swobodnie – powiedziała.

– Zdradzisz w końcu, która knajpa ma tak seksowną właścicielkę?

– Dowiesz się w odpowiednim czasie. – Widać było, że schlebił jej mój komplement. – Bądź cierpliwy.

Wyraźnie nie chciała kontynuować wątku. Przed czternastą zamówiliśmy taksówkę. Nie wracałem już do pracy. Czas do wieczora spędziliśmy u niej. Nie powiedziałem jej, że to ostatni raz, nie miałem ochoty dzisiaj tego załatwiać.

Anita

Mój mąż mnie zdradza. Człowiek, którego kilka lat temu poślubiłam, okłamuje mnie. Nie wiem, ile to trwa, ale nie pozwolę się tak traktować. Zapewne nie wiedziałabym o tym jeszcze długo, gdyby nie przypadek.

Poranek pierwszego grudnia spędziłam na wymyślaniu słów kluczowych do reklam sponsorowanych agencji turystycznej. Właścicielkę, Klaudię, znam osobiście, prowadzi biuro podróży w Zakopanem i swego czasu wynajmowała mi pokój w swoim ekskluzywnym hoteliku. Nigdy nie byłam tam z Adamem, ale kilka razy zatrzymałam się tam z Tobiaszem. To nie było nic poważnego, przelotny romans, jeszcze przed tym, jak poznałam Adama. Tobiasz był Niemcem. Poznałam go w samolocie zupełnie jak Adama i także podczas powrotu z podróży służbowej. Byłam na targach multimediiów i designu w Hamburgu, a on miał miejsce obok mnie. Dość dobrze mówił po polsku, studiował w Krakowie, był lekarzem, chirurgiem. Od dwóch lat znów mieszkał w Polsce w ramach jakiegoś projektu międzynarodowego. Po powrocie zaczęliśmy się spotykać. Dość intensywnie, ale też krótko, przez jakieś trzy miesiące. Był cudownym kochankiem. Często jeździliśmy w góry, nocowaliśmy w nastrojowym hoteliku Klaudii, zawsze w tym samym pokoju, piątce na pierwszym piętrze. Pamiętam, jak kiedyś po powrocie do Krakowa rozpakowywałam walizkę, gdy zauważyłam ręcznik z logo hotelu, złożony w kostkę obok jego rzeczy.

– Tobi! Co to jest? – zapytałam, machając mu nim przed nosem.

– Ręcznik.

– To akurat wiem. Ale co on robi w naszej walizce?

Popatrzył na mnie, odkładając na bok gazetę.

– Dlaczego go ukradłeś? – dopytywałam.

– Nie ukradłem – zaprzeczył. – Zawsze sądziłem, że złożone w nogach łóżka ręczniki hotelowe to prezent dla mnie.

Wybuchłam śmiechem. Taki właśnie był Tobiasz, przezbawny. Myślę, że mogłabym być z nim szczęśliwa, jednak w momencie, kiedy go spotkałam, nie czułam się gotowa na poważny związek.

Nasze rozstanie także wiązało się z hotelikiem Klaudii. W grudniu dwa tysiące dziesiątego roku wybraliśmy się na narty. Cały dzień spędziliśmy na stoku, a potem leżeliśmy w pokoju oświetlonym przez lampki małej choinki. Patrzyliśmy na góry i spadające płatki śniegu, zupełnie jak w wodnej kuli wypełnionej brokatem. Do dziś, gdy zamknę oczy, widzę ten drobny puch za oknem i profil Tobiego. Nagle odwrócił się i powiedział:

– Wyjedź ze mną.

– Gdzie? – Rzuciłam mu zaskoczone spojrzenie.

– Do Hamburga. – Wziął mnie za rękę. – Niedługo kończę kontrakt, będę wracać na stałe do Niemiec, a ty przecież możesz pracować wszędzie. Zamieszkalibyśmy razem.

Patrzyłam na niego zdziwiona i nie potrafiłam nic odpowiedzieć. Nie sądziłam, że tak poważnie traktował nasz luźny związek. Wiem, że ta deklaracja uczuć wiele go kosztowała, nie należał do najbardziej wylewnych osób na świecie.

– Tobie, nie mogę.

– Dlaczego?

Oświadczyłam wtedy, że nie jestem gotowa, że nie potrafiłabym żyć za granicą, co oczywiście było kompletną bzdurą. Potrafiłabym, ale nie z nim. Nie kochałam go, jednak nie wystar-

czyło mi odwagi, aby mu o tym powiedzieć. To był nasz ostatni wspólny wyjazd. Następnego dnia wróciliśmy do Krakowa, jeszcze kilka razy się spotkaliśmy i z początkiem roku Tobi na zawsze zniknął z mojego życia.

Zawsze gdy robię reklamę dla Klaudii, przypominają mi się chwile spędzone w jej rodzinnym hoteliku o wnętrzach urządzonych w stylu prowansalskim, które zawsze będą mi się kojarzyć z Tobim. Nigdy już nie odwiedzałam tego miejsca z żadnym innym facetem, czasem wpadałam sama – to taki hołd złożony czasowi, który spędziliśmy tam razem. Kilkukrotnie kusiło mnie, żeby poszukać czegoś na temat Tobiego w internecie, ale nigdy tego nie zrobiłam. To nie miało żadnego znaczenia, pojawił się Adam, a poza tym nie byłam gotowa na jego zdjęcia, zwłaszcza z dziećmi. Przypuszczałam, że się ożenił i założył rodzinę, a nie chciałam oglądać tych fantastycznych rodzinnych historii i myśleć, że mogłabym być ich częścią.

Po jedenastej zaparzyłam kawę i czekałam na spotkanie z Zo. Tatra T3 właśnie zjeżdżał w dół krętą ulicą Chotkovą, jeszcze chwila i znów go zobaczę. Tramwaj piszczał głośno na zakręcie, a niby ten smar, który wozi ze sobą, miał temu zapobiec. Wjechał na prostą, zostawiając w tyle stojących na przystanku ludzi. Wpatrywałam się w tłum i nie mogłam dostrzec Zo. Nie było go. Maszynista zatrzymał się na czerwonym świetle. Z tyłu nadjeżdżała już dwudziestkadwójka, ludzie zaczęli podchodzić bliżej torów. Panowało ogólne zamieszanie, przyglądałam się poruszającym się sylwetkom, ale nigdzie nie było ani Zo, ani Rudej. Dziś ich nie ma. Od kilku miesięcy widziałam ich tu w każdy poniedziałek, wtorek i piątek, oprócz tego jednego zaniedbania, gdy zagadał mnie Robert i gdy raz pojawiła się informacja: *Mazací tramvaj je v depu*. Zawsze tu byli, w czasie wakacji, w deszcz i słoneczne dni, niezmiennie o jedenastej pięćdziesiąt pięć się z nim widziałam. Wagonik ru-

szyl, skręcił jak zwykle w prawo, a ja poczułam, jakbym spadała w studnię bez dna. Po prostu wiedziałam, że stało mu się coś złego.

Kręciło mi się w głowie. Przecież zawsze chciałam zobaczyć coś mrożącego krew w żyłach i właśnie moje życzenie się spełniło. Zo zniknął. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Czekać do następnego dnia czy przyjąć najgorszy scenariusz, że coś się w jego życiu zmieniło i na zawsze przestał jeździć tą trasą. Nie chciałam się z tym pogodzić. Patrzyłam, jak tramwaj jedzie dalej Letenską, i zaklinałam los, by pozwolił mi jeszcze kiedyś zobaczyć Zo. Nerwowo zaczęłam przerzucać się na obrazy z innych kamer, w Tokio, Nowym Jorku, Sydney i Krakowie. Przeskakiwałam z miasta do miasta i nagle na placu Wszystkich Świętych zobaczyłam Adama. Początkowo byłam zdziwiona, ale przypomniałam sobie o spotkaniu biznesowym, o którym wspominał wieczorem. Naprawdę nie miałam zamiaru go śledzić czy kontrolować, nawet przez myśl mi nie przeszło, że może mnie zdradzać. Po prostu nagle pojawił się przed moimi oczami. Dosłownie szedł w moim kierunku, widziałam, jak wiatr trzepocze jego zielonym szalikiem, który podarowałam mu w zeszłym roku na Gwiazdkę. I wtedy pojawiła się ona. W czerwonym płaszczu ściśniętym w talii i butach na wysokim obcasie. Szła od Rynku, tyłem do mnie, nie widziałam jej twarzy, włosy ukryła pod beretem. Krok miała energiczny, jakby frunęła pomiędzy kałużami i śladami po gołębach odchodach. Wyglądała hipnotyzująco, zawładnęła całym oknem kamery. Śledziłam jej każdy krok, jakby oprócz niej w odległości najbliższych metrów nie było nikogo. I wtedy rzuciła mu się na szyję. Po prostu podeszła do mojego męża, splotła ręce na jego karku i pocałowała go. Patrzyłam na jego niemy akt wzajemności: ręce Adama wędrowały wzdłuż jej talii, a skórzana aktówka, którą wciąż trzymał, sterczała z prawej strony jej ciała jak złamane skrzydło motyla. Nie mogłam

uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Kim ona jest? Co łączy ją z moim mężem? Niemożliwe przecież, że to klientka i przywitali się w ten sposób, aby załatwiać wspólne interesy. Tak nie wyglądają spotkania biznesowe, nie jestem idiotką, nie dam się na to nabrać. Choć moja podświadomość właśnie kazała mi w to wierzyć, rozsądek stał twardo na straży godności. Jeśli mają jakieś wspólne interesy, to wyłącznie łóżkowe. Odkleili się na chwilę od siebie, wymienili kilka słów, po czym zawróciła go w stronę Grodzkiej i oddalili się, trzymając się za ręce. Wyglądali na tak bezczelnie szczęśliwych, że miałam ochotę napluć im w twarz.

Siedziałam i gapiłam się w monitor. Po szynach sunęły tramwaje, ludzie wsiadali i wysiadali, przechodnie przemierzali się tam i z powrotem, przejeżdżały dorożki pełne roześmianych turystów, a mnie po policzkach spływały łzy. Jak śmiał mnie tak zlekceważyć, upokorzyć, poniżyć, odrzucić z godności? Pieprzony palant! A już byłam skłonna uwierzyć, że jednak może być między nami jak dawniej. Jeszcze tego pożałuje. Ze mną się tak nie postępuje, nie pozwolę na to. Nie jestem kobietą, którą się zdradza, jeśli tego jeszcze nie wie, to szybko się dowie. Przez głowę przelatywały mi miliony pomysłów, tysiące wariantów zemsty, niezliczone wizje upokorzenia go. W myślach obracałam je wciąż na nowo. Na początku miałam ochotę spakować się i odejść, potem pomyślałam, że może teraz ja go zdradzę, z Robertem czy kimkolwiek innym, kto tylko zechce mi w tym pomóc. Następnie w mojej wyobraźni pojawiło się kilka spektakularnych wizji samobójstwa. Mojego, upozorowanego jego lub jej. Nigdy wcześniej nie czułam się tak poniżona, sponiewierana, nigdy żaden facet mnie nie zdradził, żaden też nie odszedł, to ja zawsze dyktowałam warunki. Adam okazał się zuchwalszy, niż sądziłam. Bezczelny gnojek, nie zostawię tak tego. Za punkt honoru postawiłam sobie ustalenie, kim jest ta dziwka.

Marta

Zaczyna coraz bardziej węszyć. Wypytywać, stawiać pod mur. Nie mam ochoty na takie gierki. Chyba jasno wytyczyłam granice i charakter naszych spotkań. Nie rozumiem, dlaczego usilnie chce to zmienić. Dzisiaj spotkaliśmy się przypadkowo na mieście. Był zaskoczony, ale pozwolił się dotykać i afiszować naszym związkiem w miejscu publicznym. Zmyśliłam głupią historyjkę o prowadzeniu restauracji, a on przyjął to z łatwownością trzylatka. Czasem się zastanawiam, czy przy swojej naiwności wciąż wierzy w Świętego Mikołaja.

Coraz częściej przekonuję się, że nigdy nie mogłabym być z kimś tak prostym jak Adam. Nie żebym szukała skomplikowanych osobowości, ale wymagam od faceta czegoś więcej niż tylko wyrafinowanego zachowania w łóżku. Nie poświęcam temu zbyt wiele czasu, wiem, że to wszystko jest chwilowe, tylko dopóki nie osiągnę zamierzonego celu. Powoli przemieszczam się do realizacji ostatniego etapu planu. Daleka jednak jestem od pośpiechu, zbyt długo na to czekałam, by nie pozwolić sobie teraz delektować się tą niebezpieczną grą.

Jeszcze tylko kilka dni dzieli mnie od rocznicy tamtego pechowego piątku. Dziś czuję się tak samo rozbita jak wtedy, gdy to się zdarzyło. Jakby ten czas dzielący mnie od tragedii zupełnie nie istniał. Nie chcę znów znaleźć się na dnie rozpacz. Pograżona w bólu z powodu jątrzących się nadal ran. Wczoraj wydaje się bardziej realne niż dzisiaj, bardziej prawdziwe i namacalne niż chwila obecna. Jedno wspomnienie prowadzi do następnego i w pewnym momencie staje się to nie do zniesienia. Ten, kto powiedział, że czas leczy rany, był w błędzie, moje są wciąż głębokie i dotkliwe. Pięć lat, tysiąc osiemset dwadzieścia sześć długich dni, a wciąż boli tak samo mocno.

Boję się, że coś się stanie i dzień zemsty nie nadejdzie. Wiem, że nic nie zwróci mi przeszłości, i tylko wizja tego, co ją czeka, pozwala mi patrzeć z nadzieją w przyszłość.

Leżę na sofie w salonie, wpatrując się w przestrzeń za oknem. Dobrze, że tak mało się tu dzieje i panuje całkowita cisza. Raz na godzinę polną drogą przejedzie samochód, słychać wiatr szalejący wśród trzciny i suchych traw. Pozwala to klatka po klatce odtwarzać minione chwile, przewijać taśmę do przodu i w tył, z taką częstotliwością, na jaką mam ochotę.

Gdy ogień w kominku gaśnie, wstaję i wchodzę po schodach na piętro. Zdejmuję z półki niebieskie pudełko w białe paski. Kładę na nim dłoń. Kamień w pierścionku na serdecznym palcu iskrzy w zachodzącym słońcu, denerwuje mnie ten widok. Zdejmuję wieko i wyjmuję kopertę spoczywającą na dnie. Otwieram ją i dotykam małego punkcika. Wygiętej w kształcie ziarna fasoli plamki na czarno-białym polu zdjęcia USG.

Anita

Nie powiedziałam mu, że wiem, niczego nie dałam po sobie poznać. Żaden z moich światów już nie istniał. Gdy wrócił do domu, udałam, że śpię. Notabene był w świetnym nastroju. Domyśliłam się, że miał udany seks, nic innego nigdy nie wprowadzało go w taki błogostan. Po raz pierwszy czułam jej zapach. To znaczy, czułam go na nim wielokrotnie, ale nigdy nie sądziłam, że należy do innej kobiety. Mój zmysł węchu go rejestrował, ale mózg nie przepuszczał tego faktu przez dalszą filtrację. Teraz wszystko połączyło się w całość. Słodko-kwiatowy zapach drogich perfum, wyraźnie wyczuwalna nuta konwalii i mięty – byłam pewna, że gdzieś już go czułam. Wcześniej, wielokrotnie, nie na Adamie, na jakiejś kobiecie, ale nie mogłam sobie tego teraz przypomnieć. Jednak nie miałam wątpliwości, że wygrzebię tę informację z pamięci, markę perfum i twarz kobiety, która je nosi.

Leżąc skulona na łóżku, słyszałam, jak otwiera lodówkę, potem charakterystyczny dźwięk odciągania zawleczki w puszcze. Pił piwo. Czasem lubi napić się po seksie. Teraz moment ten musiał nastąpić z kilkunastominutowym opóźnieniem, bo tyle zajął mu pewnie powrót do domu. Czułam, jak łzy spływają mi po policzkach, sprawiając ból w chwili zetknięcia z popękana skórą na ustach.

Myśl o Zo nie dawała mi spokoju, ta jego dzisiejsza nieobecność bolała mnie równie mocno, jak akt zdrady Adama. Za dużo jak na jeden dzień. Na moment musiałam zasnąć, wypilałam wcześniej pół butelki neospasminy, chciałam uciszyć duszę. Zbudziłam się, gdy kładł się obok. Materac ugiął się pod jego ciężarem. Byłam pewna, że jeśli mnie dotknie, rzucę mu się do gardła. Jednak nie było takiej potrzeby, prawie od razu

zaczął cicho pochrapywać – wykończony pełnym emocji dniem spał jak dziecko. Leżałam z otwartymi oczami, wpatrując się w ciemność i ledwo widoczne kontury mebli. Planowanie i precyzja zawsze były moją mocną stroną, nie mogą mnie teraz zawieść. Muszę pozbierać myśli, ustalić priorytety i działać.

Adam

Miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Po prostu odczuwałem czyjąś nieznośną obecność w drodze do pracy. Co chwilę zerkałem we wsteczne lusterko. Wprawdzie wcześniej kilka razy też doświadczyłem tego uczucia, ale potem zniknęło, aż do dziś. W McDonalddie rozglądałem się dookoła, ale nie widziałem nikogo, kto byłby mną zainteresowany. Może zaczynam wpadać w paranoję, prowadzenie podwójnego życia niezmiernie wykańcza. Pamiętanie, co się której powiedziało, notowanie wszystkiego w myślach, wymyślanie ewentualnego alibi, na wypadek gdyby któraś o coś pytała. Muszę to zakończyć.

To nieznośne wrażenie, że czyjś wzrok śledzi każdy mój ruch i gest, towarzyszyło mi przez cały poranek. Ustąpiło na chwilę, gdy dojechałem do firmy, ale teraz, gdy patrzę przez okno mojego biurowca, znów to czuję. Odchyłam roletę i wyglądam na ulicę, ludzie poruszają się we wszystkie strony, nie widzę nikogo podejrzanego. Upijam łyk kawy i wracam do biurka. Mimo braku jakichkolwiek dowodów niepokój nie znika.

Anita

Rano wyszłam z domu kilka minut po nim. Śledziłam go. Pojechał do McDonalda, wyszedł z dwoma kubkami kawy i torbką śmieciowego jedzenia. Świetnie, niech się tym opychają, niebawem będzie gruba jak świnia, żaden ciekawy facet nie zwróci już na nią uwagi. Zaparkowałam na pobliskiej stacji benzynowej i obserwowałam go z odległości jakichś stu metrów. A potem, gdy odjechał, ruszyłam za nim. Był poranny ruch, ale udało mi się go nie zgubić. Zmierzał w kierunku Nowej Huty. Skręcił z głównej drogi wiodącej na most Wandy w jakąś boczną uliczkę. Totalne zadupie, nigdy wcześniej tu nie byłam. Po dwóch minutach jazdy po przyprawiających o mdłości wertepach zaparkował pod nowoczesnym, jeszcze oblepionym świeżym tynkiem domem. Nie wiem, jaka to ulica, nigdzie nie było tabliczki, ale numer domu to osiem. Wielka, srebrna, widoczna z daleka ósemka, symbol nieskończoności. Perfidna suka. Dom jest nowy, pokryty do połowy drewnem, takie to modne ostatnio, ale wiem, jak skwitowałyby to moja mama: „To dom? To obora”. To by się akurat zgadzało, idealne miejsce dla krowy. Nie miałam się gdzie ukryć, więc przejechałam obok, dość wolno, przed domem zaparkowane było jego audi. Po jakichś pięćdziesięciu metrach zauważyłam wśród wysokich traw klepisko tonące w błocie i kałużach. Przez moment zastanawiałam się, czy będę w stanie stąd potem wyjechać, czy nie utknę w tym grzęzawisku na zawsze, ale zaryzykowałam. Wykonałam manewr cofania i ustawiłam się prostopadle do drogi. Moje auto schowało się w gęstwinie suchych, pożółkłych, wysokich na półtora metra traw. Nie wiedziałam, czy w ogóle uda mi się wysiąść, ale powykrzywiane badyle z łatwością ulegały naporowi przygniatają-

cych je metalowych drzwi, a potem moich stóp. Trawa sięgała mi po pachy i zaczęłam grzęznąć po kostki w błocie. Rozejrzałam się dookoła. Na końcu łąki, tam gdzie zaczynał się szpaler drzew, bez wątplenia znajdowało się coś w rodzaju rzeki lub bajorka. Widziałam unoszące się na tafli wody dzikie kaczki.

Stałam zbyt daleko, by przyjrzeć się dokładnie domowi.

Co prawda nie byłam widoczna z drogi, ale sama też niewiele widziałam. Zastanawiałam się, jak długo planuje u niej siedzieć, czy w ogóle ma zamiar pokazać się w pracy. Wybrałam numer do jego firmy, nie przedstawiłam się, zapytałam jedynie, czy go dziś zastanę. Jego sekretarka poinformowała mnie, że pan Adam jak zwykle będzie po dziesiątej. „Jak zwykle” wywołało kolejny szok. Ile to trwa, od jak dawna wychodzi przed ósmą, by udać się w ten błotnisty zakątek Krakowa na poranną dawkę seksu? Zacisnęłam mocno oczy, nie pozwalając gromadzącym się pod powiekami łzom ujrzeć światła dziennego. Nie posłuchały mnie, zuchwale spłynęły po mojej twarzy. Oparłam się o samochód, wsłuchując się we wszechobecną ciszę, przerywaną jedynie kwakaniem kaczek. Musiałam zebrać się w sobie, zdecydować, co zamierzam zrobić. Mimo że myśli wirowały mi w głowie niczym karuzele w wesołym miasteczku, postanowiłam podejść pod dom i dowiedzieć się, z kim mnie zdradza. Jego nie muszę śledzić, wiem, że przed dziesiątą pojedzie do firmy, co miał do ukrycia, już odkryłam.

Przebijanie się przez gęstą i ostrą trawę nie było miłym doświadczeniem. Ostrożnie stawiałam każdy krok, chroniąc twarz przed uderzeniami suchych badyli. Po kilkunastu metrach doszłam na skraj łąki, skąd idealnie widziałam jej dom. Kucnęłam wśród wyblakłych traw i obserwowałam drzwi. Nie wyobrażałam sobie, co teraz robią, jak wyuzdanym kochankiem potrafi być mój mąż. Po prostu wpatrywałam się w gi-

gantycznych rozmiarów ósemkę. Z początku nie czułam zimna, na szczęście grudzień był dość ciepły, ale po jakichś piętnastu minutach zaczął mi doskwierać chłód. Pożałowałam, że nie założyłam rękawiczek i kurtki puchowej, tylko popielaty kaszmirowy płaszcz, który nijak nie pasował do tego paskudnego miejsca. Skąd jednak mogłam wiedzieć, że śledzenie go zaprowadzi mnie w tak mało eleganckie rejony miasta? Rozgrzewałam się, pocierając o siebie dłonie. Nie trwało to długo, już po kilku minutach ujrzałam, jak drzwi domu się otwierają, i momentalnie zrobiło mi się gorąco. Wyszedł sam, tym swoim swobodnym krokiem, który zawsze w nim uwielbiałam, podszedł do auta, odpalił silnik i odjechał, skręcając w stronę głównej drogi. Nawet nie spojrzał w kierunku łąk. Serce biło mi szybko i głośno, czułam się zupełnie jak w tamtym śnie, bliska obłądu. Spróbowałam się uspokoić. Mam czas, dziś jest środa, nie stracę spotkania z Zo, mogę czaić się tu choćby do wieczora. W końcu będzie musiała wyjść z domu.

Od rana tłumaczyłam sobie, że przecież Zo pojawi się w piątek, że ta wtorkowa nieobecność to zwykłe przeziębienie, które przykuło go na kilka dni do łóżka. Jednak mój niepokój był silniejszy niż kiedykolwiek. I nie wiem, czy powodem tego był brak wieści od Zo, czy może fakt, że przeczuwałam to, co miało się właśnie wydarzyć.

Nagle drzwi się otworzyły, w momencie, w którym zupełnie się tego nie spodziewałam, choć przecież właśnie na to czekałam. Miałam wrażenie, że serce wyskoczy mi przez gardło. Bezwiednie zrobiłam krok w tył, a sucha trawa wydała charakterystyczny odgłos pęknięcia. A potem doznałam szoku. Znałam ją, bardzo dobrze ją znałam, od dawna. A ona znała mnie jeszcze lepiej. Krok za krokiem cofałam się, wciąż nie odrywając wzroku od jej twarzy. Raptem gdzieś pod moimi nogami zaskrzeczał ukryty w zaroślach bażant, krzyknęłam, a ona spoj-

rzała w moim kierunku. Odwróciłam się i zaczęłam biec, nie zważając na uderzające mnie w twarz wyschnięte łodygi. Uciekałam, by ocalić siebie.

Adam

Nerwowo kręcę telefonem, pozwalając mu wirować wokół własnej osi na blacie szklanego stołu. Czy powinienem zawiadomić policję? Właśnie minęła doba od zniknięcia mojej żony. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek spała u kogoś znajomego.

Oprócz odwiedzin u rodziców, kilka razy w roku, nigdy nie opuszczała naszego mieszkania, a gdyby nawet, powiedziałyby mi o tym. Ma, co prawda, kilka koleżanek, ale nie nocuje u nich, tak samo jak one nigdy nie zostają u nas do rana. Jest domatorką, ceni sobie swoją prywatność, dodatkowo po atakach trzynastego listopada w Paryżu stała się jeszcze bardziej ostrożna. Odnosiłem wrażenie, że wychodzenie z domu sprawia jej jakąś dziwną trudność, wymaga niezwykłego samozaparcia, wręcz wewnętrznego nakazu, że musi to zrobić. Wpadła w jakąś paranoję, nawet przestała schodzić do sklepu na dół i zostawiała mi kartkę z listą zakupów przypiętą na lodówce. Wychodziła jedynie do lekarza. Nie próbowałem jej pomóc, przełamać ten lęk, zwiększyć poczucia bezpieczeństwa. Ta jej fobia była mi przecież na rękę, zwiększała swobodę zdradzania.

Teraz nie było jej już od dwudziestu czterech godzin, chociaż możliwe, że zniknęła wcześniej. Ostatnio widziałem ją wczoraj rano przed wyjściem do pracy, a właściwie do Marty. Gdy wychodziłem, spała, a gdy wróciłem po osiemnastej, już jej nie było. Mieszkanie wyglądało na nienaruszone. Zupełnie jakby wybiegła na chwilę i zaraz miała wrócić. Nie zabrała walizki, kosmetyków, ubrań, jej samochód stał zaparkowany przy ulicy, kluczyki leżały na komodzie w przedpokoju. Wykluczyłem próbę włamania i rabunku, bo nic nie zginęło. Nie

zmienia to jednak faktu, że mogła zostać uprowadzona, ale jak dotąd porywacz się ze mną nie skontaktował.

Na początku myślałem, że może zapomniała poinformować mnie o wizycie u ginekologa, ale gdy dochodziła dwudziesta, a ona nie wracała, spróbowałem się do niej dodzwonić. Telefon był wyłączony. Wzmogło to mój niepokój. Nie zostawiła żadnej informacji przypiętej magnesowymi literkami do lodówki. Zacząłem przeszukiwać papiery na stole i na szafce nocnej, aby namierzyć coś, co tłumaczyłoby jej nieobecność. Jednak niczego nie znalazłem, a ona wciąż nie wracała. Wyszedłem na balkon. Kilka gołębi czuwało w rogu, chowając głowę w pióra. Było już ciemno, światła sunących aut wyglądały jak złowrogie oczy dzikich zwierząt. Wróciłem do mieszkania i zadzwoniłem do jej rodziców.

Nie chciałem ich niepokoić, ale potrzebowałem pewności, że jej u nich nie ma. Być może coś się wydarzyło, któreś z nich znalazło się w szpitalu, a ona w pośpiechu nie zdążyła mnie o tym poinformować.

– Dobry wieczór, mamó. – Odchrząknąłem nerwowo.

– Adam? – Była zasnana. – Coś się stało?

– Zbudziłem mamę, przepraszam.

– Nie, nie. – Teraz ona odchrząknęła. – Zdrzemnąłem się przed telewizorem.

– Dzwonię, bo właśnie wracam z delegacji – kłamałem. – Będę przejeżdżał niedaleko i pomyślałem, że gdybyście czegoś potrzebowali, jakichś większych zakupów, to mogę je zrobić i przywieźć.

To, co wymyśliłem na poczekaniu, brzmiało totalnie niewiarygodnie, wręcz kretyńsko. Moja propozycja musiała wprawić ją w niezwykle osłupienie. Po chwili milczenia odezwała się:

– Serdecznie dziękujemy. To miło z twojej strony, ale nic nam nie potrzeba. Ale skoro jesteś niedaleko, to już nastawiam wodę.

– Nie, nie, dziękuję – zaprotestowałem. – Jeśli niczego nie potrzebujecie, to wolę od razu wracać do domu, rano muszę być w pracy.

– A, tak, tak – powtarzała. – A... a jak Anita?

– A dlaczego pytasz? – Przestraszyłem się, że może coś przeczuwa, może tak jak ja próbuje się z nią od kilku godzin skontaktować.

– Przedwczoraj dzwoniłam do niej, ale nie chciała rozmawiać, mówiła, że boli ją głowa. Czy już jest lepiej? Obiecała, że oddzwoni.

– Wzięła proszek i jej przeszło – skłamałem znowu. – Muszę kończyć, jadę i nie chciałbym dostać mandatu.

– Oczywiście. Pozdrów ją, jak dojedziesz – powiedziała. – I niech do mnie zadzwoni, martwię się o nią.

– Dobrze. Na razie. – Rozłączyłem się.

Co prawda mogła kłamać, być z Anitą w zмовie, kryć ją, gdyby z jakichś przyczyn o to poprosiła, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Przede wszystkim, jej matka nie umiała kłamać, a gdyby nawet, od razu bym ją zdemaskował. Poza tym nawet gdyby Anita chciała przede mną uciec, to nie pojechałaby do rodziców, tego byłem pewien. A więc nie było jej tam, a ja nie potrafiłem wymyślić innego miejsca, dokąd chciałyby lub musiała nagle wyjechać. Nic oprócz domu rodziców nie przychodziło mi do głowy. Nie miała rodzeństwa, z nikim innym z rodziny nie utrzymywała kontaktów. Koleżanki. Nie znałem numeru żadnej z nich, nawet trudno było mi sobie przypomnieć ich imiona. Zdałem sobie sprawę, jak mało wiem o mojej żonie, praktycznie jej nie znam.

Otworzyłem jej laptop. Nigdy nie miała hasła i nic się w tej kwestii nie zmieniło. Nie wiedziałem, czego szukam, być może jakiegoś notatnika z kontaktami lub czegoś w tym rodzaju. Przeglądałem poszczególne pliki, głównie dotyczące klientów i szczegółów prowadzonych dla nich kampanii. Dopiero w folderze Inne znalazłem niezłe newsy. Boże, ona była szalona. Całe stopy niepotrzebnych bzdur typu: Urządzamy pokójk dziecięcy, Wybór imienia dziecka a kwestia charakteru, Jak radzić sobie z kolką niemowlęcią, Przyczyny śmierci łóżeczkowej. Tępy plików dotyczących dziecka, zdjęcia kołyski, ubranek, wózków. Ona naprawdę wpadła w obsesję. Dlaczego tego w porę nie zauważyłem?

Miała też elektroniczną wersję kalendarzyka płodności. Oprócz zielonych linii i czerwonych punktów, oznaczających, jak się domyśliłem, czas miesiączki, nie znalazłem nic konkretnego. Strzępy informacji typu „tempka”, „owu” i najmniej tajemniczo brzmiący: „wizyta u gin”. Nic więcej.

Czy pisze jakiś dziennik lub pamiętnik? Nigdy nie widziałem, żeby coś takiego znajdowało się w naszym domu, ale być może ukrywała to przede mną. Kobiety lubią wylewać swoje żale na kartki papieru, od nowa przeżywać wszystkie wzloty i upadki. Takie sztabowe zachowanie nie pasowało do mojej żony, ale nigdy nie wiadomo. Przetrasnąłem jej szafę z ubraniami, nawet zajrzałem pod materac, ale niczego nie znalazłem. Zauważyłem tylko, że zniknął jej kalendarzyk, który wieczorami namiętnie przeglądała. Być może w ciągu dnia nosiła go przy sobie? Przerazało mnie, jak mało o niej wiem.

Zastanawiałem się, kiedy powinienem zawiadomić policję. Wiedziałem, że musi upłynąć doba, by uznać kogoś za zaginionego, a może to tylko fikcja z amerykańskich filmów? Nie zadzwoniłem jednak, by to sprawdzić, wciąż wierzyłem, że za

chwilę wróci, że jej zniknięcie da się jakoś logicznie wytłuma-
czyć.

Nie zmrużyłem oczu przez całą noc. Leżałem w ubraniu, wpatrując się w sufit. Zrywałem się na równe nogi przy każdym odgłosie czy szeleście dochodzącym zza drzwi, ale do rana nie wróciła. Przed ósmą zadzwoniłem do szefa i poprosi-
łem o wolny dzień.

Kiedy poranne, niemrawe grudniowe słońce wypełniło sobą naszą sypialnię, zacząłem naprawdę się o nią bać. Pomyśla-
łem, że może jednak miała rację, podejrzewając tego faceta z dołu o śmierć Pozytywki i podrzucenie szcurów. Właściwie te sprawy nigdy się nie wyjaśniły. Kazałem jej o nich zapo-
mnieć, kpiłem z niej, w myślach nabijałem się z jej chorych obsesji, a może wcale nie była w błędzie. Być może ten rzeź-
biarz spod szóstki to tak naprawdę jakiś socjopata, seryjny morderca, gwałciciel? Pocierałem palcami czoło, wiedziałem, że nie powinienem sam wpadać w paranoję. Spojrzałem na zegarek, dochodziła ósma trzydzieści, ubrałem się i zszedłem na dół. Nie pomyślałem wcześniej, o co chcę go zapytać, po prostu nie wierzyłem, że otworzy, ale otworzył po pierwszym dzwonku.

– Dzień dobry – zacząłem. – Przepraszam, że tak rano – za-
plątałem się. Facet patrzył na mnie z miną mówiącą: „do rze-
czy”. Miał na sobie wytarte džinsy i flanelową koszulę upa-
praną na rękawach farbą. – Czy nie widział pan mojej żony? –
W końcu to z siebie wydusiłem.

Roześmiał się.

– To jakiś żart?

Wiedziałem, jak idiotycznie to zabrzmiało.

– W każdym razie tu jej nie ma. – Otworzył przede mną
drzwi na oścież. – Może pan sprawdzić, ale nie sypiam z pań-

ską żoną, nawet jej nie znam, podobnie jak pana. – Co chwilę przewracał oczami w zniecierpliwieniu.

– Adam Rozwada, przepraszam, nie przedstawiłem się. – Wyciągnąłem ku niemu rękę. – Mieszkam nad panem – dodałem niepotrzebnie.

Teraz wyraz jego twarzy z lekko rozbawionego zmienił się we wściekły.

– A żeby was posrało. – Spojrzał na mnie ze złością. – Co tym razem? Najpierw pańska żona, kompletna wariatka, uprzykrza mi życie, a teraz pan. Proszę stąd iść, bo wezwę policję. Jeśli jeszcze raz ktoś z was tu przyjdzie, to obiecuję...

– Dobra, dobra. – Uniosłem ręce w geście poddania. – Idę.

Nawet nie czekał na moje wyjaśnienia, kłapnął mi drzwiami przed nosem. Wiedziałem i widziałem, że jej tam nie było. Jego dwudziestokilkumetrowa kawalerka, nie licząc farb i pędzli, świeciła pustką.

Wróciłem do mieszkania i ponownie usiadłem na krześle, na tym samym, na którym siedzę w tej chwili. Właściwie nie ruszam się z niego przez cały dzień, by być blisko drzwi i powitać ją, gdy wróci.

Chciałbym o tym z kimś porozmawiać, czuję, że oszaleję od tej niepewności. Wybieram numer Piotra, nie odbiera, ale po kilku minutach oddzwania.

– Co jest, bo nie mogę gadać? – mówi bez żadnego powitania.

– Anita zniknęła.

– Co?

– Od wczoraj rana jej nie widziałem.

– Piłeś?

– Nie – zaprzeczam. – Posłuchaj mnie...

– Adam – przerywa mi. – Jestem w delegacji, jak wrócę, zadzwonię, naprawdę nie mogę teraz gadać. Wyluzuj, idź spać. Cześć.

Słyszę pikanie. Cały Piotr, poza własnym życiem nic go nie interesuje.

Marta

Ostatnią umówioną wizytę miałam o siedemnastej trzydzieści. Lubię moją pracę, pełną wyzwań i za każdym razem potwierdzającą mój profesjonalizm. Gdy tylko zamknęłam drzwi po pacjentce, przekręciłam klucz w zamku i ponownie usiadłam za biurkiem. Rozrzucone karty ułożyłam w porządku alfabetycznym w równym stosiku na rogu biurka. Rano Adam nie przyszedł, nie dzwonił, nie tłumaczył się. Biorę do ręki telefon i choć zazwyczaj tego nie robię, wybieram jego numer. Zaskakująco szybko odbiera, po pierwszym sygnale.

– Nie mów, że właśnie czekałeś na mój telefon – żartuję, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

– Nie – odpowiada.

To nie było miłe, ale nie daję tego po sobie poznać.

– Nie było cię rano. – Nadal gram słodką idiotkę. – Skończyłam pracę, może się spotkamy, a potem pojedziemy do mnie? – proponuję.

– Nie – ucina.

– Aha. Coś się stało? – Jego ton brzmi niepokojąco.

– Tak – odpowiada.

– Mógłbyś być bardziej rozmowny.

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

– Więc mów.

– Nie przez telefon.

– Za czterdzieści minut mogłabym być już w domu.

– Przyjedź do mnie.

Jestem zaskoczona. Bloczek kolorowych karteczek, którymi się bawię, wypada mi z ręki.

– Do ciebie? – upewniam się.

– Wyślę ci adres esemesem.

Po tych słowach się rozłącza. Wstaję, przemierzam gabinet w stronę okna, jestem zdziwiona. Czyżby coś umknęło mojej uwadze? Mój plan, od kilkunastu miesięcy tak skrupulatnie przygotowywany, rozpadł się na drobne kawałki? Słyszę dźwięk przychodzącej wiadomości, rozlegający się z kieszeni fartucha, ale nie muszę jej sprawdzać, przecież od dawna doskonale wiem, gdzie mieszka.

Adam

Ponownie odkładałam telefon na stół i ruchem ręki znów zamieniam go w dziecięcą bączek. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, zapraszając ją do siebie. Wiem tylko, że nie mogę wyjść z domu, na wypadek, gdyby moja żona nagle wróciła. Jednocześnie jestem przekonany, że dziś muszę zakończyć ten romans. Być może to nierozważne posunięcie zapraszać kochankę do swojego mieszkania, ale wiem, że wizyta Marty i tak nam nie zagraża. Gdzieś głęboko czuję, że Anita nie wróci.

Po mniej więcej półgodzinie słyszę ciche pukanie do drzwi. Wstaję, choć mógłbym krzyknąć, że jest otwarte. Idę powoli, jakbym potrzebował dodatkowego czasu, żeby przygotować się do rozmowy. Otwieram przed nią drzwi. Wchodzi niepewnie do środka. Dziwnie na mnie patrzy, chyba jest speszona. Zdaję sobie sprawę, że pełno tu kobiecych rzeczy, że za chwilę to zauważy, ale przecież właśnie chcę jej o tym powiedzieć. Biorę od niej palto, otwieram szafę i wieszam je obok popielatego płaszcza Anity. Gdzieś przez głowę przemyka mi pytanie: w czym wyszła, skoro jej ulubiona kurtka wisi w szafie?

– Co tak nietypowo? – Moje myśli zakłóca pytanie Marty.

– Co? – Patrzę na nią z ukosa.

– Dlaczego dziś spotykamy się u ciebie? – Próbuje się uśmiechać.

– Usiądź, proszę – mówię. Nie proponuję kawy ani herbaty. – Pewnie mnie znienawidzisz za to, co ci za chwilę powiem. – Wracam na swoje miejsce. Ona posłusznie siada po przeciwnej stronie szklanego stołu. Widzę przerzucony przez

oparcie szlafrok Anity, na którym się właśnie opiera. – Ale sądzę, że i tak dobrze wiesz, że mam żonę.

– Żonę? – Na jej twarzy maluje się zdziwienie. Wiem, że jest udawane, nie jest tą informacją zaskoczona.

– Nie zgrywaj idiotki – rzucam. – Wiem, że się tego domyślałaś, w przeciwnym razie dlaczego nie zostawałbym u ciebie na noc? Sama też do końca nie jesteś czysta. Nie wiem, co ukrywasz, i szczerze mówiąc, już mnie to nie obchodzi, bo chcę to zakończyć. – Patrzę na jej twarz, ale nie zdradza żadnych emocji.

– I tego nie mogłeś mi powiedzieć przez telefon? – pyta z drwiną w głosie.

– Nie, tego nie. Ona zniknęła.

W tym momencie jej oczy stają się wielkie, autentycznie jest zdziwiona.

– Kiedy? – pyta.

– Nie wiem, ostatnio widziałem ją wczoraj rano. Gdy wróciłem o osiemnastej do domu, już jej nie było. Właśnie minęły dwadzieścia cztery godziny, chcę zawiadomić policję.

– Nie rób tego! – protestuje. – Oszalałeś, przecież będziesz głównym podejrzanym, zawsze zaczynają od męża.

Budzi tym we mnie pewien niepokój, nie pomyślałem, że mogę być brany pod uwagę jako winny. Nie mam nic wspólnego z jej zniknięciem, ale rzeczywiście z boku może to wyglądać zupełnie inaczej.

– Dodatkowo, jeśli wyjdzie na jaw romans ze mną, będziesz miał przesrane. Zamkną cię do wyjaśnienia sprawy, wizja lokalna, godziny przesłuchań, pytań, naprawdę tego chcesz?

– To co, kurwa, mam zrobić?

– Poczekaj – mówi. – Może wróci, może gdzieś wyjechała, po co od razu mieszać do tego policję?

- Wiedziałaś, że jestem żonaty, prawda? – upewniam się.
- Domyślałam się.
- Od kiedy?
- A jakie to ma znaczenie?
- Nie przeszkadzało ci?
- Nie. – Wzrusza ramionami i zastyga na moment.
- Wciąż ją kocham.
- Pierdol się. – Wstaje.

Dobrze, niech wyjdzie, tego właśnie chcę, żeby zniknęła z mojego życia. Znudziła mi się, zużyła.

- Byłeś beznadziejny, za każdym razem, do niczego, żaloszny fiut! – krzyczy, otwiera szafę, szarpie się z wieszakiem i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Marta

Obcasy głośno stukają po marmurowej posadzce. Zbiegam na dół, kipiąc ze złości, i nie chodzi o tę jego żalną deklarację uczuć wobec tej suki. Choć nie zasłużyła na to, pieprzę to, tak naprawdę niepokoję się, że straciłam panowanie nad sytuacją. Coś poszło nie tak, coś wymknęło się spod mojej kontroli. Wsiadam pośpiesznie do samochodu, odpalam silnik. Muszę szybko wrócić do domu. Jak najszybciej. Nie przejmuję się, że tak słabo wypadłam, że nie potrafiłam udać zdziwienia na słowa, że ma żonę. Nie byłaby ze mnie dobra aktorka. Wciąż przed oczami mam te jej rzeczy osobiste walające się po całym mieszkaniu. Zwłaszcza jedną, małą, być może nieistotną, ale na jej widok musiałam wstać i opuścić ten dom. Krzyczałam coś od rzeczy, chcąc go poniżyć, a tak naprawdę znów w myślach to widziałam. Na nowo przypomiinałam sobie całą scenę, utwierdzając się w przekonaniu, że należała jej się kara. Najgorsza, najbardziej bolesna, taka, na jaką sama sobie zasłużyła. Mały kwadratowy kartonik przypięty do drzwi ich lodówki. Jedyny w swoim rodzaju biały zamek na czerwonym tle, rozpoznałabym go wszędzie. Nawet gdyby napis z odległości pięciu metrów, które mnie od niego dzieliły, był nieczytelny, ale nie był. Widziałam go wyraźnie. Litery majaczą mi przed oczami, gdy wjeżdżam na rondo, rozpadają się i na nowo układają w słowo, które od lat próbuję wyrzucić z pamięci, a które ona czyta każdego ranka. Wredna, perfidna suka. Muszę jak najszybciej dotrzeć do domu. Przyciskam pedał gazu i przejeżdżam na czerwonym.

Adam

Nie zawiadomiłem policji. Miała rację, byłbym głównym podejrzanym. Nie chcę się tłumaczyć, siedzieć w areszcie, nie mam nic wspólnego z jej zniknięciem. Leżę na sofie w salonie, od doby nic nie jadłem, jest jeszcze ciemno, ale wiem, że to już ranek. Z dołu dochodzi ciche szuranie, artysta zaczyna swoją pracę. Ależ bym chciał teraz zobaczyć jej wściekłość. Niech rzuci się do miotły, wali ile sił, niech znów tu będzie.

Siadam na kanapie, przecieram twarz dłońmi. Chce mi się siku, więc wstaję i idę w stronę łazienki. Przechodząc przez przedpokój, widzę otwartą szafę i ubrania zrzucone przez Martę, gdy wczoraj wybiegała zdenerwowana z mieszkania. Zdaję sobie sprawę, że spałem przy otwartych drzwiach. Po jej wyjściu przeniosłem się z krzesła na sofę, nie wychodząc za próg salonu. Podchodzę do drzwi, przekręcam czterokrotnie zamek. Wchodzę do łazienki, opieram się o ścianę i sikam. Oddawanie moczu sprawia mi ból, zawsze tak mam, gdy zbyt długo trzymam. Myję ręce, potem ochlapuję twarz zimną wodą. Gdzie ona jest? Będę musiał coś zrobić, przecież nie mogę w nieskończoność ukrywać jej zniknięcia. Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Powinienem się ogolić. Porzucam tę myśl i wychodzę z łazienki.

Muszę zadzwonić do szefa, wziąć kilka dni wolnego, powiedzieć, że się rozchorowałem, cokolwiek, żeby zyskać na czasie. Pewnie dzisiaj zadzwoni jej matka, przecież prosiła, żeby Anita się do niej odezwała. Muszę coś wymyślić, czymś ją spławić, jeśli nie chcę, aby zwała mi się na głowę. Zerkam na zegarek na drzwiach piekarnika. Szósta trzydzieści. Wyjmuję z lodówki jogurt, ale po chwili odkładam go na miejsce, nie mogę nic przełknąć. Czuję się zupełnie nierealnie, jakbym

oglądał film ze sobą w roli głównej. Gdzie ona jest? Nie powinienem bagatelizować włamań, śmierci Pozytywki, szczurów. Ktoś jej groził, dawał wyraźne sygnały, a ja je zlekceważyłem. Kto za tym stoi i co jej zrobił? Nerwowo spaceruję po domu. Przechodząc obok szafy w przedpokoju, kucam, podnoszę z podłogi zrzucony płaszcz Anity i moją marynarkę. Myśl, która zakiełkowała w mojej głowie, gdy wczoraj go dotykałem, znów powraca. To jej ulubiony płaszcz, dlaczego w nim nie wyszła? Może jednak jest uwięziona w łazience tego typka z dołu, może powinienem zadzwonić na policję? Przedstawić im moje podejrzenia, opowiedzieć całą historię – o niedomkniętych drzwiach, śmierci kota i podrzuconych szczurach. Niech go sprawdzą. Być może przetrzymuje ją w piwnicy. Już mam zamiar tam zejść i się rozejrzeć, gdy na płaszczu zauważam poprzyklejane kawałki suchej trawy, żółte, połamane włókna. Biorę jedno z nich do ręki. Coś mi to mówi, jeszcze nie wiem co, ale ten widok coś mi przypomina. Zasuвам szafę i natrafiam na opór. Ponownie mocno szarpie, ale nie chce się zamknąć. Spoglądam w dół i widzę, że jej kozak blokuje drzwi. But jest brudny. Kucam, przesuwam go z szyny, gdy momentalnie wszystko układa się w całość. Po prostu wszystko nagle staje się jasne. Żdźbła trawy na płaszczu, strach Marty przed doniesieniem na policję, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? Dlaczego wczoraj nie zastanowiło mnie, że tak się o mnie martwi? Naprawdę interesowało ją, że mogę trafić za kratki? W momencie, gdy z nią zrywam, ona niepokoi się o przyszłość kochanka? To kompletnie nie trzyma się kupy. Szukam w szafie drugiego buta, wygląda podobnie, cały w błocie. Oblepiona z wszystkich stron podeszwa i cholewka zachlapana białą od betonu glebą. Wiem, gdzie jest taka ziemia. Jej oficerki wyglądają zupełnie jak moje buty podczas pierwszej wizyty w domu Marty. To ona za tym stoi, to ta wredna suka coś jej zrobiła. Nie wiem, jak Anita się

o niej dowiedziała, ale wiem, że tam pojechała, chodziła po błotnistym trawniku wokół jej domu. Wpadam do pokoju, szukam dżinsów. To dlatego Marta odwodziła mnie od pomysłu, żeby zawiadomić policję. Sama jest winna i wiedziała, że po nitce do kłębka z czasem by do niej dotarli. Zarzucam na ramiona kurtkę i wybiegam z domu.

Marta

Uciekła. Nie udało mi się dokończyć zemsty. Jak to się mogło stać i gdzie ona się podziewa?

Wczoraj, od razu po powrocie do domu, dopadłam do czarnego pudła w gabinecie na górze. Tam trzymam jej drugą dokumentację. Każdą kserokopię badania, dokładny kalendarz jej cyklu. Wszystkie niezbędne informacje gromadzone od ponad dwóch lat. A teraz uciekła. Przed finałową rozgrywką, tuż przed tym, jak miała poczuć to samo co ja, dowiedzieć się, jak to boli. W myślach gorączkowo szukam rozwiązania, co jeszcze mogę zrobić, co jeszcze? Za dużo poświęciłam temu czasowi, żeby teraz się poddać. Nie, to nie może się tak zakończyć.

Kiedy już wiedziałam, że to ona, gdy ich razem zobaczyłam, postanowiłam, że moja zemsta będzie najdotkliwsza, na jaką mnie stać. A stać mnie na wiele. Przez kilka miesięcy wrzucałam jej ulotki do skrzynki, zostawiałam wizytówki na wycieraczkę i za przednią szybą samochodu. Oczywiście w przyzwyczajonych odstępach czasowych, aby się niczego nie domyśliła. Wiedziałam, że z czasem będzie mnie potrzebować, i nie myślałam się. Przyszła uśmiechnięta, promieniejąca szczęściem i powiedziała, że ma nowego chłopaka. Tak po prostu wyznała mi swój sekret, jak najlepszej przyjaciółce. Choć nie musiała mi tego mówić. Dobrze znałam jej życie. Nie spuszczałam jej z oczu przez kilka miesięcy, wiedziałam, kiedy zmieniła chłopaka, jak łatwo i bezboleśnie pozbywała się ze swojego życia jednego faceta, by zastąpić go nowym. Przez kilka miesięcy była sama, a potem zaczęła spotykać się z Adamem i wtedy do mnie przyszła. Potrzebowała szybkiej antykoncepcji.

Byłam profesjonalistką, rozważałam każde słowo, które wychodziło z moich ust, każdy gest i spojrzenie. Musiałam ją do siebie przekonać, przywiązać, uzależnić od moich usług. Dałam jej to, czego chciała, a ja zdobyłam wszystkie potrzebne mi informacje. Wiek, przebyte choroby, miejsce zamieszkania, a potem z każdą wizytą wiedziałam o niej coraz więcej. Poznałam ją lepiej niż ona sama. Nie od razu przystąpiłam do działania, czekałam na dogodną okazję. Co miesiąc przychodziła po pigułki. Celowo nie wypisywałam jej więcej, żeby często ją widywać. Na jednym ze spotkań powiedziała, że zamieszkali razem, potem, że się zaręczyli, i w końcu, że w sierpniu biorą ślub. Nienawidziłam jej za to, co mi zrobiła, za to przepelniające ją szczęście, ale zacierałam z satysfakcją ręce na myśl, że już niebawem wprowadzę mój plan w życie.

Przy badaniu zasiałam w niej niepewność. Przyglądając się jej jajnikom, stwierdziłam, że mogą być problemy z zajściem w ciążę. W jej głowie zakiełkował niepokój. Tak jak przypuszczałam, pewnego dnia przyszła zapytać o swoją płodność. Wiedziałam, że dorosła do decyzji, że mają zamiar zacząć starać się o dziecko. Nie bałam się, że nastąpi to przypadkiem. Była dziewczyną sukcesu, każdy moment w jej życiu musiał zostać zaplanowany, nie było miejsca na zrzucenie losu. Od początku wiedziałam, że decyzję o dziecku skonsultuje ze mną. Zaproponowałam jej metodę przyspieszenia zajścia w ciążę, która sprawdza się w przypadku jej rzekomych problemów. Zastrzyk z Pregnylu 1000 mający działać stymulująco na syntezę estrogenów w jajnikach, która kompletnie nie była jej potrzebna. Wiedziałam, że po powrocie do domu będzie o tym czytać, musiałam dać jej jakąś kość, by przystąpić do działania. Tak naprawdę zrobiłam jej zastrzyk antykoncepcyjny Depo-Provera, który powtarzałam potem co trzy miesiące, skutecznie nie pozwalając jej zachodzić w ciążę. Dodatkowo lek ten u większości pacjentek przyczynia się do pogorszenia

samopoczucia, co w połączeniu z brakiem pożądaných rezultatów powoli wywoływało depresję. I o to mi chodziło. Zasłużyła sobie na to. Za to, co mi zrobiła, należało jej się coś o wiele gorszego.

I właśnie teraz miało to nastąpić, miałam zamknąć sprawę raz na zawsze. Zmiażdżyć jej psychikę, zadać śmiertelny cios, taki, po którym wiedziałam, że długo się nie podniesie. A może nawet nigdy. Uwiedzenie Adama było tylko częścią planu, najmniej istotną – zarówno dla mnie, jak i dla niej. Stawka w grze była znacznie wyższa. Miała stracić dziecko. Jednak najpierw musiała zaznać smaku radości, niczym nieskrępowanego szczęścia, żeby porażka zabolą ją podwójnie. Mój plan zakładał, że dowie się o zdradzie niemal w tym samym momencie, co o ciąży. To sprawiłoby jej dotkliwy ból, na pewno, ale jeszcze nie najgorszy. Mogłaby znienawidzić męża, odejść, rozwieść się albo zupełnie odwrotnie – próbować się z nim pogodzić, przebaczyć mu, dać jeszcze jedną szansę. Wieść o dziecku mogła wpłynąć na jej reakcję, pozwolić puścić w niepamięć to, co się stało, połączyć ich na nowo jako przyszłych rodziców. Wszystko jedno. To nie było dla mnie najważniejsze. Chciałam, aby poczuła coś jeszcze. Najpierw stratę ukochanego faceta, a potem ich dziecka. Po miesiącach bezskutecznych starań nagle bach, udało się, w końcu jest w ciąży. To cud, zalewa ją fala szczęścia, radości nie ma końca. Przez kilka wizyt słyszy bicie serca, urządza pokoić, kupuje ubranka i pewnego smutnego dnia dziecka już nie ma. Poroniła, to się zdarza. Tak, to byłaby najdotkliwsza strata. Tego właśnie chciałam – ukarać ją w taki sposób, na jaki sobie zasłużyła. A ona mi uciekła, tuż przed finałowym rozdaniem. Kipiałam ze złości.

Ostatni zastrzyk Depo-Provera, który dostała w lipcu, działał trzy miesiące, z początkiem października powinna wrócić jej płodność. Pomogłam jej lekami, ale nie zaszła w ciążę. Sto-

sunek odbyła, mówiła mi. Teraz pojawiła się kolejna szansa, kolejny miesiąc bez antykoncepcji, być może wreszcie się udało. Liczyłam na to, że mój plan da się zrealizować z idealną precyzją, że zajdzie w ciążę w październiku, aby potem spektakularnie poronić w grudniu, zupełnie tak jak ja. Zalewać się łzami, gdy cały świat jest we wspaniałym przedświątecznym nastroju. Gdy zewsząd mrugają kolorowe światełka na pachnących lasem choinkach. Płakać, zwijać się z bólu przy dobiegających z radia rytmicznych dźwiękach *Last Christmas*. A potem znów przeżywać ten ból, każdego roku na nowo. George Michael już od połowy listopada będzie jej przypominać, co się stało i jak bardzo to wciąż boli. Miało to nastąpić w piątą rocznicę, okrągłą, równie bolesną jak wszystkie poprzednie.

Poroniłam dziesiątego grudnia dwa tysiące dziesiątego roku, w nocy, w czasie snu. Zbudziłam się i łóżko tonęło w krwi. Nie musiałam wzywać lekarza, by się upewnić, zbyt wiele naoglądałam się takich przypadków w czasie mojej praktyki. Zadzwoeniłam po karetkę, zabrali mnie do szpitala i oficjalnie potwierdzili, co się stało. Przez kolejne pół roku byłam pod stałą opieką psychologa i psychiatry. Swoje dochodzenie do siebie wspomagałam psychotropami. Niby już z tego wyszłam, ale tak naprawdę tylko myśl o zemście pozwalała mi dalej żyć. Budzić się każdego ranka i dotrwać do wieczora. Wyobrażałam sobie, jak ją ukarzę, jak miło będzie patrzeć, gdy będzie przeżywać to co ja. Nie było łatwo ją dopaść, zajęło to trochę czasu, ale wiedziałam, że w końcu się uda, że wpadnie w moje ręce. Byłam tego pewna tak samo jak faktu, że to ona jest wszystkiemu winna. Poronienie nastąpiło po tym, jak ich ujrzałam. Razem, wtulonych w siebie, ją z ojcem mojego dziecka, który właśnie nas dla niej zostawił. Ta parzywa, uśmiechnięta suka zamieniła moje życie w gówno.

Kochałam Tobiasza bardziej niż kogokolwiek. Poznaliśmy się na uczelni, był jednym ze studentów z wymiany międzynarodowej. Inteligentny, dowcipny, świetnie zapowiadający się chirurg. Polowałam na niego od samego początku, ale on nie zwracał na mnie uwagi. Zresztą wciąż pochłonięty nauką, nie zwracał uwagi na żadną z dziewczyn. Na trzecim roku byliśmy w jednej grupie i zrobiłam wszystko, abyśmy się zaprzyjaźnili. Nie zostaliśmy parą, ale zbliżyliśmy się do siebie. Potem nasze drogi się rozeszły, a po wyborze specjalizacji i jego powrocie do Niemiec straciłam z nim kontakt. Jednak byliśmy sobie pisani. Jakies cztery lata po studiach znów przyjechał do Krakowa i podjął pracę w szpitalu, w którym robiłam specjalizację. Pamiętał mnie, zaczęliśmy się spotykać. Kino, filharmonia, wspólny obiad, aż któregoś dnia skończyliśmy w łóżku. Potem na chwilę wprowadził się do mnie. Oczekiwałam deklaracji z jego strony, czegokolwiek, co popchnie sprawę naprzód, ale nic takiego się nie wydarzyło. Wręcz przeciwnie, czułam, że dzieje się coś złego. W połowie września, kilka dni po powrocie z Hamburga, oznajmił, że powinniśmy na chwilę od siebie odpocząć. Przekonywałam go, że nie ma takiej potrzeby, ale uparł się, że poszuka dla siebie mieszkania. Kiedy ja myślałam, że zacieśniamy więzy, on wyraźnie zaczął odpływać w przeciwnym kierunku. Bałam się, że może w Hamburgu spotkał się z jakąś byłą dziewczyną, odżyły wspomnienia lub coś w tym rodzaju, podpytywałam go nawet o ten pobyt w domu, ale niczego konkretnego nie powiedział. Miałam go na oku, zaglądałam do niego w czasie pracy, wpadałam nagle o różnych porach dnia. Chciałam przyłapać go na flirtowaniu z pielęgniarką albo stażystką, jednak na nic podobnego nie trafiłam. Ale przecież coś musiało się stać. Zaczęłam go śledzić i jednocześnie postanowiłam jak najszybciej zajść w ciążę. Kochałam go, nie mogłam mu pozwolić tak nagle odejść. Myślałam, że skoro potrafiłam go uwieść, to będę też

potrafiła go przy sobie zatrzymać. Nie mówiąc mu o tym, odstawiłam tabletki i szczęśliwie szybko zaszłam w ciążę. Przechywałam, że nie będzie skakał z radości na tę wiadomość, ale nie sądziłam, że odejdzie. Nie po tym, jak się dowiedział, że będzie ojcem. Twierdził, że to nieprawda, że użyłam fortelu, żeby go przy sobie zatrzymać. Pakował się, a ja płakałam skulona na łóżku.

– Tobie, to twoje dziecko. Jak możesz? – Byłam taka cholernie cikliwa.

– Oszukałaś mnie. Dobrze wiesz, że nie chciałem mieć teraz dziecka.

– Ze mną nie chciałeś. – Usiadłam na łóżku.

– W ogóle nie chciałem! – Chaotycznie wpychał ubrania do torby.

– Ale jeśli się już stało, nie możesz mnie teraz zostawić. Będę matką twojego dziecka!

– Marta – zastygł na środku pokoju, trzymając w ręce krawat, który dostał ode mnie na ostatnie urodziny – jeśli to prawda, sama to zaplanowałaś, nie pytałaś mnie o zdanie, więc teraz nie oczekuj zrozumienia. Nie jestem gotowy na dziecko, nie przy tak absorbującej pracy, nie teraz.

– Nie ze mną.

– No dobrze, jeśli chcesz to usłyszeć, to nie z tobą. Osaczasz mnie, wciąż nachodzisz, duszę się w tym związku. Nie mogę dłużej tak żyć, nie chcę być już z tobą i dziecko nie ma tu nic do rzeczy! I tak bym odszedł. – Szarpał się z zamkiem. – Muszę w końcu złapać oddech. Tego w tej chwili najbardziej potrzebuję. Przepraszam. – Zarzucił torbę na ramię. – Nasze razem nigdy nie powinno się zdarzyć.

– Jak możesz? – Łkałam, idąc za nim. – Masz kogoś? Do niej idziesz?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Zatrzymał się w połowie drogi i spojrzał na mnie.

– Chcę – odparłam, sądząc, że skoro nigdy nie nakryłam go z żadną pielęgniarką, to nie może chodzić o kobietę, po prostu przesadziłam z nadopiekuńczością i rzeczywiście chce trochę odpocząć.

– Okej – zgodził się. – Sama chciałaś. Zakochałem się – powiedział bezczelnie, patrząc mi w oczy.

Poczułam, że umieram.

– Znam ją? – Z trudem powstrzymałam łzy.

– Nie.

– Kto to?

– Nieważne. – Zapiął sweter, kucnął i zaczął wkładać buty. Wciąż to widzę, jego dłonie i niebieskie sznurówki.

– Dlaczego? Tobie, dlaczego? – Zdałam sobie sprawę, że nie żartuje, że naprawdę odchodzi. – W czym ona jest lepsza? No w czym?!

– Marta, przestań. – Podniósł się i zdjął z wieszaka kurtkę.

– Miej odwagę to powiedzieć, no mów.

Opierałam się o ścianę w przedpokoju, nie spuszczając z niego wzroku. Pokręcił głową i zadał ostatni cios:

– Jest idealna. Za każdym razem bezlitośnie obnaża wszystkie twoje niedoskonałości.

– Niedoskonałości – powtórzyłam. – W czym? – Chwyciłam go za szalik.

– We wszystkim. – Wyszarpnął materiał z moich rąk i naciśnął klamkę. – Aha. – Odwrócił się w ostatniej chwili. – Jeśli historia z dzieckiem okaże się prawdą, wezmę za to odpowiedzialność, będę jego ojcem, ale nigdy nie będę z tobą.

Zapiął zamek w kurtce i zaczął zbiegać po schodach. Uderzanie jego półbutów o kamienne stopnie do dziś dudni mi

w głowie. Pozwoliłam mu do niej odejść. Byłam na siebie wściekła, a jeszcze bardziej na nią. „Bezlitośnie obnaża wszystkie twoje niedoskonałości”. Obiecałam sobie wtedy, że jeszcze jej pokażę, co znaczy być bezlitosnym.

Po kilku dniach poszłam do niego w czasie dyżuru z moimi wynikami beta-hCG, ale nie wydawał się zainteresowany. Za punkt honoru postawiłam sobie namierzenie jej. Śledziłam go i wciąż sądziłam, że to przejściowe. Zauroczył się, ale gdy moja ciąża będzie już dość zaawansowana, zostawi ją i wróci do mnie. Nie mogło być inaczej.

Gdy po raz pierwszy ich zobaczyłam, stali na środku Plant i zdawali się nie widzieć reszty świata. Całowali się, głęboko, czule, jak prawdziwi kochankowie. Kilka godzin później przestałam być matką. To wszystko jej wina, dopadnę ją, choćby nie wiem co.

Adam

Z piskiem hamuję pod domem Marty. Wyskakuję z samochodu i biegnę, rozchlapując błoto na boki. Pięścią walę w drzwi, ale nie otwiera. Ponawiam napór. Nie ustąpię. Po chwili słyszę, jak odsuwa metalowy rygiel.

– Adam?

Popycham ją do środka.

– Gdzie ona jest?!

– Kto?

– Kurwa, nie zgrywaj idiotki! Gdzie jest moja żona?!

– Nie wiem.

Odwraca się i rusza w głąb mieszkania. Łapię ją za ramię.

– Auua – jęczy. – Puszczaj.

– Co jej zrobiłaś?

– Puść mnie! – rozkazuje. Mocniej ściskam jej rękę.

– Powiedz, gdzie ona jest!

– Nie wiem. – Szarpie się.

Chwytam ją za barki i potrząsam, unosząc o kilka centymetrów.

– Wiem, że tu była. Co jej zrobiłaś?

– Adam, to boli.

Nie zwracam na to uwagi i coraz mocniej ściskam jej ramiona. Mam wrażenie, że mógłbym ją teraz zabić.

– Mów, co jej zrobiłaś! – krzyczę.

– Puść mnie!

Przyciskam ją do ściany, swoją głowę przysuwam do jej twarzy. Nasze czoła się stykają.

– Gdzie ona jest? – cedzę przez zęby.

– Nie wiem.

Zaczynam uderzać głową w jej głowę, w jej oczach widzę przerażenie.

– Co jej zrobiłaś?

– Dobrze, powiem, tylko puść mnie wreszcie.

Uwalniam ją z uchwytu, ale wciąż patrzę w oczy. Jej twarz się rozluźnia, wiem, że sprawiłem jej ból. Wymija mnie i wchodzi do kuchni. Idąc, rozmasowuje ręką obolałe ramię. Obserwuję każdy jej krok, wiem, że może być niebezpieczna. Podchodzi do szafki i odkręca butelkę z wodą. Wciąż stoi do mnie tyłem, gdy zaczyna mówić:

– Nie wiem, gdzie jest. Sama chciałabym wiedzieć. Uciekła nie tylko tobie, ale i mnie.

– Wiem, że tu była. – Podchodzę do niej. Odwraca się, stoimy w odległości niecałego metra. – I nie wyjdę stąd, dopóki mi nie powiesz, co się stało.

– Nie widziałam jej – mówi.

Znów chwytam ją za rękę.

– Przynajmniej nie tutaj – dodaje pośpiesznie.

– To gdzie? – Nie zwalniam uścisku. Nie odpowiada. Patrzy w podłogę i milczy. – Jeśli coś jej zrobiłaś, nie ujdzie ci to na sucho. Zawiadomię policję, przeszukają każdy centymetr twojego domu i ogrodu, znajdą ślad, nie wywiniesz się.

– Nie mam z jej zniknięciem nic wspólnego.

– Nie wkurwiał mnie! – krzyczę. – Widziałem jej buty, są całe w białym błocie, była tu! Powiedz mi, co jej zrobiłaś!

Patrzy na mnie. Jej twarz jest czerwona, płonie. Wyrywa się z mojego uchwytu i rusza przed siebie.

– Ta suka o nas wiedziała – mówi. Odwraca się i patrzy na mnie. – Nie wiem, jak się o nas dowiedziała i kiedy, ale pod-

glądała nas. Musiała tu za tobą kiedyś przyjechać. – Nerwowo chodzi po pokoju. – Teraz już pamiętam. – Staje na środku i spogląda w moją stronę, jej wzrok jest wściekły. – Ktoś tu się kręcił, tak, miałam wrażenie, że ktoś czai się w trzcinie, ale wmówiłam sobie, że tylko mi się wydaje. Teraz jestem pewna, że widziałam kogoś w szuwarach, to musiała być ona.

– Co jej zrobiłaś?!

– Nic! – odparowuje. – Uwierz mi, żałuję, ale nic.

– Kiedy?

– Co? – Jej wzrok jej nieobecny.

– Kiedy ją widziałas?!

– Wczoraj – mówi. – Nie, przedwczoraj, wczoraj cię tu nie było.

– O której?

– Nie pamiętam. Jak wychodziłam do pracy, kilka minut po twoim wyjściu. Szłam do samochodu i usłyszałam jakieś dźwięki od strony łąki. Odwróciłam się i zobaczyłam, że coś tam się rusza. Ale nie miałam czasu, więc to zignorowałam. Wsiadłam i odjechałam.

– Nie wierzę ci! – krzyczę. – Nie wierzę w żadne twoje słowo. Wróć tu z policją! – Odwracam się i zmierzam w stronę drzwi.

– Czy ona była w ciąży? – Jej pytanie mrozi mi krew w żyłach.

– Co? – Odwracam się.

– Czy mówiła ci, że jest w ciąży?

– Nie! I o to właśnie chodzi! – Z impetem trzaskam za sobą drzwiami.

Początkowo chciałem sam przeszukać dom i okolice, ale pomyślałem, że lepiej, aby nigdzie nie było moich śladów. Jestem niewinny, a tym mógłbym tylko ściągnąć na siebie po-

dejrzenia. Wsiadam do samochodu i jadę w stronę Kazimierza. Mam zamiar pójść do komisariatu na Szerokiej. Być może gdzieś jest jakiś bliższy, ale nie znam tej okolicy. Nie wiem, co im powiem, ale wiem, że liczy się każda minuta. I szczerść, najbardziej uwłaczająca, demaskująca szczerść. Muszą jak najszybciej znaleźć się w domu Marty, aresztować ją i wyciągnąć z niej prawdę. Parkuję przed kamienicą Babelstein, biorę telefon do ręki i nieruchomieję. W rogu ekranu miga koperta. Właśnie dostałem mejla, który wszystko zmienia.

Marta

Patrzyłam, jak błoto rozbryzguje się pod kołami jego auta. Odjechał w stronę głównej drogi. Wiedziałam, że nie kłamie i wróci z policją. Nie mam jednak nic do ukrycia, przynajmniej, jeśli chodzi o jej zniknięcie. Ta suka musiała się domyślić, że ją zdradza, śledziła go i dowiedziała się, że robi to ze mną. I wtedy uciekła. Jestem pewna, że mnie nie podejrzewała. Od początku działałam według precyzyjnego planu. Nigdy się nie dowie, że to ja uniemożliwiłam jej zajście w ciążę. Weźmie to za przypadek, nieszczęśliwe zrzączenie losu. Policja nie znajdzie jej śladu w moim mieszkaniu. Na pewno tu nie była, nie pokonałaby alarmu przeciwwłamaniowego, a nawet gdyby, grupa interwencyjna złapałaby ją na gorącym uczynku i ja dowiedziałabym się o tym jako pierwsza.

To przez tego kretyna wszystko się popsuło. Musiał się czymś zdradzić, że ma kogoś na boku. Śledziła go, schowała się w szuwarach i doznała ciężkiego szoku na mój widok. Uciekła, ukryła się u rodziny, przyjaciół, wypłakuje się teraz w poduszkę. Być może policja znajdzie jej ślady w szuwarach, ale tylko jej, ja tam nigdy nie byłam, jestem czysta, przynajmniej w tej kwestii. Głównym podejrzanym stanie się Adam, ja jestem tylko niemającą o niczym pojęcia kochanką. Świetnie, że mnie wczoraj do siebie zaprosił, ślady mojego DNA w ich domu nie będą niespodzianką. Los choć raz mi sprzyja, bo inaczej mogłoby to się źle skończyć. A tak nikt nigdy nie połączy zabicia kota i obecności dwóch uroczych szcurek w ich mieszkaniu z moją osobą. Szkoda mi było tego zwierzaka, ale wiedziałam, jak bardzo ją tym zranię. Wielokrotnie wspominałam jej, że roznoszona przez koty toksoplazmoza może być niebezpieczna dla płodu, ale ona zawsze powta-

rzała, że według badań jest na to odporna i że kocha kotkę jak własne dziecko. Postanowiłam więc pokazać jej przedsmak bólu, który ją czeka. Z tego, co wiem, nieźle ją to dotknęło. A potem do głowy wpadł mi pomysł ze szczurami. Mówiła mi o swojej fobii wielokrotnie, przecież byłam jej bliska jak przyjaciółka. Pewnie kota też trzymała ze strachu przed gryzoniami. Moja sztuczka musiała wywołać traumę, przez długi czas tego nie zapomni.

Robiłam wszystko, żeby oszalała. Sprawianie jej bólu dawało mi niepohamowaną radość. Myślała, że ma monopol na ranienie innych? Jednak są od niej sprytniejsi. Z jej dokumentów wyciągnęłam informację o adresie, a z jego torby klucz, który podrobiłam i odłożyłam na swoje miejsce. Doprawdy świetnie się bawiłam, podrzucając ubrania do jej szafy i kosmetyki w łazience. Raz nawet udało mi się wrzucić szminkę do jej torebki, gdy długo przebierała się za turkusowym przepierzeniem w moim gabinecie. Żałuję, że nie pozwoliłam sobie na więcej fantazji w tej kwestii. Nikt nigdy się o tym nie dowie, jedyne, czego mogę się obawiać, to zawartość czarnego pudełka. Po dwa schodki wbiegam na piętro.

Pudło stoi na półce w moim gabinecie, tam gdzie wczoraj je zostawiłam. Biorę je do ręki i schodzę z nim do salonu.

Pośpiesznie otwieram drzwiczki kominka i wrzucam do środka całą zawartość. Z zachwytem patrzę, jak kartki zajmują się ogniem. Nie są mi już potrzebne. I tak wszystko mam zapisane w głowie, najlepszej skrytce, do której dostępu nie ma nikt poza mną. Oficjalna dokumentacja w przychodni jest czysta jak łąza. Dziewczyna leczyła się na niepłodność i rzeczywiście dzięki zastrzykom była niepłodna, wszystko się zgadza. Tylko ja robiłam jej zastrzyki, więc nikt się nie dowie, że przyjmowała Depo-Proverę zamiast Pregnylu 1000. Dokumentacja zamawianych leków jest także bez zarzutu, ilościowo

wszystko się zgadza. Zastrzyk z Pregnylu robiłam innej pacjentce, prostytutce, która wierzyła, że dostaje zastrzyk antykoncepcyjny. Kiedy tylko do mnie przyszła, wiedziałam, że nadarzyła się świetna okazja. Wyznała, że potrzebuje czegoś skutecznego, bo utrzymuje się z kontaktów seksualnych z klientami, dodatkowo zabezpiecza się prezerwatywą, ale wiadomo, chciała mieć większą pewność. Za każdym razem upominałam ją, aby pamiętała o używaniu kondomów, strasząc chorobami przenoszonymi drogą płciową. Wiedziałam, że się nie zapomni, a zastrzyk antykoncepcyjny mogłam dać Anicie. Dla czystości sytuacji co trzy miesiące robiłam prostytutce zastrzyk z Pregnylu, co jej zapewniało spokój, a mnie porządek w papierach. Ampułki zamieniałam w gabinecie i tylko ja o tym wiedziałam, więc nie ma po tym śladu. A jak wiadomo, żadna antykoncepcja nie daje stuprocentowej pewności, tak samo jak kilkuletnia niepłodność może nagle i niespodziewanie zakończyć się cudownym poczęciem. W każdym z przypadków byłabym poza podejrzeniami.

Adam nie wie o ciąży, ale być może ona sama jeszcze nie zdaje sobie z niej sprawy. Albo znowu się nie powiodło. Czy jej płodność mimo mojej pomocy będzie wracać dłużej, niż na to liczyłam? Nie udało się w październiku, możliwe że nie udało się też w listopadzie. W przyszłym tygodniu miała umówioną wizytę, dowiedziałabym się, czy jest w ciąży. Teraz wiem, że nie przyjdzie i nie poznam prawdy. Ogarnia mnie wściekłość. A co, jeśli się udało, jeśli spodziewa się dziecka, szczęśliwie urodzi i zakpi sobie tym ze mnie? Nie mogę do tego dopuścić.

Adam

Napisała, że nic jej nie jest. Tylko tyle. Próbowałem się do niej dodzwonić, ale telefon nadal miała wyłączony. Odpisałem, że przepraszam, że wiem, że dowiedziała się o mojej zdradzie, że bardzo tego żałuję, że chcę, aby wróciła, żeby dała mi ostatnią szansę, ale nie odpisała. Po przeczytaniu jej mejla nie poszedłem do komisariatu, bo co miałbym im powiedzieć. Że żona odeszła ode mnie, kiedy się dowiedziała, że mam romans? Policja się tym nie zajmuje. Każdy ma prawo wyboru, z kim chce żyć i mieszkać. Wysłałem jej jeszcze kilka wiadomości, pytałem, gdzie jest, prosiłem o spotkanie, ale na razie milczy. Kiedy wracałem do domu, minąłem się na schodach z sąsiadem z góry. Popatrzył na mnie podejrzliwie. To ten młody lalusz, który zaczepiał Anitę. Już chciałem zapytać, czy nie ma nic wspólnego z jej zniknięciem, ale w ostatnim momencie się powstrzymałem, nie chcąc wyjść na idiotę. Nie mogę wpadać w obłąd. Sprawa jest prostsza, niż sądziłem. Anita odeszła, dowiedziawszy się o Marcie, nikt inny nie jest w to zamieszany. Znając jej przewrotny charakter i upór, może już nigdy nie wrócić. Poświęci kilka stosów książek i płyt, walizkę ubrań, starego laptopa i aparat, nawet swoje auto. Zniknie raz na zawsze. Być może kiedyś ją spotkam, a być może do końca życia pozostanę mężem bez żony.

Anita

Budzi mnie szmer. Z każdą kolejną sekundą głośniejszy. Gdy sen się oddala, a rzeczywistość jest już blisko, rozpoznaję go. Odgłos kółek walizki ciągniętej przez kogoś idącego korytarzem. Znam ten dźwięk, nie najgorszy z możliwych. Otwieram oczy. Pokój, w którym się znajduję, jest obcy. Kremowe ściany, sufit przyozdobiony roślinną płaskorzeźbą w kształcie liany czy czegoś w rodzaju winorośli. Na lewo białe drzwi, na prawo ogromne okno, przez złoto-czerwone zasłony przebijają się promienie słońca. Jeśli ktoś miałby spędzić tu urlop, byłby zadowolony. Potrzebuję kilku sekund, aby zrozumieć, gdzie jestem i jak tu się znalazłam. Gdy tylko to sobie uzmysławiam, czuję skurcz w żołądku. Prawda wciska mnie głęboko w miękki materac.

Adam mnie zdradził. Co gorsza, zrobił to z nią, moją ginekolożką. Jak się poznali i jak długo to trwa, wciąż pozostaje dla mnie zagadką. Czy odczuwała satysfakcję, patrząc, jak uginam się pod kolejnym rozczarowaniem, gdy tymczasem ona zabawia się z moim mężem? Czy może w ogóle nie wiedziała i wciąż nie wie, że facet, z którym sypia, jest partnerem jej długoletniej pacjentki?

Od dwóch dni wciąż na nowo odtwarzam tę scenę. Widzę jego samochód pod jej domem i potem ją, wystrojoną, gotową na kolejny udany dzień. Królowa życia, uśmiechnięta, zdecydowana, pewna siebie. Za każdym razem podziwiałam jej profesjonalizm i wiedzę. Może Adam znalazł w niej to wszystko, czego mi brakowało? Przypominam sobie, że jakieś dwa lata temu był ze mną u niej na badaniu. Czy wtedy to się zaczęło? A może próbował się dowiedzieć czegoś o niepłodności na własną rękę i poszedł do niej bez mojej wiedzy? To prawdopo-

dobne, ale zupełnie nie w jego stylu. Temat dziecka mimo wszystko był dla niego marginalny. Ale jednak jakoś na siebie trafili.

Gdy ją wtedy zobaczyłam, zaczęłam uciekać. Nie chciałam, żeby mnie tam widziała, pod jej płotem, chorej z zazdrości, bezpłodnej, zdradzonej, wyzutej z godności kobiety. Dopadłam do drzwi auta, zamknęłam się i próbowałam uciszyć rozszalałe serce. Właściwie wciąż próbuję je uspokoić, ale mnie nie słucha.

Nie sądziłam, że jego zdrada tak bardzo mnie zaboli. Nie układało nam się, ale jednak wciąż go kochałam. Teraz go nie nawidzę, mimo słów, które padły z jego ust. Wczoraj była u nas w domu. Po historii ze szcurami zainstalowałam w salonie kamerę IP, chciałam mieć podgląd na to, co się dzieje w naszym mieszkaniu, gdy mnie nie ma. Nie podejrzewałam Adama o zdradę, po prostu zamierzałam się dowiedzieć, kto zagląda do nas pod naszą nieobecność. Jeśli znów zdarzyłoby się coś dziwnego, dzięki temu mogłabym złapać sprawcę. Wczoraj wieczorem zalogowałam się i widziałam Adama siedzącego przy stole. Wydawał się smutny, rozmawiał przez telefon, a potem przyszła ona.

Wiem, że to pierwszy raz, kiedy spotkali się w naszym mieszkaniu, bo nigdy z niego nie wychodziłam na tak długo, aby mogli tam swobodnie przebywać. Gdy zobaczyłam ją w progu, na moment serce przestało mi bić. Nie byłam gotowa oglądać ich w spazmatycznym napadzie miłości, ale nie potrafiłam oderwać oczu od kamery. Patrzyłam, jak siada na krześle, opiera się plecami o mój szlafrok, wodzi wzrokiem po mieszkaniu. I wtedy to powiedział. Wyznał jej, że zniknęłam i że wciąż mnie kocha. Nie wiem, po co to zrobił, dlaczego u nas w domu, ale powiedział jej to bez żadnych ceregieli, tak po prostu. Wybiegła wściekła, rozszalona, zraniona. Być może

powinnam się cieszyć, że to zakończył, że zrozumiał swój błąd, ale przepełnia mnie nienawiść do niego.

Początkowo chciałam go zranić, zdradzić, zwymyślać, poniżyć, ale wiadomość, że robi to z kobietą, która zna mnie na wylot, zwała mnie z nóg. To tak, jakbym straciła dwoje przyjaciół jednocześnie, jakby dwie osoby, które znają moją tajemnicę, spiskowały razem za moimi plecami. Po tym, jak uciekłam sprzed jej domu, wróciłam do naszego mieszkania. Moją głowę zaatakowały roje toksycznych myśli. Najpierw chciałam sobie coś zrobić, ale już za chwilę chciałam zrobić coś jej albo jemu. Nie mogłam zostać dłużej w ich pobliżu. Wiedziałam, że nie będę umiała dalej udawać, że o niczym nie wiem, ale też nie miałam siły wchodzić z nim w konfrontację. Zdjęłam brudne kozaki i płaszcz, włożyłam sportowe buty i puchową kurtkę, upewniłam się, że kamera jest włączona, i wyszłam z domu. Chciałam pojechać do rodziców, ale zrezygnowałam, nie miałam ochoty się im zwierzać. Poszłam na Rynek, wtopiłam się w tłumy turystów. Kupiłam gorącą herbatę i usiadłam w jednym z ogródków wciśniętych między stragany bożonarodzeniowe. Przyglądałam się gołębiom spacerującym po płycie głównej i nagle wiedziałam już, dokąd pojedę. Nie chcę tu zostać, muszę uciec, daleko, gdzieś, gdzie nikt mnie nie znajdzie, ale gdzie ktoś czeka, abym to ja go znalazła. Tak, to był mój cel, coś, co trzymało mnie przy życiu. Gdy zaczęło się ściemniać, udałam się do Galerii Krakowskiej. W Saturnie kupiłam laptop i najnowszy Windows. W Avanti zamówiłam tosty i zainstalowałam oprogramowanie. Musiałam mieć komputer pod ręką. Od kilku miesięcy planowałam zmienić ten stary, nigdy jednak nie miałam dość energii, by się do tego zabrać. W końcu nadarzyła się okazja. Gdy kelnerka zaczęła zamiatać wokół stolików, zapłaciłam i zjechałam windą na najniższy poziom. Była dwudziesta pierwsza czterdzieści siedem,

miałam piętnaście minut do pociągu. Rano obudziłam się już w Pradze.

Chciałam w piątek być tam osobiście. O jedenastej pięćdziesiąt pięć stanąć na przystanku Malostranská i czekać na Zo. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, co mu powiem, ale myśl, że zobaczę go na żywo, stanę obok, będę chłonąć jego obecność, pomogła mi przetrwać pierwszą dobę po tym, jak się o wszystkim dowiedziałam. Cokolwiek się stanie i tak zawsze będę mu za to wdzięczna. Chciałabym mu o tym powiedzieć, wyznać, że nieświadomy niczego pomógł mi oddychać, zrobić kolejny krok, a potem kolejny, że to dzięki niemu wciąż żyję.

Punktualnie o szóstej trzydzieści osiem pociąg wtoczył się na zabytkowy praski dworzec. Byłam głodna. Usiadłam w przepięknej secesyjnej kawiarni, zamówiłam zestaw śniadaniowy i zaczęłam przez internet szukać hotelu. Najważniejsze było to, aby znajdował się blisko przystanku Malostranská. Niestety jedyne wolne miejsce znalazłam w pięciogwiazdkowym Luxury Family Hotel Royal Palace. Znajdował się na ulicy Letenskiej 11, tej, po której jeździ mazací tramvaj, w odległości dwustu pięćdziesięciu metrów od miejsca, gdzie pojawia się Zo.

Nie miałam zamiaru długo tam mieszkać. Na początek zarezerwowałam dwie noce. Meldunek był od czternastej, miałam więc do zagospodarowania całe przedpołudnie. Przerzuciłam przez ramię torbę od laptopa i kilka minut po ósmej opuściłam budynek dworca. Doskonale znałam każdą ulicę i mijane po drodze budynki. Wprawdzie kupiłam mapę, ale nie musiałam jej używać, by dotrzeć na Małą Stranę. Słońce przebijało się przez drobne chmurki, wielki elektroniczny termometr tuż przy wyjściu ze stacji wskazywał dziesięć stopni na plusie, dość ciepło jak na początek grudnia.

Wiedziałam, że w czwartek Zo nie czeka na tramwaj, ale mimo wszystko siedziałam na przystanku Malostranská od jedenastej do trzynastej, na wypadek gdyby jednak się pojawił. Wypełniało mnie przedziwne uczucie oderwania od rzeczywistości. Zupełnie jakbym zmieniła się w kogoś innego. Nie elegancka, lecz sportowa, nie w zaciszu mieszkania, ale w centrum tętniącego życiem miasta. Teraz ja byłam częścią podglądanego świata, jedną z nich, nieznaną aktorką spektaklu na żywo. Zastanawiałam się, ile osób siedzi po drugiej stronie kamery i tak jak ja urządza sobie przejażdżkę po czeskiej stolicy. Gdy przejeżdżał mazací tramwaj, patrzyłam prosto w oko kamery, miałam nawet ochotę pomachać do tego kogoś, ukrytego gdzieś daleko i podglądającego cudze życie. Jak zwykle tramwaj skręcił w ulicę Letenská, ale tym razem nie odebrał mi możliwości dowiedzenia się, co dzieje się dalej. Teraz wszystko było w moich rękach, mogłam pójść, gdzie chciałam, zobaczyć, co chciałam, w końcu wyszłam poza sztywne ramy metalowych szyn.

Gdy tramwaj odjechał, a Zo się nie pojawił, zeszłam na dół, do metra. Wciąż miałam nadzieję, że gdzieś przypadkiem go zobaczę. Potem udałam się do Galerii Narodowej, przyklejonej od tyłu do placu, przy którym znajdował się przystanek Malostranská. Wielokrotnie wyobrażałam sobie, że Zo tam pracuje, chciałam to sprawdzić. Przekroczyłam ozdobną bramę, przeszłam wśród suchych, pozbawionych życia drzew i krzewów okazałego ogrodu i weszłam do środka. W recepcji siedziały dwie dziewczyny. Jedna, w obcisłej popielatej garsonce, rozmawiała przez telefon, druga, z bujnymi, kręconymi włosami, porządkowała dokumenty w rozłożonych na blacie segregatorach. Żadna z nich nie była Rudą. Nie zwracały na mnie uwagi. Po korytarzu kręcili się ludzie, para japońskich turystów czytała zawieszoną na ścianie mapę, dwóch mężczyzn w średnim wieku w wypłowiałych dżinsach rozmawiało po

angielsku o planach na popołudnie. Podeszłam do tablicy informacyjnej objaśniającej, na którym piętrze i w jakiej sali znajduje się dana wystawa. Miałam nadzieję, że gdzieś natrafię na jakieś zdjęcia pracowników galerii i zobaczę wśród nich Zo, dowiem się, jak naprawdę się nazywa, i zapytam o niego w recepcji. Niczego takiego jednak nie znalazłam. Gabloty wystawowe przedstawiały jedynie informacje praktyczne, tematykę wystaw czasowych i historię najokazalszych eksponatów. Wyszłam ponownie na zewnątrz. Urządziłam sobie spacer ulicą Letenską aż do Karmelickiej, wzdłuż trasy, którą doskonale znałam z jazdy tramwajem. W Subwayu wzięłam na wynos coś, co zyskało miano mojego obiadu, i ruszyłam w drogę powrotną do hotelu. Na placu przed kościołem Świętego Mikołaja stały bożonarodzeniowe stragany, podobne do tych w Krakowie. Kupiłam pudełeczko suszonych owoców. Po czternastej byłam w hotelu.

Recepcjonista poinformował mnie, że z dwóch wolnych pokoi jeden ma okna na ulicę Letenską, a drugi na dziedziniec, wybór pozostawił mnie. Oczywiście poprosiłam o ten z widokiem na szyny. Ucieszyłam się, że będę mogła wieczorami obserwować spacerujących ulicą ludzi, nawet gdy mój tramwaj oddali się w mniej interesującym kierunku. Nie chciałam długo tu zostawać. Miałam nadzieję, że dziś zobaczę Zo i załatwię to, po co przyjechałam.

Podnoszę się z łóżka, podchodzę do okna i odsłaniam żaluzje. Zerkam na rustykalny zegar na ścianie, wskazuje siódmą czterdzieści. Odpalam laptop i wysyłam mejl do Adama. „Nic mi nie jest”. To wszystko, na co mnie teraz stać. Wprawdzie mogłabym go o niczym nie informować, nie obchodzi mnie, czy się martwi, ale nie chcę, żeby zawiadamiał kogokolwiek o moim zniknięciu, policję, rodziców. Potrzebuję spokoju. W tej chwili chcę zapomnieć o wszystkim.

Adam

Nawet nie wiem, jak uciekł mi wczorajszy dzień. Nie odezwała się, nadal milczy. Poranek mikołajkowy. Co roku odnajdywaliśmy pod poduszką kupione sobie nawzajem prezenty. Być może to dziecinne, ale nam się podobało. Kiedyś dostałem od niej worek słodczy – zapamiętała, że w dzieciństwie było to moje największe marzenie, którego rodzice nie chcieli spełnić. Do dziś nie wiem, czy ze względu na kryzys, czy z troski o moje zdrowie.

W tym roku nic dla niej nie miałem. Zapomniałem o naszej tradycji. Gdyby nawet tu teraz obok mnie spała, nie znalazłaby niczego pod poduszką. A ja? Zacząłem przeszukiwać półki w szafie, ale i ja nie znalazłem niczego dla siebie. Być może też zapomniała albo miała w planach kupić coś w ostatniej chwili. Usiadłem z powrotem na łóżku. Odsunięte drzwi prezentowały zawartość naszej garderoby. Mój wzrok padł na zwisające z ubrań metki. Podeszedłem bliżej, kolorowe sukienki, nowe, nieużywane. To o te ciuchy zrobiła mi kiedyś awanturę, rzeczywiście do niej nie pasowały.

Po dziesiątej zszedłem do sklepu po pieczywo i mleko. Na dole znów minąłem się z tym lalusem z góry. Zaczepił mnie.

– Dzień dobry – powiedział, gdy przytrzymałem zamykające się drzwi.

– Dzień dobry – odparłem.

– Przepraszam, że tak prosto z mostu, ale czy z Anitą wszystko w porządku?

– A co ma być nie w porządku? – Odwróciłem się w jego stronę.

– Wczoraj byliśmy umówieni na kolację – wytłumaczył. – Oczywiście pan też miał być, nie mówiła panu?

– Nie – zaprzeczyłem, nic nie rozumiejąc z jego słów.

– Już kilka razy jej to proponowałem, w końcu się zgodziła. Taka sąsiadka, niezobowiązująca impreza, u mnie w mieszkaniu, sushi, wino. – Wzruszył ramionami. – Czekałem wczoraj na was. Dzwoniłem do niej, ale miała wyłączony telefon.

– Anita wyjechała na kilka dni – powiedziałem. – Przepraszam, śpieszę się – dodałem wymijająco, wychodząc na ulicę.

Wiem, że moje podejrzenia o ich romans były niesłuszne. Anita po prostu zawsze miała wielbicieli, a ślub ze mną nie zmienił jej niezwykłych zdolności do zjednywania sobie ludzi. Przyłapałem się na użyciu czasu przeszłego w stosunku do jej osoby. Ma wielbicieli – poprawiłem się. Nie mogę mówić o niej jak o zmarłej, jakby już jej nie było, przecież się odezwała, żyje, tylko jeszcze nie wiem gdzie.

Anita

Zo nie przyszedł w piątek na przystanek. Powinien być, ale go nie było. Wiedziałam, że coś się stało. Nie bez przyczyny nie pojawił się we wtorek i znów w piątek. Pokręciłam się jeszcze po okolicy i po siedemnastej wróciłam do hotelu. Przedłużyłam pobyt o cztery dni. Na dłużej się nie udało, już kilka miesięcy wcześniej grupa turystów z Kanady zarezerwowała wszystkie dostępne w hotelu miejsca. To powinno wystarczyć – liczyłam na spotkanie z Zo w poniedziałek. Jednak nie musiałam czekać tak długo. W niedzielę zobaczyłam go z okna mojego pokoju. Mimo że był daleko i siedł dość szybko, nie miałam wątpliwości, że to on.

Przez cały weekend nie wychodziłam na miasto, jedynie na śniadanie i obiadowe kolacje schodziłam na dół, do hotelowej restauracji. Przez większość czasu spałam, czułam się dziwnie osłabiona i osowiała. W niedzielę po południu usiadłam na szerokim parapecie, przyjemnie rozgrzanym przez znajdujący się pod spodem kaloryfer. Hradczany królowały na powoli granatowiejącym niebie. Wpatrywałam się w smukłe wieże i mimo przepelniającego mnie smutku zachwycił mnie ten widok. Na dole jeździły tramwaje, nieliczni przechodnie przemierzali ulicę w górę i w dół. Owinięta w biały hotelowy szlafrok siedziałam nieruchomo. Poruszały się tylko moje oczy i serce. Zastanawiałam się, jak dalej potoczy się moje życie, co zrobię po powrocie do Krakowa. Nie chcę być dalej z Adamem, nie po tym, co mi zrobił. Wizja rozwodu i tego, co jest z nim związane, przerażała mnie. Dzielenie wszystkiego na pół wydawało mi się śmieszne. W zasadzie nic tam nie jest moje. Nie spisaliśmy intercyzy, więc mam do wszystkiego prawo, ale za większość rzeczy, łącznie z naszym mieszka-

niem, płacił Adam. Może powinnam być wredną suką i zażądać połowy za wyrządzone mi krzywdy, ale niczego od niego nie chcę. Brzydzą się nim. Ona i on, to wciąż wydaje się niedorzeczne.

Równie niedorzeczne jak nowa ja. Gdzie się podziała ta zdecydowana, radosna dziewczyna, która przez tyle lat żyła w mojej skórze? To niepodobne do mnie – tak siedzieć z założonymi rękami, cierpieć i czekać, co przyniesie jutro. Jakbym nagle stała się zupełnie inną osobą. I która z nas jest prawdziwa? Zmiana musiała następować powoli, wgryzać się we mnie niczym rdza w metal, dlatego jej nie zauważyłam. A teraz moje życie przewróciło się do góry nogami, pozbawiając mnie resztek złudzeń i odbierając marzenia. Nie wiem, czy kiedykolwiek i komukolwiek jeszcze zaufam i czy to oznacza, że na zawsze muszę pogodzić się z brakiem dziecka w moim życiu. Ta ostatnia myśl bolała mnie najbardziej. Dopóki się staraliśmy, wciąż liczyłam na cud. Bez partnera i kolejnych prób szanse na macierzyństwo znikają bezpowrotnie.

Odprowadzałam właśnie wzrokiem tramwaj numer dwadzieścia dwa, jadący w stronę placu Malostranskiego, gdy go zobaczyłam. Z przewieszoną przez ramię torbą na portfolio i rozwianymi przez wiatr włosami szedł wzdłuż muru po przeciwnej stronie ulicy. Rozmawiał z kimś przez komórkę. Zeskoczyłam z parapetu, zrzuciłam z siebie szlafrok, w pośpiechu wskoczyłam w dzinsy, nie miałam czasu odwracać swetra na prawą stronę, złapałam w rękę kurtkę i wybiegłam z pokoju. W windzie ubrałam się do końca i zasznurowałam buty. Kiedy wypadłam przed hotel, ulica ziała pustką. Rozejrzałam się, ale nie było po nim śladu. Nie mogłam sobie przecież tego wyobrazić, widziałam go, to na pewno był Zo. Szedł w dół, w stronę mostu. Zaczęłam biec w tamtym kierunku. Wiedziałam, że jakieś pięćdziesiąt metrów dalej ulica zakręca lekko w prawo. Po chwili go zauważyłam. Przeszedł przez torowisko

i skręcił za róg. Wciąż biegłam, nie mogłam stracić go z oczu. Gdy wypadłam za zakręt, właśnie otwierał drzwi do kamienicy. Chwilę mocował się z kluczem, to wystarczyło, aby mnie usłyszał i zobaczył.

– Proszę poczekać! – krzyknęłam.

Zastygł, spojrzał w moją stronę. Podbiegłam do niego.

– Przepraszam, nie znamy się, ale chciałabym chwilę porozmawiać.

Powiedział coś po czesku, domyśliłam się, że chyba nie rozumie, co do niego mówię. Ale ze mnie idiotka.

– Mówisz po angielsku? – zapytałam, łapiąc oddech.

– Tak – odpowiedział. – O co chodzi?

Przyglądałam się jego nieogolonej twarzy, wystającym kościom policzkowym. Zo we własnej osobie.

– Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? – powtórzyłam.

– Nie rozumiem. – Jego twarz wyrażała zdziwienie. – Czy my się znamy? Jesteś od Tani?

– Nie – zaprzeczyłam. Czy miał na myśli Rudą? – Nie znamy się, ale to zajmie dosłownie chwilę. Proszę.

To też nie było do mnie podobne – prosić nieznanego faceta o spotkanie. Wyjął klucz z zamka i powiedział, że niedaleko znajduje się jego ulubiona kawiarnia.

Eryk

Wpatrywałem się w nią, zastanawiając, czego ode mnie chce. Najpierw myślałem, że to jakaś koleżanka Tani. Taka sama skandynawska uroda, ładna, seksowna blondynka, być może też modelka. Jednak powiedziała, że jest z Polski, że mnie zna, choć ja o niej nigdy nie słyszałem. Nie wyglądała na kogoś pozabawionego piątej klepki, więc zgodziłem się jej wysłuchać.

– Wiem, jak to wszystko głupio brzmi – mówiła, obejmując dłońmi kubek z herbatą, którą zamówiła u Mariki, mojej zaprzyjaźnionej kelnerki. – Po prostu chciałam cię poznać, podziękować za to, że jesteś.

Marika przecierała mokrą szmatką sąsiedni stolik, rzucając mi pytające spojrzenia. Bezdźwięcznie dałem jej znać, że później jej wszystko wyjaśnię. Jej mina nie wydawała się zadowolona z mojej odpowiedzi.

– Byłeś czymś pewnym i dobrym w moim beznadziejnym życiu. Od rana czekałam na jedenastą pięćdziesiąt pięć.

Nie wiedziałem, czy jej angielski jest aż tak kiepski, czy może to moje umiejętności w tej kwestii są dalekie od doskonałości, ale kompletnie jej nie rozumiałem. Mówiła, że codziennie ogląda ludzi przez kamerę tramwaju jeżdżącego po Pradze, że mnie zapamiętała, że wie, że mam rudą dziewczynę, że nie jeżdżę w środy i czwartki. Nie kłamała, wszystko, o czym mówiła, było prawdą. Obserwowała mnie, znała na pamięć mój tygodniowy rozkład zajęć.

– Ale dlaczego mnie śledziłaś, ktoś cię wynajął?

– Nie – zaprzeczyła, patrząc mi w oczy. – Wiem, że to niedorzeczne i głupie, ale miałam problemy osobiste, więc dla zabi-

cia czasu wpatrywałam się w to, co dzieje się po drugiej stronie kamery. Nie jestem szalona.

Po ostatnim zdaniu poczułam niepokój. Może jednak nie jest z nią do końca dobrze i potrzebuje specjalistycznej pomocy. Musiała wyczytać zaniepokojenie z mojej twarzy, bo nagle odstawiała na bok kubek z herbatą.

– Okej, wiem, że uważasz mnie za wariatkę. Nie ma tematu, zapomnijmy o wszystkim. Tym kimś mógł być każdy, ale byłeś nim ty. Przypadkowy pasażer. Nieświadomy niczego pomogłeś mi przetrwać najtrudniejsze chwile w moim życiu. Myśl, że cię poznam, dowiem się, jak masz na imię, pozwoliła mi żyć. Miałam cel, rozumiesz? Absurdalny, ale zawsze cel.

Wstała, położyła na stole pięćdziesiąt koron i zaczęła wkładać kurtkę. Zrobiło mi się jej szkoda, może była stuknięta, ale nie niebezpieczna.

– Eryk – powiedziałem. Spojrzała na mnie. – Okej, nic z tego nie rozumiem, ale w porządku. – Rozłożyłem ręce. – Jestem artystą, też nie czuję się do końca normalny. – Zaśmiałem się. – Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale mimo wszystko miło mi, że mogłem ci nieświadomie pomóc.

– Anita. – Wyciągnęła ku mnie rękę.

– Eryk – powtórzyłem, ściskając jej dłoń.

– Pierwszy raz zobaczyłam cię w maju na przystanku Malostranská. – Ponownie usiadła i chwyciła kubek w dłonie. – A w zeszłym tygodniu cię nie było. Przez pół roku pojawiałeś się niezmiennie i nagle coś się stało. To mnie zaniepokoiło.

– Dlatego tu przyjechałaś?

– To bardziej skomplikowane, ale między innymi dlatego.

– Miałem dużo pracy, wracałem do domu późną nocą, a wychodziłem o świcie.

Nie mówiłem jej, że na dwudziestkędwójkę czekałem tylko dla Mileny. Ja wysiadałem przy kościele Świętego Tomasza, ona jechała aż pod Teatr Narodowy. W przeciwnym razie nigdy nie jeździłbym tramwajem, miałem z domu zbyt blisko, by tracić czas na czekanie na przystanku. W ostatnim tygodniu przed oddaniem zamówienia nasz codzienny rytm trochę się zmienił.

– Najpierw zobaczyłam twoją dziewczynę, tak gdzieś pod koniec kwietnia – ciągnęła. – Moją uwagę zwrócił jej ubiór, ciekawy, niepowtarzalny, wydawała się interesująca. Tylko kompletnie nie pasował do niej ten jej były chłopak. Łysy, wytatuowany zapaśnik.

Zaciekawiony ostatnią informacją, spojrzałem bacznie na jej twarz, ale ona mówiła nieprzerwanie. W mojej głowie zakiełkował niepokój.

– Czekaj, czekaj. Mogłabyś opisać tego jej byłego? – poprosiłem.

– Wieształ się na niej, całowali się ostentacyjnie, ale kompletnie do siebie nie pasowali. Ona, rzucająca się w oczy artystka, i on, kulturysta lub robotnik budowlany, rozumiesz, coś w tym stylu.

– Jesteś pewna, że to była ona?

– Oczywiście. Ta sama ruda dziewczyna, która teraz jeździ z tobą. Świetnie do siebie pasujecie, naprawdę, zazdroszczę wam szczęścia.

Spojrzała na mnie smutno, a ja byłem kompletnie skołowany. Opis faceta idealnie zgadzał się z wyglądem niemego odbiorcy zamówień. Nie miałem pojęcia, że Milenę coś mogło z nim łączyć i najwyraźniej nadal łączy. Pozwoliłem Anicie mówić dalej, choć już niewiele słyszałem. Zmęczył mnie angielski, od rozstania z Tanią, która z czasem zaczęła dość dobrze mówić po czesku, nie używałem tego języka. Zastanawia-

łem się, co powinienem zrobić. Na środę byłem umówiony na dostarczenie towaru. A jeśli Milena nie jest do końca za mną szczerą, jeśli związek ze mną to część większego planu, a gra toczy się o znacznie wyższą stawkę? Ten Rubens od początku nie dawał mi spokoju. Wierna kopia kopii...

– Jak się nazywa ten tramwaj? – przerwałem jej.

– Mazací czy jakoś tak.

– Gdzie go można zobaczyć? Nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje.

– Pokażę ci.

Wyjęła telefon z kurtki, był rozładowany.

– Czy twoja komórka ma dostęp do internetu? – zapytała, chowając go ponownie do kieszeni.

– Tak, i jest tu też Wi-Fi.

Codziennie wpadam do tej kawiarni w przerwie w pracy nad obrazami, zamawiam kawę, sprawdzam pocztę, rozmawiam z Mariką, serfuję po internecie. Dziś też miałem zamiar tu przyjść. Od rana pracowałem w kościele, robiłem ostatnie poprawki nosa Świętego Augustyna. Chciałem zostawić torbę w domu, przebrać się i wyjść coś zjeść. Dzwoniłem do Mileny, obiecała, że wpadnie po dwudziestej.

Zalogowałem się do internetu i wpisałem stronę podaną przez Anitę. Zobaczyłem tył wagonika i przesuujące się po bokach budynki. Tramwaj jechał w okolicy Müstka, mówiła prawdę, coś takiego rzeczywiście istniało.

– Jest jakiś rozkład jazdy? – zapytałem.

– Tak, zjedź niżej.

Przewinałem ekran i kliknąłem mapę pokazującą trasę tramwaju. Obok znajdował się rozkład godzinowy. Niestety tramwaj nie jeździł tam, dokąd potrzebowałem. Żydowski Jo-

sefov, gdzie wynajmuje mieszkanie Milena, był poza jego zasięgiem.

– Czego szukasz? – przerwała moje myśli. – Może mogłabym ci pomóc?

– Słucham? – Popatrzyłem na nią.

Pochyliła się nad stołem, zbliżając do mnie twarz. Była naprawdę ładna.

– Chyba wiem, o co ci chodzi, myślę, że potrafię ci pomóc.

Marta

Nie przyszła. Tak jak myślałam, nie odwołała wizyty, po prostu się nie pojawiła. Czekałam na nią, bębniąc opuszkami palców w drewniane biurko. Miałam plan na wypadek, gdyby się jednak zjawiała i powiedziała, że o wszystkim wie. Udawałabym zaskoczoną, zbulwersowaną, zniesmaczoną. Kompletnie nie wiedziałam, że Adam ma żonę, pieprzony dupek, oszukał mnie. Przeprosiłabym ją, jednocześnie przyjmując postawę ofiary kłamliwego zdrajcy, jakim okazał się jej mąż. A potem zbadałabym ją, czekając na ujrzenie plamki w kształcie fasolki na ekranie monitora. Pokazałabym jej długo oczekiwany dowód ciąży, ciesząc się z nią i jednocześnie wyrażając zakłopotanie, że stało się to akurat w tak nieprzyjemnych okolicznościach. Namawiałabym ją do przemyślenia wszystkiego na spokojnie, niepodejmowania pochopnych decyzji. Jakkolwiek by było, ten łajdak jest ojcem jej dziecka. Ze swojej zaś strony obiecałabym, że usunę się z jego życia. Jednak nie przyszła. Na biurku dzwoni telefon, podnoszę słuchawkę.

– Pani doktor, czy mogę poprosić następną pacjentkę? – nalega recepcjonistka. – Trochę przerzedziłoby to walące tu tłumy. Dzisiaj prawdziwe oblężenie.

– Jeszcze chwileczkę.

– Pani Rozwada nigdy się nie spóźniała, widocznie jej coś wypadło, dzwoniłam, ale ma wyłączony telefon. Naprawdę nie ma sensu dłużej czekać.

– Powiedziałam chwileczkę – cedzę przez zęby i rzucam słuchawkę.

Nie mam ochoty przyjmować pozostałych pacjentek. Wysłuchiwać ich intymnych zwierzeń, potrzeb, obaw i pragnień.

Przez tę głupią sukę jestem kompletnie rozbita. Wybieram tonowo numer wewnętrzny sąsiedniego gabinetu. Po trzech sygnałach słyszę męski głos:

– Proszę?

– Robert? – upewniam się.

– A kogo się spodziewałaś?

– O której kończysz? – pytam.

– A co, chcesz mnie gdzieś zaprosić? – śmieje się.

– Przestań. – Nawet nie próbuję żartować. – Przejąłbyś moje pacjentki, okropnie się czuję, muszę wracać do domu.

– Sss... – słyszę wciąganie powietrza przez zęby. – Trochę mi to nie na rękę, chciałem wyjść dziś wcześniej, ale dobra – mówi. – Mam jeszcze w kolejce dwie swoje...

– Dzięki – kończę, nie słuchając go dalej.

Zdejmuję fartuch, wpycham go niedbale do torby, zarzucam ją przez ramię i wychodzę z gabinetu.

– Doktor Kechler przejmie dziś resztę moich pacjentek. Proszę wybaczyć, muszę pilnie wyjść, sprawy osobiste. – Rzucam przepaszające spojrzenie w stronę wpatrujących się we mnie oczu tuzina kobiet i wychodzę.

Anita

Wczoraj Zo, a właściwie Eryk, tak mi się przedstawił, odprowadził mnie do hotelu. Miałam ochotę zaprosić go na górę, ale wiedziałam, że to propozycja nie na miejscu. Zresztą rozczarował mnie, nie tak go sobie wyobrażałam. Jego dłonie były zniszczone i poranione, prawdopodobnie od ciągłego kalczenia się dłutem rzeźbiarskim, ale mimo wszystko dalekie od doskonałości. Nie pachniał. Obserwując go przez oko kamery, kilkakrotnie zastanawiałam się, jakich używa perfum, czy świeżych, owocowych, czy ciężkich, pasujących do cygar i kapeluszy. Nie używa żadnych. Czuć było od niego delikatną woń rozpuszczalnika do farb i kadzideł, mało przyjemna mieszanka. Dobrze nam się rozmawiało jak na nieznanym sobie i dodatkowo mówiących w obcym dla siebie języku ludzi. Nie powiedziałam mu, że mam męża ani o moich problemach. Nie to, że mu nie ufam, choć jak można zaufać komuś, z kim rozmawiało się przez godzinę. Po prostu nie chcę znów tego rozdrapywać. Każde wspomnienie o Adamie działa jak sól na świeżą ranę. Eryk jest artystą, tak jak sądziłam. Prowadzi prace restauratorskie w pobliskim kościele Świętego Tomasza i właśnie stamtąd wracał do domu, gdy go zobaczyłam. Miałam nosa, aby wynająć pokój w tej okolicy. Mój cel został osiągnięty, poznałam mężczyznę, którego od pół roku podglądałam. Nie do końca spełnił moje oczekiwania, więc nie ma sensu, żebym zostawała dłużej w Pradze. Powinnam wracać do domu, ale wiem, że tego nie zrobię. Nie mam żadnych planów. Po prostu jakby jutra nie było. Świat ogranicza się do chwili obecnej, przyszłość jest mglista, przeszłość... wolałabym, aby nie istniała. Jeżdżenie tramwajem, w którym nie mogłam obejrzeć się za siebie ani wyjrzeć do przodu, przy-

zwyczała mnie do tego stanu. Do bycia więźniem terażniejszości. W sumie nie jest to takie trudne, jeśli wyłączy się myślenie. Po prostu jesteś, powtarzasz wyuczone czynności, ubieranie, mycie, jedzenie, i tak mijają kolejne minuty. Nie wiesz, co będzie, nie chcesz pamiętać tego, co było.

Pokój mam wynajęty jeszcze do jutra, więc dzisiejsza doba jest wolna od konieczności podejmowania decyzji. Zapropnowałam Erykowi, że będę śledzić jego dziewczynę. Mimo wszystko mam wobec niego dług wdzięczności. Widziałam to w jego spojrzeniu, niemalże przejrzałam się w jego oczach, nie miał pojęcia o istnieniu Łysego w życiu Rudej, tak jak ja nie wiedziałam o związku Adama z Martą. Zupełna konsternacja. Zrobiło mi się go szkoda. Mógł się nie zgodzić, ale przystał na moją propozycję. Może od dawna przypuszczał, że go zdradza, może już długo są parą i to nie pierwszy raz, kiedy podejrzewa ją o kręcenie na boku. W każdym razie dziś zacznę swoją misję. Nie mam niczego ciekawszego do roboty, a tak zajmę czymś myśli i odwzajemnię się Zo za każdy uśmiech, który dzięki niemu pojawił się na mojej twarzy.

W nocy Milena, tak nazywa się Ruda, spała u niego. W poniedziałek przed dwunastą mają jak zwykle pojawić się na przystanku Malostranská. On wysiądzie przy kościele Świętego Tomasza, ja mam jechać za nią dalej. Nie wiem, co winnam zobaczyć, ale cieszę się z tego zadania. To znacznie lepsze niż ciągle rozdrapywanie ran.

Eryk

Jej naga noga przerzucona jest przez mój brzuch. Zdejmuję ją z siebie, zauważając, że zostawiła ślady potu na mojej skórze. Na jej twarzy pojawia się lekki grymas, ale się nie budzi, tylko przekręca na drugi bok. Wczorajsze spotkanie z tą dziwną dziewczyną z Polski nie daje mi spokoju. Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem, godząc się, aby śledziła Milenę. Z drugiej strony nie miałem innego wyjścia. Zdrada, o którą podejrzewałem moją dziewczynę, może być tylko przykrywką o wiele bardziej nikczemnych czynów. Wyciągam rękę i gładzę jej rozrzucone niedbale włosy. Pod moim dotykiem wygina swoje nagie ciało, przyciska pośladki do moich ud. Mam poranny wzwód, przyciągam ją do siebie. Nie protestuje, wręcz przeciwnie, odwraca się w moją stronę i uśmiecha. A potem siada na mnie okrakiem i odchyła się zmysłowo do tyłu. Patrząc, jak z każdym ruchem opadające luźno rude włosy muskają brodawki jej piersi, i nie potrafię się odprężyć. Czy mogłaby to wszystko udawać? Namietność, bycie razem, przywiązanie? Jednak jestem pewien, że to ją Polka widywała w objęciach z Łysym. Nie ma powodów, aby kłamać. Wiem już, że Milena nie gra ze mną czysto. Wielokrotnie zbyt dużo traciłem, będąc łatwowiernym i nieskorym do podejrzeń. Zgadzam się z powiedzeniem, że każdy mierzy swoją miarą, ale nie powinno się zapominać, jak bardzo mogą się one różnić. Milena opada na mnie, jej ciepłe piersi lądują na mojej twarzy. Wiem, że nie zostało nam już wiele takich rozkosznych wspólnych chwil. Jednym ruchem ręki przerzucam ją na plecy. Napierając na nią, przez moment pozwalam sobie nie myśleć o niczym.

Anita

Zobaczyłam ich trzymających się za ręce na przejściu dla pieszych na rogu Letenskiej i Klárov. Eryk miał na sobie tę samą kurtkę i spodnie co wczoraj, ona płaszcz, w którym zawsze ją widziałam. Zerknęłam na zegarek, była jedenasta pięćdziesiąt cztery. Odwróciłam głowę w przeciwną stronę, aby uniknąć ich spojrzeń. Nie chciałam ściągnąć na siebie żadnych podejrzeń, lepiej, żeby Milena nie zwróciła na mnie uwagi. Od strony Chotkovej nadjeżdżał mazací tramvaj, po raz pierwszy przyjrzałam się prowadzącemu go maszyniście. Zielone światło, Tatra T3 skręcił w prawo odprowadzany przeze mnie wzrokiem. Eryk z dziewczyną stali obok kosza na śmieci, rozmawiali, nie patrzyli w moją stronę. Po chwili nadjechała dwudziestkadwójka. Wsiadli ostatnim wejściem, ja weszłam środkowym. Usiadłam na pierwszym wolnym krzeselku zwróconym w przeciwną stronę do kierunku jazdy, tak aby ich doskonale widzieć. Eryk oparł się o okno, ona trzymała się jego szalika. Na najbliższym przystanku wysiadł, żegnając ją gorącym pocałunkiem, i rzucił mi krótkie spojrzenie. Zerkając za nim przez okno, zauważyłam lekki uśmiech na jego twarzy. Milena usiadła na wolnym miejscu, metr przede mną, niestety również tyłem do kierunku jazdy, więc nie widziałam jej twarzy.

Tak jak mówił, wysiadła na przystanku Národní Divadlo. Na szczęście razem z nami tramvaj opuściła grupa przedszkolaków w odbłaskowych kamizelkach, robiąc przy tym straszne zamieszanie. Byłam pewna, że Milena nie zwróciła na mnie uwagi. Szłam za nią w odległości jakichś dwudziestu metrów. Po chwili skręciła w prawo. Niestety mój tramvaj nie jeździł tędy, więc czułam się tutaj zupełnie obco. Dziewczyna znik-

nęła za drzwiami Galerii Nová Síň. Mogłam tam wejść, ale bałam się, że mnie zapamięta i domyśli się, że ją śledzę. Po przeciwnej stronie ulicy zauważyłam restaurację, stolik w oknie był pusty. Weszłam tam i zamówiłam kawę. Wpatrywałam się w drzwi galerii, nikt nie wychodził ani nie wchodził. Zastanawiałam się, czy to ma jakiś sens. Jeśli przyszła do pracy, będzie siedzieć tu przez kilka najbliższych godzin, więc nic tu po mnie. Zamówiłam jednak jeszcze jedną kawę i dałam sobie czas do czternastej. Odpaliłam laptop i po raz pierwszy od czasu wyjazdu z Polski zabrałam się do pracy.

Wpół do drugiej pod galerię podjechał biały bus. Zatrzymał się tuż przed wejściem, zasłaniając mi widok na drzwi. Nie podobało mi się to. Gdyby Milena nagle opuściła budynek, mogłam łatwo stracić ją z oczu. Jednak kierowca wydał mi się znajomy. Miał na sobie puchową kurtkę, spodnie dresowe i sportowe buty. Zanim założył czapkę, zauważyłam charakterystycznego smoka na potylicy. Mimo że nie widziałam go od ponad pół roku, nie miałam wątpliwości, że to Łysy, eks Rudej. Zamknął za sobą drzwi i zniknął z drugiej strony busa. Poprosiłam o rachunek, ale nie zdążyłam go jeszcze zapłacić, gdy zauważyłam, że mężczyzna niesie w rękach dwumetrowe sztalugi. Otworzył bagażnik i schował je do środka. Po chwili wyszła Milena. Nie miała na sobie płaszcza, tylko fiołkowy golf, w którym często jeździła jesienią. Niosła w rękach stos pudełek, które podała Łysemu. Włożył je do bagażnika i zatrzasnął drzwi. A potem pochylił się w jej kierunku, ona zarzuciła mu ręce na szyję i zastygli w namiętym pocałunku. Po chwili odkleili się od siebie. Milena wróciła do budynku, Łysy odjechał w nieznanym mi kierunku. Dzisiaj Eryk będzie musiał poznać gorzką prawdę. Jeszcze o tym nie wie, choć już stało się to faktem. Ich potajemne spotkania, pocałunek – to wystarczający dowód na to, że go zdradza. Żałowałam tylko, że nie zrobiłam zdjęcia. Będzie musiał uwierzyć mi na słowo.

Patrzyłam przez okno na obdrapany mur sąsiadującej z galerią kamienicy i podziwiałam zdobiące go kolorowe rysunki grafficiarzy. Dlaczego w związkach musi się pojawić zdrada? Kto jest temu winny? Z czego się bierze? Braku miłości, potrzeby nowych doznań, zemsty czy zwykłej niefrasobliwości? Na próżno szukać odpowiedzi.

Wylogowałam się z konta Google AdWords i przeskoczyłam na zakładkę praskiego tramwaju, który właśnie dojechał do stacji metra Českomoravská. Nagle pomyślałam, że rzucę okiem na kamerę w moim mieszkaniu. Byłam ciekawa, czy zobaczę Adama.

W Krakowie też świeciło słońce. Wpadało przez odsłonięte żaluzje w oknach naszego salonu. Nie było go. Stwierdziłam, że pewnie poszedł do pracy, widać moje zniknięcie nie na długo wprowadziło zamęt w jego życiu. Pomyślałam o Pozytywce. Gdyby żyła, mogłabym ją teraz obserwować. Szkoda, że wcześniej nie zainstalowałam kamery w mieszkaniu, wiedziałabym, kto ją zabił. Obraz był nieruchomy, nudny, już miałam zamiar się wylogować, gdy nagle drzwi wejściowe się otworzyły. Przez moment nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam.

Adam

Kilka minut po dziesiątej zadzwoniła moja sekretarka.

– Adam, przypominam, że o czternastej masz spotkanie z Schenkerem. Nie spóźnij się.

– Nie dam rady przyjść. Kompletnie o tym zapomniałem. Zrób coś, wyślij Wiktora albo czekaj, zadzwonię do Szymona.

– Nie radzę – wtrąciła. – Rano pokłócił się z księgowością, lepiej nie wchodzić mu w drogę.

– Przełoż to spotkanie, proszę.

– Za późno, od godziny siedzą w Intercity z Warszawy.

– Cholera – zakląłem.

– Przygotowałam wszystkie papiery, dziś finalizujecie sprawę, a wiesz, że końcową umowę i tak musisz podpisać osobiście. Nie masz wyjścia. Bądź na czas, bardzo proszę, to nie potrwa długo.

– Dobra, będę. – Zrezygnowany rozłączyłem się. Wiedziałem, że nie mam wyjścia. Dobrze, że wszystkie warunki zostały wcześniej wynegocjowane, bo nie miałbym dzisiaj do tego głowy. Wciąż byłem w kompletnej rozsypce. Brak wiadomości od Anity doskwierał mi bardziej niż jakikolwiek ból fizyczny.

Oprócz tego jednego krótkiego mejla nic już nie wysłała. Nie odpisywała, choć zalewałem jej skrzynkę wiadomościami, telefon miała wciąż wyłączony i nie włączyła go nawet na chwilę, bo dostałbym powiadamiającego o tym esemesa. Zastanawiałem się, czy ktoś mógł włamać się na jej konto i czy rzeczywiście nic jej nie jest. Zadzwoniłem do jej matki, zmyśliłem historię z kolejnym zabiegiem ginekologicznym. Powiedziałem, że do czasu otrzymania wyników Anita nie chce z ni-

kim rozmawiać. Uwierzyła, podobny scenariusz przerabialiśmy już kilkakrotnie.

Zapomniałem, że dzisiaj miałem pojawić się w pracy. Wziąłem wolne do piątku, sądziłem, że w weekend wróci, że nie będę potrzebował aż tyle czasu na rozwikłanie tej zagadki. Gdzie ona jest? To pytanie pojawiło się w mojej głowie już milion razy, w zasadzie w ogóle z niej nie zniknęło.

Wyjmuję z szafy garnitur, klękę pod nosem, nie mogę znaleźć czystej koszuli. W szufladzie z bielizną trafiam na dwie nierozpakowane sztuki. Rozrywam folię, zdejmuję szpilki z kołnierzyka i wkładam na siebie jedną z nich. Powinienem ją uprasować, ale bagatelizuję tę myśl. Przed czternastą wychodzę z domu.

Marta

Już myślałam, że nigdy nie wyjdzie. Mimo modnego garnituru, który zawsze leżał na nim jak druga skóra, wygląda żałośnie. Nieogolony, zmarnowany, jakby pił przez cały weekend. Rozpięty płaszcz fruwa wokół niego we wszystkie strony. A więc miałam rację, nie wróciła, w przeciwnym razie byłby w lepszej formie.

Przyjechałam tu dwadzieścia minut temu, licząc na to, że wejdę do środka, ale przed domem zobaczyłam jego samochód. Zastanawiałam się, czy w ogóle ma zamiar dzisiaj pójść do pracy. Postanowiłam jednak chwilę poczekać i opłaciło się, bo właśnie wyszedł. Odczekuję, aż wsiądzie do auta, odpali silnik i włączy się do ruchu. Gdy znika z pola widzenia, wysiadam i wkraczam do budynku. Sprzątaczką przeciera schody mopem. Wolałabym, aby nikt mnie tu nie widział. Bez słowa mijam ją i wspinam się na drugie piętro. Przekręcam klucz w zamku i wchodzę do mieszkania. Mam nadzieję, że niczego nie zapomniał i nagle nie wróci. To byłoby zupełnie w jego stylu. Porzucam tę myśl i zatrząskuję za sobą drzwi. Mieszkanie jest puste, tak jak sądziłam, ta suka nadal się ukrywa. Będąc tu wcześniej kilkakrotnie, zdążyłam się zorientować, gdzie jest jej osobista szafka. Wchodzę do sypialni i otwieram szufladę w stylowym nakastliku. Kilka długopisów, chustki do nosa, ostatni numer „Charakterów”, słuchawki do telefonu. Nie ma kalendarzyka, który ode mnie dostała i zawsze przynosiła na wizyty. Czyżby zabrała go ze sobą? Otwieram szafę i zauważam, że sukienki, które powiesiłam kilka miesięcy temu, wiszą nieruszone. Chyba się nie zorientowała, że nie należą do niej, bo nic z nimi nie zrobiła. Kompletna idiotka. Wchodzę do łazienki, przeszukuję szafki. Zauważam, że nie ma żad-

nych pustych półek, kosmetyki stoją na swoim miejscu, niczego ze sobą nie zabrała. Otwieram półkę pod umywalką i widzę tekturowe pudełko z wizerunkiem Marilyn Monroe. Kucam i przyglądam się zawartości. Mnóstwo plastikowych płytek testów ciążowych. Po co je zbiera? Przeglądam je, wszystkie negatywne, liczę, trzydzieści dwie sztuki, totalna wariatka. Wchodzę do salonu. Na stole stoi niedopita kawa, z sofy zwisa koc. Więc to tutaj teraz śpi. Rozglądam się, otwieram kilka szafek, ale znajduję tylko garnki, talerze i tony przypraw. Spoglądam na lodówkę, magnes z Hamburga wisi w tym samym miejscu co ostatnio. Ścisza mnie w gardle, pochodzę bliżej. Dotykam go, po czym zdejmuję i chowam do kieszeni. Nie może tu dłużej zostać, powinien należeć do mnie, nie do niej. Już mam wyjść, gdy wpada mi do głowy pomysł, aby zrobić Adamowi jakiś chamski żart, napisać coś na lustrze lub zostawić jakiś inny ślad, dowód, że pod jego nieobecność ktoś tu był. Jego zaginiona żona lub ktoś, kto może stać za jej zniknięciem. Powstrzymuję się jednak. Mogłabym niepotrzebnie ściągnąć na siebie podejrzewania, a kto wie, czy nie zechce jednak włączyć w to policji. Otwieram drzwi i wychodzę wprost na sprzątaczkę. Zerka na mnie podejrzliwie, opierając się o kij szczotki.

Ignoruję ją, odwracam się i przekręcam klucz w zamku. Jeśli jest plotkarą zainteresowaną cudzym życiem i zastanawia się, co tu robię, to teraz powinna wyzbyć się wszelkich wątpliwości. Mam klucz od mieszkania. Musiałam go po raz kolejny ukraść i podrobić, gdy zmienił zamki, ale ona o tym nie wie, nikt o tym nie wie. Fakty przemawiają same za siebie, wychodzę i zamykam drzwi, nie jestem włamywaczem, a skoro ona mnie nie zna, to powinna lepiej przyłożyć się do podglądania, bo widać jakiś istotny szczegół umknął jej uwadze.

Anita

Czy powinnam zawiadomić policję? Zadzwoić i powiedzieć, że ktoś właśnie włamał się do mojego mieszkania? Jeśli zadziałałoby szybko, złapaliby ją na gorącym uczynku. Być może powinnam właśnie tak postąpić, ale zamiast tego siedzę nieruchomo i wpatruję się w ekran kamery. Co ona robi w naszym domu? Skąd ma klucz? Znika za drzwiami sypialni, żałuję, że tam też nie zamontowałam kamery. Stwierdziłam, że do identyfikacji sprawcy wystarczy obraz rejestrujący wejście do domu. Za chwilę znów przechodzi przez przedpokój i wchodzi do łazienki. Nie zamyka drzwi. Otwiera szafki, a potem kuca i szpera na półce pod umywalką. Czego szuka? Wyjmuje pudełko z Marilyn i dotyka testów ciążowych. Nie ma prawa naruszać mojej prywatności, przechowywałam je w tajemnicy, dlaczego bezczęści moją świętość? Wchodzi do salonu, przez moment patrzy nawet w obiektyw kamery, wprost na mnie. Mam wrażenie, że ją zauważyła, mimo że zgrabnie ukryłam ją na półce wśród książek i płyt. Jednak nie ma pojęcia, że ktoś ją właśnie obserwuje. Podchodzi do lodówki, dotyka jednego z magnesów, z tej odległości nie widzę którego. Po chwili odpina go i chowa do kieszeni. Złodziejka. Rzuca ostatecznie spojrzenie na mieszkanie i wychodzi.

I wtedy do mnie dociera, że to wszystko jej sprawka, śmierć Pozytywki i podrzucenie szczurów. Wiedziała o mojej fobii, kiedyś jej o tym wspominałam. Ma klucze od mieszkania, musiała ukraść je Adamowi. Od jak dawna wchodzi do naszego domu? Pozytywkę zabiła na początku listopada, więc trwa to już na pewno miesiąc, a bardzo prawdopodobne, że dłużej.

To ona jest wszystkiemu winna, nie mam co do tego wątpliwości, ale dlaczego mi to robi? I to dziwne uczucie, które to-

warzyszyło mi od pewnego czasu, nie moje rzeczy w szafie, kosmetyki w łazience... Teraz staje się jasne, że to ona je podrzucała, a Adam nie miał z tym nic wspólnego. Dlatego tak nerwowo reagował na moje podejrzenia, oskarżanie go o coś, czego nie zrobił. To ona chciała zrobić ze mnie świruskę. Powoli odchodziłam od zmysłów, a ona dzięki temu mogła swobodnie uwodzić mojego męża. Boże, kim ona tak naprawdę jest? Czy to wszystko, co mi zrobiła? Czy mogła mi zaszkodzić jako ginekolog?

I wtedy uświadamiam sobie coś, co jednocześnie mnie przeraża i ekscytuje. Jak mogłam o tym zapomnieć, pierwszy raz, niewiarygodne! Dla potwierdzenia zerkam na datę w rogu ekranu. Siódmy grudnia, poniedziałek, trzynasta pięćdziesiąt cztery. Otwieram torebkę i wydaję z niej kalendarzyk. Pośpiesznie przewracam strony. Zgadza się, to prawda, od dwóch dni spóźnia mi się okres. Powinnam dostać go w sobotę, wiem, że to jeszcze nic nie znaczy, ale dziwne uczucie podniecenia sprawia, że kręci mi się w głowie. Zamykam laptop, reguluję rachunek i wybiegam z restauracji. Kilka przecznic dalej znajduje się Rossmann, wielokrotnie mijałam go, jadąc tramwajem. Muszę kupić test ciążowy, ten, co zawsze, płytkowy, z różowioną buzią dziecka na opakowaniu.

Adam

Ktoś dzwoni do drzwi. Budzę się, przez moment się zastawiam, czy czasem mi się to nie przyśniło, ale wtedy dzwonek rozbrzmiewa ponownie. Zrywam się na równe nogi. To ona, jednak wróciła! Odsuwam zasuwę i widzę tego gościa z góry.

- Przepraszam – odzywa się – czy jest Anita?
- Nie ma – odpowiadam krótko.
- A kiedy będzie?
- A o co chodzi?
- Chciałbym z nią porozmawiać.
- A o czym?

Mruży oczy, wiem, że nie zachowuję się, jak przystało na kulturalnego człowieka.

- Nie mogę się nadal do niej dodzwonić – wyjaśnia.
- Czego pan chce od mojej żony?
- Mogę wejść? – pyta.

Jestem zaskoczony. Zegarek na jego ręce wskazuje dziewiętnastą trzydzieści. Nie mam ochoty wpuszczać go do środka, ale przecucie mi podpowiada, że może wiedzieć coś na temat jej zniknięcia.

- Proszę.

Otwieram drzwi na oścież.

- Przepraszam za bałagan, nie jestem w najlepszej formie – tłumaczę.

Macha ręką i nie zdejmując butów, wchodzi do salonu. Jego białe tenisówki wyglądają nieskazitelnie, jakby przed przyjściem do mnie wyjął je z pudełka. Siada na krześle, opierając się o przerzucony przez oparcie szlafrok mojej żony.

– Anita nie pojawiła się dzisiaj w przychodni.
– Słucham?
– Nie przyszła na wizytę ginekologiczną.
– No proszę, nie sądziłem, że zwierza się panu ze swoich tajemnic.

Próbuję żartować, choć wcale nie jest mi do śmiechu.

– Tak się składa, że tam pracuję.
– Jest pan jej lekarzem? – Nie ukrywam szoku.
– Nie, ale dzisiaj zastępowałem koleżankę i pod koniec dnia tylko kartka pańskiej żony została na kupce pacjentek do przyjęcia. Miała umówioną wizytę na dwunastą czterdzieści, ale się nie pojawiła.

– Nie wiedziałem o tym – mówię, drapiąc się po karku. – Ominęła jakieś ważne badanie?

– Nie, zwykła wizyta ginekologiczna, ale chyba jest pan świadomy, że pańska żona się leczy, przyjmuje leki.

Znalazł się nauczyciel przystosowania do życia w rodzinie.

I co go to w ogóle obchodzi? Wkurza mnie ten gówniarz.

– Tak, oczywiście, że jestem świadomy – odpowiadam, opierając się o blat w kuchni.

– Wie pan, gdzie mogę ją znaleźć? Chciałbym z nią porozmawiać – ciągnie. – Ostatnio, jak ją badałem, nie czuła się najlepiej.

– To jednak jest pan jej lekarzem – zauważam kąśliwie.

– Nie. – Kręci przecząco głową. – Jej lekarzem jest doktor Wirwicka, akurat wtedy też zastępowałem koleżankę.

– Wyjątkowo kłopotliwa koleżanka – stwierdzam. – Jakie robił jej pan badanie?

– USG piersi, wyszło idealnie, jej biust jest w świetnej formie.

Rzucam mu wymowne spojrzenie. Żałuję, że pozwoliłem mu wejść.

– Dziękuję za troskę, ale jeśli moja żona chciałaby z panem porozmawiać, na pewno odebrałaby telefon. Przepraszam, ale za chwilę muszę wyjść z domu – kłamię, kierując się w stronę drzwi.

Wstaje i idzie za mną.

– Rozumiem – odpowiada. – Jednak pozwolę sobie zostawić moją wizytówkę, na wypadek gdyby Anita chciała się ze mną skontaktować.

Z kieszeni spodni wyjmuję skórzany wizytownik, otwiera go i podaje mi prostokątny kartonik.

– Do widzenia – mówi i wychodzi przez ponownie otwarte przeze mnie na oścież drzwi.

Przyglądam się białej karteczce. Czarna czcionka w kroju Broadway BT głosi: „dr n. med. Robert Kechler, ginekolog, Prywatna Klinika Ginekologiczna Ad Vitam”. Dalej adres, numer telefonu i strona WWW.

– Dobra, przyjrzyjmy mu się z bliska – mówię cicho i wpisuję w wyszukiwarkę adres internetowy.

Po chwili czuję posmak żelaza w ustach i zdaję sobie sprawę, że przegryzłem sobie wargę.

Anita

Jestem w ciąży. Wpatruję się w dwie różowe kreski na pasku lakmusowym trzymanej w ręce plastikowej płytki i mam wrażenie, że mogę latać. Kręci mi się w głowie, wydaje mi się to niedorzeczne, niemożliwe, nieprawdziwe. Siadam na brzegu wanny i nie spuszczam wzroku z dwóch pionowych linii, jakbym się bała, że jeśli przestanę na nie patrzeć, znikną.

Nie tak to sobie wyobrażałam. Wielokrotnie fantazjowałam na ten temat, ale nigdy nie sądziłam, że dowiem się o tym w hotelowej łazience, z dala od domu i Adama. Mimo wszystko uczucie jest niepodobne do żadnego innego. Dotykam ręką podbrzusza i wiem, że gdzieś tam w środku dojrzewa moje dziecko. Czuję się cudownie, jestem szczęśliwa jak nigdy wcześniej. Marząc o tej chwili, wyobrażałam sobie, jak przewiążę test kokardką i położę na poduszce Adama albo wrzucę śliczną parę dziecięcych buczków do jego aktówki. Trywialne, przesłodzone, ale w taki właśnie sposób chciałam mu o tym powiedzieć.

Wracam do pokoju i kładę się na łóżku, cały czas ściskając plastikowy patyczek w ręce. Teraz nic już nie będzie takie samo, wszystko się zmieni, tego jestem pewna. Patrząc na dwie różowe kreski, zastanawiam się, kiedy to się stało.

Zerkam w kalendarzyk. Krótka kalkulacja i pada na dwudziesty pierwszy listopada. Pamiętam tamten raz. Wtedy nocowaliśmy u Piotra. To jedna z naszych najpiękniejszych nocy podczas uporczywego i jałowego starania się o dziecko. Było inaczej, z uczuciem i namiętnością, tak jak zawsze chciałam, aby poczęło się nasze maleństwo. Zostało stworzone w atmos-

ferze oddania i bliskości. Dzięki Bogu, że związane z tym wspomnienia są takie piękne.

Czy powinnam powiadomić o tym Adama? Podejrzewam, że ucieszyłby się, przecież też pragnął zostać ojcem. Ale jednak wszystko się zmieniło, już nie chcę z nim być. Nie po tym, co mi zrobił. Przypominam sobie, jak się całowali na środku skrzyżowania, i do oczu napływają mi łzy. To zbyt piękna chwila, by psuć ją w ten sposób. Później się tym zajmę, teraz jesteśmy tylko we dwoje: ja i ono we mnie.

Musiałam zasnąć, bo budzi mnie dzwonek telefonu. Siadam na łóżku i się rozglądam. Znów przez krótką chwilę nie wiem, gdzie jestem. Nie przypominam też sobie, że bym włączyła komórkę. Gdy dźwięk ponownie wypełnia pokój, uświadamiam sobie, że to telefon hotelowy. Nachylam się w stronę szafki nocnej i podnoszę słuchawkę.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odzywa się po angielsku kobieta po drugiej stronie linii – ale jakiś pan czeka na panią w lobby, prosi, aby pani zeszła.

– Pan? – powtarzam zaspana.

– Mówi, że byliście umówieni.

Wtedy przypominam sobie, że o dziewiętnastej miałam się spotkać z Erykiem, w tej kawiarni obok jego kamienicy. Zerkam na zegarek, jest wpół do ósmej.

– Tak, tak, za chwilę zejść.

Wychodząc z windy, zauważam go na jednym ze skórzanych foteli. Zastanawiam się, czy w ogóle do niego podejść. Teraz, kiedy wiem, że noszę w sobie dziecko, ta cała historia z codziennym wyczekiwaniem na Zo przed ekranem komputera, chęć wyznania mu tego i przyjazd do Pragi, a potem śledzenie jego dziewczyny wydają się kompletnie oderwane od rzeczywistości i niemądre. Jednak jest za późno, aby się wycofać. Zauważa mnie i rusza w moim kierunku.

– Nie przyszłaś – odzywa się.

– Przepraszam, zapomniałam – tłumaczę.

– Idziemy? – Wskazuje ręką na drzwi.

– Zostańmy tutaj. – Wchodzę do hotelowej restauracji. Zamawiam sok jabłkowy, on piwo.

– No i?

Wiem, że nie może się doczekać tego, co mu powiem.

– Tak jak mówiłeś, wysiadła pod teatrem i poszła do galerii.

– Pracuje tam – wyjaśnia tonem doszukującym się jej niewinności. – Z kimś rozmawiała, spotkała się?

– Tak. Nie wchodziłam za nią do środka, więc nie wiem, co tam się działo, ale około wpół do drugiej przyjechał jej były.

– Nadal współpracują – tłumaczy ją i gestykułując, nie chcący potrąca piwo. Kufel przez krótką chwilę lewituje, ale Eryk łapie go, nie pozwalając mu się przewrócić.

– Załadowali coś do jego samochodu dostawczego, a potem... – Odwracam wzrok w stronę okna. – Przykro mi, ale wyglądali, jakby nadal coś ich łączyło. Całowali się – uściślam. Wyrzuca z siebie serię niezrozumiałych dla mnie słów. Domyślam się, że przeklina po czesku. Potem pociera palcami czoło i spogląda na mnie.

– Co załadowali do samochodu?

– Nie wiem, nie byłam dość blisko.

– Obrazy?

– Raczej nie. Ona przyniosła jakieś pudełka, wielkości tych od butów. – Rękami pokazuję przybliżone rozmiary. – A on wrzucił do środka sztalugi. Nie widziałam niczego, co przypominałoby obrazy.

Milczy. Oczy ma nieobecne. Właśnie tak je sobie wyobrażałam, wielokrotnie snując domysły na jego temat, gdy wpatry-

wałam się w obraz z kamery, umieszczonej zbyt daleko, by pokazać je dokładnie.

– Potrzebowałabym na kilka dni jakiegoś noclegu, najlepiej niedaleko stąd – mówię. – Chcę jeszcze zostać w Pradze, a mój pokój od jutra jest już dawno zarezerwowany. Czy wiesz, gdzie mogę coś znaleźć?

Patrzy na mnie, ale odnoszę wrażenie, że wciąż przebywa gdzie indziej.

– Na kilka dni, może tydzień – dodaję.

Nie mogę jeszcze wracać do Krakowa, muszę tu zostać i zastanowić się, co zrobić ze swoim życiem.

– Słucham? – Spogląda na mnie. Miałam rację, błędził myślami daleko.

– Muszę zostać w Pradze jeszcze kilka dni, czy mógłbyś mi pomóc coś znaleźć? – powtarzam.

– Pogadam z Mariką. Nad kawiarnią jest kilka pustych pokoi, kiedyś był tam hostel. Myślę, że nie będzie problemu – odpowiada. – Teraz muszę już iść. – Wstaje i kładzie pieniądze obok prawie pełnego kufla. – Dzięki za wszystko. Dam ci znać. Na razie. – Macha ręką i wychodzi.

Marta

Dokładam drewna do kominka. Ogień parzy mi ręce. Wpatruję się w niego, przelękając głośno ślinę. Muszę myśleć tak jak ona. Co zrobiłabym na jej miejscu, gdybym się dowiedziała, że mąż zdradza mnie z moją ginekolożką? Zamykam z trzaskiem drzwiczki i nerwowo krążę po pokoju. Zapewne uciekłabym tak jak ona. Zatrzymała się u jakiejś przyjaciółki, daleko, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Nie znam jej koleżanek, nie dowiem się, gdzie się teraz podziewa. Szaleję z gniewu. To nie tak miało się potoczyć. Jeśli chcę do niej dotrzeć, muszę śledzić Adama. Nie zawiadomił policji, bo nie zjawiała się u mnie, ale może prowadzić śledztwo na własną rękę. On lepiej ją zna, prędzej czy później do niej dotrze, muszę być na bieżąco. Postanawiam wziąć tydzień urlopu, zakasać rękawy i dopaść ją, zanim będzie za późno.

Eryk

Wychodzę z hotelu, przemierzam ulicę i niemal biegnę w stronę kościoła. Pojutrze miałem dostarczyć obrazy zleceńodawcy, teraz jednak zastanawiam się, czy w ogóle jeszcze tam są. Po raz pierwszy miałem przywieźć je osobiście. Od początku trochę mnie to niepokoiło, ale teraz jestem przekonany, że sprawa jest podejrzana i chcą zrobić ze mnie kozła ofiarnego. Milena była z łysym niemową, zanim została moją dziewczyną, i wygląda na to, że ich stosunki nadal nie ograniczają się do zawodowych. Okłamywała mnie, wszystko było grą pozorów. Przyśpieszam kroku, wchodząc w kilkumetrowy tunel podcieni zabytkowej kamienicy, przebiegam tory, widzę z daleka nadjeżdżający tramwaj. Dopadam do drzwi kościoła. Jutro wieczorem miałem zamiar przenieść obrazy do domu, najpierw jeden, potem drugi. Nie mogłem ryzykować, że w dzień sfinalizowania transakcji nie uda mi się tego swobodnie załatwić. Zbyt dużo ludzi mogło kręcić się wtedy w kościele i jeszcze więcej po ulicach. Przeniesienie ich nocą to znacznie lepszy pomysł.

Obrazy przechowuję w krypcie pod nawą główną. Zawinięte w stare prześcieradła, obłożone po bokach woreczkami z silikażelem do pochłaniania wilgoci, leżą na warstwach gazet rozścielonych na heblowanych deskach, dokładnie dwa metry pod podłogą.

Kiedy przychodzę do pustego kościoła, nie zapalam świateł. Nie chcę niepotrzebnie wzbudzać podejrzeń. Używam lampy karbidowej i latarki. Myślałem nawet, aby na czas pracy nad obrazami powiesić tu lampę, której kiedyś na studiach używaliśmy do uprawy marihuany, ale nie mogłem jej nigdzie znaleźć. Byłem przekonany, że została w garażu na przedmie-

ściach, gdzie prowadziliśmy hodowlę na własne potrzeby, ale jej tam nie znalazłem. Zapewne któryś z moich kolegów ją sprzedał, gdy tylko skończyliśmy z tym nielegalnym procederem.

Codziennie ogrzewam pomieszczenie piecykiem elektrycznym, aby o kilka stopni podnieść temperaturę. Staram się stworzyć obrazom idealne warunki. Wiem, że to jedno z moich największych zamówień i zarobię na tym więcej niż kiedykolwiek. Nie zamierzam jednak trwonić tych pieniędzy. Prace w kościele kończymy trzydziestego pierwszego grudnia, przynajmniej tak to wygląda według umowy z generalnym wykonawcą. Nie wiem, czy znowu znajdę coś na stałe, więc ten konkretny zastrzyk gotówki zabezpieczy mnie na jakiś czas.

Otwieram schowek pod podłogą i od razu zauważam, że coś nie gra. Niby wszystko wygląda normalnie, ale wiem, że ktoś tu był. Wskakuję do środka i widzę, że płótna delikatnie dotykają ściany, na pewno bym ich tak nie zostawił. Wilgoć bijąca od murów stanowi dla nich największe zagrożenie, nigdy o tym nie zapominam. Wyciągam obrazy z krypty i powoli zaczynam odkręcać je z płótna. Dzieła, które ukazują się moim oczom, są bardzo podobne do tych wykonanych przeze mnie, ale nie identyczne. Na pierwszy rzut oka różnice są nieuchwytnie, ale nie dla ich twórcy, kogoś, kto spędził nad nimi kilka ostatnich miesięcy. Nie ja namalowałem te obrazy. Zawsze po skończeniu pracy robię płótnom zdjęcie. Wyłącznie do prywatnego archiwum. Z drewnianej szafki ustawionej pod rusztowaniem konserwatorskim wyjmuję laptop. Otwieram plik z fotografiami malowideł i zaczynam powiększać je zoomem. Teraz mam już stuprocentową pewność – to nie są te same obrazy. Dotykam ręką farby, jest stara, tylko laik nie odgadłby, że liczy sobie kilkadziesiąt lat, a nie kilka miesięcy. Unoszę głowę, spoglądam na ołtarz główny, gdzie wiszą kopie Rubensa, i kieruję w ich stronę strugę światła. Wspinam się

po okalającym je metalowym rusztowaniu, latarką oświetlam poszczególne fragmenty obrazów. Święty Tomasz unoszący błagalnie rękę i zafrasowany Święty Augustyn wyszli spod mojej ręki, nie mam co do tego wątpliwości. Ktoś podmienił obrazy, licząc na to, że nieświadomy niczego dostarczę na wskazane miejsce kopie, ale nie moje, tylko te z ołtarza głównego. Ale dlaczego? Czy sądził, że są wierniejsze oryginałom niż moje?

Nagle z dołu dochodzi mnie dźwięk, jakby przewracanego krzesła. Zastygam. Kieruję latarkę na wnętrze kościoła, ale z tej wysokości niczego nie widzę.

– Halo! – krzyczę. – Jest tu ktoś?!

Cisza. Słyszę tylko głośnie uderzenia własnego serca, czuję każdy skurcz i rozkurcz pompowanej krwi.

– Halo! – ponawiam wołanie.

Znów nikt nie odpowiada. Trzymając sznurek od latarki w zębach, schodzę na dół i z wysokości pół metra nad ziemią zeskakuję z rusztowania. Wielki szczur przebiega koło mojej nogi.

– Poszedł! – Tupię głośno.

Święcę w stronę otwartej krypty. Obrazy leżą na swoim miejscu, drewniany stołeczek, na którym położyłem torbę od laptopa, jest przewrócony. Podchodzę bliżej i widzę papier po drożdżówce, którą wczoraj rano kupiłem w piekarni na placu Malostranskim, a potem zapomniałem w ciągu dnia zjeść. Ten sukinsyn ukradł mi jedzenie. Podnoszę stołek, laptop chowam do torby. Sprawdzam leżące przede mną płótna, na szczęście po nich nie przebiegł. Kucam i owijam je z powrotem w prześcieradła.

Ktoś chce mnie zrobić. I Milena ma z tym coś wspólnego. Od początku wszystko zaplanowała. Związała się ze mną, aby mieć mnie pod kontrolą, być na bieżąco z postępami w pracy.

Nie powinienem brać się do tego Rubensa. Już w momencie, w którym mi to zaproponowała, czułem, że coś jest nie tak. Nie znałem zleceniodawcy, wiedziałem tylko, że obrazy mam dostarczyć na początku grudnia pod adres, który podadzą mi w dniu odbioru. Planowałem zabrać je do domu, ale nie zrobię tego. Nie wiem jeszcze, o co tu chodzi, dlaczego ktoś podmienił kopie, ale czuję, że to pułapka. Przed rozpoczęciem pracy dostałem pięćdziesiąt procent zaliczki, w momencie przekazania towaru miałem otrzymać resztę. Nie wpłacałem pieniędzy na konto. To zbyt ryzykowne, jeśli pochodzą z trefnego źródła. Część gotówki przechowuję w mieszkaniu, resztę w garażu na przedmieściach. Liczyłem na więcej, ale trudno, takie ryzyko nie jest warte żadnej stawki. Chowam obrazy w to samo miejsce, w którym leżały od kilku tygodni, sprawdzając, czy prześcieradła nie dotykają ścian. Zamykam kryptę, wyłączam lampę. Białe trykotowe rękawiczki z mikronakropieniem, których używałem, dotykając obrazów, chowam do kieszeni, zamykam kościół i wychodzę. Jeszcze pożałuje, że chciała mnie oszukać, że zabawiła się moim kosztem. Nie ujdzie jej to na sucho.

Adam

Jest już późno, ale muszę dowiedzieć się prawdy. Nie zasnę, dopóki jej nie poznam. Biorę do ręki telefon i wpisuję poszczególne cyfry widniejące na wizytówce Roberta Kechlera.

– Słucham? – Odbiera po pierwszym sygnale.

– Adam Rozwada – przedstawiam się. – Przepraszam, że tak późno, ale jednak chciałbym z panem porozmawiać.

– Chodzi o Anitę? Coś się stało?

– Właściwie chciałbym o coś pana zapytać.

– W porządku – odpowiada. – Za dwie minuty będę u pana.

Nie mam zamiaru mówić mu o romansie, ale jestem pewien, że ta suka wszystko zaplanowała. Okłamała mnie. Podała fałszywe dane, abym nie mógł jej namierzyć. Powinienem się od razu domyślić, gdy nie mogłem znaleźć w sieci niczego na jej temat. Chciała skrzywdzić Anitę, to nie był zwykły przypadek, tylko dokładnie przemyślane działanie. Nie wiem jedynie, czym moja żona tak załaziła jej za skórę.

Po chwili słyszę pukanie do drzwi. Otwieram. Ubrany jest tak jak wcześniej, zniknęły tylko białe tenisówki, zastąpione domowymi kapciami.

– Może przeszlibyśmy na ty – mówi.

Wiem, że jestem od niego starszy i to ja powinienem to zaproponować, ale zgadzam się, tak rzeczywiście będzie łatwiej.

– Adam. – Wyciągam rękę.

– Robert. – Odwzajemnia uścisk.

– Proszę, siadaj. – Wskazuję mu krzesło, które już zdążył poznać. – Chodzi o jej lekarza ginekologa – mówię wprost.

– Doktor Marta Wirwicka – precyzuje.

– Tak, zdążyłem się zorientować.

Odwracam otwarty laptop w jego stronę. Na ekranie widać wspólne zdjęcie wszystkich pracowników przychodni Ad Vitam, łącznie z nim i Martą. Wskazuję na nią.

– Tak, to ona – potwierdza, nie wiedząc, do czego zmierzam.

– Dobrze ją znasz?

– Tak sobie. – Wzrusza ramionami.

– Nie wiesz, czy wyszła niedawno za mąż? – indaguję.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Wykrzywia usta. – Nie, na pewno nie. – Kręci przecząco głową. – Wiedziałbym o tym. Ale o co chodzi?

– Jaka jest?

– Zależy, co masz na myśli. – Znów wzrusza ramionami, widzę błędzący na jego twarzy uśmiech. – Zamierzasz się jej oświadczyć czy co? – Jest wyraźnie rozbawiony.

– Widziałeś dokumentację mojej żony, prawda? Rozmawiałeś kiedyś o niej z Martą? – Nie odpowiadam na jego pytanie.

– Nigdy z nią nie rozmawiałem o Anicie. Prawdopodobnie nawet nie wie, że ją znam. Ja sam nie wiedziałem, że twoja żona leczy się w naszej klinice. Pewnego dnia Marta poprosiła, żebym przejął jej pacjentki, bo musiała nagle wyjść, i wtedy do gabinetu weszła Anita. Byłem tak samo zdziwiony jak ona.

– Czy moja żona jest bezpłodna? – pytam.

– Nie mogę tego stwierdzić. Leczy się. Wiem, że staracie się o dziecko, ale nie jest moją pacjentką i nigdy jej nie badałem. Tamtego dnia przyszła zrobić USG piersi, wyszło w porządku. – Na jego twarzy znów pojawia się uśmiech.

Najchętniej wyrzuciłbym go za drzwi, ale zamiast tego pytam:

- Napijesz się czegoś?
- Nie, dzięki.
- Od kiedy się znacie?
- Z Anitą? - upewnia się.

Miałem na myśli Martę, ale świetnie, ta informacja też mnie interesuje. Kiwam głową.

- Kilka miesięcy temu szukała kota - opowiada. - Biegała po korytarzu przestraszona, powiedziałem jej, że widziałem go na ostatnim piętrze. A potem znów się spotkaliśmy na schodach, zamieniliśmy kilka słów, potem kolejny raz i pewnego dnia niespodziewanie pojawiła się w gabinecie.

- A z Martą?

- Po specjalizacji zacząłem pracować w Ad Vitam i tam ją poznałem. Ale po co ci to wszystko?

- Mógłbyś zerknąć do dokumentacji medycznej mojej żony i sprawdzić, czy wszystko jest tam w porządku? - Po raz kolejny zbywam jego pytanie.

- Co sugerujesz? - Jego szare oczy przeszywają mnie na wskroś.

- Nic. Po prostu proszę, abyś zerknął na te papiery i powiedział, co o tym myślisz.

- O co w tym wszystkim chodzi? - pyta. - Gdzie jest Anita? Albo grasz w otwarte karty, albo wychodzę.

Milczę. Robert wstaje, przez moment się waha, mam wrażenie, że chce zajrzeć do drugiego pokoju. Jednak rezygnuje i zmierza w stronę drzwi wyjściowych.

- No dobra - poddaję się. - Odeszła ode mnie, gdy się dowiedziała, że mam romans z Martą.

- Martą Wirwicką? - Wybucham śmiechem.

Nie wiem, co to ma znaczyć. Czy też ją posuwa, czy może robi to cała męska część personelu ich przychodni?

– Zachowaj to dla siebie – dodaję. – Nie ma się czym chwalić. Po prostu zależy mi, abyś spojrział do dokumentacji mojej żony. Nie muszę znać szczegółów, chcę tylko usłyszeć z twoich ust, że wszystko jest w porządku.

Kładzie rękę na klamce, przez chwilę mierzymy się wzrokiem.

– Zobaczą, co da się zrobić. I przykro mi, że opuściła cię żona.

W jego spojrzeniu widzę cień kpiny, mam ochotę zmiażdżyć mu nos. Wzrokiem nakazuję mu, żeby sobie poszedł. Odczytuje mój sygnał bezbłędnie, naciska klamkę i wychodzi. Co tu kryć, nie przypadliśmy sobie do gustu.

Anita

Rano, zanim zdążyłam zejść na śniadanie, zadzwonił telefon hotelowy. Tym razem to męski głos poinformował mnie, że ktoś czeka na dole, i znów był to Eryk.

– Przepraszam, że tak wcześnie – mówi, wstając z fotela na mój widok – ale wyjątkowo mi się śpieszy. Załatwiłem ci pokój, o który prosiłaś. Zgłoś się do Mariki, jest dziś w kawiarni od rana.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy.

Na chwilę zapada między nami cisza. Czuję zapach kawy i świeżego pieczywa dochodzący zza drzwi restauracji.

– Może zjesz ze mną śniadanie? – proponuję.

– Nie, dziękuję. Muszę już lecieć.

Nie wygląda dobrze. Jest nieogolony i dziwnie smutny. Domyślam się, że zdrada dziewczyny była dla niego ogromnym ciosem. Doskonale go rozumiem.

– Przepraszam, że ci o tym powiedziałam. – Dotykam jego ramienia. Po raz pierwszy nawiązujemy kontakt fizyczny. – Naprawdę mi przykro, że dowiedziałeś się tego ode mnie.

– Nie przepraszaj. – Prostuje się, a ja cofam dłoń. – Nawet nie wiesz, jak jestem ci za to wdzięczny.

– Wdzięczny?

– Tak. – Kiwa głową. – Mogę nawet powiedzieć, że uratowałaś mi tyłek. – Próbuje się uśmiechać. – Wyjeżdżam, nie wiem, kiedy wrócę. Może nigdy się już nie zobaczymy, więc dziękuję za tę niezwykłą znajomość.

– Wyjeżdżasz? Gdzie?

– Daleko.

– A ona?

– Nic o tym nie wie. Jeśli będzie chciała się ze mną spotkać, musi mnie znaleźć, nie ma innego wyjścia. A ja już się postaram, aby nie było to łatwe. – Zapina dwurzędową kurtkę. – A więc do widzenia! – Unosi rękę na pożegnanie. – Jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebowała, proś o wszystko Marikę – rzuca i znika za drzwiami hotelu.

– Dzięki – odpowiadam w pustkę, którą zostawił po sobie. To, co chce zrobić, wydaje mi się niezmiernie romantyczne.

Ucieknę, wierząc, że jego strata dotknie ją do tego stopnia, że zrozumie, iż popełniła błąd, i za wszelką cenę będzie próbowała go odnaleźć. Zupełnie jak w jakiejś komedii romantycznej. Nigdy nie wierzyłam w takie historie, a jednak okazuje się, że są możliwe.

I wtedy do głowy wpada mi pewien pomysł. Zrobię to samo. Dlaczego mam nie skorzystać z artystycznej wyobraźni Eryka? Jeśli Adam chce zostać ojcem, będzie musiał mnie znaleźć. Bo tego, że chcę powiedzieć mu o dziecku, jestem już pewna. Wczoraj wieczorem weszłam na stronę kamery w naszym mieszkaniu. Widziałam, że był u niego Robert. Nie wiem dokładnie, o czym rozmawiali, bo gdy się zalogowałam, nasz sąsiad właśnie szykował się do wyjścia, słyszałam jednak, że wspominali o Marcie. Chyba się wydało, że Robert z nią pracuje, a mój mąż miał z nią romans. Adam prosił, aby Robert przyjrzał się mojej dokumentacji medycznej. Czy podejrzewa, że Marta mogła mi jakoś zaszkodzić? Nie wiem, co o tym myśleć. Ufałam jej i w końcu, jakkolwiek by było, udało się. Dzięki jej pomocy jestem w ciąży.

W nocy długo nie mogłam zasnąć. Wciąż na nowo rozpałmiętywałam przeszłość, a kiedy zaczęłam myśleć o przyszłości, zrozumiałam, że tu nie chodzi o mnie czy o Adama. Cho-

dzi o nasze dziecko. Co mu powiem, gdy kiedyś zapyta o tatua? A zapyta na pewno. Będę je okłamywać, że nie żyje, że zaginął, że nas nie chciał? Nie mam prawa zatajać przed nimi prawdy. Mogę nigdy nie być z Adamem, ale on musi dowiedzieć się o dziecku. A tak naprawdę gdzieś głęboko zapaliła się we mnie nadzieja, że może jednak moglibyśmy być znów razem. Jeśli nawet nie z miłości, to dla dobra dziecka.

Nie mogę powiedzieć, że już nic do Adama nie czuję. Oprócz wciąż dość silnej nienawiści jest we mnie coś jeszcze. Nie wiem, może to ze strachu przed byciem samotną matką czy w ogóle porzuconą kobietą, ale pojawiło się we mnie coś nowego, uczucie, które jeszcze wczoraj o tej porze nie istniało.

Eryk

Poranne słońce wznosi się nad horyzont, oślepiając blaskiem rakiety wystrzelonej w kosmos. Odkąd pamiętam, denerwował mnie ten ciągły ruch Ziemi dookoła Słońca. Ta ucieczka światła przed moim wzrokiem. W pewnym sensie jest to dla mnie najczystsze okrucieństwo. Znęcanie się nad wena, niweczenie malarskich pragnień. Natchnienie przychodzi niespodziewanie, natychmiast potrzebuję odpowiedniego światła, sprzymierzeńca moich nagłych wizji, a słońce każe mi czekać przez kolejnych kilka godzin. Teraz też dumnie króluje na niebie, przypominając, kto tu rządzi.

Jadę na zachód krajową szóstką, w kierunku na Karlowe Wary. Co chwilę popijam łyk wody i trzymam się lewego pasa. Żałuję, że nie przystałem na propozycję wspólnego śniadania z tą Polką, kiszki skręcają mi się z głodu, wydając nieprzyjemne odgłosy. Jednak bardzo zależało mi na czasie. Chciałem jak najszybciej opuścić Pragę i z dystansu spojrzeć na to całe zamieszanie.

Poprosiłem Marikę, żeby na kilka dni udostępniła pokój Anicie, jakkolwiek by patrzeć, mam wobec niej dług. Gdyby nie ona i jej niezwykła historia, nigdy nie dowiedziałbym się, że jestem wkęcany. Przez myśl by mi nie przeszło, aby węszyć spisek. Załadowałbym obrazy do bagażnika, a potem zawiózbym je pod wskazany adres, nawet nie podejrzewając, że nie są to kopie, które wykonałem. Nie wiem, jak mogłoby się to dla mnie skończyć, ale cieszę się, że dzięki niej nie będę się już musiał o tym przekonywać.

Wczoraj wieczorem zadzwoniłem do Mileny. Powiedziałem, że chciałbym jeszcze nanieść ostatnie poprawki i wolałbym,

abyśmy przez najbliższe dwa dni się nie umawiali. Zgodziła się bez zastrzeżeń, zaproponowała spotkanie już po zamknięciu sprawy. Przypomniała, że adres dostawy prześlą mi e-mesem. Rozłączyłem się i wyrzuciłem telefon do Wełtawy, żeby nie zostać zlokalizowanym przez tych, których towarzystwa wolałbym uniknąć. Nie domyśla się, że o wszystkim wiem, nadal sądzi, że uda się jej moimi rękami załatwić sprawę. Błąd fałszywego założenia.

Nie pojawię się już w kościele, zniknę z pola widzenia. Do końca umowy pozostały dwa tygodnie, w tym przerwa na święta. Wiele nie stracą, a rekompensatą będzie moja ostatnia wypłata. Nie mogę zostać w Pradze, to zbyt niebezpieczne.

Po wyjściu z hotelu Royal wsiadłem w moją wysłużoną skodę i pojechałem po pieniądze ukryte w garażu. Domyślałem się, że gdy nie będą mogli się ze mną skontaktować, Milena przyjdzie do mojego mieszkania z Łysym, wyważą drzwi i będą szukać czegoś, co ich do mnie doprowadzi. Niczego nie zabierałem, wszystko zostawiłem na swoim miejscu. Po prostu zniknąłem, ulotniłem się niczym kamfora. Być może sprzątnął mnie ktoś, kto jest ich wrogiem i nie chciał, aby doszło do sfinalizowania transakcji? Bez względu na to, jak to zinterpretują, mnie po prostu nie będzie.

Mam zamiar ukryć się w starym budynku dworca kolejowego małej miejscowości Plasy w kraju pilzneńskim. Kiedyś prowadziłem tam renowację. Obiekt kupił pewien bogaty Niemiec z Norymbergi, pasjonat pozostałości dawnych eremów w Europie. Nabył zabytkowy budynek dworca ze względu na położony niedaleko dawny klasztor cystersów. Początkowo myślał o stworzeniu tam czegoś w rodzaju hotelu, ale ostatecznie zrezygnował, wykorzystując budynek tylko na własne potrzeby, i to głównie w miesiącach letnich. Obiekt nie jest duży, ale bardzo ładny, przykład pruskiej sztuki budowniczey.

Ekipa remontowa dokonała wszystkich przeróbek według wizji właściciela, ja miałem się zająć renowacją wewnętrznych malowideł, które przedstawiały klasztor.

W czasie pracy nad freskami spałem w niewielkiej przybudówce, służącej kiedyś za budkę zawiadowcy stacji. Gdy Braumner ogrodził teren, nie wyburzył domku dróżnika, mówiąc, że zaaranżuje go dla ogrodnika, który pracował u niego latem. Budynek zamykany był na kłódkę, do której klucz chowałem pod eternitowy parapet. Mam nadzieję, że od mojej ostatniej wizyty nic się w tej kwestii nie zmieniło i uda mi się przetrwać tam do czasu, aż nie wymyślę lepszego rozwiązania. Po godzinie jazdy zatrzymuję się przed miejscową szkołą.

Znajduje się tam niewielki parking, na którym większość turystów przyjeżdżających do klasztoru zostawia swoje samochody. Budynek dworca stoi w odległości trzystu metrów. Podchodzę pod płot, rozglądam się, nigdzie żywej duszy. W sezonie zimowym to małe miasteczko jest zapomniane przez resztę świata. Przeskakuję na drugą stronę, idę wzdłuż budynku i pełen zarówno obaw, jak i nadziei podchodzę do budki dróżnika. Już z daleka widzę coś, co mnie niepokoi: eternitowy parapet zniknął, a zastąpił go aluminiowy. Odchyliłam metal, nigdzie śladu klucza. Klnę, odginając go jeszcze mocniej, jakbym wierzył, że ten zasrany klucz jednak tam leży. Niestety, w ciągu ostatnich trzech lat ktoś go stąd zabrał. Kopię w ścianę i bezmyślnie szarpię drzwi. Wtedy zauważam, że zniknęła też kłódka. Budka zamknięta jest tylko na skobel. Przez chwilę mocuję się z zardzewiałym gwintem, który w końcu wypada na ziemię, pozwalając mi wejść do środka.

Pomieszczenie jest zakurzone i od góry do dołu pokryte pajęczynami. Zdejmuję je z twarzy i macham rękami przed sobą, aby utorować sobie drogę. W rogu leżą narzędzia ogrodnicze, grabie, pazurki, kosiarka, konewki, gumowe rękawice. Po

przeciwnej stronie stoi stara wersalka, ta sama, na której spałem trzy lata temu. Włączam światło, nadal jest prąd. Cieszy mnie to, będę mógł podłączyć piecyk elektryczny, który ze sobą przywiozłem. Mimo że temperatura tej zimy nie spada poniżej zera, w nocy może być tu chłodno. Otwieram okna, aby wpuścić świeże powietrze i dzienne światło.

Budka znajduje się z tyłu dworca, jest więc zupełnie niewidoczna dla przechodniów z ulicy. Otrzepuję ręce z kurzu i udaję się w drogę powrotną do auta. Zabieram z bagażnika czajnik elektryczny i torbę z zakupami, które zrobiłem na trasie. Nie mam zamiaru pokazywać się tutejszej społeczności. W takich małych miasteczkach każda nowa twarz wzbudza podejrzenie, a ja potrzebuję przede wszystkim anonimowości i spokoju, by się zastanowić, co dalej.

Marta

– Dzień dobry, pani Małgosiu. – Staram się, aby mój głos brzmiał smutno.

– Dzień dobry, pani doktor.

– Niestety nie będzie mnie przez najbliższy tydzień, może nawet dwa. Problemy rodzinne, muszę wyjechać z Krakowa – tłumaczę. – Proszę wizyty, które nie są pilne, poprzekładać na inne terminy, a te, które wymagają natychmiastowej konsultacji, rozdzielić po innych lekarzach. Będę pani wdzięczna.

– Czy to coś poważnego?

– Tak, bardzo – odpowiadam zdawkowo. – Ale nie chcę o tym mówić. Przepraszam.

– Oczywiście, pani doktor.

Żegnaj się i rozłączam. Do walizki chowam koszulę nocną, kilka kompletów bielizny, spodnie, trzy bluzki i dwa swetry. Resztę dokupię, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kuferek z kosmetykami stoi spakowany na pralce w łazience. Chwytam go za rączkę, omiatam wzrokiem mieszkanie, ciągnąc za sobą walizkę, otwieram drzwi i wychodzę z domu.

Adam

Budzi mnie dzwonek telefonu, radosne tadam, tadam, tadam. Po raz kolejny obiecuję sobie, że go zmienię. Siadam, kark obolały od spania na przykrótkiej sofie daje się we znaki. Tadam, tadam, tadam. Dźwięk dochodzi spod poduszki i tam też znajduję komórkę.

– Słucham?

– Obudziłem cię?

Odsuwam telefon od ucha i patrzę na wyświetlacz. Robert K., tak go wczoraj wpisałem.

– Masz coś? – Momentalnie ozywam.

– Tak – odpowiada.

Wstaję, zegar na piekarniku wskazuje dziewiątą dziesięć.

Nie mogę uwierzyć, że tak długo spałem.

– No więc?

– Nie mogę teraz za bardzo rozmawiać – tłumaczy. – Za chwilę będę miał następną pacjentkę, ale...

– Widziałeś jej dokumentację czy nie? – przerywam mu.

– Tak, daj mi skończyć. Mam ją teraz przed sobą. Wszystko wygląda w porządku, żadnych nieprawidłowości. Co prawda nie wiem, co miałbym znaleźć, ale nie widzę nic, co budziłoby jakiś niepokój.

– Co tam jest napisane?

– Mam ci czytać wszystkie nazwy leków, które przyjmowała?

Wkurza mnie to jego nieustanne wymądrzanie się.

– Mówiąc językiem laika – ciągnie – twoja żona od dwóch lat bez skutku próbuje zajść w ciążę.

Jakbym o tym nie wiedział.

– Wykonywała wiele badań: monitoring cyklu, zastrzyki na rozbicie pęcherzyków i, o proszę, nie obyło się bez badania spermy. Nie chwaliłeś się, że tak czynnie brałeś w tym udział. – Wyraźnie drwi.

– Popracuj nad dowcipem – gaszę go. – Znasz ojca, który nie brałby udziału w poczęciu swojego dziecka?

– Dobra, dobra, wyluzuj. – Znów się śmieje. – Marta wzięła dzisiaj wolne, na tydzień, może nawet dwa. Podobno ma problemy rodzinne, pomyślałem, że może cię to zainteresować. Chyba że już o tym wiesz od niej samej?

Gdyby nie był tak daleko, zapewne nie powstrzymałbym się od grzmotnięcia go w szczękę.

– Nie, nie wiem – odpowiadam sucho. – Jeszcze raz dzięki. – Rozłączam się i ciskam telefonem w poduszkę.

Problemy rodzinne. Jakoś do tej pory nie miała nawet rodziny. Wiem, że dalej coś knuje i chodzi jej o mnie albo o Anitę. Muszę to sprawdzić.

Gdy pół godziny później parkuję przed jej domem, jest zamknięty na cztery spusty. Rzeczywiście gdzieś wyjechała, chyba że tylko udaje i tak naprawdę ukrywa się w środku. Rolety antywłamaniowe zaciągnęła nawet na piętrze, brama garażowa i furka także są zamknięte na klucz. Na szczęście ogrodzenie nie jest wysokie. Unoszę się na rękach i za chwilę jestem po drugiej stronie. Podchodzę do drzwi i szarpię za klamkę. Brak odzewu. Uporczywie naciskam dzwonek, ale odpowiada mi tylko cisza. Kiedy ponownie łomoczę do drzwi, włącza się alarm, pieje na całą okolicę. Obchodzę dom dookoła, siłuję się z drzwiami tarasowymi, bez skutku. Wiem, że za chwilę przyjedzie tu grupa interwencyjna, więc przeskakuję przez płot, wsiadam do samochodu i odjeżdżam.

W momencie gdy skręcam na główną drogę, mijam się z wozem firmy ochroniarskiej. Miałem nosa, by się stamtąd zmyć. W kieszeni spodni wibruje mi telefon. Krótki jednosekundowy ruch. Wiem, że dostałem mejla. Włączam kierunkowskaz i zjeżdżam na pobocze.

Anita

Po śniadaniu robię ponownie test ciążowy i wynik znów jest pozytywny. Nie potrafię powstrzymać łez. Przez krótką chwilę mam ochotę zadzwonić do mamy i jej o tym powiedzieć. Tłumię to jednak w sobie. Wiem, że gdy włączę telefon, pojawi się mnóstwo nieodebranych połączeń i wiadomości. Nie mam teraz ochoty się tym zajmować. Otwieram laptop i loguję się na kamerę w mieszkaniu. Adama nie ma, pewnie jest w pracy. A może jednak nie, może mnie szuka? Czy rozmawiał o moim zniknięciu z rodzicami, czy martwią się o mnie? Po raz kolejny walczę z pokusą, aby zadzwonić do mamy, ale stwierdzam, że jeszcze nie teraz. Wylogowuję się ze strony kamery i otwieram skrzynkę mejlową. Wysyłam Adamowi krótką wiadomość:

„Znajdź mnie”. Odpowiedź przychodzi od razu: „O niczym innym nie myślę”. A po chwili kolejny krótki mejl: „Gdzie jesteś? Wszystko ci wytłumaczę, powiedz, dokąd mam po Ciebie przyjechać”.

Uśmiecham się. Zaczyna mi się podobać ta zabawa. Zawsze lubiłam zagadki i odkąd pamiętam, starałam się urozmaicić nimi nasz związek. Półśłówka, enigmatyczne odpowiedzi, jednak mój mąż zupełnie się w tym nie odnajdywał. Kilka razy zostawiłam mu liściki ze wskazówkami dotyczącymi miejsca randki, ale zawsze dzwonił i prosił, żebym mu powiedziała, gdzie konkretnie ma przyjechać, bo nic z tego, co napisałam, nie rozumie. Nie chciało mu się ruszyć głową, pobudzić wyobraźni, wprawić w szybszy ruch małych trybików kręcących się w jego głowie. Teraz nie będzie miał wyjścia. Jeśli chce mnie znaleźć, musi zaakceptować moje warunki. „Na tej samej geograficznej szerokości, gdzieś na zachód, tam, gdzie

nikt z nas wcześniej nie gościł”. Naciskam „wyślij” i wyłączam komputer. Do dwunastej muszę się wymeldować. Chowam laptop do torby i postanawiam, że gdy już ulokuję się w pokoju nad kawiarnią, udam się na małe zakupy do Galerii Quadrio nieopodal Teatru Narodowego. Wielokrotnie mijałam ją, jadąc tramwajem, zawsze miałam ochotę tam zajrzeć i dziś to zrobię. W recepcji reguluję rachunek, żegnam się i wychodzę. Dochodzi jedenasta, po ulicach nieśpiesznie spacerują turyści. Stukot kół mijających się tramwajów zatrzymuje mnie na chwilę. Oglądam się za siebie. Dwudziestkadwójka jedzie w stronę Malostranskiej, dwunastka w kierunku kościoła Świętego Tomasza. Moją uwagę przykuwa obrazek niczym z pocztówki – pyszniący się w oddali zamek królewski. Z tej perspektywy widok na Hradczany jest powalający. Uwielbiałam go podziwiać, ilekroć przejeżdżałam tędy tramwajem. Jednak nigdy nie miałam na to wystarczająco dużo czasu, bo trwało to nie więcej niż kilka sekund. Teraz mogę przystanąć i przyjrzeć się zamkowi dokładnie. W końcu to ode mnie zależy, na co patrzę i jak długo.

Ta moc decydowania, wyrwanie się z objęć ograniczającej widzenie kamery na tyłach tramwaju jest błogosławieństwem. Po chwili skręcam w prawo, mijam drzwi do kamienicy Eryka i idę prosto do kawiarni. Jest dość gwarно, pora drugiego śniadania. Kelnerki śmigają między stolikami z tacami parujących filiżanek. Siadam przy barze. Marika zauważa mnie i skinieniem głowy daje znać, że za chwilę podejdzie.

Czuję się jakoś niezwykle, nierzeczywiście. Jeszcze tydzień temu obserwowałam to miasto oddalona o pięćset kilometrów, a teraz spiskuję z jego mieszkańcami. Marika zbliża się do mnie i stawia pustą tacę na szklanej ladzie. Wyciera ręce w fartuszek z logo kawiarni, którym jest przepasana jak inne kelnerki.

– Chodź za mną – mówi, popychając boczne drzwi.

Wchodzimy na zniszczoną klatkę schodową. Posłusznie kroczę za nią do góry. Korytarz przypomina wnętrza krakowskich kamienic, tych przed remontem, jest w podobnie opłakanym stanie. Woń kociego moczu przywodzi na myśl Pozytywkę, niemal widzę jej rudy, śmiejący się pyszczek. Nigdy nie wybaczę tej suce, że ją zabiła.

– To tutaj – oznajmia Marika i otwiera drzwi.

W porównaniu z miejscem, z którego właśnie przyszłam, pokój wygląda żałośnie. Obdrapane ściany, po obu stronach pojedyncze łóżka, między którymi dwie osoby na pewno nie dałyby rady się minąć. W rogu stara, drewniana szafa, która bez wątpienia mogłaby opowiedzieć niejedną historię. Śmierdzi stęchlizną. Przekraczam próg i kładę torbę z laptopem na jednym z łóżek.

– Obok jest jeszcze drugi pokój, trochę większy – odzywa się Marika. – Ale nie ma takiej panoramy.

Wtedy po raz pierwszy zerkam przez okno i dziwię się, że nie zauważyłam tego od razu. Widok jest obłądny. Na Wełtawę, most i drugą stronę rzeki. Naprawdę nie mam na co narzekać.

– A jak z należnością? – pytam.

– Myślałam, że umówiłaś się z Erykiem.

– Nie, mówił, że wszystko mam załatwić z tobą.

Marszczy czoło.

– Właściwie nikt nie będzie wiedział, że tu jesteś. Pokoje właśnie zmieniły właściciela i nowy na wiosnę będzie tu robił remont – wyjaśnia. – Czasem śpi tu ktoś z obsługi albo z polecenia, tak jak ty. Przyjaciele Eryka są moimi przyjaciółmi. – Uśmiecha się. – Pogadamy o tym, gdy będziesz wyjeżdżać, ale możesz tu zostać, ile chcesz.

Już ma opuścić pokój, gdy nagle się odwraca.

– Dam ci też karnet na kawę, dziesiąta gratis. – Puszczą do mnie oko i wychodzi. Słyszę lekkie uderzenia jej balerinek o drewniane stopnie schodów.

Marta

Parkuję na Starowiślnej. Nigdzie nie ma jego samochodu, domyślam się, że pojechał do pracy. Wchodzę do budynku. Nie chcę ponownie przeszukiwać mieszkania, wiem, że nie znajdę niczego, co potwierdziłoby lub wykluczyło, że jest w ciąży. Mam zamiar przekupić tę wścibską sprzątaczkę, aby dla mnie pracowała. Zaproponować atrakcyjną cenę za informowanie mnie, kiedy Adam wychodzi z domu, kto go odwiedza i tak dalej. Nigdzie jej jednak nie ma. Klatka wygląda na posprzątaną, a więc musiałam się spóźnić. Wracam do samochodu, zastanawiając się, co robić, gdy nagle widzę Adama. Parkuje po drugiej stronie ulicy, wysiada, przebiega po pasach i znika za bramą. Miałam szczęście, że nie weszłam tam dłużej, w przeciwnym razie moglibyśmy na siebie wpaść.

Bębnię palcami w kierownicę. Decyzja zapadła, nie mogę spuścić go z oka. Prędzej czy później żona odezwie się do niego, a on po nią pojedzie, albo sama wróci i wtedy wkroczę do akcji. Nie mam jednak zamiaru koczować do tego czasu na ulicy. Bóg jeden wie ile to potrwa. Żałuję, że nie ma tu żadnego dozorczy, zapłaciliby mu się odpowiednią sumkę za informacje. No trudno, będę musiała to załatwić sama, ale przecież nie takie rzeczy się robiło.

Wysiadam z samochodu. Jakiś zapijaczony żul prosi mnie o drobne. Jego pozbawione palców rękawiczki są całe w smarze. Daję mu dwa złote w obawie, że inaczej w akcie zemsty porysuje mi auto. Przez chwilę myślę, czy nie spróbować go wynająć do pilnowania Adama. Porzucam jednak ten szalony pomysł, nim zdąży się zakotwiczyć w mojej głowie. Nie należy ufać menelom, zapewne przepiłby kasę, nie zauważył, jak Adam wychodzi, a wtedy on zniknąłby bez śladu zupełnie jak

ona. O nie, na to nie mogę sobie pozwolić. Nikt nie przypilnuje go lepiej ode mnie.

Okna ich mieszkania wychodzą na ulicę. Na dole znajduje się sklep spożywczy i kilka zakładów usługowych: fryzjer, szwaczka, biuro podróży. Odwracam głowę. Po przeciwnej stronie ulicy jest sklep z materiałami metalowymi, poczta, a w piwnicy komis odzieżowy. Kilka metrów dalej mieści się hostel. Bingo, tego szukałam. Rozglądam się w prawo, w lewo i przebiegam przez jezdnię.

Wdrapuję się na trzecie piętro. Na drzwiach wejściowych wisi wrzos w metalowym wiaderku, sztuczny i zakurzony. Wnętrze hostelu także pozostawia wiele do życzenia. Całość jest mniejsza niż powierzchnia mojego salonu. Po kilku dniach tutaj z powodzeniem można nabawić się klaustrofobii. Proszę jednak o pokazanie wszystkich pokoi z oknami na ulicę. Młoda dziewczyna z recepcji czyni to bez cienia entuzjazmu. Pokoje są kolorowe: żółty, zielony, różowy, do barwy ścian dobrano pasujące wyposażenie. Aby nie było wątpliwości, kolory są wypisane również na tabliczkach przytwierdzonych do drzwi. Domyślałam się, że to nazwy pokoi. Już widzę codzienną wymianę zdań w tym ponurym miejscu: „Dasz mi klucze do Żółtego?”, „Nie wiesz, kiedy zwolni się Zielony?”.

Żadne z pomieszczeń nie spełnia moich oczekiwań. Z okien, mimo że wychodzą na ulicę, nie widać wejścia do kamienicy Adama. Potrzebuję pokoju dokładnie vis-à-vis jego mieszkania.

– Czy coś pani wybrała? – pyta dziewczyna, zamykając ostatnie drzwi w korytarzu. Przyczepiona do nich fioletowa tabliczka kołysze się na miedzianym łańcuszku. – Czy któryś pokój pokazać ponownie?

– Hmm... – Wzdycham. – Liczyłam na trochę lepszy standard. – Nie ukrywam rozczarowania.

– Nie mamy innych pokoi. – Recepcjonistka się krzywi.

Nie rozumiem, dlaczego czuje się urażona, przecież miejsce, w którym pracuje, nie określa jej samej.

– Radziłabym pani w takim razie poszukać czegoś bliżej Rynku, nawet tuż za rogiem znajduje się hotel pięciogwiazdkowy – dodaje, wskazując ręką w prawą stronę.

– Ale właśnie zależy mi na tej ulicy. Mieszkałam tu kiedyś – kłamię. – Wie pani, taka podróż sentymentalna. – Uśmiecham się fałszywie.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Bardzo mi przykro, nie umiem pomóc. – Rusza wąskim korytarzem w drogę powrotną do skromnej recepcji.

Chłopak grzebiący coś przy gniazdku przysłuchuje się naszej rozmowie.

– Jeśliby pani chciała... – odzywa się. Obie obdarzamy go jednocześnie spojrzeniem. – Przepraszam, że się wtrącam – tłumaczy się speszony – ale właśnie skończyliśmy wymianę sieci elektrycznej w sąsiedniej kamienicy. Są tam bardzo ładne apartamenty na wynajem dla turystów. Może tam coś pani znajdzie.

– Gdzie? – Moje chwilowe zrezygnowanie przeradza się w nadzieję.

– Tu obok. – Wskazuje na lewo. – Wiem, że na dole, w komisie odzieżowym i w sklepie metalowym leżą ich wizytówki. Nikogo nie ma na stałe. Właściciel przyjeżdża, wręcza klucze, spisuje liczniki i bierze zaliczkę. Z tego, co zdążyłem się zorientować, tak to właśnie funkcjonuje. – Na jego młodzieńczej twarzy widzę ślady po trądziku.

– Dziękuję panu bardzo. – Posyłam mu serdeczny uśmiech.

Odwracam się i schodzę z trudem po wąskich, stromych schodach.

Adam

„Na tej samej geograficznej szerokości, gdzieś na zachód, tam, gdzie nikt z nas wcześniej nie gościł”. Znam to zdanie na pamięć i zupełnie nie wiem, jak je zinterpretować. Jedno jest pewne, napisała je Anita. To cała ona. Kiedyś, na początku naszej znajomości, często prowadziła tego typu niezrozumiałe dla mnie gry. Podchody, zagadki, lapidarne wyjaśnienia, zawsze rymowane. Szybko jednak zrozumiała, że mnie to nudzi. Nigdy nie podjąłem rzuconej przez nią rękawicy. Wręcz przeciwnie, wielokrotnie marzyłem o dokonaniu lobotomii na jej mózgu, zatrzymaniu raz na zawsze gonitwy niezliczonych impulsów w neuronowym labiryncie. Teraz jednak nie mam wyjścia. Wiem, że poddam się tej grze i choćby nie wiem jak bardzo była zawiła i męcząca, dam radę.

Wbiegam na górę po dwa schodki. Cieszę się, że zaczęła się odzywać. Wszystko jest lepsze niż milczenie. Wiem, że to ona, wiem, że żyje, i wiem, że chce mi dać szansę. W przeciwnym razie nie pisałaby. Otwieram laptop i wstukuję w wyszukiwarkę zapytanie o szerokość geograficzną Krakowa. Średnia wartość to pięćdziesiąt stopni i trzy minuty szerokości geograficznej północnej, plus minus dwie minuty, w zależności od dzielnicy.

Mam nadzieję, że nie poszła na całość i nie chodzi jej o szerokość południową, bo wtedy musiałbym jej szukać w okolicy Ziemi Ognistej lub Falklandów. Przyjmuję tę bardziej logiczną i zarazem optymistyczną wersję i ograniczam się do półkuli północnej. Nie za bardzo wiem, gdzie miałbym postawić granicę między wschodem a zachodem. Wzdłuż południka zero? Zakładam, że nie opuściła kontynentu. Darowuję sobie zbliżone szerokością do Krakowa kanadyjskie Winnipeg i sku-

piam się na miastach europejskich, a jeszcze bardziej tych na terenie Polski. Wypisuję na kartce wszystkie miejscowości w kraju, które znajdują się na szerokości od pięćdziesięciu stopni i jednej minuty do pięćdziesięciu stopni i pięciu minut. Wykreślam te, które leżą na wschód od Krakowa, i te, które odwiedziliśmy – razem bądź osobno. Zostaje Racibórz. Nigdy tam nie byłem i nic mi nie wiadomo, aby ona tam zawitała. Przechodzę do miast europejskich. Praga i Frankfurt nad Menem również znajdują się na szerokości Krakowa i są miastami, w których nigdy nie byliśmy.

„Znajdę Cię, obiecuję. Racibórz, Frankfurt nad Menem lub Praga, dobrze typuję? Czekam na dalsze wskazówki i ślady, tym razem nie zabraknie mi odwagi”. Co za kretyński tekst. Ale mam nadzieję, że moja odpowiedź choć trochę ją ucieszy. Przez dobry kwadrans głowiłem się nad rymem, odpowiedź wysłałem dopiero wtedy, gdy poczułem się w miarę zadowolony z wyniku mojej pracy twórczej. Nigdy nie byłem w tym dobry, w szkole nie cierpiałem polskiego. Jeśli ta cała jej gra w podchody potrwa dłużej niż kilka najbliższych godzin, wypali mnie to doszczętnie. Wpatruję się w monitor, ale odpowiedź nie nadchodzi. Mija godzina, potem kolejna. Czyżbym się pomylił i źle rozwiązał rebus? Ponownie sprawdzam mapę Europy, powinno się zgadzać, więc dlaczego nie odpowiada?

Anita

Być może widok był cudowny, ale cała reszta oczekiwała na dotknięcie czarodziejskiej różdżki. Pościel nieświeża, tak samo ręczniki, jeśli nie pokryte plamami, to w dziurach. Sprawdziłam czajnik elektryczny stojący na korkowej macie obok wejścia do mikroskopijnej łazienki. Na szczęście działał, nie było jednak ani herbaty, ani kubka. Wyruszyłam na zakupy wcześniej, niż miałam w planach.

Na przystanek wtoczył się mazací tramwaj. Po raz kolejny nie mogłam uwierzyć, że widzę go z tej perspektywy. Wsiadłam w nadjeżdżającą za nim dwudziestkędwójkę. Chociaż wiedziałam, że Eryk wyjechał, bacznie przyjrzałam się stojącym na przystanku podróżnym. Nie było ani jego, ani Rudej.

W Galerii Quadrio kupiłam komplet pościeli, ręcznik kąpielowy, sweter i dwie bluzki. Obiad zjadłam w niedalekim KFC, które do tej pory znałam jedynie z okna tramwaju. Przez moment zastanawiałam się nawet, czy nie pójść do jakiejś eleganckiej restauracji, uczcić dobrą nowinę, ale nie pasowałabym tam z trzema wielkimi, wypchanymi po brzegi papierowymi torbami na zakupy. Na świętowanie jeszcze przyjdzie pora, powiedziałam sobie w duchu. W małym sklepiku z pamiątkami kupiłam kubek ze szkicem mostu Karola, a w sklepie z towarami importowanymi – herbatę na wagę. Do hostelu wróciłam taksówką, bojąc się, że dźwiganie może zaszkodzić dziecku.

Zmieniłam pościel i zaparzyłam herbatę. Pokój wypełniła świeża woń kardamonu i mandarynek. Wzięłam kubek i usiadłam na szerokim parapecie z cudownym widokiem na rzekę. Oparłam głowę o ścianę, wpatrując się w pulsujące światła

nocnego miasta. Stare okna przepuszczały przez liczne szczeliny mroźny wieczorny chłód. Flagi przed wejściem do hotelu po drugiej stronie mostu trzepotały na wietrze. Odstawiłam pusty kubek do zlewu i rozejrzałam się za kaloryferem. Nigdzie go nie było. Stare budownictwo i wszechobecne ogrzewanie elektryczne, zupełnie jak w Krakowie.

Na dnie drewnianej szafy znalazłam dmuchawę. Wyglądem przypominała te produkowane w latach siedemdziesiątych w Kętrzynie, o wdzięcznej nazwie Farel. Nagle zastygłam z piecykiem w rękach. Z przerażeniem zauważyłam, że powłoka przewodu jest przegryziona. Czy to może być dzieło myszy lub szczura? W tak odrażającym miejscu gryzonie czułyby się na pewno jak w domu. To nic, że koty zaznaczyły klatkę schodową swoją obecnością. Te sprytne, małe paskudztwa potrafią zaszyć się wszędzie. Nie zostanę tu na noc. Jeśli tylko usłyszę jakikolwiek szmer, ucieknę. Odsunęłam łóżko, nigdzie śladów mysich odchodów, tak samo za drugim i w szafie. Pusto. Być może drugie piętro to dla nich za wysoko, od wielu miesięcy nikogo tu nie było, nie miałyby co jeść. Kucnęłam nad farelką i po raz kolejny przyjrzałam się powłoce przewodu. Może to nie ślady zębów, tylko zwykłe pęknięcie na zgięciu? Tak to właśnie wygląda, na zmęczenie materiału. Z obawą włożyłam wtyczkę do gniazdka, mając nadzieję, że nie wysadzę kamienicy w powietrze. Grzałka zaczęła nabierać pomarańczowej barwy. Zbliżyłam do niej rękę i poczułam ciepło.

Usiadłam na łóżku i otworzyłam laptop. Skorzystałam z darmowego Wi-Fi, które złapałam z kawiarni. Wpisałam ten sam kod, którego użył Eryk podczas naszego pierwszego spotkania. W skrzynce odbiorczej znajdował się mejl od Adama. Nie doceniałam go, dobrze wytypował. Nie miałam zamiaru dłużej go zwodzić, chciałam, aby jak najszybciej mnie odnalazł i zabrał w bezpieczniejsze miejsce niż ta mysia nora. Odpisa-

łam mu w dwóch słowach: „Ginger i Fred”. Zamknęłam laptop i wskoczyłam pod świeżo zmienioną pościel.

Marta

Apartament, który wynajęłam na dwie noce, jest naprawdę luksusowy. Kryształowe żyrandole, obita skórą ściana za zagłówkiem łóżka, designerskie meble. Nie spałam tu jednak dobrze. Przez całą noc w mojej głowie przewijały się obrazy minionych zdarzeń. Doszłam do wniosku, że nie chcę zostać w Krakowie. Myślałam, że zemsta i dom pozwolą mi zacząć wszystko od nowa, ale teraz wiem, że muszę zweryfikować ten plan. Zemstę dokończę, choćby nie wiem co, ale dom sprzedam. Muszę opuścić to miasto, przeniknięte wspomnieniem jego obecności, chwil największego szczęścia i największego bólu. Powinnam zacząć od nowa gdzie indziej, daleko, gdzie nikt mnie nie zna i nic nie kojarzy mi się z Tobim i naszym dzieckiem. Nie muszę już się nad tym zastanawiać, jestem tego pewna. Kontrakt w klinice Ad Vitam mam przedłużany co rok. Ten obecny kończy się trzydziestego pierwszego grudnia, więc z wyprzedzeniem wysyłam do dyrekcji pisemne wypowiedzenie. A potem odpowiadam na mejla, który od kilku miesięcy czeka w mojej skrzynce. Rano dostaję odpowiedź, wciąż mają wolne miejsce w klinice The Bridge Center w Londynie. Umawiam się z nimi na spotkanie za dwa tygodnie.

Wstaję, podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Jego auto wciąż stoi przy krawężniku, chyba nie ma zamiaru iść do pracy. Od wczoraj nie wychodził z domu, miałam oko na jego samochód. Okna mieszkania były pozastłaniane, więc nie mogłam nic zobaczyć, ale do późna paliło się światło.

Biorę ze stolika nocnego szklaną butelkę wody mineralnej, otwieram ją i wracam do swojego zajęcia. Upijam kilka łyków i obserwuję budynek po przeciwległej stronie ulicy. Promienie słońca oświetlają najwyższe piętro, ekskluzywny penthouse

z ogromnym tarasem. Blask bijący od metalowego dachu razi w oczy. Zaciągam odrobinę żaluzję i zerkam w dół. Tramwaje jeżdżą, ludzie gdzieś się śpieszą, zwykła codzienność. Nagle zauważam znajomą postać. Wychodzi ze sklepu spożywczego, kojarzę ten chód i te kolorowe okulary. To nie Adam, ale ktoś równie mi znany. Robert Kechler, ten małolat świeżo po specjalizacji, który pracuje ze mną w Ad Vitam. Nie wiedziałam, że mieszka w tej okolicy. Dziarskim krokiem mija innych przechodniów, ściskając pod pachą bagietkę. Nie mogę uwierzyć, gdy wyjmuje klucz i wchodzi do kamienicy Adama. On też tu mieszka? Czy zna Anitę? Są dobrymi sąsiadami? Czy spotkali się, gdy podrzucałam jej szczury do domu i wrobiłam Roberta w przyjmowanie moich pacjentek, czy może znali się już wcześniej? Czy Robert mógł grzebać w jej dokumentacji? Czy to możliwe, aby ostrzegł przede mną Anitę? Wypijam wodę do dna i wyrzucam pustą butelkę do kosza. Głośno spada na dno metalowego kubła. Nie podoba mi się to, znów coś jest poza moją kontrolą, dzieje się nie po mojej myśli. Nie potrzebuję, aby ktoś z jej bliskich miał dostęp do jej karty w przychodni. Niepokoi mnie to, chociaż wiem, że nic tam nie znajdą. Byłam niesłychanie ostrożna. To dlatego prowadziłam drugą dokumentację w domu – żeby się w niczym nie pomylić, a jednocześnie niczego nie zdradzić. Zauważam, że stalowe bmw Kechlera jest zaparkowane dwa auta przed samochodem Adama. On naprawdę tu mieszka. Czego jeszcze nie wiem? Chodzę nerwowo po pokoju. To, co chwilę wcześniej wydawało się stylowe, teraz mnie denerwuje. Obraz nad łóżkiem, przedstawiający dwie łódki stykające się dziobami w jakiejś małej, zmyślonej zatoczce, doprowadza mnie do szału. Mam ochotę potraktować go nożem. Odwracam się do niego tyłem i znów wyglądam przez okno. Czy naprawdę powinnam się tym przejmować? Może oni nie mają pojęcia o swoim istnieniu. To nie wioska, że każdy zna każdego. W dużym mieście anonimo-

wość jest największym atutem, a ciągła rotacja mieszkańców pomaga zachować ten status. To mnie trochę uspokaja. Siadam i sprawdzam w internecie plan pracy lekarzy w przychodni. Obok mojego nazwiska pojawiła się wzmianka o urlopie do dwudziestego pierwszego grudnia. Jeszcze nie wiedzą, że w ogóle nie mam zamiaru tam wracać. Robert od jednej przyjmuje w pracowni USG. Rzeczywiście, nie mija dwadzieścia minut, gdy wychodzi, wsiada do samochodu i odjeżdża w stronę Alei. Wtedy przypominam sobie, że to ja mu wskazałam to miejsce. Na początku roku wspominał, że rozgląda się za nowym mieszkaniem, najlepiej w centrum miasta. Powiedziałam mu wtedy o apartamentach do wynajęcia na Starowiślnej. Byłam tu wcześniej, prowadząc obserwacje życia Anity i Adama, widziałam ogłoszenia, nie sądziłam jednak, że Robert z nich skorzysta. Przeklinam samą siebie w myślach. Co mnie naszło, aby być wobec niego życzliwą? Teraz mam za swoje.

Przez to całe zamieszanie związane z Robertem nie zauważyłam, kiedy Adam odsłonił rolety. Na szczęście jego auto stoi niezmiennie na swoim miejscu. Oddycham z ulgą. Muszę się wziąć w garść, nie mogę niepotrzebnie się rozpraszać. W skupieniu wpatruję się w okna po drugiej stronie ulicy.

Adam

Nie mogłem uwierzyć, że nie zbudził mnie dźwięk wiadomości, która przyszła do mnie wczoraj na skrzynkę mejlową. Trzymałem komórkę koło twarzy, tuż przy uchu, jednak nieświadomy niczego spałem do rana. Obudziłem się dopiero kilka minut po siódmej, gdy z dołu zaczęły dochodzić odgłosy młotka. Natychmiast chwyciłem telefon do ręki i zdumiałem się, że mejl przyszedł już kilka godzin temu. „Ginger i Fred”. Z niczym mi się to nie kojarzyło. Powtórzyłem te słowa na głos, w międzyczasie odpalając laptopa. Kiedy wstukałem je w wyszukiwarce, jako pierwsza pokazała się informacja dotycząca słynnego filmu Federica Felliniego z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, o znanej parze tanecznej – Fredzie Astairze i Ginger Rogers – z Marcellem Mastroiannim i Giuliettą Masiną w rolach tytułowych. Film nakręcono w Rzymie. Czyżbym czegoś nie zrozumiał i powinienem szukać jej we Włoszech? Jednak w Rzymie byliśmy w dwa tysiące trzynastym, wiosną, pojechaliśmy tam na weekend. Poza tym nawet najbardziej wysunięta na północ włoska miejscowość leży w okolicach czterdziestu sześciu stopni szerokości geograficznej. Fałszywy trop. Wróciłem do Google’a i wtedy to zobaczyłem. Trzeci wynik pokazywał najsłynniejszy budynek w Pradze, Tańczący Dom, potocznie zwany „Ginger i Fred”. Bingo. Znalazłem ją. Była w Pradze. Nie mogłem się powstrzymać od uderzenia z satysfakcją dłońmi w kolana. Odtworzyłem pocztę i odpisałem: „Jesteś w Pradze, prawda?”. Nie siliłem się na żadne rymowanki, nie miałem na to czasu, i tak całą noc czekała na moją odpowiedź.

Anita

Nie spałam dobrze. Do północy dochodziły odgłosy z kawiarni, a potem, gdy ucichły, było jeszcze gorzej. Czekałam na najmniejszy szmer. Przygotowywałam się mentalnie do zerwania się na równe nogi z krzykiem i walki z gryzoniem. W końcu nic się nie wydarzyło, ale miałam wrażenie, że nie zmrużyłam oczu przez całą noc. W pewnym momencie musiałam jednak zasnąć, bo zbudził mnie dźwięk przychodzącej wiadomości.

Adam odgadł, że jestem w Pradze. Zagadki były łatwe, ale i tak jak na siebie wykazał się wyjątkową intuicją. Pragnęłam, aby już po mnie przyjechał. To paskudne miejsce mnie przerażało, ale przede wszystkim chciałam się pokazać lekarzowi. Pierwsze tygodnie ciąży są niezwykle ważne dla rozwoju płodu. Może powinnam przyjmować jakieś leki, może trzeba zrobić dodatkowe badania? To przypomniało mi o Marcie. Czy powinnam przestrzec przed nią Adama? Powiedzieć, że wchodziła do naszego domu, czegoś szuka, może być niebezpieczna? Kto wie czy nie dosypuje mu czegoś do jedzenia. Wszystkiego można się po niej spodziewać. Będę musiała poszukać nowego ginekologa. Czy mógłby nim zostać Robert?

Wpatruję się w spleśniały sufit i zastanawiam, czy przypadkiem mnie też czymś nie faszerowała. Czytałam wszystkie ulotki leków, które mi przepisywała. Nie wzbudzały też nigdy podejrzeń w aptece na Dietla, u zaprzyjaźnionej farmaceutki, z którą po pewnym czasie zaczęłyśmy mówić sobie na ulicy „dzień dobry”. No i w końcu zaszłam w ciążę. Leczenie okazało się skuteczne. Opuściłam ostatnią wizytę i wiem, że nigdy już tam nie pójde. Czuję się wyjątkowo dobrze, żadnych mdłości, zawrotów głowy, tylko zmęczenie. Może to jednak równie

dobrze wynikać ze zmiany stylu życia, częstszych spacerów, a nie ze stanu, w którym się znajduję.

Świadomość, że w końcu jestem w ciąży, sprawiła, że czuję się jak kiedyś. Radośnie. Otwieram oczy i chce mi się żyć, mimo że patrzę w obrzydliwy, pokryty grzybami sufit. Potrafię bez strachu wyjść z domu i wtopić się w tłum nieznanomych ludzi w odległym mieście. Robię coś, co jeszcze miesiąc temu wywoływało we mnie paniczny lęk. Poza tym zawsze najtrudniejszy jest pierwszy raz. A kiedy tamtego dnia wyszłam z domu za Adamem, działałam jak w transie, nie słyszałam tych wszystkich denerwujących dźwięków, hałasu ulicy, który po miesiącach izolacji od świata tak bardzo mi przeszkadzał. A potem wszystko potoczyło się zbyt szybko, bym miała czas analizować poszczególne elementy. Nie mogłam zostać w domu, musiałam uciekać, ratować się. Wiadomość o dziecku sprawiła, że wróciłam do dawnej siebie. Jakby to wszystko pomiędzy nigdy nie istniało. Miałam rację, sądząc, że w momencie, w którym dowiem się o ciąży, znów poczuje szczęście. Czy jeśli znów będę dawną sobą, Adam też stanie się taki jak kiedyś? Czy mamy jeszcze szansę znów być parą?

Włączam podgląd na nasze mieszkanie. Mój mąż siedzi na sofie w salonie z laptopem na kolanach. Włosy sterczą mu niedbale, jest nieogolony, ale z jego twarzy zniknął smutek. Wiem, że odczuwa satysfakcję z pomyślnie rozwiązanej zagadki. Nie czekając dłużej, wysyłam mu mejla. Zamykam komputer i zaczynam szykować się do wyjścia.

Adam

Po piętnastu minutach przychodzi odpowiedź. Link, a pod spodem informacja: „Kliknij w niego o jedenastej czterdzieści”. Cztery długie godziny oczekiwania. Nie mogę się powstrzymać, kopiuję link i otwieram go w drugim oknie. Moim oczom ukazują się tory tramwajowe. Obraz przesuwa się powoli, lampa ostrzegawcza umieszczona na rufie pojazdu kręci się nieprzerwanie. Jeśli kiedykolwiek wątpiłem w niezwykłość i zagadkową naturę mojej żony, to byłem w błędzie. Obraz się zmienia, mijamy kolejne skrzyżowanie, ludzi na przystankach. Słońce świeci, a mały wagonik jedzie po krętych uliczkach. Przesuwam pasek w dół i natrafiam na mapę. Powiększam ją i odczytuję jasnoszary napis na środku: „Praha 1”. A więc jestem pasażerem praskiego tramwaju, niezły numer. Wracam do obrazu z kamery i wpatruję się w krajobraz przesuwaną za oknem. Postanawiam się spakować, bo wiem, że po kolejnej informacji, którą od niej dostanę, czeka mnie długa podróż.

Anita

Śniadanie jem w kawiarni na dole. Nie ma Mariki, domyślałam się, że pewnie dzisiaj ma wieczorną zmianę. Plama żółtka wypływająca z idealnie przyrządzonego jajka sadzonego wyglądem przypomina Cypr. Wycieram ją resztką bułki, płacę i wychodzę na ulicę. Wsiadam w dwudziestkędwójkę i jadę na pętlę w dzielnicy Strahov. Wiem, że mazací tramvaj stoi tam między jedenastą czterdzieści a jedenastą czterdzieści pięć. Mam coś ważnego do przekazania mojemu mężowi, a potrzebuję więcej czasu niż te kilka sekund, gdy Tatra T3 zatrzymuje się na światłach przy pełnym przypadkowych ludzi przystanku Malostranská. Nie potrzebuję widowni, mam zamiar zdradzić mu sekret, który dotyczy tylko mnie i jego. Poza tym mimo wszystko nie wierzę w spostrzegawczość Adama. Mógłby nie zauważyć mnie wśród tłumu lub spostrzec mnie zbyt późno, by coś z tego zrozumieć. Pętla wydaje się idealnym miejscem. Przyjeżdżam tam przed czasem. Mój główny pomocnik ze swoim oknem na świat z tyłu wagonu jeszcze się nie pojawił. Siadam na schodach z niebieskimi balustradami, tak aby nie wzbudzać podejrzeń motorniczego. Za kilka minut mazací tramvaj zatrzymuje się kilka metrów przede mną. Wiem, że Adam na mnie patrzy. Czekam na jedenastą czterdzieści. Gdy na zegarku wyświetla się dokładnie ta godzina, wstaję, ustawiam się w środku światła kamery i rozkładam białą poszewkę poduszki, którą wieczorem w hostelu wymieniłam na tę zakupioną w Quadrio.

Adam

Czas do jedenastej czterdzieści dłużył się niemiłosiernie. Spakowana walizka czekała w przedpokoju. Przez trzy godziny sprzątałem mieszkanie, musiałem się czymś zająć. Kilka minut po jedenastej ponownie odpaliłem link i patrzyłem, jak tramwaj przemierza ulice czeskiej stolicy. Piękne zabytkowe miasto, z ponad setką górujących nad nim wież kościołów, olśniewało blaskiem minionych epok. Zastanawiałem się, dlaczego wcześniej nigdy tam nie byliśmy. Przecież to tak blisko. O jedenastej trzydzieści osiem wagonik zwolnił i skręcił w lewo. Zauważyłem dookoła dodatkowe tory i zrozumiałem, że zajechał na pętlę. Lampa ostrzegawcza obracała się nieprzerwanie, świecąc ciemnopomarańczowym blaskiem. W oddali widać było ciąg kamienic schodzących w dół pochyłej ulicy. Tramwaj zatrzymał się i wtedy ją ujrzałem. Siedziała na schodkach. Włosy miała spięte w wysoki kucyk, na nosie okulary przeciwsłoneczne, zerknęła na zegarek. A potem podniosła głowę i pomachała do mnie. Uśmiechała się tak jak dawniej. Czy to znaczy, że mi wybaczyła, czy to możliwe, że będzie w stanie o wszystkim zapomnieć? Wpatrywałem się w nią z palcami ustawionymi na klawiszach do zrobienia zrzutu ekranu. Bałem się, że nie odszyfruję w porę jej zagadki, tramwaj ruszy i zostanę z niczym. Wstała, wyjęła z kieszeni kurtki biały materiał, rozłożyła go i podniosła rękę. „Jestem w ciąży. Zabierz mnie do domu”. Odruchowo wcisnąłem print screen, mimo że go nie potrzebowałem. Przekaz był zrozumiały. Zakryłem twarz dłońmi, zaraz jednak szybko je opuściłem. Nie mogłem zmarnować ani sekundy kontaktu z nią. Schowała materiał do kieszeni i ponownie usiadła na schodkach. Po chwili tramwaj ruszył, a ona pomachała mi na poże-

gnanie. Zerwałem się na równe nogi, chwyciłem przygotowaną walizkę i wybiegłem z domu.

Marta

Wyskoczył z bramy, potrącając idącą chodnikiem kobietę. Nie zwracając na to uwagi, biegł z walizką w stronę samochodu. Wrzucił ją do bagażnika i ruszył przed siebie. Wszystko działo się zbyt szybko, żeby go dogonić.

– Cholera! – zakląłam.

Wiedziałam, że znalazł jakiś ślad, wpadł na jej trop. Zabrał ze sobą walizkę, a więc szykuje się dłuższa wyprawa.

– Cholera, cholera, cholera.

Waliłam ręką w ścianę. Powinnam była siedzieć w samochodzie, aby móc od razu za nim ruszyć. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? Nic mi nie przyszło z patrzenia w okna jego mieszkania. Włożyłam płaszcz, zerwałam z wieszaka torebkę, drugą ręką chwyciłam za uchwyt walizki i zbiegłam na dół. Na ulicy nie było po nim najmniejszego śladu, nawet nie wiedziałam, w którą skręcił stronę. Stałam wściekła i dezorientowana. Uciekł mi, uciekli mi oboje. Myśl, myśl!, rozkazywałam sobie. Przebiegłam przez jezdnię, wrzuciłam walizkę do samochodu i wyjęłam z torebki klucze od jego mieszkania. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko poszukać tam jakichś informacji. Ostatnia deska ratunku, jedyna szansa.

Przeskakiwałam po dwa schodki. Gdy otworzyłam drzwi, zaskoczył mnie panujący w środku porządek. Przez moment zastanawiałam się nawet, czy nie pomyliłam pięter. Jednak rzut oka na lodówkę z pustym miejscem po magnesie potwierdził, że jestem tu, gdzie być powinnam. Rzuciłam torebkę na podłogę i weszłam do salonu. Na stoliku przed sofą stał otwarty laptop. Zawahałam się. A co, jeśli Adam wróci za chwilę? Komputer wciąż był włączony. Trudno, nawet jeśli

mnie tu znajdzie, nie jest to teraz najważniejsze. Usiadłam na kanapie, beżowa skóra była jeszcze ciepła. W laptopie leciał film przedstawiający obraz z jadącego tramwaju. Na dolnym pasku zauważyłam dokument w Wordzie. Otworzyłam go i ścięło mnie z nóg. Na samym środku zdjęcia ekranu stała Anita, trzymając w rękach napis: „Jestem w ciąży. Zabierz mnie do domu”.

Czułam jednocześnie zadowolenie i wściekłość. Mój plan wypalił, udało się, jeszcze nic straconego. Była w ciąży, tak jak chciałam, ale to przywołało moje najgorsze wspomnienia. Poczulałam, że zbiera mi się na wymioty, zupełnie jak tamtej zimy, gdy witałam nimi każdy nowy dzień. Zdałam sobie sprawę, że od wczoraj nic nie jadłam. Nie miałam jednak czasu się nad sobą rozczulać. Nie teraz. Trzeba wziąć się w garść i zamknąć tę sprawę raz na zawsze.

Wróciłam do poprzedniej zakładki, wiedząc, że tam znajdę odpowiedź. Tramwaj wciąż przemierzał ruchliwe ulice. Nie znałam tego miasta. Próbowałam odczytać coś z mijanych reklam lub wystaw sklepowych, ale napisy były zbyt daleko, by coś z nich zrozumieć. Gdzie ta kretyńska pojechała? Spojrzałam na adres WWW, a potem zjechałam na dół strony i już wiedziałam, że celem jego podróży jest Praga.

Eryk

Od rana czułem niepokój, który narastał z każdą kolejną godziną. Leżałem na wersalce i wpatrywałem się w gigantycznego pająka, który widocznie obudził się na czas mojej wizyty. Plótno swoją sieć z niezwykłą cierpliwością i precyzją. Zazdrościłem mu tej beztroski, mną targały obawy i wątpliwości. Co dzieje się teraz w Pradze? Czy zabrali obrazy z kościoła? Kto przekaże je pod wskazany adres? Milena, Łysy czy może przyjedzie po nie sam zleceniodawca? Prawdopodobnie mnie szukają, na pewno splądrowali moje mieszkanie. Być może Milena ma kłopoty, jakkolwiek by było, straciła kontrolę nad zadaniem. Nikt nie wie, gdzie jestem, to ich z pewnością niepokoi. Może ich przejrzałem albo powiedziałem komuś o tym intrygantnym zleceniu? Czy to opóźni transakcję? Czy podejmą szczególne kroki ostrożności, czy wręcz przeciwnie, stwierdzą, że byłem zamieszany w coś jeszcze i sprzątnął mnie ktoś, kto nie miał z ich sprawą nic wspólnego? Myśli kłębiły się w mojej głowie niczym pobudzone na wiosnę stado dżdżownic.

I kto by przypuszczał, że wszystko to stanie się za sprawą tej dziwnej, szalonej Polki, która całymi dniami jeździła po Pradze tramwajem, nawet na krok nie ruszywszy się z domu?

Zawsze myślałem, że to ja jestem totalnie popieprzony, ale widać, są w tym lepsi ode mnie. Całkiem sympatyczna z niej dziewczyna, taka niepozorna, aż trudno uwierzyć, że ma tak nierówno pod sufitem. Mimo wszystko nigdy nie przestanę być jej wdzięczny za to niespodziewane odkrycie.

Gdyby nie ona, mógłbym znaleźć się w poważnych tarapatach. Byłem pewny, że moje przypuszczenia się potwierdzą.

To tylko kwestia czasu. Przewróciłem się na drugi bok i próbowałem zasnąć, choć na chwilę zagłuszyć nękające mnie w głowie głosy.

Adam

Zmierzalem autostrada w strone Katowic. Mialem zamiar za sześć godzin byc na miejscu. Wiadomosc o ciazy przewrocila moj swiat do gory nogami. Od dawna na to czekalem. Na te trzy krótkie slowa, ktore wypowie do mnie, przekrzywiajac glowe. Jej kucyk zakołysze sie radośnie na powitanie nowego zycia. Tak to sobie wlasnie wyobrazalem. Wróce z pracy, a ona wyjdzie do mnie, oprze sie ramieniem o framuge drzwi sypialni, przechyli glowe i powie: „Jestem w ciazy”. Chwyce ja w ramiona i pójdziemy gdzieś to uczcić, a rzeczywistosc upodlona codziennym mozołem prób i porażek stanie sie historia. Powiedziec, ze Anita mnie zaskoczyła, to za malo. Przekazala mi nowine w najbardziej spektakularny sposob z możliwych. I jak zawsze z polotem i fantazja. Sam nigdy bym tego nie wymyslil. Zjechałem z autostrady i kierowalem sie w strone dwupasmówki na Cieszyn. Robotnicy w odblaskowych kamizelkach wylewali beton na przydrożnym parkingu. Przypomniałem sobie utaplane w białym błocie buty Anity i slowa Marty, ze ktos sie skradal w zaroślach. Jak okropnie musiala sie wtedy czuc. Czy juz wiedziala, ze jest ze mna w ciazy? Żałuje, ze tak łatwo wpadłem w sidła rozwiązłości, niestety będziemy musieli z tym zyc już zawsze. Z ciężarem zdrady, która pozostawi nieusuwalne pietno na naszym związku. Teraz jednak będzie dziecko. Długo oczekiwane, upragnione, kochane najbardziej na świecie. To może wszystko zmienić, to już wszystko zmienia. Moja żona chce wrócić do domu, tego będę sie trzymać. Wynagrodzę jej to, co sie stalo, w kazdy możliwy sposob. Postaram sie, jeszcze pamiętam, jak to sie robi.

Anita

Wróciłam do pokoju kilka minut po czternastej. Czułam się zmęczona. Wiał nieprzyjemny wiatr i mimo że świeciło słońce, temperatura odczuwalna była znacznie niższa. Pod drodze zjadłam obiad i nie marzyłam o niczym innym, jak tylko o pójściu spać. Czytałam, że ciężarne kobiety często bywają senne. Może to stanie się moją przypadłością? Z dwojga złego to o wiele lepsze niż wymioty. Po wejściu do pokoju nie zdejmowałam kurtki. Włączyłam piecyk i czekałam, aż się trochę ogrzeje. Potem wskoczyłam pod kołdrę i odpaliłam laptop. Byłam ciekawa, czy Adam wyruszył w drogę, czy odczytał mój przekaz. Tak jak się spodziewałam, mieszkanie wypełniała cisza. Laptop stał otwarty na stoliku przed sofą i ku mojemu zdziwieniu w domu panował porządek. Błat w kuchni był zupełnie pusty, lśnił z daleka, tak samo stół i szafka, na której stał ekspres. Mój wzrok przykuła lodówka. Zaczęłam się zastawiać, który magnes i dlaczego zdjęła z niej Marta.

Próbowałam przypomnieć sobie ich rozłożenie. Bez problemu odnalazłam ten pochyły w kształcie Krzywej Wieży w Pizie, wieżę Eiffla w prawym dolnym rogu, a na środku meksykańskie sombrero i oko proroka. Małe, kolorowe punkty to magnesowe literki. Ten, który zabrała, był duży i wisiał w lewym górnym rogu. Widać po nim puste miejsce. Byłam pewna, że Adam nawet nie zauważył jego zniknięcia. Żałowałam, że nie mam starego laptopa. Zapewne w pliku ze zdjęciami znalazłabym jakąś fotografię z kuchnią w tle.

Przez chwilę się waham. Wyjmuję z walizki telefon. Wiem, że jak go włączę, wszyscy dzwoniący dostaną esemesa informującego, że znów jestem dostępna. Nie chcę teraz z nikim rozmawiać, ale to nie powstrzymuje mnie przed naciśnięciem

guzika startu. Telefon uruchamia się, na wyświetlaczu pojawia się pyszczek Pozytywki. Jej widok chwyta mnie za serce. Wchodzę do katalogu ze zdjęciami. Przesuwając palcem po ekranie, przerzucam kolejne fotografie. W końcu znajduję tę, o którą mi chodziło. Zrobiona jakiś rok temu z Pozytywką siedzącą na karniszu. Pamiętam, że wysłałam ją Adamowi, nie mogąc wyjść z zadziwienia, jak się tam dostała. Na zdjęciu widać kawałek lodówki, lewy górny róg, ten, którego potrzebuję. Zbliżam go zoomem i już wiem, co zabrała Marta, nie potrafię tylko zrozumieć dlaczego. W tym momencie dzwoni telefon. Na ekranie pokazuje się twarz Adama.

Marta

Nie byłam pewna, którą wybrałam drogę, ale domyślałam się, że tę najkrótszą – przez Cieszyn i Brno. Musiałam go dogonić, w przeciwnym razie cała moja podróż do Pragi nie miała sensu. Nie wpadnę na nich przypadkiem w tłumie ponadmilionowego miasta, na takie szczęście nie mam co liczyć. Minęłam bramki na A4 i przycisnęłam pedał gazu. Mało prawdopodobne, aby udało mi się dogonić Adama. Zważywszy, że też mu się śpieszyło, pewnie przekroczył już granicę państwa. Zawsze jednak trzeba próbować, do końca, to moja życiowa dewiza. Przez moment wahałam się, czy nie poczekać na nich w Krakowie. Przecież prosiła, żeby zabrał ją do domu, więc prędzej czy później tam wrócić. Zakradłabym się do ich mieszkania, wsypałabym środek wczesnoporonny, do czego by się tylko dało, i byłoby po sprawie. Już nawet zdecydowałam się zawrócić, gdy nagle zauważyłam przed sobą jego samochód. Musiał się gdzieś zatrzymać, dlatego go dogoniłam. Los dał mi szansę. Będę go śledzić, a jeśli teraz się nie uda, załatwię ją po powrocie do Krakowa, tak jak to sobie właśnie obmyślałam.

Adam

Przejeżdżałem właśnie obok stacji benzynowej, gdy dostałem esemesa. Zjechałem na parking. Operator informował mnie, że numer, z którym próbowałem się połączyć, jest już dostępny. Anita włączyła telefon. Po tysiącach wcześniejszych prób dzisiaj jeszcze raz do niej zadzwoniłem, kiedy zobaczyłem ją na pętli z afiszem w dłoniach. Nadal jednak była poza zasięgiem. Teraz też nie odebrała, ale po chwili dostałem od niej esemesa z adresem. Kiedy wpisałem go w GPS, pokazał jakąś kawiarnię nad Wełtawą. Domyśliłem się, że będzie tam na mnie czekać. Zatankowałem do pełna, skorzystałem z toalety i ruszyłem w dalszą drogę. Przed osiemnastą wjechałem do Pragi. Przebiecie się przez miasto w godzinach powrotu prażan z pracy do domu stanowiło nie lada wyzwanie. Powitały mnie gigantyczne korki.

Anita

Nie mogłam odebrać jego telefonu. Chciałam porozmawiać z nim osobiście, gdy się już spotkamy. Odrzuciłam połączenie i wysłałam esemesem adres kawiarni na dole. Jeśli tu dotrze, znajdzie mnie.

Pytanie, dlaczego Marta zabrała magnes od Tobiasza, nie dawało mi spokoju. Czy to czysty przypadek i po prostu symbol Hamburga zrobił na niej tak ogromne wrażenie, że postanowiła przywłaszczyć sobie kolorową pamiątkę? Mało prawdopodobne. Coś musi się za tym kryć. Podobnie jak za tym, że włamywała się do naszego mieszkania, uwiodła Adama i zabiła Pozytywkę. O co jej chodzi? Dlaczego nas tak nienawidzi? „Tobiasz i Marta”, powiedziałam na głos. Czy mogą się znać?

Nagle doznałam olśnienia. Jakby ktoś nachylił się nade mną i powiedział mi to do ucha. Przecież oboje są lekarzami! Jak mogłam wcześniej tego nie skojarzyć? Wpisałam w wyszukiwarkę ich nazwiska, biorąc każde w cudzysłów. W internecie zawsze pozostają jakieś ślady, w dzisiejszych czasach wszystko jest zarazem prostsze i trudniejsze. Po chwili otrzymałam odpowiedź.

Studiowali na jednym roku. Ich nazwiska widniały obok siebie na liście obecności. Egzamin u tego samego profesora, ósmego czerwca dwa tysiące drugiego roku o piętnastej. Byli tam wtedy razem i zapewne mieli jeszcze inne okazje, by się spotkać. Siedzieli obok siebie na wykładzie, pożyczali sobie notatki i tak dalej. To nie może być przypadek. Tylko co ja z Adamem mamy z tym wspólnego?

Od dawna nie miałam kontaktu z Tobim. Właściwie tylko raz po naszym rozstaniu wysłałam mu życzenia świąteczne.

Odpowiedział sucho i lakonicznie. Przyjaźń z eks zdarza się tylko w filmach, a przynajmniej między nami nie miała szans zaistnieć. Zawsze powstrzymywałam się przed szukaniem informacji na jego temat, jednak teraz nie było wyjścia. Wykasywałam jej nazwisko w okienku wyszukiwarki i nacisnęłam enter. Większość wyników pochodziła z czasów studiów w Polsce. Staż w poliklinice na Kopernika, specjalizacja pod kierunkiem profesora Ratajkowskiego. Najświeższa wzmianka datała się na dwa tysiące trzynasty rok: kardiochirurg w Prywatnej Klinice Chirurgicznej w Hamburgu. Nie znalazłam natomiast niczego na temat jego życia prywatnego. Nie miał konta na Facebooku, Twitterze ani Instagramie. W sumie to do niego pasowało, zawsze był bardziej skryty niż wylewny.

Nadal miałam jego niemiecki numer telefonu, o ile do tej pory go nie zmienił. Mogłam do niego zadzwonić i błyskawicznie rozwiać wszelkie wątpliwości, jednak nie wydawało mi się to dobrym pomysłem. Pewnie miał żonę, dzieci, niepotrzebnie zasiałabym niepokój. Zresztą co miałabym mu powiedzieć? Cześć, stary, czy nie wiesz przypadkiem, dlaczego Marta Wirwicka włamała się do mojego mieszkania, aby zabrać z lodówki magnes od ciebie? Cokolwiek bym powiedziała, wysłoby kretyńsko. Jednak czym innym jest wysłanie mejla. Krótkiego, niezobowiązującego. Jeśli wciąż używa tej skrzynki, odbierze go i jeżeli będzie chciał, odpowie.

Nie napisałam, co u mnie słyhać, nie tłumaczyłam też nagłego odnowienia kontaktu. Zapytałam wprost: „Cześć, Tobie. Czy znałeś kiedyś Martę Wirwicką? Anita”. Tyle, enter. Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewałam – po niecałej godzinie. Zapytał, czy wciąż mam ten sam numer telefonu, bo chciałby zadzwonić. Odpowiadając twierdząco, czułam, jak moje ciśnienie powoli szybuje do góry. Odpisał, że zadzwoni po dziewiętnastej, gdy wróci do domu.

Adam

Kiedy podjechałem przed kawiarnię, dochodziła dziewiętnasta. Byłem zmęczony i miałem nadzieję, że odnajdę tam Anitę, a nie kolejną zagadkę, która ma mnie do niej doprowadzić. Naprawdę nie miałem na to ani sił, ani ochoty. Kawiarnia była przytulna. Wystrojem wnętrza przypominała stary śródziemnomorski port. Z sufitu zwisały sieci, na środku stała okazała kolumna imitująca latarnię morską. Bar wyłożony był muszelkami, a na zaplecze wychodziły okna w kształcie bulajów w burcie statku. Rozejrzałem się, nie było jej. Siadłem przy stoliku w oknie i zamówiłem kawę. Bacznie obserwowałem wchodzących i wychodzących, w morskich barwach bieli i błękitu szukając śladów kolejnej zagadki. Piętnaście po siódmej zadzwoniłem do niej. Numer był zajęty.

Anita

Nie wiem, dlaczego się denerwuję, przecież nic już do niego nie czuję. A jednak gdy na wyświetlaczu widzę niemiecki numer kierunkowy, nie potrafię zapanować nad emocjami.

– Anita? – odzywa się pierwszy.

Wyobrażam sobie jego pociągłą twarz, okulary w grubych oprawkach, które, jak przypuszczam, zostały zamienione już na inne, bardziej stylowe, w duchu obecnych trendów. Tobi nigdy nie był na bakier z modą.

– Cześć, Tobi. – Staram się wypaść swobodnie.

– Uhh... – Słyszę, jak wypuszcza powietrze. – Czy możemy przejść na angielski?

– Pewnie. – Rozumiem, że po tylu latach nie jest mu łatwo mówić swobodnie po polsku.

– Co u ciebie?

– W porządku. – Chwilę się waham. – Wyszłam za męża.

– Gratuluję.

Zapada cisza, wiem, że oczekuje ode mnie podobnego pytania.

– A jak u ciebie?

– Też się ożeniłem. Mam dwumiesięczną córkę.

– To świetnie. – Przetykam ślinę.

– Dlaczego pytasz o Martę? Znasz ją? – Po kurtuazyjnej wymianie zdań Tobi przechodzi do głównego tematu naszej rozmowy.

– Tak – odpowiadam. – Nie wiedziałam tylko, że ty także ją znałeś.

– Tak, studiowaliśmy razem. – Milknie na moment. – Dlaczego o nią pytasz?

– To długa historia – wyjaśniam. – Jednak nie sądziłam, że prowadzi do ciebie.

– Do mnie?

Nie mam ochoty wprowadzać go w sprawę romansu, włamania się do mieszkania i tego wszystkiego, co zdarzyło się po drodze.

– Dobrze ją znałeś? – dociekam, ignorując jego pytanie.

– Dobrze. – Kaszle nerwowo. Czuję, że chce mi powiedzieć coś ważnego. – Byliśmy przez kilka miesięcy parą.

– Parą? – Z niezrozumiałych powodów czuję ukłucie zazdrości.

– Zerwałem z nią, gdy związałem się z tobą.

Jego słowa wywołują we mnie niepokój. I wtedy sobie przypominam. Rzeczywiście, gdy zaczęliśmy się spotykać, podejrzewałam, że Tobiasz jest z kimś związany. Jeszcze na lotnisku zaproponowałam, abyśmy wzięli wspólną taksówkę, ale powiedział, że niestety ktoś po niego przyjechał. Ucieszyłam się z tego „niestety”. Nie chciał, żebym się z nimi zabrała, a to wskazywało na kobietę. Potem kilka razy w mojej obecności odrzucał przychodzące połączenia. I najpierw spotykaliśmy się tylko u mnie. Zmieniło się to dopiero wtedy, gdy znalazł sobie nowe mieszkanie, oddalone jakieś dziesięć minut piechotą od mojej stacji. Być może właśnie wtedy wyprowadził się od niej. Wiedziałam, że zakręciłam mu w głowie. Uwielbiałam to jego spojrzenie – pełne podziwu i fascynacji. Wodzenie faceków za nos w pewnym okresie mojego życia było rozkosznym hobby.

– Była twoją dziewczyną, jak się poznaliśmy? – upewniam się.

– Można tak powiedzieć, mieszkaliśmy razem – rozwiewa wszystkie moje wątpliwości. – Ale to od początku nie miało większego sensu. Dlaczego o nią pytasz?

Nie wiem, co mu odpowiedzieć – że była moją ginekolożką czy że miała romans z moim mężem. W oddali słyszę kwilenie, domyślam się, że to jego córka.

– Poczekaj chwilę – mówi.

Wyobrażam sobie, jak pochyła się nad dzieckiem, bierze je na rękę, przytula. Po chwili znów się odzywa:

– Wypadł jej smoczek.

– Jak ma na imię?

– Sophie. Moja żona je wybrała.

– Bardzo ładnie.

Oczami wyobraźni widzę małą buzię, rysy Tobiego, jego jasne włosy i bystre spojrzenie.

– Anita, uważaj na Martę. – Tobiasz wraca do porzuconego wątku. – Ona jest nienormalna. Gdy z nią zerwałem, próbowała wrobić mnie w dziecko. Oczywiście kłamała, od znajomych dowiedziałem się, że nigdy nie było żadnej ciąży. Nachodziła mnie po naszym rozstaniu, dzwoniła, dręczyła. Chyba nie potrafiła się pogodzić, że jestem z kimś innym.

W oddali znów słysząc kwilenie, tym razem krzyk przybiera na sile.

– Niestety będę musiał niedługo kończyć, mała jest głodna – tłumaczy Tobi.

– Rozumiem.

– Najlepiej trzymaj się od niej z daleka.

– Dziękuję, że zadzwoniłeś.

– Miło było cię usłyszeć.

To ostatnie słowa, jakie udaje mi się zrozumieć, wrzask dziecka zagłusza całą resztę. Rozłącza się.

Wszystko staje się jasne. To zemsta. Marta doskonale wiedziała, że byłam dziewczyną Tobiasza. Wdając się w romans z moim mężem, chciała ukarać mnie za to, że ukradłam jej chłopaka. Mało prawdopodobne, abym się myliła. Czy to jednak koniec i da mi spokój, czy będzie mnie dalej dręczyć? Dobrze, że dziś przyjedzie Adam i że ona jest tak daleko.

Marta

Nie było łatwo, ale udało mi się go nie zgubić. Jechałam za nim do samego końca. Pomogły mi gigantyczne korki, które nie pozwoliły mu zniecka gdzieś skręcić, zniknąć z pola widzenia. Zaparkował na ulicy o dziwnie brzmiącej, długiej nazwie z mnóstwem obcych znaków: U Lužického semináře, cokolwiek to znaczy. Siedziałam w samochodzie i obserwowałam, jak wysiada i wchodzi do kawiarni. Domyśliłam się, że zapewne tam się umówili. Usiadł przy stoliku przy oknie, jakby specjalnie dla mnie, aby było mi łatwiej.

Nie wiem jeszcze, jak to załatwię. Wszystko miało być mniej skomplikowane, ale stało się inaczej. Na szczęście nauczyłam się już, że w życiu nie zawsze układa się po naszej myśli, więc się nie załamuję. Działam. Żałuję, że nie palę, pewnie teraz byłby na to odpowiedni moment. Odkręciłabym szybkę z boku i wypuszczała nią małe kłęby dymu niczym sunące po niebie obłoczki. Kiedy pędziłam za nim po czeskiej autostradzie, zaświtała mi myśl, żeby wynająć kogoś, kto ją sprzątnie. Ale przecież nie o to mi chodzi. Nie chcę, aby umarła i już nic nie czuła. Chcę, żeby cierpiała. Skręcała się z rozpacz, wiła w świadomości utraty sensu życia. Chcę, aby dostała zasłużoną karę.

Zerkam na zegarek, jest dziewiętnasta dwadzieścia. Adam nadal siedzi sam. Mam nadzieję, że ten idiota niczego nie pomylił. Może umówili się po drugiej stronie rzeki, w kawiarni o podobnie brzmiącej nazwie lub o innej godzinie? Wszystko jest możliwe w przypadku tego kretyna. W przeciwnym razie na pewno już by na niego czekała. Przypominam sobie zdjęcie, które zobaczyłam na ekranie jego laptopa, i odręczny napis na białej szmacie w jej rękach: „Jestem w ciąży. Zabierz

mnie do domu”. Uderzam pięścią w deskę rozdzielczą. Dlaczego wciąż jej nie ma?

Anita

Adam napisał, że czeka w kawiarni. Wkładam sweter, który kupiłam w Quadrio, turkusowy szetland, luźny, odkrywający ramiona, seksowny. Mocniej ściskam włosy gumką i ostrożnie schodzę po stromych schodach. Wkraczam na salę bocznymi drzwiami, tymi, które pokazała mi Marika. Nie widzi mnie, wpatruje się w okno.

Profil Adama to zdecydowanie jego mocna strona, zarówno prawy, jak i lewy. Idealne proporcje, rzymski nos, długie rzęsy. Podchodzę do niego i kładę mu dłoń na ramieniu. Wzdryga się, nie spodziewał się nikogo, naprawdę się przestraszył.

– Kochanie... – Wstaje.

Zwraca się do mnie tak jak kiedyś. Próbuje mnie objąć, ale instynktownie się cofam. Przez moment mierzymy się wzrokiem i jak zwykle to ja wygrywam starcie. Odsuwa mi krzesło, siadam po przeciwnej stronie stołu. Milczymy. Długo, zbyt długo, ale nie mam zamiaru pierwsza przerywać tej niezręcznej ciszy.

– Przepraszam – odzywa się.

– Nic nie mów. – Kręcę głową. – Nic nie jest takie, jak myślisz.

– Słucham? – Jego oczy są smutne.

Opieram czoło na dłoniach. Do stolika podchodzi kelnerka.

Zamawiam wodę.

– Zawiodłeś mnie – mówię, gdy zostajemy sami.

– Wiem. Przepraszam.

Nie patrzy na mnie. Bawi się podłużną paczuszką cukru. I wtedy mówię mu to, co wiem, że go zaboli równie mocno,

jak mnie zabolął jego brak lojalności. Opowiadam mu o rozmowie z Tobiaszem, o włamaniach Marty do naszego domu, o moich przypuszczeniach, że wszystko, co się stało, było wynikiem zaplanowanej zemsty.

– Oszukała mnie. Mówiła, że nazywa się Fijałowska – tłumaczy się. Jakby miało to jakieś znaczenie w przypadku zdrady.

– Kiedyś byłeś ze mną u niej. Nie pamiętałeś jej?

– Kiedy? – Marszczy czoło.

– Na jednym z USG, gdy myślałam, że jestem w ciąży. Może to wtedy wpadła na pomysł, żeby cię uwieść?

– Prosiłem Roberta, wiesz, tego z góry...

Kiwam głową, nie podejrzewa, że ich podglądałam.

– ...żeby sprawdził twoją dokumentację – kontynuuje. – Powiedział, że wszystko jest w porządku.

– Wiem. – Potakuję. – Przecież w końcu się udało. – Dotykam czule brzucha.

Uśmiecha się, próbuje złapać mnie za drugą rękę, leżącą na stole, ale cofam ją. Nie jestem gotowa na jego dotyk.

– Jej chodziło o mnie. Chciała, żebym poczuła, co znaczy stracić faceta. To była zemsta za Tobiego – mówię.

Patrzę, jak Adam odwraca wzrok w stronę baru. To chyba głupie uczucie dowiedzieć się, że było się tylko narzędziem w realizacji czyichś zamierzeń.

– Chcesz, żebym ci to od początku opowiedział? – pyta, spoglądając na mnie. Chyba jeszcze nigdy nie miał tak ogromnych źrenic. Gdybym go nie znała, chciałabym wiedzieć, co przed chwilą brał.

– Nie, nie trzeba – protestuję. Co za idiotyczny pomysł.

– Nic do niej nie czułem, naprawdę, przez cały czas...

– Okej – przerywam. Nie chcę tego słuchać, jeszcze za wcześnie.

– To co robimy? – pyta. – Chcesz wracać dziś do domu?

– Jesteś zmęczony – zauważam. – Chyba powinieneś się przespać.

– Mogę jechać. Albo możemy się zmieniać przy kierownicy – sugeruje.

– Wiesz, że nie lubię jeździć nocą. Poczekajmy do jutra.

– Jasne. – Znów zerka na mnie przepaszającym wzrokiem. Wiem, że mu głupio. Podwójnie głupio. Zdradził mnie i okazał się totalnym frajerem, wykorzystanym przez sprytną kochankę.

– Możesz zatrzymać się u mnie – mówię. – Warunki są koszarne, ale na jedną noc nie opłaca się szukać czegoś innego. Wynajmuję pokój na górze – dodaję.

– W porządku, dzięki. – Kiwa głową.

W naszym spotkaniu nie było może euforii, ale na pewno udało nam się przełamać pierwsze lody. Wiem, że gdyby nie dziecko, nie potrafiłabym tak łatwo mu wybaczyć. To, czego się dowiedziałam, nie zmienia faktu, że dopuścił się wobec mnie zdrady. A ja nie jestem dziewczyną, z którą się pogrywa w ten sposób. Nie mogę już jednak myśleć tylko o sobie. Moje dziecko potrzebuje ojca, co do tego nie mam wątpliwości.

– Wyjdę tylko po walizkę – mówi. – Zaparkowałem na ulicy.

– Okej, poczekam.

Wstaje i rusza w stronę wyjścia, w drzwiach mijając się z Mariką. Nie myliłam się, przypuszczając, że dzisiaj ma nockę.

Eryk

Kiedy wczoraj zapadł zmierzch i nikt się nie pojawił, wreszcie poczułem spokój. Cały czas żyłem w przeświadczeniu, że ktoś od Mileny i Łysego mnie śledził, że nie jestem tu do końca bezpieczny. Gdy się rano obudziłem, było jeszcze ciemno, zegarek wskazywał kilka minut po szóstej. Postanowiłem wyjść ze swojej jaskini. Nie miałem już nic do jedzenia i zaczął mi doskwierać głód. Powróciły funkcje życiowe, które na kilka ostatnich dni utraciłem. Ubrałem się, zamknąłem budkę na skobel, przeskoczyłem przez płot i rozglądając się czujnie, udałem się w stronę parkingu. Samochód stał w tym samym miejscu, gdzie go dwa dni temu zostawiłem. Obok zaparkowane było inne auto, z dwoma fotelikami dziecięcymi z tyłu. Nic niepokojącego.

W pobliskim supersamie kupiłem bułki, mleko i gdy stałem w kolejce do kasy, moje spojrzenie przykuł znajomy widok. Na pierwszej stronie „Dnes” widniały obrazy Rubensa, *Męczeństwo Świętego Tomasza* i *Święty Augustyn*. Stałem jak wryty. Nagłówek głosił: „Policja udaremniła próbę kradzieży dwóch niezwykłych obrazów Rubensa”. Wziąłem gazetę do ręki. Młoda sprzedawczyni skasowała produkty z koszyka, po czym wycelowała we mnie skaner i zapytała:

– To też?

– Tak. – Kiwnąłem głową.

Po wyjściu ze sklepu usiadłem na ławce. Była zimna, ale to, co czytałem, rozgrzewało mnie od środka.

Wczoraj wieczorem praska policja udaremniła próbę kradzieży dwóch obrazów P. P. Rubensa. Dzieła przewożone były z praskiej Galerii Narodowej na międzynarodowo-

dową wystawę sztuki barokowej w Antwerpii. Prześcypcy próbowali podmienić oryginały na kopie. W czasie pościgu doszło do strzelaniny, w wyniku której śmierć poniósł funkcjonariusz policji oraz dwóch przestępców: 27-letnia obywatelka Czech Milena V. oraz 39-letni obywatel Serbii, ścigany międzynarodowym listem gończym za paserstwo i przemyt dzieł sztuki Johan D. Zatrzymano także dwie osoby, które prawdopodobnie miały związek z kradzieżą. Są to zastępca głównego konserwatora zabytków, 35-letni Marek S., oraz pracująca w Galerii Narodowej, odpowiedzialna za dostarczenie obrazów na wystawę w Antwerpii 32-letnia Karolina M. Do czasu wyjaśnienia zarzutów, dla dobra prowadzonego śledztwa, policja wstrzymuje się z ujawnieniem dalszych szczegółów sprawy. Osoby mające jakiegokolwiek informacje, które mogłyby pomóc w śledztwie, proszone są o zgłoszenie się do najbliższego komisarjatu.

– O kurwa – zakląłem.

Niestety miałem rację, groziło mi niebezpieczeństwo i, kto wie, może nadal grozi.

Milena nie żyła. Mimo wszystko nie spodziewałem się takiego zakończenia. Taka świetna dziewczyna, aż trudno uwierzyć, że pracowała dla mafii. Może gdybym się wcześniej zorientował, że coś jest nie tak, dopytywał o jej kontakty z Łysym, chciał poznać zleceniodawcę, dałbym radę wyciągnąć ją z tego środowiska.

Wstałem, schowałem gazetę do reklamówki i ruszyłem w drogę powrotną do mojego tymczasowego lokum. Zza rogu wyjechał radiowóz. Poczulem niepokój, szedłem jednak nadal przed siebie. Auto minęło mnie i pojechało dalej. Czy mogę być ścigany? Jeśli Milena i Łysy nie żyją, to czy ktoś jeszcze

może chcieć mnie kropnąć? Czy Marek wiedział, że to ja malowałem kopie? To bardzo prawdopodobne, a jeśli w czasie przesłuchań wspomni o mnie, to na bank będą chcieli mnie namierzyć. O kurwa, znów zakląłem. Ale Marek nie wie, gdzie mieszkam. Chyba że tylko mi się tak wydaje. Byłem przekonany, że Karolina nie miała o niczym pojęcia i została w to wmieszana zupełnie tak jak ja. Za bardzo kochała swoją pracę, żeby zaprzepaścić karierę w tak głupi sposób. Domyśliłem się, że jej związek z Markiem też był częścią planu. Potrzebował jej, aby mieć stały dostęp do tego, co dzieje się w Galerii Narodowej. Tylko ona mogła podać mu dokładną datę transportu obrazów do Antwerpii. Wykorzystał ją tak, jak Milena mnie.

Przepycham siatkę z zakupami przez dziurę w ogrodzeniu, sam przeskakuję górą. Przypominam sobie nasze wspólne wyjście do restauracji. Karolina wspomniała wtedy o wystawie w Antwerpii, wydawała się niezwykle podniecona powierzonym jej zadaniem. Atmosfera przy stole była gęsta, napięcie rosło z każdą minutą. Nie dało się nie zauważyć, że Milena jej nie trawi. Wtedy myślałem, że zazdrości jej pracy, ale teraz wydaje mi się, że źle to odczytałem. Chodziło o Marka. Najwyraźniej coś ich łączyło. Dopiero teraz to widzę, te wszystkie ukradkowe spojrzenia, uśmiechy, które wtedy wydawały mi się czysto koleżeńskie. Prawdopodobnie pracowali razem nad tą sprawą, być może spotykali się potajemnie, a oprócz wymiany informacji o planowanym napadzie dochodziło między nimi także do wymiany płynów ustrojowych. To niewykluczone. Niezły ze mnie frajer, a zawsze uważałem się za takiego sprytnego. Zamykam za sobą drzwi i włączam piecyk.

Co robić? Nie dam rady wiecznie ukrywać się w tym miejscu. W każdej chwili może przyjechać Niemiec, istnieje ryzyko, że wpadnie na świetny pomysł, aby spędzić tu nadchodzące święta. Poza tym to zbyt blisko Pragi. Jeszcze raz czytam artykuł. Żałuję, że w gazecie nie wspomniano, czy ktoś jeszcze

jest poszukiwany. Ale przecież malowałem tylko obrazy, nie znałem zleceniodawcy, czy może mi za to coś grozić? Byłem też ciekaw, czy policja już wie, że kopie, które próbowano podłożyć w miejsce oryginałów, pochodzą z kościoła Świętego Tomasza. Zapewne to sprawdzą, a wtedy specjalista stwierdzi, że obrazy wiszące w nawie głównej liczą sobie kilka miesięcy, a nie kilkadziesiąt lat. Zaczną się zastanawiać, kto je namalował, a jeśli nie pojawię się w kościele, podejrzenie padnie na mnie. Co prawda konserwatorom często zdarzało się nie przychodzić do pracy, więc być może dzisiaj nie wzbudzi to jeszcze podejrzeń, ale w poniedziałek, najpóźniej we wtorek ktoś na pewno zainteresuje się moją nieobecnością.

Otwieram butelkę mleka i wypijam ją do połowy duszkiem.

I wtedy po raz pierwszy myślę o Vaclavie, bracie Mariki. Dwa lata temu skończył prawo, pracował w jednej z kancelarii adwokackich na Strahovie. Mógłbym się z nim spotkać i skonsultować w tej sprawie. Może moja sytuacja wcale nie wygląda tak źle. Zupełnie inaczej byłoby, gdyby złapali mnie z obrazami w rękę, w momencie gdy dostarczam je pod wskazany adres. Wtedy na pewno uznaliby mnie za kolejne ogniwo, jednego z członków szajki przestępczej. A teraz zostało tylko moje słowo przeciwko słowu Marka. Ostatecznych dowodów nie ma, a świadkowie nie żyją. Mógłbym powiedzieć, że zostałem wykorzystany przez Milenę, wykonałem kopie na jej życzenie i nie miałem pojęcia, jaki chce zrobić z nich użytek. Oczywiście nie wspomnę o wynagrodzeniu. Powiem wszystko, cokolwiek doradzi mi Vaclav. Nie byłem notowany, nie mam na swoim koncie niczego nielegalnego, tajna plantacja marihuany nigdy nie ujrzała światła dziennego, zaspokajając wyłącznie nasze potrzeby. Dopijam mleko, miażdżę w dłoniach plastikową butelkę i ciskam nią w kąt pomieszczenia.

Marta

W oddalonym o niecałe trzysta metrów od miejsca ich pobytu hotelu U Pava, w którym wynajęłam pokój, śniadanie serwowane jest od szóstej trzydzieści. Nakładam cienką warstwę flidu na twarz i rozsmarowuję go dokładnie po policzkach. Przez szczeliny w rolecie wpadają promyki słońca, zapowiada się pogodny dzień.

Wczoraj Adam o mały włos na mnie nie wpadł. W końcu przyszła do kawiarni. Żałowałam, że nie jestem na tyle blisko, aby ich słyszeć. Wsiadłam z porsche i stanęłam w bramie kamienicy naprzeciwko, tuż za jego samochodem. Nagle wstał i zanim zdążyłam uciec, już był przy aucie. Odwróciłam się do niego tyłem, owinęłam szalem i udawałam, że wpisuję kod w domofonie. Na szczęście zabrał tylko walizkę i wrócił do środka. Nie wyszli z kawiarni, a po chwili zauważyłam, że zapaliły się światła w pokoju na górze. Anita podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Widziałam ją dokładnie, jej odsłonięte seksownie ramię, głupia dziwka. Nie byłaby taka radosna, gdyby wiedziała, że znalazłam jej kryjówkę.

Jeszcze chwilę obserwowałam kamienicę, ale nic się nie działo. Światło wciąż było zapalone, przypuszczałam, że rozmawiają. Raczej nie mieli zamiaru wychodzić już z pokoju, a skoro zabrał ze sobą walizkę, nie planowali wracać od razu do Polski. Wsiadłam w samochód i kilka przecznic dalej znalazłam hotel. Był przytulny, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Chciałam gdzieś się przespać i rano przystąpić do działania. Zameldowałam się na jedną noc, zaniósłam walizkę do pokoju i poszłam jeszcze raz pod kawiarnię. Światła w pokoju nadal się paliły. Weszłam do środka.

Kawiarnia dzieli klatkę schodową z budynkiem mieszkalnym. Na prawo znajdują się drzwi do lokalu, na wprost schody. Strome, stare i niebezpieczne. To mi się spodobało. Weszłam na górę. Miałam zamiar zrobić to po cichu, ale okazało się to niemożliwe – piszczały niemiłosiernie pod każdym moim krokiem. Budynek jest naprawdę obskurny, dziwię się, że wybrała tak paskudne miejsce na swoją kryjówkę. Co Tobiasz w niej widział? Nigdy tego nie zrozumie.

Korytarz był ciemny, oświetlał go jedynie blask księżyca wpadający przez okna od strony podwórza. Po strużce światła w szparze pod drzwiami rozpoznałam ich pokój. W innych było zupełnie ciemno. Chciałam podejść bliżej, ale ktoś wszedł do kamienicy, trzasnęły drzwi, a z korytarza na dole zaczęły dobiegać czyjeś głosy. Schowałam się za framugę najbliższych drzwi. Jeśli teraz wyszliby z pokoju, na pewno by mnie zobaczyli, ale na szczęście nie byłam widoczna z dołu.

Klatka schodowa jest naprawdę niebezpieczna. Strome schody, ruszająca się balustrada, świetne miejsce, aby dokończyć zemstę. Jeśli udałoby mi się ją zepchnąć, bardzo prawdopodobne, że poroni. A jeśli na moment straciłaby przytomność, mogłabym pomóc sobie farmaceutykami. W torebce mam wszystko, co trzeba. Zadać jej cios w taki sposób, który nie pozostawi śladów prowadzących do mnie... Czułam niesamowite podniecenie, niepohamowaną wolę działania, już, w tej chwili, teraz. Próbowałam się uspokoić, kilka razy odechnęłam głęboko. Nie mogę działać impulsywnie, wszystko musi być precyzyjne, dopracowane w każdym calu. Zbyt długo to przygotowywałam, aby teraz przez emocje popełnić jakiś błąd.

Odgłosy na klatce ucichły. Spróbowałam otworzyć drzwi do pokoju za moimi plecami, ale były zamknięte. Podobnie kolejne. Najciszej, jak potrafiłam, zeszałam piętro niżej i tam, ku

mojemu zdziwieniu, jeden z pokoi okazał się otwarty. Najwyraźniej pełnił funkcję składzika. Leżały w nim połamane krzesła, stoły, wiadra, miotły i inne rupiecie. Śmierdziało kocim moczem. Chciałam podejść do okna, ale podłoga była zawałona rulonami dywanów, stosami gazet, bałam się, że coś przewrócę i narobię hałasu. Ale przynajmniej miejsce to dało mi chwilowe schronienie.

Jak ją dopaść? Gorączkowo szukałam najlepszego rozwiązania. Myśl i działaj, to przecież twoja dewiza, upominałam samą siebie. Usiadłam na kartonowym pudle pełnym jakichś szmat. Pomyślałam, że mogłabym wywabić Adama z pokoju, rzucając kamieniem w okno samochodu. Włączyłby się alarm, a on wybiegłby na zewnątrz. W tym czasie ja zacząłabym się na nią w składziku. Zapewne też wyszłaby z pokoju, ale już nie w takim pośpiechu jak on, a kiedy przechodziłaby koło rupieciarni, ja wyskoczyłabym z ukrycia i zepchnęłabym ją ze schodów. Nie widziałyby mnie, bo zasłabym ją od tyłu. To mogło się udać. A może wysadzić korki i w ten sposób ściągnąć Adama na dół, a potem pójść do niej i dokończyć to, co zaczęłam? Sprawdziłam, czy w pomieszczeniu nie ma bezpieczników. Podłoga pod moimi nogami głośno zaskrzypiała. Miałam wrażenie, że słyhać mnie w całej kamienicy. Zaniepokoiłam się. Jeśli wszystko tutaj tak trzeszczy, to nie mogę liczyć na to, że zakradnę się bezszelestnie. Poza tym żaden z pomysłów nie wydawał mi się do końca pewny. Ona wcale nie musi schodzić za nim na dół, a gdy wybije korki, ktoś z kawiarni też może wyjść na korytarz, aby naprawić usterkę. Miałam ochotę kopnąć w ścianę i tylko myśl, że narobię hałasu, powstrzymała mnie od tego. To nie miało tak wyglądać. Mój plan był prosty, nie przewidywał żadnych komplikacji. Postanowiłam wrócić do hotelu. Jeszcze raz na spokojnie wszystko przemyśleć, zastanowić się i opracować nowy plan działania. Wyszłam ostrożnie z magazynku i kiedy zesłam po

schodach, zauważyłam dziewczynę, która bacznie mi się przygląda. W talii zawiązany miała fartuszek z logo kawiarni, nie odzywała się. Minęłam ją bez słowa. Obejrzała się za mną, a ja posłałam jej nieprzychylnie spojrzenie. Co ją obchodzi, co tu robię, niech pilnuje swojej pracy.

* * *

Przyglądam się sobie w lustrze. Fluid idealnie pokrywa twarz, prezentuję się całkiem dobrze jak na kogoś, kto nie zmrużył oczu przez całą noc. Na usta nakładam krwistoczerwoną pomadkę, uwielbiam ten kolor. Głośno cmokam i posyłam swojemu odbiciu całuska. Opracowałam plan doskonały, idealną strategię działania, mogę być z siebie dumna. Po śniadaniu zniosę walizkę do samochodu, wymelduję się i przystąpię do akcji. A potem wsiadę do auta i pojadę na Zachód. I będę żyła tak, jakby każdy dzień miał być ostatnim. Spokojna o przeszłość, zacznę budować przyszłość.

Eryk

Pod Lepico podjeżdżam kilka minut po siódmej. Mam nadzieję, że zastanę jeszcze Marikę. Światła w środku są zapalone. Wchodzę do kawiarni. Pochylona nad barem, odhacza coś długopisem w segregatorze i nie podnosząc wzroku, krzyczy:

– Jeszcze zamknięte!

Nie zważając na jej słowa, ruszam przed siebie. Zerka w moim kierunku.

– Eryk? – Uśmiecha się. – Co dziś tak wcześnie?

– Dobrze, że jeszcze jesteś.

Pochylam się nad barem i całuję ją w policzek. Chowa do foliowej koszulki kilka faktur, a potem sięga po kolejne.

– Za chwilę wychodzę. O ósmej kończy się dwunasta godzina mojej pracy i przez dwa dni będę miała wolne. – Zaciera rękę z satysfakcją.

– Możemy chwilę porozmawiać? – pytam, siadając na stołku barowym.

– Sekundkę, tylko wyślę zamówienia.

– Jasne, pani menedżer – próbuję żartować.

Gani mnie spojrzeniem. Wiem, że nie lubi, jak tak do niej mówię, ale od czasu, gdy awansowała na kierownika zmiany, nie mogę się powstrzymać od wypominania jej tego na każdym kroku. To tylko podbuduje jej ego, a tego nigdy za wiele. Klika coś w komputerze, a potem zamyka segregator i zanoszą go na zaplecze. Wraca i siada na wysokim stołku po przeciwnej stronie lady.

– O co chodzi?

- Mam kłopoty.
- Co znowu? - Jej wzrok jest zarazem karcący i zatroskany.
- Potrzebuję porady Vaclava.
- Eryku, na litość boską, kiedy ty w końcu dorośniesz?!

Wydaje mi się, że pytanie to słyszę z jej ust po raz tysięczny.

Odkąd zaprzyjaźniliśmy się w dzieciństwie, stale je powtarza. Wychowaliśmy się w jednym z bloków na Chodovie. Nie potrafiłbym podać konkretnej daty, kiedy pojawiła się w moim życiu, po prostu była w nim zawsze. Świat bez niej nie istniał. Gdy zamykam oczy, wciąż widzę jej dziecięcą figurę, długie, chude nogi zwisające z trzepaka i pokryte pryszczami czoło trzynastolatki. Przez lata była moją codziennością i jedynym prawdziwym przyjacielem. Poza tym nie, nigdy nie uprawialiśmy seksu. Choć nieraz w desperacji chcieliśmy to zrobić. Przekonać się, o co tyle szumu. Jednak ostatecznie, na nasze szczęście, nie wystarczyło nam odwagi. Być może obojgu nam za bardzo zależało na sobie, by popsuć ten układ chwilą zapomnienia. Nasza miłość była zbyt idealna, aby pozwolić sobie na jakąkolwiek wpadkę. Dzięki ostrożności i przezorności trwa do dziś. Kocham ją jak siostrę. I wiem, że mój los też nie jest jej obojętny.

- Co się stało? - Opiera się o bar i zagląda mi w oczy.

- Milena nie żyje.

- O Boże! - Zakrywa usta dłonią.

- Nie miałem pojęcia, że współpracowała z mafią - tłumaczę mętnie. - Razem z nią zginął serbski przemytnik, dość gruba sprawa, piszą o tym w dzisiejszym „Dnes”. Muszę się z tego wywinąć.

- O Boże - znów to powtarza. - Teraz rozumiem.

- Co? - Patrzę na nią.

- Ona szukała ciebie.

– Kto? Milena?

– Nie. – Kręci głową. – Wczoraj wieczorem kręciła się tu jakaś kobieta. Eryk, ktoś cię śledzi.

– Kobieta?

– Tak. Najpierw widziałam ją przed kawiarnią, zwróciłam na nią uwagę, gdy szłam tu z tramwaju. Stała na chodniku i patrzyła w okna naszej kamienicy. A potem, w nocy, znów ją spotkałam. Chodziła po klatce.

– Może jakaś narkomanka szukała miejsca, żeby się prześpać.

– Nie – zaprzecza zdecydowanie. – Zadbana, dobrze ubrana, ale od początku wyglądała podejrzanie. Popatrzyła na mnie tak wrogo... Wiedziałam, że kogoś tu szuka. Teraz wiem, że ciebie.

– Jak wyglądała?

– Niewysoka szatynka. W co ty się znów wplątałaś?

– Muszę się spotkać z Vaclavem – powtarzam.

– Zadzwoń do niego.

– Wiesz, że się zgodzi, tylko jeśli ty go poprosisz.

– Dobrze, zadzwonię.

– Nie martw się, nic mi nie grozi – pocieszam ją, choć wcale nie jestem tego pewien.

Patrzę, jak Marika bierze telefon do ręki, wybiera numer, przykładając aparat do ucha i nieruchomieje.

– Co się stało? – pytam.

– Ona tam jest – mówi, odkładając telefon na ladę.

– Kto? Gdzie? – Oglądam się za siebie, w kierunku, w którym patrzy Marika.

Po przeciwnej stronie ulicy zauważam kobietę. Wpatruje się w kamienicę. Ma na sobie czarny płaszcz, a dookoła szyi zawi-

nięty gruby szal.

– To ta kobieta wczoraj cię szukała.

– Załatwię to – rzucam.

– Na pewno wiesz, co robisz?! – krzyczy za mną.

Nie słucham jej, zamykam za sobą drzwi i wychodzę na ulicę.

Adam

Sprężyny z łóżka wbijają się w każdy centymetr mojego ciała. Już dawno tak źle nie spałem. Zerkam na kanapę, na której leży Anita. Nie wydaje się wygodniejsza, a jednak ona wciąż się nie obudziła.

Jeszcze nie jest tak jak dawniej. Wiem, że potrzebuje czasu, aby o wszystkim zapomnieć. Wspomnienie mojej nielojalności zawsze będzie nam towarzyszyło, przypominało, że burze zdarzają się nawet w najlepszych związkach. I jeśli kiedyś myślałem, że mnie to nie dotyczy, że my jesteśmy inni, byłem w błędzie. Ta cała historia z Martą i ich wspólnym byłym brzmi groteskowo, a jednak się wydarzyła. Zastawiam się, jak udało jej się tak mnie omotać. Kiedy ukradła klucze od naszego mieszkania? Ile razy była tam pod naszą nieobecność? Totalna świruska. Cieszę się, że mam to już za sobą.

Wstaję i idę pod prysznic. Woda jest zimna, lodowata. To nic, tego mi trzeba – otrzeźwienia. Fioletowa ceratka klei się do nóg. Wyciskam na rękę jej płyn do kąpieli. Truskawki i kiwi, robi się słodko. To dopiero zapowiedź tego, co mnie czeka. Czekoladowych, balonowych, cukierkowych zapachów dziecięcego świata. Świadomość, że zostanę ojcem, jest dla mnie zupełnie nowym doznaniem. Tak naprawdę jeszcze to do mnie nie dotarło. I chociaż tak długo na to czekałem, nie czuję się gotowy. Cieszę się, ale wydaje mi się to kompletnie nierealne. Ja na spacerze z wózkiem, ja z dzieckiem na rękę, trochę mnie to przeraża. Wycieram się ręcznikiem, a potem okręcam się nim w pasie.

Kiedy wchodzę do pokoju, Anita siedzi po turecku na łóżku. Opiera się o ścianę, przed sobą ma laptop. Uśmiecha się. Nie-

znacznie, ale w taki sposób, jak robiła to dawniej.

– Cześć – mówię. – Obudziłem cię.

– Nie. – Kręci głową. Wzrok ma utkwiony w ekranie. – Muszę zrobić dwie kampanie, nie zajmie mi to dużo czasu, a potem pójdziemy zjeść na dole śniadanie.

– Jasne. – Nachylam się do walizki po świeżą koszulkę.

– A kolację zjemy w domu – dodaje, odrywając na chwilę wzrok od klawiatury.

Odpowiadam jej równie obiecującym uśmiechem.

Anita

W pasie zawiązany ma ręcznik. Jednym ruchem zrywa go i przerzuca przez poręcz łóżka. Znów jak dawniej paraduje przede mną nago. Jakbyśmy nagle przenieśli się do przeszłości. Jego widok robi na mnie takie wrażenie jak wtedy, gdy rozebrał się przede mną po raz pierwszy. To dziwne, ale czuję się skrępowana. Spuszczam wzrok i skupiam się na treści widocznej na monitorze. Mimo woli kątem oka obserwuję jego ruchy. Naciąga przez głowę T-shirt, jeden z tych z dwuznacznymi hasłami. Nie nosił go od wieków, naprawdę wróciliśmy do punktu wyjścia. Jeszcze kilka uderzeń w klawiaturę i wylogowuję się z konta AdWords. Adam ponownie znika w łazience, jednak nie zamyka za sobą drzwi. Odkręca wodę i mokrą ręką układa włosy. Łapię się na myśli, że mój mąż wciąż mi się podoba.

Marta

Stoję, obserwując okna kamienicy. Wyjmuję z kieszeni telefon i kiedy już mam zamiar zacząć realizować swój plan, z kawiarni wychodzi jakiś facet i idzie w moją stronę. Podchodzi na odległość kilku kroków i mówi coś po czesku. Nie rozumiem go. Odwracam się do niego tyłem i ruszam przed siebie. Niech się odwali, nie mam teraz czasu na zawieranie znajomości. Idzie za mną i coś wykrzykuje. Chyba to jakiś cieć, który zbyt poważnie traktuje swoją rolę. Skręcam w prawo i schodzę stromą ścieżką w stronę rzeki. Nie znudziło mu się, wciąż idzie za mną. Odwracam się i krzyczę:

– Odwal się!

Patrzy na mnie, jakby nie rozumiał, co mówię. Jego wzrok jest wściekły.

– Nie łaż za mną. Nie rozumiesz? – powtarzam. – Zawiadomię policję – odzywam się po angielsku, machając komórką przed jego oczami.

Po tych słowach rusza na mnie. Wyrывa mi telefon i roztrzaskuje o betonową płytę, a potem chwyta mnie za gardło.

Eryk

– Kim, kurwa, jesteś?! – Potrząsam nią. – Kto cię przysłał? Krzyczy coś w obcym języku, rozumiem tylko niektóre słowa. Domyślam się, że jest Serbką, pewnie z mafii Łysego, kazali jej mnie śledzić. Straszy mnie policją. Perfidna suka, jakby sama była czysta jak łąza.

– Dla kogo pracujesz?! – powtarzam.

Wyrywa się z mojego uchwytu i biegnie przed siebie. Dopadam ją po kilku krokach. Przewracamy się razem na betonowe platformy przy zejściu do Wełtawy. Wyraźnie słyszę skrzeczące nad nami mewy. Szarpiemy się. Jest bardzo silna. Znów próbuje się podnieść, aby uciec, i gdy jest już na kolanach, chwytam ją za nogi. Uwalnia jedną z nich i kopie mnie w twarz. Czuję uderzenie ciepła, przykładam rękę do nosa, krwawię. Wstaje i biegnie przed siebie, krzycząc.

Dopadam ją i popycham z całej siły do przodu. Uderza głową w betonową płytę. Zapada cisza, tylko mewy krzyczą nad nami coraz głośniejsze. Odwracam ją przodem do siebie i widzę, że ma zamknięte oczy. Potrząsam nią, szarpię za ramiona, ale tylko przelewa mi się przez ręce. Nie chciałem jej zabić, nie chciałem. Jesteśmy jakieś dwadzieścia metrów od mostu. Chwytam ją pod pachy i wlokę w tamtym kierunku. Rozglądam się, nigdzie nie widać żywej duszy. Słyszę dudnienie tramwaju nad sobą, jestem już bezpieczny, poza zasięgiem nieproszonych oczu. Kucam nad nią i klepię po policzkach. Nie reaguje. Przykładam rękę do jej szyi, nie wyczuwam tętna, ale nigdy wcześniej tego nie robiłem, mogę się mylić, może ona wciąż żyje.

Jest mi gorąco. Ścieram krew z twarzy i rozglądam się dookoła. Wszędzie porozbijane butelki, papiery, ślady po ognisku. Graffiti na murze pod mostem radzi: „Uwierz w przyszłość”. Nie myśląc dłużej, ciągnę ją w stronę wody. Nigdy nie sądziłem, że ludzkie ciało może być takie ciężkie. Znow przejeżdża nad nami tramwaj. Wchodzę po kolana do lodowatej wody. Czuję, jak ogarnia mnie przerażenie. Nie wiem, jak głęboka jest w tym miejscu Wełtawa. Jeszcze kilka kroków i wypuszczam ciało z rąk. Stoję zanurzony po pas i zdaję sobie sprawę, że zabiłem człowieka.

Nie ma po niej śladu. Zapadła się w zimną, czarną głębinę. Mam nadzieję, że przez kilka dni, może tygodni, a nawet miesięcy nie wypłynie na powierzchnię. Minie mnóstwo czasu, zanim znajdą jej zwłoki, a wtedy rozłoży się na tyle, że trudno będzie określić choćby przybliżoną datę zgonu, przekonuję sam siebie w myślach. Nadejdzie susza, która obniży poziom rzeki w mieście, ciało wciągną turbiny pływających po Wełtawie barek, jakiś nurek natknie się na nie przypadkiem lub wypłynie z jakiegoś innego, nieznanego mi powodu. A wtedy będę już daleko. O ile wcześniej potrzebowałem porady Vacława, o tyle teraz stała się ona zbyt cenna. Zabiłem człowieka, wszystko jest jasne, muszę uciekać. Ukryć się w najdalszym zakątku świata, gdzie nikt nie będzie mnie szukał.

Wychodzę na brzeg i ruszam przed siebie. Idę spokojnie, aby nie wzbudzać podejrzeń, choć jest to trudne, bo cały telepię się z zimna. Zostawiam za sobą mokre ślady. Na szczęście na betonie nie widzę krwi, wszystko zostało na ubraniu. W kieszeni znajduję klucze od auta. Muszę wrócić do mojej kryjówki, przebrać się, pozbyć ciuchów i wyruszyć w podróż. Wiem, dokąd pojedę, i wiem, że nikt mnie tam nie znajdzie.

Anita

Od pięciu minut siedzę w restauracji na lotnisku w Balicach. Próbuję skupić się na czytaniu kobiecej gazety, którą wzięłam z lady, ale co chwilę zerkam na zegarek. Nie potrafię oszukać samej siebie, przecież wiem, dlaczego tu jestem. Naprawdę chciałabym przegapić jego przyjście, wciągnąć się w ciekawy artykuł, ale raz po raz unoszę głowę i patrzę w stronę drzwi.

Zauważam go, gdy wychodzi z za rogu, holując za sobą walizkę pokładową. Spuszczam wzrok i przekładam kartkę.

– Przepraszam, czy to miejsce jest wolne? – pyta. Podnoszę głowę i spoglądam mu w oczy.

– Tak, proszę.

Odsuwa krzesło i siada obok. Chce mi się śmiać, znów potrafię robić to swobodnie, powstrzymuję się jednak ze wszystkich sił i odwracam wzrok w drugą stronę.

– Mogłaby pani zwrócić uwagę na mój bagaż? – zagaduje.

– Oczywiście.

Wstaje, podchodzi do baru. Po chwili wraca, trzymając w rękach dwa koktajle truskawkowe.

– A to w ramach podziękowania. – Stawia jeden przede mną.

– Zupełnie niepotrzebnie – odpowiadam, ale przysuwam szklankę do siebie.

– Czy zdradzi mi pani, gdzie pani leci? Chyba że to tajemnica.

– Do Nowej Zelandii – mówię. – Jestem w ciąży, ale mój lekarz mi na to pozwolił.

– Świetnie. – Uśmiecha się. – I to podwójnie, bo ja też tam lecę.

– Niemożliwe! – Udamę zdziwioną. – Dwie przesiadki? W Amsterdamie i w Sydney?

– Dokładnie tak, rząd siódmy, miejsce B.

– Co za niezwykle zbieg okoliczności – stwierdzam, wyciągając z torebki bilet. – Siedzę koło pana, rząd siódmy, miejsce A.

– Niewiarygodne. – Kręci głową.

– Anita. – Wyciągam do niego rękę.

– Adam. – Odwzajemnia uścisk.

* * *

Po powrocie do Krakowa zaczęłam wszystko od nowa. Kilka puzzli wciąż się nie odnalazło, nie potrafię ułożyć całej układanki, w wielu kwestiach to wciąż domysły. Chciałam zgłosić sprawę włamań na policję, oskarżyć Martę o zabójstwo kota, ale Adam odwiódł mnie od tego. Przekonywał, że w moim stanie nie powinnam się denerwować, a przesłuchania, składanie zeznań dalekie są od relaksu. Poza tym Robert powiedział nam, że Marta wyjechała z Krakowa. Złożyła wypowiedzenie, tłumacząc, że z początkiem roku zaczyna pracę w Londynie. Świetnie, niech zniknie na zawsze z mojego życia.

Wiele razy zastanawiałam się, gdzie udał się Zo. Jakoś imię Eryk nadal mi do niego nie pasuje. Codziennie wchodzę na praską kamerę. Zmienili rozkład jazdy od nowego roku – Tatra T3 nie pojawia się już o jedenastej pięćdziesiąt pięć na przystanku Malostranská.

Wciąż mam jednak nadzieję, że kogoś z nich przypadkiem zobaczę. Rudą, Zo, Marikę.

Ostatnio do mojej listy dodałam Rzym. Niegroźny nałóg, nie potrafię się powstrzymać. Znalazłam świetne ujęcie na piazza Navona. Pełno turystów i gołębi spacerujących wokół fontann. Jest taki jeden Luca, przystojny, mocny zarost i czarne, kręcone włosy. Popołudniami siada na ławce i pisze. Każdego dnia od piętnastej do szesnastej, oprócz sobót i niedziel. Obserwuję go od dwóch tygodni. Prawdziwy artysta, wrażliwa dusza, natchniona twarz. Uwielbiam patrzeć, jak zerka w niebo, a potem znów pochyła się nad trzymanym w ręku notesem. Boję się, że któregoś dnia przegram z pokusą, aby się dowiedzieć, co tak zawzięcie tworzy.

A poza tym uważam, że nie bez przyczyny istnieje coś takiego jak równowaga. Tak wiele znaczy w przyrodzie czy w gospodarce, a co dopiero w życiu. A zatem oko za oko, ząb za ząb, zdrada za zdradę. Wiem, że gdzieś tam jest jakiś Luca, Santiago, Ben czy ktokolwiek inny, kto pewnego dnia pomoże mi zrównoważyć te dysproporcje doznań w naszym związku. Nie byłabym sobą, gdybym to tak po prostu zostawiła.

Eryk

Polewam rozgrzane kamienie wodą. Syczą, nadchodzi fala gorąca. Ponownie kładę się na deskach i ukrywam twarz w dłoniach. Typowa fińska sauna, doskonała w swej prostocie i cudowna w działaniu. Czuję spływające po karku strużki potu i wiem, że za chwilę nadejdzie ten moment, kiedy powiem sobie dość. Okręcę się ręcznikiem i wyjdę na zewnątrz, na kryształicznie czyste i przejrzyste powietrze mroźnej Laponii.

Od siedmiu tygodni przebywam nieopodal Ivalo, w pięknej, komfortowej willi nad Inari, największym jeziorze Finlandii, w granicach koła podbiegunowego. Przez kilka miesięcy był to dom uczestników fińskiego Big Brothera, teraz w luksusie pływają się najpiękniejsze modelki świata. To kultowe miejsce. Schronienie dała mi Tania, która oczywiście nie wie, co się stało. Nikt nie wie i nikt nigdy się nie dowie.

Po powrocie do budki dróżnika umyłem się i przebrałem. Zakrwawione ubrania spaliłem w śmietniku na tyłach dworca. Resztki wrzuciłem do miejscowej rzeki. Posprzątałem po sobie, zamknąłem budkę na skobel i pojechałem do podpraskiego garażu. Zostawiłem tam samochód i korzystając z komunikacji miejskiej, dotarłem na lotnisko. Działąłem jak w transie, wciąż powtarzając sobie, że nikt nas nie widział, że mogę być spokojny. Ale mimo tych zapewnień nerwowo rozglądałem się dookoła i cierpła mi skóra na widok radiowozów. Z lotniska zadzwoniłem do Tani. Jeśli przez pewien czas dzieli się z kimś kosz na brudną bieliznę, to potem już zawsze można do niego dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Eryk? – Była zdziwiona.

– Helsinki-Vantaa, dziesięć minut po północy.

– Słucham?

– Kupiłem bilet, lecę do ciebie.

Zapadła cisza. Czyżby zabrakło jej słów?

– Nie cieszysz się? – zapytałem.

– Cieszę – odparła. – Ale kompletnie mnie zaskoczyłeś.

– Nie ma cię w Finlandii, tak? – Poczułem rozczarowanie.

– Nie, jestem, ale...

– Masz kogoś?

– Nie o to chodzi – zaprzeczyła. – Jestem na północy, mamy sesję zdjęciową nad Inari. Nie mogę przyjechać po ciebie do Helsinek.

– Nie ma sprawy, znajdę cię, choćbym miał dotrzeć tam psim zaprzęgiem.

W słuchawce zabrzmiał jej dźwięczny śmiech.

– Jesteś szalony.

– Raczej słowny – poprawiłem ją. – Skończyłem robotę i zgodnie z umową dzwonię. Nie wierzyłaś, że dotrzymam obietnicy?

– Szczerze? – Oczyma wyobraźni widziałem, jak zagryza wnętrze policzka. – Nie.

– A widzisz – triumfowałem. – Jeszcze potrafię cię zaskoczyć.

– Będziesz musiał złapać krajowy lot do Ivalo. Będę na ciebie czekać na lotnisku. Do połowy lutego mamy wynajętą willę. Ja, inne dziewczyny i kilku chłopaków z obsługi. Na pewno cię polubią. – Znów się zaśmiała. – Jest zimno, minus piętnaście, mam nadzieję, że spakowałeś czapkę.

– Świetnie – stwierdziłem. – Muszę trochę ochłonać.

– Aha – dodała – i trwa właśnie noc polarna. Na pewno wiesz, co robisz?

– Idealnie. – Wiadomość o ciemności za dnia była mi wyjątkowo na rękę.

Znów z nią jestem. Teraz tutaj, a potem się okaże. Rozkoszuję się nieustannym zmierzchem, jednym z moich ulubionych momentów dnia, który wszędzie trwa tylko chwilę, a tutaj ciągnie się w nieskończoność. Nowy Rok powitaliśmy nie fajerwerkami, ale światłami o znacznie jaśniejszym blasku i większym zasięgu. Pod niebem zalanym zorzą polarną. Uwieczniam tę wyjątkowość na obrazach i choć w ciągu ostatnich tygodni byłem jej świadkiem już kilka razy, nie przestaje mnie zachwycać.

Nie wracam myślami do Pragi i tego, co się wydarzyło. Z przeszłością jest jak z pogodą – wszyscy o niej mówią, ale nikt nie ma na nią wpływu. Na święta dzwoniłem do Mariki, zapewniałem ją, że niebawem wrócę. Martwi się o mnie, ale nie mówiła, że ktoś mnie szuka lub że dzieje się coś niepokojącego. Przy odrobinie szczęścia sprawa nigdy nie wyjdzie na jaw, a jak do tej pory wszystko wskazuje na to, że los jest mi przychylny.

EPILOG

– Czerwone porsche cayenne na polskich numerach. – Młody policjant mocniej przycisnął telefon komórkowy do ucha. – Tak, jestem tu na prośbę hotelu. Auto stoi od dwóch miesięcy. Niekradzione i nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Kontaktowałem się z policją w Polsce, należy do niejkiej Marty Wirwickiej. – Chłopak zerka do notatnika. – Nie – odpowiada. – Jej zaginięcia też nikt nie zgłosił. – Chowa notes do kieszeni. – Rzeczywiście dziwne. – Kiwa głową. – Być może jej się znudziło. – Śmieje się. – Chętnie bym się nim zaopiekował... Tak... tak. Okej. – Potakuje i kieruje się w stronę radiowozu. – Zgodnie z rozkazem, szefie. – Odchrząkuje i kończy rozmowę.

– Odholowujemy na parking policyjny! – krzyczy do chłopaków palących papierosy na tyle lawety. – Wracam do komisarjatu. – Unosi rękę w geście pożegnania.

– Petr... – Jeden z palaczy gasi papierosa, przygniatając go butem i podbiega do niego. – Wiadomo już coś w sprawie tego filmiku krążącego w sieci?

– Tak. Technicy potwierdzili jego autentyczność. To streaming z kamery umieszczonej na tyłach Tatra T3, tego tramwaju od oliwienia torów. Ujęcie jest z daleka, ale wyraźnie widać, jak mężczyzna wlecze ciało kobiety pod most.

– A więc podejrzenie morderstwa? – Policjant opiera się ręką o maskę radiowozu.

– Najwyraźniej. Czekamy na zapis z monitoringu hotelu i banku po drugiej stronie rzeki. Filmik jest z grudnia, więc

biorąc pod uwagę, że standardowo nagrania nadpisują się po trzydziestu dniach, wątpię, czy coś tam znajdziemy. Z identyfikacją DNA na nadbrzeżu po dwóch miesiącach też może być problem.

– A więc zbrodnia doszła?

– To się jeszcze okaże. Na razie.

Peter zamyka drzwi auta i odkręca szybę. Zapalając papierosa, wrzuca jedynkę i odjeżdża w kierunku Kamy.

Kolorowe neony świecą ze wszystkich stron, poprzez odgłosy klaksonów przebija się znajomy szum. Wełtawa jest dziś niespokojna, złowrogo uderza rozkołysaną wodą o burty zacumowanych na nadbrzeżu barek. Gdyby nie liczne światła nocnego miasta, wystarczyłoby unieść głowę, aby zobaczyć bezchmurne, gwiazdziste niebo, równie ciemne i nieprzeniknione jak wzburzona w dole rzeka.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Chciałam podziękować wszystkim, którzy uwierzyli w ten tytuł. Siedem lat temu *Idealna* otworzyła mi drzwi do literackiego świata. Mój debiutancki thriller został świetnie przyjęty przez krytyków i czytelników, otrzymał status bestsellera i uznano go za jeden z najciekawszych debiutów ostatnich lat. Książka została przetłumaczona na włoski (*La donna perfetta*), czeski (*Mazací tramvaj*) i ukraiński (Ідеальна), zdobywając serca nowych czytelników. Na zawsze pozostanie jedną z moich najważniejszych książek, bo dzięki niej spełniłam marzenie o zostaniu pisarką.

Dziękuję mojej Rodzinie i Przyjaciołom, że zawsze mogę na nich liczyć i mam w nich ogromne wsparcie. Dziewczynom z Wydawnictwa Luna za wznowienie *Idealnej* oraz Wam, moje Drogie Czytelniczki i Czytelnicy, że jesteście ze mną od mojego debiutu, czytacie moje książki, dopingujecie i wspieracie na drodze literackiej kariery. Cieszę się, że Was mam. Obiecuję pisać dla Was kolejne emocjonujące i pełne wrażeń powieści. Do zobaczenia na spotkaniach autorskich, targach książki i na kartach moich thrillerów.

Na koniec chciałabym podziękować pomysłodawcom niezwykłego praskiego tramwaju – kimkolwiek jesteście. Dzięki Waszej inicjatywie w mojej głowie narodziła się ta historia.

Spis treści

| | |
|------------------|----|
| Strona tytułowa | 1 |
| Spis treści | 3 |
| Karta redakcyjna | 8 |
| Dedykacja | 9 |
| Prolog | 10 |
| Anita | 11 |
| Adam | 20 |
| Anita | 27 |
| Eryk | 30 |
| Adam | 32 |
| Anita | 36 |
| Marta | 38 |
| Eryk | 40 |
| Anita | 44 |
| Marta | 50 |
| Adam | 52 |
| Anita | 55 |
| Adam | 65 |
| Anita | 68 |
| Marta | 71 |
| Adam | 73 |
| Eryk | 76 |
| Anita | 77 |
| Adam | 79 |
| Marta | 89 |

| | |
|-------|-----|
| Anita | 91 |
| Eryk | 97 |
| Anita | 98 |
| Adam | 100 |
| Anita | 103 |
| Marta | 105 |
| Anita | 107 |
| Adam | 110 |
| Anita | 113 |
| Eryk | 117 |
| Anita | 118 |
| Adam | 121 |
| Eryk | 124 |
| Anita | 126 |
| Adam | 129 |
| Eryk | 132 |
| Anita | 135 |
| Marta | 137 |
| Adam | 139 |
| Anita | 141 |
| Adam | 145 |
| Anita | 148 |
| Adam | 153 |
| Anita | 158 |
| Adam | 169 |
| Anita | 170 |
| Adam | 175 |
| Eryk | 176 |

| | |
|-------|-----|
| Adam | 177 |
| Anita | 180 |
| Marta | 185 |
| Anita | 187 |
| Adam | 189 |
| Anita | 190 |
| Adam | 194 |
| Marta | 201 |
| Adam | 203 |
| Marta | 206 |
| Adam | 207 |
| Marta | 210 |
| Adam | 218 |
| Marta | 222 |
| Adam | 225 |
| Anita | 226 |
| Adam | 232 |
| Anita | 234 |
| Eryk | 237 |
| Marta | 242 |
| Anita | 244 |
| Eryk | 246 |
| Anita | 247 |
| Adam | 250 |
| Marta | 252 |
| Anita | 254 |
| Adam | 256 |
| Anita | 259 |

| | |
|-------|-----|
| Marta | 263 |
| Eryk | 264 |
| Adam | 268 |
| Anita | 272 |
| Eryk | 275 |
| Marta | 279 |
| Adam | 280 |
| Anita | 283 |
| Marta | 287 |
| Adam | 290 |
| Anita | 292 |
| Marta | 295 |
| Adam | 298 |
| Anita | 299 |
| Adam | 301 |
| Anita | 302 |
| Adam | 303 |
| Marta | 305 |
| Eryk | 307 |
| Adam | 309 |
| Anita | 310 |
| Marta | 312 |
| Adam | 313 |
| Anita | 314 |
| Adam | 316 |
| Anita | 317 |
| Marta | 321 |

| | |
|---------------|-----|
| Anita | 323 |
| Eryk | 326 |
| Marta | 330 |
| Eryk | 334 |
| Adam | 338 |
| Anita | 340 |
| Marta | 341 |
| Eryk | 342 |
| Anita | 344 |
| Eryk | 347 |
| Epilog | 350 |
| Podziękowania | 353 |